



Nora Roberts



Braterska więź

Tytuły oryginałów:

The Return of Rafe MacKade, The Pride of Jared MacKade

Powrót Rafe'a

RS

PROLOG

Bracia MacKade szukali kłopotów. Jak zwykle. Prowincjonalne miasteczko Antietam w stanie Maryland nie zawsze ich dostarczało, ale samo szukanie też stanowiło miłą rozrywkę.

Idąc do starego chevroleta, kłócili się, kto zasiądzie za kierownicą. Samochód należał do Jareda, najstarszego z braci, ale trzech młodszych MacKade'ów wcale się tym nie przejmowało.

Najbardziej napalony na jazdę był Rafe. Wcisnąć gaz do dechy, pędzić po ciemnych, krętych drogach, uciec od pustki i smutku, zostawić w tyle podły humor. Po prostu gnać przed siebie. Dokądkolwiek.

Dwa tygodnie temu bracia pochowali matkę.

W zielonych oczach Rafe'a płonęła złość, może dlatego został przegłosowany. Za kierownicą usiadł Devin, obok niego Jared; Rafe i Shane, najmłodszy, zajęli miejsca z tyłu.

MacKade'owie, siejąca postrach zuchwała, zielonooka banda. Wysocy, szczupli, niepokorni i porywczy, zawsze gotowi do bójki. Kiedy wpadali w ten awanturniczy nastrój, mądrzy ludzie trzymali się od nich z daleka, postanowili zajrzeć do baru Duffa na bilard i piwo. Odpowiadał im panujący w barze półmrok i powietrze gęste od dymu, cieszył łoskot odbijających się bil. Jednak największą satysfakcję sprawiało im rzucane w ich stronę lękliwe spojrzenie Duffa Dempseya i niepewność w oczach pozostałych gości, którzy na ich widok ściszyli głosy.

Nikt nie pytał, po co MacKade'owie tu przyszli. Wiadomo: żeby wdać się z bójką. I wkrótce cel osiągnęli.

Z papierosem zwisającym z kącika ust Rafe zmrużył oczy i popatrzył na bile. Od dwóch dni się nie golił; ciemny zarost pasował do jego dzisiejszego nastroju. Po chwili zdecydowanym ruchem uderzył białą bilę; siódemka wpadła do luzu.

- Chociaż w tym jednym szczęście ci sprzyja - oznajmił Joe Dolin, popijając piwo.

Jak zwykle po zachodzie słońca, mocno wstawiony siedział przy barze. W szkole średniej był gwiazdą drużyny futbolowej i rywalizował z MacKade'ami o względy najładniejszych dziewczyn. Teraz, w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat, twarz miał nabrzmiąłą od alkoholu, a ciało sflaczałe. Przed wyjściem z domu podbił oko swojej młodej żonie, ale chętnie jeszcze by komuś przyłożył.

Rafe potarł kredą kij; na Joego nawet nie spojrzał.

- Po śmierci matki wygrana z bilardu nie starczy na utrzymanie farmy. - Unosząc butelkę, Joe wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Słyszałem, że musicie sprzedać ziemię, by zapłacić zaległe podatki.

- Źle słyszałeś. - Rafe obszedł stół.

- Źle? Akurat! Nie znam większych kłamców i kretynów od MacKade'ów.

Zanim Shane zdołał doskoczyć do baru, Rafe zablokował mu kijem drogę.

- On mówi do mnie - rzekł cicho, mierząc Joego wzrokiem. - Prawda, Joe? Mówisz do mnie.

- Mówię do was wszystkich - burknął Joe, obrzucając braci spojrzeniem. Dwudziestoletni Shane, choć postawny i muskularny, z zachowania bardziej przypominał dziecko niż mężczyznę. Devin z kamiennym wyrazem twarzy siedział na krześle. Jared stał niedbale oparty o szafę grającą. A Rafe... po nim wszystkiego można było się spodziewać. - Ale od biedy mogę pogadać z tobą. Z całej czwórki ty jesteś największą oferumą.

Rafe zgniótł w popielniczkę papierosa i sięgnął po piwo. Przez chwilę niczym dwaj zawodnicy przed walką mierzyli się wzrokiem. Reszta klientów umilkła w oczekiwaniu na to, co nastąpi.

- Powiedz, Joe, podoba ci się robota w fabryce?

- Przynajmniej zarabiam. Mam forszę, więc nikt mi nie odbierze chałupy.

- I masz żonę, która haruje dwanaście godzin na dobę, żeby opłacić czynsz.

- Stul pysk! To ja przynoszę forszę do domu! Żadna baba nie musi na mnie pracować. Nie jestem jak twój stary, który roztrwonił majątek odziedziczony przez waszą matkę, a potem wykitował.

- Owszem, wykitował. - W Rafe'ie narastał gniew, żal, wyrzuty sumienia. - Ale nigdy na żonę nie podniósł ręki. Matka nie musiała ukrywać siniaków pod ciemnymi okularami i kłamać, że wpadła na drzwi. Nie jak twoja biedna Cassie.

Joe z hukiem postawił butelkę na barze.

- Twierdzisz, że biję żonę? Zaraz odszczekasz to kłamstwo!

- Rafe, nie warto. On jest pijany - szepnął Jared. Rafe wzruszył ramionami. Nie znosił Joego. Popatrzył uważnie na swój kij, odłożył go na stół.

- Odszczekam? Zmusisz mnie?

- Nie życzę tu sobie żadnych awantur! - krzyknął Duff, wskazując kciukiem ścianę, na której wisiał telefon. - Bo zadzwonię po szeryfa i spędzicie noc za kratkami.

- Ani się waż - ostrzegł go Rafe. Samym spojrzeniem potrafił zmusić właściciela lokalu do wycofania się za bar. - Idziemy, Joe. Na dwór.

- Ale tylko my dwaj. - Zaciskając pięści, Joe popatrzył na pozostałych MacKade'ów. - Czterech na jednego to trochę za dużo.

- Sam sobie z tobą poradzę - powiedział Rafe, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły. I żeby to udowodnić, zrobił unik przed ciosem Joego, obrócił się i zdzielił przeciwnika w szczękę. Połała się krew.

Prawdę mówiąc, nie wiedział, dlaczego się bije. Joe obchodził go tyle, co zeszłoroczny śnieg. To walka sprawiała mu satysfakcję. Nawet wtedy, gdy Joe zaczął oddawać ciosy. Ból pozwalał zapomnieć o wszystkim innym.

Devin z sykiem wciągnął powietrze, kiedy z wargi brata trysnęła krew.

- Daję im pięć minut - oznajmił, wtykając ręce do kieszeni.

- Pięć? Rafe upora się z nim w trzy - stwierdził Shane, patrząc, jak postępujący zawodnicy schodzą do parteru.

- Zakład? Stawiam dychę.

Shane skinął głową i zaczął głośno kibicować bratu:

- Dołoż mu, Rafe! Dowal mu!

Pokonanie Joego zajęło Rafe'owi równo trzy i pół minuty. Kiedy Joe wywrócił oczy białkami do góry i przestał się szarpać, Jared ściągnął z niego Rafe'a.

- Dobra, koniec. Koniec! - powtórzył, odpychając brata, gdy ten chciał wrócić i kontynuować walkę.

- Idziemy.

Rafe powoli rozprostował dłonie. Wściekłość wyparowała z jego oczu.

- Puść mnie, Jared. Więcej mu nic nie zrobię.

Zerknął za siebie na półprzytomnego, jęczącego pijacznę, nad którym Devin wręczał Shane'owi banknoty.

- Cholera, powinienem wziąć pod uwagę, że dureń jest pijany. Gdyby był trzeźwy, walka jak nic trwałaby pięć minut.

- E tam! Rafe'owi szkoda byłoby tyle czasu poświęcić na takiego dupka.

Jared poklepał Rafe'a przyjaźnie po ramieniu.

- Jeszcze jedno piwo?

- Nie. - Spojrzawszy w okno, w którym tłoczyli się bywalcy baru śledzący przebieg walki, Rafe starł krew z przeciętej wargi. - Niech któryś z was zaciągnie go do domu! - zawołał, po czym zwrócił się do braci:

- Jedziemy.

Dopiero w samochodzie poczuł się obolały. Słuchając jednym uchem entuzjastycznej relacji Shane'a, który wciąż przeżywał bójkę, przyciskał do ust bandankę Devina, żeby powstrzymać krwawienie.

Co dalej? - zadumał się nad sobą, nad własną przyszłością. Nic nie robił, do niczego nie dążył. Był nikiem, tak jak Joe Dolin. Różniło ich tylko pijaństwo Joego.

Nienawidził przekłetej farmy, nienawidził miasteczka, w którym mieszkał, nienawidził sideł, w które z każdym dniem coraz bardziej się wplątywał.

Jared kochał książki, Devin był myślicielem, Shane uwielbiał pracę na farmie. A on, Rafe? Nie miał żadnych pasji, żadnych zainteresowań.

Na skraju miasteczka, gdzie zaczynało się wzniesienie i las gęstniał, zobaczył dom. Duży zrujnowany budynek należący kiedyś do Barlowów. Ciemny, pusty, w którym podobno straszyły duchy. Nikt nie chciał w nim zamieszkać; znając krążące na jego temat legendy, trudno się temu dziwić. W każdym razie miejscowi omijali go z daleka.

- Zatrzymaj wóz - poprosił brata.

- Chcesz puścić pawia? - zaniepokoił się Shane, chwytając pośpiesznie za klamkę.

- Nie. Do cholery, zatrzymaj się, Jared.

Kiedy samochód stanął, Rafe wyskoczył na zewnątrz i zaczął wspinać się po kamienistym zboczu. Kolce jeżyn i ostów zaczepiały nogawki spodni. Za sobą słyszał gniewne głosy i przekleństwa braci.

Dotarłszy na górę, zadarł głowę i przez moment w skupieniu patrzył na dwupiętrowy budynek. W większości okien zamiast szyb widniały deski, ganek był krzywy, zapadły jak policzki wymizerowanej staruszki. Trawnik przed domem porastały chwasty, oset i jeżyny; pomiędzy nimi tkwił uschnięty, poskręcany dąb.

Nagle księżyc wytoczył się zza chmur. Skąpany w srebrzystych promieniach dom miał w sobie dziwną magię. Stał w tym miejscu od ponad dwustu lat; opierał się burzom, wichurom, mijającym latom, a także plotkom rozsiewanym przez okolicznych mieszkańców, na których spoglądał z obojętnością.

- Zamierzasz zapolować na ducha, Rafe? - spytał Shane z błyskiem w oku.

- Może.

- Pamiętajcie, jak kiedyś, z dziesięć lat temu, spędziliśmy tu noc? - Schyliwszy się, Devin zerwał źdźbło trawy. - Założyliśmy się, że wytrzymamy do rana. Jared zakradł się na piętro i zaczął otwierać i zamykać drzwi. Shane aż zsikał się ze strachu.

- Gadasz bzdury!

- A właśnie, że się złałeś!

Młodszy szturchnął starszego, starszy oddał młodszemu. Rafe z Jaredem nie zwracali na nich uwagi.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytał Jared. Domyślił się planów brata, chociaż Rafe o niczym nie powiedział.

- Dziś. Po prostu muszę. Muszę wyruszyć w świat, znaleźć swoje miejsce. Jeśli tego nie zrobię, stanę się taki, jak Joe Dolin. Albo

jeszcze gorzej. Mama nie żyje, już nie jestem jej potrzebny... Swoją drogą, nigdy nie byłem.

- Dokąd się wybierasz? Masz jakiś pomysł?

- Nie. Może na Południe? - Rafe nie mógł oderwać oczu od zabitych deskami okien. Gotów był przysiąc, że stary dom patrzy na niego wyczekująco, jakby czegoś chciał. - Postaram się przysłać wam forszę.

Jared tylko wzruszył ramionami, choć serce mu się krajało.

- Dzięki, ale poradzimy sobie.

- Nie żartuj. Musisz skończyć studia prawnicze. Mamie bardzo na tym zależało. - Rafe obejrzał się za siebie. Devin z Shane'em toczyli zapasy na trawie. - A oni... oni wkrótce dojrzeją i odkryją, na czym im naprawdę zależy.

- Shane od dawna wie. Chce być farmerem. Pokiwawszy z uśmiechem głową, Rafe wyciągnął papierosa.

- Jeśli zajdzie potrzeba, sprzedaj parę hektarów, ale nie pozwól zabrać naszej farmy. Ta ziemia należy do MacKade'ów. Wkrótce pokażemy miasteczku, co jesteśmy warci.

Po raz pierwszy od dawna przestał się zadrećcać.

Poczuł dziwną lekkość. Jego bracia siedzieli na trawie, brudni, podrapani i trzymając się za boki, wyli ze śmiechu.

Tak ich zapamiętam, postanowił sobie. Silnych, solidarnych, roześmianych.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rozrabiaka powrócił. Po dziesięciu latach nieobecności niegrzeczny chłopiec Rafe MacKade wrócił na stare śmieci. Huczało o tym całe Antietam; niczym biesiadnicy przy stole, którzy przekazują jeden drugiemu miskę z parującym gulaszem, mieszkańcy Antietam przekazywali sobie tę niesłychaną nowinę. Och, to był pikantny gulasz, doprawiony seksem, skandalem, tajemnicą.

Niektórzy szeptali, że dopiero teraz się zacznie. Tylko patrzeć, a będą kłopoty. Bo kłopoty to drugie imię Rafe'a MacKade'a. Czy to nie Rafe MacKade znokautował kiedyś dyrektora liceum, za co wyrzucono go ze szkoły? Czy to nie Rafe MacKade rozbił ojcowskiego forda, zanim jeszcze nauczył się prowadzić samochód?

A któregoś lata to na pewno Rafe MacKade wywalił przez okno u Duffa stół oraz tego idiotę Manny'ego Johnsona.

I teraz wrócił. Jakby nigdy nic, przyjechał do miasteczka eleganckim sportowym samochodem, który zaparkował na wprost komisariatu.

Szeryfem był teraz jego brat Devin. W listopadzie minęło pięć lat, odkąd objął tę funkcję. Ale wielu mieszkańców pamiętało, że w jednej z dwóch cel na tyłach komisariatu Rafe MacKade spędził ładnych parę nocy.

Niewiele się zmienił. Jak dawniej, był niesamowicie przystojny; tak przynajmniej twierdziły kobiety. Zresztą wszystkich MacKade'ów natura obdarzyła wyjątkową urodą.

Wysoki, doskonale zbudowany... trudno było oderwać od niego wzrok. Miał gęste, czarne włosy oraz piękne oczy, zimne i zielone jak oczy chińskiej figurki stojącej na wystawie miejscowego sklepu z antykami. Nieduża blizna nad lewą brwią znaczyła jego twarz. Diabli wiedzą, skąd się wzięła.

Nie było kobiety, która nie topniała na widok jego uśmiechu. Pierwszą była Sharilyn Fenniman, której Rafe z czarującym uśmiechem wręczył dwudziesto-dolarowy banknot za benzynę.

Nim wcisnął pedał gazu, Sharilyn chwyciła słuchawkę, by poinformować kogo się da o powrocie MacKade'a.

- Zadzwoń do swojej mamy, a pani Metz natychmiast przekazała wiadomość pani Hawbaker ze sklepu wielobranżowego. - Mówiąc to, Cassandra Dolin pochyliła się nad stolikiem i dołała Regan kawy. - Chyba przyjechał na stałe.

Z powodu śniegu, który zasypywał chodniki i jezdnie, w Ed's Café panował stosunkowo mały ruch. W ten mroźny styczniowy dzień nikomu nie chciało się ruszać z domu. Cassie wyprostowała się ostrożnie, starając się nie zwracać uwagi na bolące biodro. Potłukła się, kiedy Joe pchnął ją na podłogę.

- Co w tym dziwnego? - Regan Bishop przysunęła do siebie miseczkę z gulaszem. - Przecież tu się urodził.

Chociaż mieszkała w Antietam już trzy lata, nadal nie mogła zrozumieć ekscytacji, z jaką mieszkańcy przyjmowali wyjazdy i powroty.

- No tak, ale tyle czasu go nie było. W ciągu dziesięciu lat może wpadł tu ze trzy razy na dzień lub dwa.

Cassie wyjrzała za okno. Płatki śniegu wirowały w powietrzu. Ciekawa była, dokąd Rafe wyjechał, co widział, czym się zajmował.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważyła cicho Regan.

- Słucham? Nie, nie jestem zmęczona. Wiesz, jak dalej tak będzie sypać, to nauczyciele zwolnią dzieci do domu. Kazałam swoim tu przyjść, ale...

- Więc przyjdą. Nie martw się. To mądre dzieciaki.

- Bardzo mądre. - Cassie uśmiechnęła się.

- Przysiadź na chwilę. - Regan rozejrzała się po kawiarni. Jeden klient siedział w rogu, drzemiąc nad kubkiem kawy, przy ladzie para młodych ludzi jadła gulasz. Byli to jedyni klienci. - Napijemy się kawy... A poza tym - dodała szybko, widząc, że przyjaciółka się waha - opowiesz mi o tym waszym Rafe'ie.

Cassie przygryzła wargę.

- No dobra. Ed! - zawołała do właścicielki kawiarni. - Zrobię sobie przerwę, dobrze?

Z kuchni wychyliła się chuda kobieta o burzy kręconych rudych włosów. Na jej cherlawej piersi wisiały okulary.

- W porządku, złotko. - Edwina Crump miała głos ochrypły od wypalanych dziennie dwóch paczek papierosów, usta czerwone od szminki, oczy starannie pomalowane, policzki zaróżowione od żaru buchającego z garnków. - Cześć, Regan. Zdaje się, że twoja przerwa obiadowa minęła kwadrans temu...

- A co tam. W taką pogodę ludzie nie szukają antyków.
- Co jak co, w tym roku zima nas nie rozpieszcza.
- Przyniósłszy kubek, Cassie nalala sobie kawy. - Jeszcze nie skończył się styczeń, a dzieciakom już znudziły się sanki i lepienie bałwanów.

Usiadła ostrożnie, starając się nie krzywić z bólu. Miała dwadzieścia siedem lat, była o rok młodsza od Regan, a czuła się jak jej babka.

Po trzech latach przyjaźni Regan potrafiła jednak wyczytać wszystko z twarzy przyjaciółki.

- Znow cię uderzył? - spytała szeptem.

- Nic mi nie jest - odparła Cassie, wpatrując się w kubek. Wyrzuty sumienia, upokorzenie, strach bolały nie mniej niż cios zadany pięścią. - Nie chcę rozmawiać o Joe.

- Przeczytałaś broszury, które ci dałam? Te o przemocy domowej? Cassie, w Hagerstown jest ośrodek dla kobiet...

- Wiem. Ale mam dwójkę dzieci. I przede wszystkim muszę myśleć o nich.

- Ale...

- Proszę cię. - Cassie popatrzyła przyjaciółce w oczy. - Nie chcę o tym rozmawiać.

- Dobrze - niechętnie przystała Regan. - W takim razie opowiedz mi o tym waszym ladaco.

- Rafe... - Cassie rozpromieniła się. - Uwielbiałam go. Zresztą wszystkie dziewczyny się w nim kochały. A jak nie w nim, to w którymś z jego braci.

- Ja lubię Devina. - Regan pociągnęła łyk kawy.

- Sprawia nieco tajemnicze wrażenie, ale w sumie można na nim polegać.

- To prawda. Nikt nie wierzył, że MacKade'owie wyrosną na porządnych ludzi, a tu proszę: Devin doskonale się sprawdza w roli szeryfa, Jared prowadzi kancelarię prawniczą, a Shane od rana do nocy haruje na farmie. Dawniej, kiedy przyjeżdżali do miasta, matki zamykały córki w domach, a faceci omijali ich szerokim łukiem.

- Nieźle.

- Byli młodzi. Roznosiła ich energia. I zawsze się o coś wściekali, najczęściej Rafe. Tego wieczoru, kiedy opuścił miasto, stoczył bójkę z Joem. Rozkwasił mu nos i wybił parę zębów.

- Serio? - Słyszając to, Regan poczuła instynktowną sympatię do Rafe'a.

- Zawsze szukał okazji do zaczepki. Byli dziećmi, kiedy zmarł im ojciec. Kilka lat później zmarła ich matka, przed śmiercią przez rok ciężko chorowała. Dwa tygodnie po jej pogrzebie Rafe wyruszył w świat. Wszyscy myśleli, że bracia będą musieli sprzedać ziemię, żeby pospłacać długi, ale na szczęście udało im się zachować farmę.

- Udało się tym trzem, którzy tu zostali.

- Fakt. - Cassie wypła łyk kawy. Rzadko się zdarzało, aby mogła nic nie robić, tylko siedzieć i plotkować z przyjaciółką. -

Prawdę mówiąc, byli jeszcze dziećmi. Najstarszy Jared miał dwadzieścia trzy lata. Rafe o rok mniej. Devin jest ze cztery lata starszy ode mnie, a Shane o rok młodszy od Devina.

- Pani MacKade miała więc co robić.

- To była wspaniała kobieta. Bardzo silna. Bez względu na problemy, zawsze dawała sobie radę.

- Czasem potrzeba siły, żeby rzucić wszystko w cholerę - szepnęła Regan. Zła na siebie, potrząsnęła głową. Przecież obiecała, że nie będzie naciskać na Cassie. - Jak myślisz, dlaczego Rafe wrócił?

- Nie wiem. Podobno jest dziś bogatym człowiekiem. Dorobił się na handlu nieruchomościami. Ma własną firmę, no i w ogóle. Moja mama stale powtarzała, że Rafe albo zginie młodo, albo wyląduje w więzieniu, lecz... - Nagle umilkła. - O kurczę - mruknęła, wpatrując się w szybę. - Sharilyn nie skłamała.

- Słucham?

- Wygląda zabójczo.

Regan obejrzała się z zaciekawiona. Akurat w chwili, kiedy otworzyły się drzwi. Ale przystojniak! Jeśli to jest ta czarna owca...

Rafe strząsnął z włosów płatki śniegu, zdjął czarną skórzaną kurtkę, zdecydowanie nieodpowiednią na ostre zimy, jakie panowały na wschodnim wybrzeżu. Zdaniem Regan, z blizną nad okiem, dwudniowym zarostem ocieniającym twarz i nieco krzywym nosem sprawiał wrażenie wojownika, który wraca do domu po latach tułaczki.

W przetartych džinsach, flanelowej koszuli i podniszczonych butach z cholewami nie wyglądał jak człowiek sukcesu. Raczej jak ktoś, z kim lepiej nie zadzierać.

Ucieszyło go, że w kawiarni Edwiny właściwie nie zaszły żadne zmiany. Przy ladzie stały te same stołki, na których jako dziecko czekał na koktajl mleczny, z kuchni dolatywała znajoma woń oleju, cebuli i frytek, a w powietrzu unosił się ten sam zapach dymu papierosowego i sosnowego odświeżacza.

Ed przypuszczalnie pracowała na zapleczu, smażąc hamburgery albo mieszając w garnkach. Nic się tu nie zmieniło. Nawet stary Tidas drzemał, tak jak dawniej, przy stoliku w rogu, podczas gdy kawa mu stygła.

Rafe powiódł spojrzeniem po białej ladzie zastawionej ciastkami i plackami, po ścianach ze zdjęciami z czasów wojny secesyjnej i zatrzymał wzrok na stoliku, przy którym siedziały dwie młode kobiety.

Jedną widział po raz pierwszy w życiu. Miała proste, złociste włosy sięgające ramion, delikatne rysy twarzy, gładką skórę o jasnobrzoskwiniowym odcieniu, niebieskie oczy przysłonięte długimi rzęsami oraz pełny czarny pieprzyk tuż nad pełnymi wargami.

Idealna, pomyślał. Jak z kolorowego pisma dla kobiet.

Przyglądali się sobie bez słowa, z zachwytem, tak jak pięknej broszce lub spince do krawata na wystawie u jubilera. Po chwili Rafe skierował spojrzenie na siedzącą obok drugą blondynkę, która uśmiechała się nieśmiało.

- A niech mnie dunder świśnie! - zawołał radośnie.

- Przecież to mała Cassie Connor!

- Cześć, Rafe. Słyszałam, że wróciłeś.

Kiedy MacKade zagarnął Cassie w ramiona, Regan ze zdziwieniem uniosła brwi. Przyjaciółka rzadko śmiała się tak wesoło i beztrąsko.

- Śliczna jak zawsze. - Rafe cmoknął Cassie w usta. - Powiedz, kwiatuś, że pozbyłaś się tego kretyna, swojego męża, i teraz wyjdiesz za mnie.

Cassie oswobodziła się z jego objęć; nie chciała dawać ludziom powodu do plotek.

- Mam dwójkę dzieci.

- Chłopca i dziewczynkę. Wiem, słyszałem. - Popatrzył na nią z z troską. Była stanowczo za chuda. - Wciąż tu pracujesz?

- Tak. Ed jest w kuchni, jeśli...

- Zaraz do niej zajrzę. A kim jest twoja znajoma? - spytał, spoglądając na milczącą Regan.

- Ojej, przepraszam. Poznaj Regan Bishop, właścicielkę „Czasu Przeszłego”, sklepu z antykami, który mieści się parę metrów dalej. Regan, przedstawiam ci Rafe'a MacKade'a.

- Z tych MacKade'ów? - Regan wyciągnęła na powitanie rękę.

- Owszem, z tych. - Uścisnął jej dłoń. - Sklep z antykami? No proszę, jaki szczęśliwy zbieg okoliczności. Właśnie szukam starych mebli. Zresztą nie tylko mebli.

- Tak? - Nie chciała się ośmieszyć wyszarpywaniem swojej ręki z jego mocnego uścisku. - Z jakiegoś konkretnego okresu?

- Interesuje mnie wyłącznie druga połowa dziewiętnastego wieku. Wszystko, począwszy od wazy na zupe po dziadka do orzechów. Mam pusty dwupiętrowy dom, który czeka, by go urządzić. Poradziłabyś sobie z czymś takim?

Zamurowało ją. Z trudem się powstrzymała, żeby z radości nie rzucić się Rafe'owi na szyję. Do jej sklepiku zaglądali turyści, czasem miejscowi, ale takie duże zlecenie to dar od losu.

- Oczywiście, że tak.

- Kupiłeś dom? - spytała Cassie. - Myślałam, że zamieszkasz na farmie.

- Dobrze myślałaś, kwiatuszku. Kupiłem stary dom Barlowów, ale nie dla siebie. Chcę go wyremontować, a potem urządzić w nim mały pensjonat.

Cassie wytrzeszczyła oczy.

- Kupiłeś dom Barlowów? Ale... ale w nim...

- Straszy? - Rafe błysnął zębami. - Wiem, na tym polega jego urok. - Zerknął w stronę lady. - Mogę prosić o kawę i kawałek placka? Jestem głodny jak wilk.

Wkrótce po tym, jak Regan pożegnała się z przyjaciółką, do kawiarni wpadły przyprószone śniegiem dzieci Cassie. Rafe obserwował scenę powitania; młoda mama zdjęła dzieciom wierzchnie okrycia, skarciła syna, który zapomniał włożyć rękawiczki, z uwagą wysłuchiwała opowieści córki o tym, czego się dziś

nauczyła, po czym posadziła dzieci przy stole, z kredkami i książeczką do rysowania.

W całym tym ceremoniale było coś smutnego, a zarazem dziwnie kojącego. Cassie nic się nie zmieniła; nadal była tą samą dziewczyną, którą znał przed laty, lecz teraz miała dwójkę pociech.

Rafe dopił kawę. Domyślał się, że jego powrót wywoła w miasteczku poruszenie. Że jedni dzwonią do drugich, przekazując najnowsze wieści. To dobrze. Chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że wrócił. W dodatku z tarczą, a nie na tarczy.

Miał pieniądze na koncie i wielkie plany na przyszłość. Plany głównie dotyczyły dawnej posiadłości Barlowów. Ten stary dom pełen zawodzących duchów prześladował go od lat. Ucieszył się, gdy wreszcie udało mu się go nabyć. Dziś każdy mur, każdy kamień i krzew na wzgórzu należał do niego. Odrestauruje dom, przywróci mu dawny blask.

Któregoś dnia stanie w oknie na piętrze i popatrzy na rozciągające się w dolinie miasteczko. Udowodni wszystkim, włącznie z sobą, że Rafe MacKade do czegoś w życiu doszedł.

Zostawił na stoliku napiwek; chętnie zostawiłby większy, ale nie chciał wprowadzić Cassie w zakłopotanie. Biedaczka była stanowczo za chuda. Zwłaszcza w porównaniu z Regan wydawała się taka krucha, spięta, lękliwa.

A Regan... hm, Regan wywarła na nim spore wrażenie. Była piękna i nieustraszona. Trzymała fason, gdy zaproponował, aby

urządziła wewnątrz pensjonatu. A raczej niecodziennie dostaje tak duże zlecenia.

Latami ciężko pracował na swoje utrzymanie, tym bardziej podziwiał jej opanowanie i spokój. Czas pokaże, czy Regan Bishop odpowiedzialnie podejdzie do zadania i czy zdoła się z niego wywiązać.

Ale po co wybiegać myślą naprzód? Trzeba żyć teraźniejszością.

- Ten sklep z antykami... - zwrócił się do Cassie. - Mówiłaś, że znajduje się parę metrów stąd?

- Tak. - Parząc kawę, Cassie nie spuszczała oczu z dzieci. - Skręć w lewo i zaraz go zobaczysz. Choć wątpię, czy jest otwarty.

Wyszedł na zewnątrz, z gołą głową, w rozpiętej kurtce. Tak jak się spodziewał, w „Czasie Przeszłym” paliło się światło. Zamiast wejść do środka, zatrzymał się przed wystawą i przez chwilę podziwiał ekspozycję.

Niebieski brokat spływał kaskadą niczym lśniący w słońcu strumień. Na małym, przeznaczonym dla dziecka fotelu na biegunach siedziała porcelanowa lala o wielkich oczach, u jej stóp leżał w artystycznym nieładzie stos zabawek z ubiegłego wieku. Przy niedużym cokole przycupnął wysadzany jadem smok z otwartą paszczą. Nieopodal stała mahoniowa kasetka z otwartymi szufladkami, z których wypadały świecidełka; wyglądało to tak, jakby pani domu w nerwowym pośpiechu szukała pasującej do sukni broszki. Emaliowaną półeczkę zdobiły różnych wielkości i kształtów flakoniki perfum.

Rafe skinął z uznaniem głową. Sprytnie. Należy zainteresować przychodniów, zachęcić ich do odwiedzenia sklepu.

Otworzył drzwi. Cicho zabrzączał dzwoneczek. W powietrzu unosił się zapach cynamonu, jabłek, goździków. A także, co uzmysłowił sobie, gdy nabrał powietrza, zapach Regan Bishop. Już wcześniej, w kawiarni, zwrócił uwagę na jej perfumy o subtelnej, upajającej woni.

Przez kilka minut przechadzał się po ścieżkach wytyczonych ustawieniem mebli. Tu sofa, tam fotel z podnóżkiem. Wkoło lampy, półmiski, wazon. Dalej stół do jadalni, a na nim eleganckie talerze, sztuce, kieliszki, świece i kwiaty, zupełnie jakby lada moment mieli wpaść zaproszeni na kolację goście. Pod ścianą szafka z kolekcją starych winylowych płyt w kolorowych obwolutach oraz dostojnie wyglądający gramofon.

Sklep składał się z trzech lśniących czystością, starannie zaaranżowanych pomieszczeń. Na żadnej powierzchni, na żadnym meblu czy bibelocie Rafe nie dostrzegł najmniejszego śladu kurzu. Zatrzymał się przy kuchennym kredensie pełnym kamionkowych naczyń i słoików z niebieskiego szkła.

- Piękny, prawda? - usłyszał za plecami głos Regan.

- Mamy identyczny na farmie - rzekł, nie odwracając się.

Wyczuł jej obecność, zanim jeszcze się odezwała. - Mama trzymała w nim rzeczy do codziennego użytku, między innymi szklanki z grubego szkła, które się tak łatwo nie tłukły. Pamiętam, że jak ją kiedyś zezłościłem, to rzuciła we mnie taką szklanica.

- Trafiła?

- Nie. Bo nie chciała. - Obejrzawszy się, uśmiechnął się łobuzersko. - Inaczej na pewno by nie spudłowała. Rzuty miała celne. Powiedz, Regan: co tu robisz? W tej małej sennej miejscinie?

- Prowadzę sklep z antykami.

- Widzę. A ile sobie życzysz za tego smoka w oknie?

- Pięć pięćdziesiąt. Masz doskonały gust.

- Hm, drogo... - Wyciągnąwszy rękę, odpiął pojedynczy złoty guzik w jej blezerze.

Nie zareagowała na jego poufały gest.

- Cóż, wszystko ma swoją cenę.

- Słusznie. - Zahaczył kciuki o szlufki dżinsów i znów zaczął krążyć po sklepie. - Od dawna tu mieszkasz?

- Latem minęły trzy lata.

- A wcześniej? - Kiedy nie odpowiedziała, zerknął na nią i uniósł czarną brew. - Staram się być miły, skarbie. To po pierwsze, a po drugie, lubię wiedzieć coś o ludziach, z którymi łączą mnie interesy.

- Nas jeszcze żadne nie łączą. - Odgarnęła włosy za uszy. - Skarbie.

Wybuchnął wesołym śmiechem, a jej dreszcze przeszły po kręgosłupie. Rafe MacKade był typem faceta, przed jakim matki ostrzegają córki. Kusilo ją nawiązanie bliższej znajomości, ale ważniejsze były interesy.

- Czuję, że się zaprzyjaźnimy - powiedział Rafe. Przechylił w bok głowę. - Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

- Znów starasz się być miły?

- Po prostu stwierdzam fakt. - Popatrzył z uśmiechem na jej rękę.

Nosiła kilka złotych pierścionków z małutkimi oczkami. - Czy któryś z nich oznacza, że powinienem trzymać się od ciebie z daleka?

Poczuła dziwne klucie w żołądku.

- Zależy, co chcesz osiągnąć.

- Zatem nie masz męża. Gdybyś miała, z miejsca byś mnie o nim poinformowała. - Zadowolony, usiadł na dwuosobowej sofie obitej czerwonym aksamitem.

- Zapraszam.

- Nie, dziękuję. Przyszedłeś w sprawach zawodowych, czy dlatego, że chcesz mnie zaciągnąć do łóżka?

- Jakoś nigdy dotąd nie musiałem żadnej nigdzie zaciągnąć.

To prawda, pomyślała. Wystarczyłby sam uśmiech i lekkie skinienie głową.

- Przyszedłem w sprawie zlecenia, Regan. - Odprężony, skrzyżował nogi w kostkach. - Najpierw interesy...

- W porządku. W takim razie może się napijesz grzanego cydru?

- Z przyjemnością.

Zniknęła na zapleczu. Zostawszy sam, pogrążył się w zadumie. Pociągała go, oj, bardzo pociągała. W eleganckim blezerze i ładnej biżuterii, pachnąca dobrymi perfumami, z lekko ironicznym uśmiechem na twarzy, miała w sobie coś szalenie powabnego. Podobała mu się jej szczerłość i naturalność. Ale czy powinien się angażować? Chyba miał zbyt wiele spraw na głowie.

Kiedy jednak wyłoniła się na tych swoich zgrabnych długich nogach, odgarniając z twarzy lśniące włosy, zmienił decyzję. Zbyt wiele spraw? Bez przesady. Jedna więcej, jedna mniej.

- Dzięki. - Przyjął kubek z parującym płynem.

- Zamierzałem wynająć specjalistyczną firmę z Waszyngtonu lub Baltimore, a wcześniej samemu pobuszować po sklepach.

- Zdobędę ci dokładnie to samo, co firma z Waszyngtonu lub Baltimore, i na pewno za niższą cenę.

- W porządku. Prawdę mówiąc, podoba mi się pomysł, że jesteś na miejscu. - Pociągnął łyk cydru.

- Co wiesz o domu Barlowów?

- Że się rozpada. Wymaga kapitalnego remontu. To skandal, że w tej sprawie nikt nic nie zrobił. Zazwyczaj władze stanowe dbają o miejsca i budynki mające wartość historyczną. A tu nikt palcem nie kiwnął. Gdybym była bogata, sama bym kupiła ten dom.

- To pomożesz mi go odrestaurować. Na szczęście mury są solidne, w przeciwnym razie chałupa faktycznie by się rozpadła. Co nie znaczy, że nie trzeba włożyć w nią sporo pracy. - Wyobraźnia podsuwała mu różne obrazy. - Wyrównać podłogi, wycyklinować je, uszczelnić. Zedrzeć stary, popękany tynk, dać nowy, zburzyć parę ścian, wymienić okna. No i dach. Przecieka. Makabra. - Na moment zamilkł, po czym wzruszył ramionami. - Ale to wszystko jest proste, wymaga tylko czasu i pieniędzy. Ważniejsze będą meble, klimat, całe wyposażenie. Chciałbym, żeby dom wyglądał jak w tysiąc osiemset

sześćdziesiątym drugim roku, kiedy mieszkali w nim Barlowowie i z okna salonu obserwowali toczącą się w dole bitwę.

- Myślisz, że obserwowali? - spytała z uśmiechem Regan. - A nie zabarykadowali się w piwnicy?

- Diabli wiedzą. Ale wyobrażam sobie, że tacy bogaci, uprzywilejowani ludzie patrzyli na walkę jak na przedstawienie teatralne. Może złościli się, gdy od kanonady pękała szyba w oknie albo kiedy krzyki rannych i umierających budziły niemowlę, które rodzice z trudem ukołysali do snu.

- Boże, ale z ciebie cynik. Bogaci też mają serce, też byliby przerażeni, gdyby w ich ogrodzie umierali ranni żołnierze.

- Aż tak blisko bitwa się nie toczyła - stwierdził z uśmiechem Rafe. - Ale czujesz, o co mi chodzi? Chcę, żeby meble, dekoracje, tapety na ścianach, dywany, cały wystrój domu pasował do epoki. - Miał ochotę zapalić, ale powściągnął impuls. - To co? Interesuje cię urządzenie od początku do końca domu, w którym straszy?

- Bardzo. - Przyjrzała mu się znad krawędzi kubka. - Zresztą nie wierzę w duchy.

- Założę się, że zanim skończysz robotę, to uwierzysz. Kiedyś w dzieciństwie ja i moi bracia spędziliśmy tam całą noc.

- I co? Słyszeliście skrzypienie, brzęczenie łańcuchów?

- Nie - odparł z poważną miną. - Oczywiście nie licząc tych, które porozwieszał Jared, żeby napędzić nam stracha. Tam dzieją się inne rzeczy. Na przykład jest takie miejsce na schodach, gdzie człowieka przenika potworny chłód. Przy kominku w salonie, nawet

gdy się nie pali, wyraźnie czuć dym. A idąc holem, ma się wrażenie, że ktoś cię śledzi. Aha, jeszcze jedno. Kiedy panuje cisza, słysząc przytłumiony szcęk szabli.

Regan wzdrygnęła się.

- Jeśli próbujesz mnie zniechęcić, to ci się nie uda - rzekła.

- Nie próbuję. Chciałbym, żebyś rzuciła okiem na dom, obejrzała pokoje. Łatwiej ci będzie zaplanować, co i jak. Może jutro po południu, około drugiej? Pasuje ci?

- Tak. Wezmę miarkę i dokonam pomiarów.

- Świetnie. - Odstawił kubek i wstał. - Przyjemnie się z tobą prowadzi interesy.

Wyciągnęła na pożegnanie rękę.

- Miło, że wróciłeś, Rafe.

- Jesteś pierwszą osobą, która to powiedziała.

- Uśmiechając się ironicznie, podniósł do ust jej dłoń. -No ale inni znają mnie jak zły szeląg. Zatem do jutra.

Aha... - Przystanął w drodze do drzwi. - Nie zapomnij zdjąć smoka z wystawy. Kupuję go.

Opuściwszy miasteczko, zatrzymał samochód na poboczu drogi. Nie zwracając uwagi na ziąb, przez chwilę wpatrywał się w samotny dom na wzgórzu.

Pośluczone szyby w oknach i zapadnięta podłoga na ganku? Kto by się tym przejmował? W zalegającej wokół ciszy prószył śnieg. Duchy? Rafe westchnął. No cóż, trzeba nauczyć się z nimi żyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zdaniem Regan, największa frajda z bycia właścicielką sklepu polegała na tym, że po pierwsze, kupując i sprzedając towary, mogła kierować się własnym gustem, po drugie, mogła otwierać i zamykać, kiedy jej pasowało, a po trzecie, miała wpływ na wszystko, włącznie z atmosferą, jaka panowała w sklepie.

Pracowała sama. Nie tolerowała gnuśności i bumelanctwa. Jako szefowa była wymagająca, często niecierpliwa; żądała od siebie bezwzględnej dyspozycyjności i ciężkiej pracy. Harowała bez wytchnienia i nigdy nie narzekała.

Spełniło się jej marzenie: zawsze chciała pracować i mieszkać na prowincji, z dala od zgiełku dużego miasta i życia w nieustającym stresie.

Już w trakcie studiów na uniwersytecie w Waszyngtonie postanowiła, że po dyplomie postara się przenieść do Antietam i otworzyć własny biznes. Studiowała historię Stanów Zjednoczonych oraz marketing i zarządzanie. W tym samym czasie zdobywała doświadczenie: przez pięć lat pracowała w sklepie z antykami.

Ale pracowała dla kogoś.

Teraz sama była swoim szefem. Każdy metr kwadratowy sklepu i mieszczącego się nad nim przytulnego mieszkania należał do niej... i do banku. Dzięki zleceniu od MacKade'a część należąca do banku zmniejszy się, a część należąca do niej wydatnie się powiększy.

Kiedy wczoraj MacKade pożegnał się i wyszedł, Regan natychmiast zamknęła sklep i pognęła do biblioteki, skąd wróciła z naręczem książek dotyczących wojny secesyjnej. Chciała być dobrze przygotowana.

Już wcześniej wiedziała wszystko na temat bitwy pod Antietam, znała szczegóły walki, liczbę rannych i zabitych po obu stronach. Tym razem szukała czegoś innego.

Przeglądała książki do północy, oczy łzawiły jej z przemęczenia, ale znalazła to, o co jej chodziło: mnóstwo informacji, na które składały się zarówno fakty, jak i domysły na temat Barlowów. Dowiedziała się, że zanim nastął pamiętny wrześniowy dzień tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku, Barlowowie, bogaci właściciele ziemscy i przedsiębiorcy, mieszkali w domu na wzgórzu prawie od stu lat. Na wydawane przez nich bale zjeżdżali się goście z Waszyngtonu i Wirginii.

Sprawdziła, jak wyglądały ówczesne stroje: surduty, koronkowe szale, krynoliny, kapelusze z jedwabiu, aksamitne pantofle. Dowiedziała się również, jak żyli potomkowie pierwszych Barlowów w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, jak liczną zatrudniali służbę, w jakich kieliszkach pili wino, jakie kwiaty szklarniowe zdobiły dom, a także jakie mieli stoły, łóżka, szafy, komody.

Nazajutrz krętą, przysypaną śniegiem drogą ruszyła na umówione spotkanie. Mrużąc oczy przed rażącym blaskiem słońca, próbowała wyobrazić sobie dom w okresie jego świetności.

Brokatowe tkaniny, palisandrowe szyfoniery, porcelana firmy Wedgwood, stylowe sofy, komoda w stylu chippendale, elegancki sekretarzyk z wiśni, mięsiste portierey, błękitne ściany w salonie...

Spełni marzenia Rafe'a MacKade'a. Urządzi mu dom zgodnie z jego życzeniem. Wszystko będzie utrzymane w klimacie lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Oby tylko Rafe'owi starczyło pieniędzy.

Wąska droga prowadząca do domu zasypana była śniegiem. Gładka powierzchnia lśniła. Do diabła, Rafe mógł się trochę postarać i ją odśnieżyć. Poirytowana, Regan zatrzymała samochód na białym poboczu i wysiadła. Z torbą w ręku rozpoczęła marsz pod górę.

Dzięki Bogu, że włożyłam skórzane kozaki na płaskiej podszwie, pomyślała, zapadając się po kostki w śniegu. Sięgała po elegancki kostium oraz pantofle na obcasie, kiedy uświadomiła sobie, że idzie do pracy, a nie na randkę. Odwiesiła więc spódnicę i założyła szare spodnie, czarny golf i żakiet, na to czerwony wełniany płaszcz. Idealny strój na spotkanie biznesowe.

Dom wyglądał intrygująco. Owszem, znajdował się w dość opłakanym stanie, ganek się zapadał, wiele okien było zabitych deskami, ale to wszystko można było naprawić. Natomiast sam budynek sprawiał solidne wrażenie.

Podobały się jej drobinki miki w kamiennych ścianach, wesoło połyskujące w promieniach słońca. Podobało się wschodnie skrzydło, jakby doklejone do głównego budynku pod przedziwnym ostrym kątem. Podobały się trzy kominy na tle błękitnego nieba; oczami

wyobraźni ujrzała unoszący się z nich dym. Właściwie wszystko się jej podobało, nawet uszkodzone, zwisające krzywo okiennice.

Tak, ten dom potrzebuje czulej troski i opieki. Kogoś, kto go pokocha i zaakceptuje. Kto doceni jego charakter i przytknie oko na jego niedoskonałości.

Potrząsnąwszy głową, roześmiała się w głos. Naprawdę ponosi ją fantazja!

Brnęła przez zaspę sypkiego śniegu, potykając się o ukryte pod białym puchem kamienie i przysypane gałęzie. Czasem, znienacka, kolce chwytały ją za nogawki spodni. Ogromny trawnik przed domem kiedyś był pięknie utrzymany, porośnięty soczystą zieloną trawą i barwnymi kwiatami. Jeśli spełni się marzenie Rafe'a, znów tak tu będzie. Ale projektowanie ogrodu to już nie jej sprawa.

Zdyszana dotarła do zniszczonego ganku. Do niej należy urządzenie wnętrza.

Zmarszczyła czoło. Rafe powinien tu już być. Tupiąc dla rozgrzewki, rozglądała się wokoło. Spóźnia się. Zerknęła na zegarek. Chyba nie sądzi, że będzie na niego czekać na wietrze i mrozie? No dobra, dziesięć minut, tyle mu daje. Jeśli do tego czasu Rafe się nie pojawi, zostawi mu w drzwiach kartkę, że bardzo przeprasza, ale ceni sobie punktualność. I wróci do siebie.

Zamiast tkwić bezczynnie, postanowiła zajrzeć do środka przez okno. Co jej szkodzi? Ostrożnie, trzymając się poręczy, skierowała się po schodach na ganek. Kiedyś na pewno był porośnięty bluszczem

albo wilcem o pięknych lejkowatych kwiatach. Przymknęła na moment oczy; niemal czuła słodki, wonny zapach.

Zbliżywszy się do drzwi, instynktownie położyła rękę na gałce. Nie spodziewała się, że będą otwarte. Wprost przeciwnie; nawet na prowincji zdarzały się włamania i akty wandalizmu. Ale, o dziwo, gałka obróciła się.

Nie było sensu stać na zewnątrz i marznąć, skoro mogła wejść do środka i zacząć robić pomiary. A jednak gwałtownie cofnęła dłoń, jakby ją coś użądliło. Oddychała ciężko, łapczywie wciągając w płuca powietrze. Mimo skórzanych rękawiczek ręce miała lodowate. Dygotała na całym ciele.

Zmęczyłam się wspinaczką, pomyślała. A dygoczę, bo wieje zimny wiatr. Ale to nie była prawda. Dygotała ze strachu, choć właściwie nie wiedziała, czego się boi.

Zawstydzona, obejrzała się przez ramię. Była sama. Na szczęście nikt nie widział jej dziwnego zachowania.

Wzięła głęboki oddech i roześmiewszy się cicho, pchnęła drzwi.

Oczywiście zaskrzypiały. To było do przewidzenia. Ale ogromny hol tak ją zachwyił, że natychmiast zapomniała o całym świecie. Zamknęła drzwi i oparłszy się o nie, westchnęła błogo.

Czuć było stęchlizną. Wszystko pokrywała warstwa kurzu. Na ścianach widniały mokre plamy, listwy przypodłogowe były pogryzione przez myszy, wszędzie wisały olbrzymie pajęczyny. Ale Regan tego nie widziała. Widziała ściany pomalowane na intensywnie

zielony kolor, beżowy sufit, sosnowe podłogi, lśniące i wypastowane, dywan w maleńkie różyczki.

Hm, tu mógłby stać półokrągły stół na czterech pięknie profilowanych nogach, na nim wazon z bukietem róż, obok dwa srebrne świeczniki. Na prawo od stołu wysokie krzesło z orzecha włoskiego, metalowy pojemnik na parasole, a wyżej lustro w pozłacanej ramie.

Tak przed wieloma laty mógł wyglądać hol, tak może wyglądać i dziś. Regan puściła wodze fantazji.

W salonie oczarował ją duży marmurowy kominek. Marmur był czarny od brudu, ale nigdzie nie był uszkodzony. Miała w sklepie dwa wiekowe wazony, które idealnie by tu pasowały. Przed żeliwną maskownicą mógłby stać stylowy haftowany podnózek; po dniu ciężkiej pracy można by było usiąść w fotelu, wyciągnąć nogi i grzać je w ciepłe buchających płomieni.

Podeksytowana, wyjęła z torby notes i zaczęła zapisywać uwagi.

Nitki pajęczyny zwisały jej z włosów, policzki miała usmolone, buty pokryte kurzem. Nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Mierzyła, wybierała w myślach meble; była w swoim żywiole. Kiedy więc usłyszała za sobą kroki, odwróciła się z uśmiechem; nie zamierzała wytykać Rafe'owi spóźnienia.

- Dom jest fantastyczny. Nie mogę się doczekać... - urwała, bo zreflektowała się, że mówi w pustą przestrzeń.

Marszcząc czoło, wyszła z salonu do holu. Otworzyła usta, żeby zawołać Rafe'a, kiedy nagle zobaczyła, że na zakurzonej podłodze widnieją tylko jedne ślady butów: jej własnych.

Zbyt bujna wyobraźnia, pomyślała. Mimo to przeszył ją dreszcz. W dużych pustych domach często słyhać dziwne odgłosy. A to drewno się zsycha, a to wiatr uderza w okna, a to myszy harczą. Skrzywiła się. Nie przepadała za myszami, ale się ich nie bała. Ani pajaków i skrzypiących podłóg.

Kiedy jednak usłyszała jakiś chrobot nad głową, krzyknęła przerażona. Serce skoczyło jej do gardła. Trzepotało niczym uwięziony w klatce ptak, który chce się wydostać na zewnątrz. Zanim zdołała się uspokoić, rozległ się dźwięk zatrząskiwanych drzwi.

Rzuciła się pędem ku wyjściu; już stała z ręką na klamce, gdy nagle doznała olśnienia.

Rafe MacKade! Ogarnęła ją wściekłość. Co za podły drań! Albo przyjechał wcześniej, albo zakradł się do domu tylnymi drzwiami. I czekał na górze, żeby ją wystraszyć. Pewnie miał nadzieję, że ona, niczym bohaterka średniowiecznych romansów, błada ze strachu wybiegnie z krzykiem na zewnątrz.

Nic z tego, MacKade! Wyprostowała plecy, uniosła dumnie głowę i zdecydowanym krokiem skierowała się ku kręconym schodom.

- To nie jest śmieszne, Rafe! - zawołała. - Skończ te głupie żarty i bierzmy się do pracy.

Mniej więcej w połowie schodów poczuła przeraźliwy ziąb. Z wrażenia znieruchomiała; twarz jej zastygła, podobnie jak ręka na poręczy. Tkwiała bez ruchu, a świat wirował jej przed oczami. Dopiero cichy jęk - nie była nawet świadoma, że go wydała - sprawił, że się ocknęła. Czterema susami pokonała resztę schodów.

To przeciąg, zwykły przeciąg, pocieszała się, zirytowana własnym tchórzostwem.

- Rafe! - Przygryzła wargę. Psiakość, dlaczego mówi takim słabym, piskliwym głosem? Popatrzyła na długi korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się zamknięte drzwi. - Rafe! - powtórzyła, starając się ukryć strach, a jednocześnie nadać głosowi gniewne brzmienie. - Mam mnóstwo pracy. Naprawdę szkoda mi czasu na takie wygłupy, więc z łaski swojej...

Urwała. Doleciał ją chrobot drewna o drewno, głośnie trzaśnięcie, a po chwili rozdzierający szloch. Zapominając o dumie, ile sił w nogach zawróciła do schodów. Była prawie na samym dole, kiedy usłyszała strzał.

Raptem drzwi, do których biegła, zaczęły się otwierać. Towarzyszyło temu okropne skrzypienie.

Świat ponownie zawirował jej przed oczami, a potem znikł. Nastąpiła ciemność.

- No, skarbie, obudź się.

Przekreśliła głowę i jęcząc cicho, zadrżała.

- No, proszę, pokaż mi te swoje wielkie niebieskie oczęta.

Głos był tak ciepły, tak nęcący, że posłuchała. I na wprost siebie ujrzała twarz Rafe'a.

- To wcale nie było śmieszne. Odetchnąwszy z ulgą, mężczyzna uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

- Co? - spytał.

- Ukrywanie się na górze po to, żeby mnie wystraszyć. -

Zamrugła kilka razy, by usunąć mgłę sprzed oczu. Kiedy odzyskała ostrość widzenia, zorientowała się, że leży na ławie pod oknem w salonie, z głową wspartą na kolanach Rafe'a. - Chcę wstać.

- To zły pomysł. Odpocznij chwilę. - Zręcznym ruchem podciągnął ją tak, by jej głowa spoczęła w zgięciu jego łokcia. - Jeszcze nie całkiem doszłaś do siebie.

- Nic mi nie jest.

- Jesteś blada jak trup. Dobrze by ci zrobił kieliszek koniaku, ale niestety niczego takiego tu nie ma. Swoją drogą, nigdy nie widziałem, żeby kobieta mdlała z takim wdziękiem. Zachwiałaś się, a potem zaczęłaś osuwać, powolutku, abym zdążył się złapać, zanim nabijesz sobie guza na czole.

- Jeśli myślisz, że ci podziękuję, to się grubo mylisz. - Usiłowała go odepchnąć; nie drgnął nawet o milimetr. - To wszystko twoja wina.

- Dziękuję. Nie wiedziałem, że tak działam na płec piękną. Że kobiety mdleją na mój widok. - Pogładził ją ponownie po twarzy. - No, przynajmniej odzyskałaś rumieńce.

- Jeśli w ten sposób prowadzisz interesy, to wybaczone, ale... - Zacisnęła zęby. - Psiakość, możesz mi pomóc usiąść?

- Oczywiście. Proszę bardzo. - Posadził ją na ławie obok siebie. -
A teraz wyjaśnij mi proszę, dlaczego jesteś na mnie taka zła.

Z nadąsaną miną strzepnęła kurz ze swoich spodni.

- Dobrze wiesz.

- Wiem tylko, że wszedłem i złapałem cię w ramiona, zanim wyrznęłaś o ziemię.

- Nigdy nie zdarzyło mi się zemdleć - szepnęła. Była zła, że po raz pierwszy w życiu straciła przytomność akurat dziś w obecności Rafe'a. - W każdym razie jeśli chcesz, żebym zajęła się twoim domem, to nie życzę sobie być straszona!

Przyglądając się jej uważnie, sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Nie znalazł jej; palenie rzucił osiem dni temu.

- W jaki sposób cię przestraszyłem?

- Kręciłeś się po pokojach na górze, otwierałeś i zamykałeś drzwi, wydawałeś jakieś kretyńskie odgłosy.

- Posłuchaj. Coś ważnego zatrzymało mnie na farmie. Ruszyłem w drogę zaledwie kwadrans temu.

- Nie wierzę.

- Wcale ci się nie dziwię. - Skoro nie mógł zapalić, musiał się czymś zająć. Podszedł do kominka. Nagle poczuł zapach dymu, jakby ogień dopiero niedawno wygasł. - Shane może poświadczyć. I Cy Martin, nasz burmistrz.

- Wiem, kim jest Cy - warknęła.

- Szkoda, że go nie znałaś, kiedy chodził do szkoły średniej! To był dupek pierwszej klasy. - Rafe pokręcił ze śmiechem głową. - No

więc Cy wpadł na farmę spytać Shane'a, czy nie odśnieżyłby mu drogi. Kwadrans temu, kiedy wychodziłem, wciąż tam był. - Na moment zamilkł. - Pożyczyłem od brata terenówkę z napędem na cztery koła, żeby wjechać pod górkę. Zaparkowałem pod domem, otworzyłem drzwi i ujrzałem, jak wznosząc oczy do nieba, powoli osuwasz się na podłogę.

Podszedł do Regan, zdjął kurtkę i owinął nią nogi dziewczyny.

- Jak się dostałaś do środka?

- Ja... - Przełknęła ślinę. - Po prostu przekreśliłam gałkę.

- Drzwi były zamknięte na klucz.

- Nie, były otwarte.

Potrząsnął kluczami, które miał w kieszeni.

- Ciekawe...

- Nie kłamiesz?

- Nie. Opowiedz mi, co dokładnie słyszałaś.

- Kroki. Ale nikogo poza mną tu nie było. - Schowała ręce pod kurtkę, żeby je ogrzać. - Skrzypienie. Ruszyłam na górę. W pewnym momencie natrafiłam na... jakby na mroźną otchłań. Złękłam się, więc pobiegłam wyżej.

- Złękłaś się, więc pobiegłaś wyżej, zamiast wybiec na zewnątrz?

- Myślałam, że jesteś na piętrze. Zamierzałam urządzać ci karczemną awanturę. - Na jej ustach pojawił się nieporadny uśmiech. - Byłam wściekła, że mnie nastraszyłeś. Stałam na końcu korytarza i... chyba się domyśliłam, że ciebie tam nie ma. Usłyszałam jakiś

chrobot, potem trzaśnięcie drzwiami i szloch. Wtedy rzuciłam się do ucieczki.

Usiadł koło niej i przyjacielskim gestem otoczył ją ramieniem.

- Nic dziwnego.

- Jeszcze strzał - przypomniała sobie. - Byłam prawie na samym dole, kiedy rozległ się strzał. A potem drzwi frontowe się otworzyły i straciłam przytomność.

- Nie powinienem był się spóźnić. - Całkiem nieoczekiwanie pochylił się i cmoknął Regan w policzek. - Przepraszam.

- Wybaczam.

- Wiesz, jedni ludzie czują w tym domu... czyjaś obecność, inni nie. A ty... sprawiasz wrażenie osoby rozsądnej, trzeźwo myślącej.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Ach tak?

- Twardo dążącej do celu - dodał z uśmiechem. - Najwyraźniej się pomyliłem. Masz całkiem bujną wyobraźnię. To co, lepiej się czujesz?

- Świetnie.

- Na pewno nie chcesz znów posiedzieć na moich kolanach?

- Na pewno. Dziękuję.

Nie spuszczając z Regan oczu, usunął jej z włosów pajęczą nić.

- Chcesz stąd wyjść?

- Bardzo. Włożył kurtkę.

- Chętnie bym cię gdzieś zaprosił.

- To nie jest konieczne. - Wstała, a ponieważ Rafe się nie cofnął, zderzyła się z nim. - Jak powiedziałam, czuję się dobrze.

- Mamy, skarbie, interesy do omówienia. - Odgarnął jej za ucho niesforny kosmyk. - Przypuszczam, że bez trudu znajdziemy jakiś ciepły, przytulny kąt, w którym dogadamy szczegóły.

Brzmiało to rozsądnie.

- W porządku - zgodziła się. Wzięła teczkę i ruszyła przodem do drzwi.

- Regan?

- Tak?

- Masz brudną twarz. - Rozbawiony wściekłym spojrzeniem, jakie mu posłała, wziął ją w ramiona i nie zważając na jej protesty, zniósł po chybliwych schodach prowadzących z ganku na podjazd. - Nie chcę, żebyś się przewróciła.

Postawił ją przy swoim, a raczej Shane'a dziapie, obszedł maskę i usiadł za kierownicą. Zjechał ze wzgórza; nawet nie zwolnił przy stojącym na poboczu samochodzie Regan.

- Myślałam, że pojedę za tobą...

- Na koniec świata? - Zerknął na nią. - No właśnie. Skoro nie, to starczy nam jeden samochód. Podrzucę cię tu potem.

- A dokąd jedziemy?

- Do domu, skarbie. Do domu.

Farma MacKade'ów, przysypana białym, iskrzącym się w słońcu śniegiem, wyglądała niezwykle malowniczo, jak obrazek na kartce bożonarodzeniowej. Regan uśmiechnęła się. Podobał się jej ten duży

kamienny dom z zadaszonym gankiem, pomalowaną na czerwono stodołą, budynkami gospodarczymi i ganiającymi po śniegu dwoma psami o jasnej sierści.

Wielokrotnie przejeżdżała obok farmy MacKade'ów, ale wtedy pola były świeżo zaorane, stały na nich snopy siana lub rosły rzędy kukurydzy. Parę razy, widząc Shane'a na traktorze, przystanąła na poboczu, żeby zamienić z nim słowo. Pasował do tego sielskiego obrazu.

Ale nigdy nie widziała farmy zimą. I nie wyobrażała sobie Rafe'a na traktorze.

- Chyba nie wróciłeś, żeby zająć się pracą na roli?
- Nie żartuj. Shane świetnie sobie radzi bez niczyjej pomocy; kocha życie na farmie. Devin ma do tego obojętny stosunek, podobnie jak Jared.

Zaparkował dzipa obok swojego samochodu.

- A ty? - spytała Regan.
- Nienawidzę roboty na farmie.
- Nie czujesz więzi z ziemią?
- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że nie cierpię gospodarowania na farmie. - Wyskoczył z dzipa, pogłaskał witające go przyjaźnie retrievery, obszedł samochód i zanim Regan zdążyła zapaść się po łydki w białym puchu, wziął ją na rękę.

- Mógłbyś przestać mnie nosić? Naprawdę nic mi się nie stanie, jak zamoczę buty.

- Są odpowiednie na spacer po mieście, a nie po śnieżnych zaspach - powiedział, kierując się na ganek.

- Wiesz, masz bardzo małe stópki. Nie wolno! Siad! - rozkazał psom, otwierając łokciem drzwi.

- Hej, Rafe, co niesiesz? Rafe mrugnął do brata.

- Jak to co? Kobitę.

- W dodatku atrakcyjną. - Shane wrzucił polano do kominka, wyprostował się. Jego oczy w kolorze morskiej toni błyszczały figlarnie. - Cześć, Regan.

- Cześć, Shane.

- Shane, masz zaparzoną kawę?

- Cały dzbanek. W tym lokalu kuchnia pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Świetnie. To spadaj. - Z Regan w ramionach Rafe skręcił do kuchni.

- Nie byłeś dla niego zbyt miły - powiedziała, odgarniając włosy z twarzy.

- Jesteś jedynaczką?

- Tak, ale...

- Nietrudno się domyślić. - Posadził Regan przy kuchennym stole. - Jaką pijasz kawę?

- Gorzką. Czarną.

- Proszę, proszę - mruknął z uznaniem. Zdjąwszy kurtkę, powiesił ją na wieszaku obok grubej, roboczej kurtki Shane'a i sięgnął do szafki po dwa białe kubki. - Może masz ochotę na ciasteczko?

Shane ciągle dostaje w prezencie wypieki. Najwyraźniej kobietom podoba się jego ładna, niewinna buźka.

- Wszyscy macie ładne, niewinne buźki. Choć podejrzewam, że ta niewinność to tylko pozory. - Biorąc przykład z Rafe'a, również zdjęła wierzchnie okrycie. - A ciasteczka mnie nie kuszą. Dziękuję.

Postawił przed nią kubek gorącej kawy, obrócił krzesło i swoim zwyczajem usiadł na nim okrakiem.

- Ciasteczka nie, a urządzenie mi domu?

Chcąc zyskać na czasie, podniosła do ust kubek i pociągnęła łyk aromatycznego napoju. Był znakomity.

- Mam w sklepie kilka rzeczy, które idealnie się nadają. Przejrzałam też materiały źródłowe, żeby zorientować się, jakie tkaniny i kolory obowiązywały w okresie wojny secesyjnej.

- To znaczy, że zgadzasz się? Że przyjmiesz zlecenie?

- Owszem, przyjmę. Ale to cię będzie trochę kosztowało.

- Więc nie boisz się duchów?

- Tego nie powiedziałam. Ale teraz, kiedy już wiem, czego się spodziewać, zapewniam cię, że nie będziesz musiał mnie więcej cucić.

- To dobrze. Potwornie się wystraszyłem. - Wyciągnąwszy rękę, pogładził Regan po dłoni. - Czy w trakcie swojej kwerendy trafiłaś na informację o dwóch kapralach?

- Nie.

- Szkoda, że pani Metz ci o nich nie opowiedziała... Co to za zegarek? - Zaintrygowany wsunął palce pod czarny pasek.

- Stary. Z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Co z tymi kapralami?

- Podczas bitwy zostali oddzieleni od swoich oddziałów. Ciągające się za domem pole kukurydzy było czarne od dymu. Niektórzy żołnierze ukryli się w lesie, inni błakali się, jeszcze inni leżeli martwi.

- Mówisz serio? Część walk odbywała się tu, niemal za domem?

- Tak, na skraju pola. Nawet postawiono tablice z informacją. W każdym razie dwóch żołnierzy, Jankes z Północy i Jaś Rebeliant z Południa, jakoś oddzieliło się od swoich armii. Byli młodzi, przerażeni. Pech chciał, że natknęli się na siebie w lesie między ziemią MacKade'ów a Barlowów.

- Hm. - Zamyślona, odgarnęła włosy za ucho. - Rzeczywiście, wasze posiadłości sąsiadują.

- Niecały kilometr dzieli farmę od domu na wzgórzu. To znaczy, jak się idzie lasem. I właśnie w lesie spotkali się dwaj młodzieńcy z wrogich armii. Gdyby mieli odrobinę oleju w głowie, rzuciliby się do ucieczki. Ale nie mieli. - Rafe podniósł kubek do ust.

- Zaczęli strzelać. Obaj padli ranni. Nie wiadomo, który pierwszy wydostał się z lasu. Jaś Rebeliant doszedł półżywy do domu Barlowów. Zdołał wczołgać się na ganek. Jedna ze służących zobaczyła go i wciągnęła do środka. Albo po cichu popierała konfederatów, albo zrobiło jej się żal chłopaka, który wykrwawiał się na śmierć.

- I biedak zmarł... - szepnęła Regan, oczami wyobraźni widząc scenę śmierci.

- Tak. Służąca pobiegła po swoją panią, Abigail O'Brian Barlow z tych O'Brianów w Karolinie. Abigail kazała zanieść żołnierza na górę. Chciała opatrzyć jego rany. Kiedy go niesiono, pojawił się jej mąż. Zastrzelił go na schodach.

- Boże! - zawołała z przerażeniem Regan. - Dlaczego?

- Nie życzył sobie, aby jego żona dotykała żołnierza wrogiej armii. Abigail zmarła dwa lata później. Podobno od czasu incydentu na schodach nie zamieniła z mężem słowa. Nie żeby wcześniej dużo z sobą rozmawiali. Przypuszczalnie było to małżeństwo z rozsądku, zaplanowane przez rodziców. Zdaje się, że Barlow lubił żonie przyłożyć.

- Aha. Pan i władca.

- Który znęca się nad kruchą, drobną i bardzo nieszczęśliwą kobietą.

- A ona cierpi w milczeniu, bo nie ma dokąd uciec - powiedziała Regan, myśląc o swojej przyjaciółce Cassie.

- W owych czasach obce było pojęcie znęcania się, a przynajmniej się o tym nie mówiło. W wypadku Abigail rozwód pewnie też nie wchodził w grę. Tak czy inaczej zabicie chłopaka na jej oczach przesądziło sprawę. Abigail nie chciała dłużej żyć. - Na moment Rafe zamilkł. - Ale to zaledwie połowa opowieści. Ta, którą znają ludzie w miasteczku.

Wzdychając ciężko, Regan wstała od stołu.

- Skoro jest dalszy ciąg, to potrzebuję więcej kawy. Rafe skinął głową, kiedy wzrokiem spytała, czy jemu też dolać, po czym kontynuował:

- Jankes pokuśtykał w przeciwnym kierunku. Mój pradziadek znalazł go nieprzytomnego nieopodal wędzarni. W bitwie nad Buli Run pradziadek stracił najstarszego syna, który walczył po stronie konfederatów.

Regan zacisnęła powieki.

- I pradziadek zabił Jankesa.

- Nie. Może miał ochotę go zabić. Albo zostawić na ziemi, żeby wykrwawił się na śmieć. Ale tego nie zrobił. Wziął go na ręce, przyniósł do kuchni, położył na stole. Razem z żoną i córkami opatrzyli biedaka. Żołnierz kilka razy odzyskiwał przytomność, próbował im coś powiedzieć, ale był zbyt słaby. Żył jeszcze kilka godzin. Zmarł w nocy.

- Starali się go uratować.

- Owszem, starali się, lecz im nie wyszło. Zostali z martwym Jankesem w kuchni. Wszyscy wiedzieli, że MacKade'owie to zwolennicy Południa, że ich najstarszy syn zginął na wojnie, a dwaj młodszy nadal walczą w armii konfederackiej. Pradziadków ogarnął strach; zastanawiali się, co zrobić, i w końcu zdecydowali, że trzeba ukryć ciało. Poczekali, aż się ściemni; wieczorem zakopali trupa wraz z mundurem, bronią i listem od matki schowanym w kieszeni. - Przez chwilę Rafe milczał, po czym popatrzył Regan prosto w oczy. -

Dlatego w tym domu też straszy. Pomyślałem sobie, że to cię zainteresuje.

- W twoim domu straszy?

- W domu, w lesie, na podwórzu. Człowiek się przyzwyczaja. Czasem słyhać jakiś szmer, czasem nocą w lesie albo o świcie na polu, kiedy jeszcze rosa nie wyschła, coś tajemniczego i nieuchwytnego krąży w powietrzu. - Uśmiechnął się, widząc jej zaciekawione spojrzenie. - Nawet największy cynik czuje wewnętrzny niepokój, kiedy stoi w miejscu, gdzie toczyła się bitwa. Gdzie umierali ludzie. Ja tak się czułem po śmierci mojej mamy; nie potrafiłem się odnaleźć.

- Dlatego wyjechałeś?

- Między innymi. Powodów miałem wiele.

- A powodów, by wrócić?

- Jeden lub dwa. Pierwszą część tej historii opowiedziałem ci, ponieważ będziesz urządzić dawny dom Barlowów. A drugą część... - pochyliwszy się, rozpiął dwa guziki w jej zakiecie - ponieważ przez jakiś czas będę mieszkał na farmie. Sama zdecydujesz, czy wolisz przyjeżdżać tutaj, czy żebym ja wpadał do ciebie.

- Wszystkie eksponaty mam w sklepie, więc...

- Nie mówię o eksponatach.

Ujął ją za brodę i patrząc Regan głęboko w oczy, pocałował ją. Z początku lekko, jakby na próbę. Potem, mruczając z zadowoleniem, całował coraz bardziej namiętnie. Rozchyliła wargi i westchnęła

cicho. Świeży, kwiatowy zapach jej skóry ponętnie kontrastował z żarem pocałunku.

Trzymała ręce na kolanach. Zdumiewało ją, jak bardzo chce wprawić je w ruch: wsunąć dłonie we włosy Rafe'a, poczuć jego ramiona, dotknąć jego mocnego torsu. Na szczęście zdołała się opanować. Na mgnienie, oszołomiona pocałunkiem i dzikim pragnieniem, by trwał jak najdłużej, straciła głowę, ale szybko się pozbierała.

Kiedy Rafe odsunął się, przez kilka sekund nic nie mówiła; usiłowała zebrać myśli.

- Mamy ze sobą współpracować...

- Zgadza się.

- Zachowałbyś się tak, gdybym była mężczyzną? Wytrzeszczył oczy, po czym ryknął niepohamowanym śmiechem.

- Na pewno nie. A ty, jak przypuszczam, nie odwzajemniłabyś pocałunku?

- Wyjaśnijmy sobie coś, dobrze? Znam te wszystkie opowieści o czterech przystojnych braciach, którym żadna kobieta nie potrafi się oprzeć.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to koszmar. Zacisnęła zęby. Nie roześmieję się, powtarzała w duchu; zachowam powagę.

- Rzecz w tym, że nie interesuje mnie przygoda na jedną noc, burzliwy romans ani długi związek. Chyba żadnej opcji nie pominęłam...?

Niesamowite! Taka surowa i niedostępna była jeszcze bardziej pociągająca.

- Hm, postaram się zmienić twoje nastawienie. Proponuję zacząć od dzikiego seksu. Zobaczymy, co dalej z tego wyniknie.

Poderwała się na nogi i chwyciła płaszcz.

- Chciałbyś.

- I to jak! Czy mogę zaprosić cię na kolację?

- Czy możesz mnie odwieźć?

- Oczywiście. - Niezrażony odmową, wstał od stołu i zdjął z wieszaka kurtkę. - O tej porze roku wieczory bywają długie i zimne.

- Kup sobie książkę, to czas zleci ci szybciej - poradziła Regan, kierując się do wyjścia. - A na zimno dobry jest kominek.

- Tak właśnie spędzasz wieczory? Z książką przy kominku? - Potrzęsnał głową. - Trzeba ci jakoś uatrakcyjnić życie.

- Dziękuję, ale nie trzeba. Nie podnoś... - Nie dokończyła; zaklęła cicho pod nosem, kiedy znów wziął ją w ramiona i ruszył do dżipa. - Oj, MacKade, MacKade. Zaczynam wierzyć, że jesteś takim rogatym ladaco, jak wszyscy mówią.

- Możesz być tego pewna.

ROZDZIAŁ TRZECI

Uwielbiał takie hałasy. Stukot młotków, szcęk pił i zgrzyt świdrów. Do tego odbiornik radiowy włączony na stację z country oraz śpiew Wynonny wznoszący się ponad szuranie buciorów i męskie głosy.

Dla Rafe'a te dźwięki były jak muzyka. Jak muzyka, z którą żył od urodzenia. Na farmie brzmiała nieco inaczej; tworzył ją szcęk metalowych wiader, warkot traktora. On jednak wolał muzykę młotów i pił. Pokochał ją, kiedy przed laty opuścił Antietam.

To praca na budowie go uratowała. Kiedy dziesięć lat temu wyjechał z domu na starym harleyu, nie zamierzał pracować; zamierzał korzystać z życia, szaleć, bawić się. Ale człowiek musi jeść, a jedzenia nikt nie dostaje za darmo.

Więc opasał biodra pasem z narzędziami i ruszył na poszukiwanie roboty. Harując w pocie czoła, rozładowywał nagromadzoną wściekłość i frustrację.

Wciąż pamiętał dzień, kiedy cofnął się kilkanaście kroków, by z dystansu popatrzeć na pierwszy dom, który pomógł zbudować. Zrozumiał wtedy, że stworzył coś ważnego, wartościowego. Że jeśli się postara, może dojść w życiu do czegoś.

Zamiast przepijać pieniądze, zaczął oszczędzać. Tyrał od rana do nocy. Zdobywał doświadczenie.

Na Florydzie kupił swój pierwszy dom. Choć dom to za dużo powiedziane; bardziej przypominał budę. Zabrał się ostro do pracy:

walił młotkiem, aż bolały go wszystkie mięśnie, ścierał tynk, nie przejmując się, że pył zatyka mu oczy i gardło. Opłaciło się. Wyremontowaną chałupę sprzedał z zyskiem. Za zarobione pieniądze kupił następny dom. I następny.

W ciągu czterech lat jego maleńka firma zyskała renomę; ludzie wiedzieli, że robota będzie solidnie i terminowo wykonana.

Rafe nie osiadł na laurach. Dalej ciężko pracował. Teraz, stojąc w salonie dawnego domu Barlowów, pojął, że zatoczył koło i wrócił do punktu wyjścia.

Dotychczasowy sukces go nie zadowalał. Chciał zrobić coś dla miasta, w którym się urodził i które przed laty porzucił bez żalu. Jeszcze nie wiedział, czy po skończonej robocie zamieszka w Antietam, czy ruszy dalej w świat. Ale przynajmniej zostawi po sobie coś trwałego.

Pokryty brudem i sadzą - właśnie udroźnił przewód dymowy - przycupnął przed kominkiem i utkwiał wzrok w kamiennym palenisku. Świetnie, pogratulował sobie w duchu; będzie dobrze ciągnęło. Nie mógł się doczekać widoku buzujących płomieni. Obiecał sobie, że rozpalenie ognia to będzie pierwsza rzecz, jaką uczyni.

Teraz należało zdobyć odpowiedni ekran, pogrzebacz, ruszt, kosz na drewno. Ale to zadanie Regan.

Uśmiechając się pod nosem, podniósł kielnię i wymieszał zaprawę murarską. Podejrzewał, że Regan doskonale sobie ze wszystkim poradzi. Zaczął spoinować nierówności w kamieniu.

- Myślałem, że szef siedzi przy biurku i dodaje długie rzędy cyfr.

Rafe obejrzał się przez ramię. Na środku salonu ujrzał Jareda, który w lśniących czarnych butach stał na zachlapanej farbą szmacie. O dziwo, okulary słoneczne, które miał na nosie, nawet pasowały do szarego trzyzęściowego garnituru w prążki.

- Dodawanie cyfr to robota dla prawników i księgowych.

Jared zdjął okulary i wsunął je do kieszeni na piersi.

- Wyobrażasz sobie świat bez prawników? Bez księgowych?

- Tak. Byłby znacznie mniej skomplikowany. - Rafe oparł kielnię o brzeg wiadra i zmierzył brata od stóp do głów. - Wybierasz się na pogrzeb czy co?

- Przyjechałem do miasta w interesach i uznałem, że wpadnę zobaczyć, jak posuwa się remont. - Zerknął w stronę holu, gdzie najpierw rozległ się piekielny łoskot, a zaraz po nim stek przekleństw.

- Ano się posuwa. - Widząc, jak brat wyciąga cygaretkę, Rafe westchnął głośno. - Błagam, dmuchnij mi dymem w twarz. Dziesięć dni temu rzuciłem palenie...

- Co, próbujesz się zreformować? - zażartował Jared, ale posłusznie podszedł bliżej, kucnął obok brata i zapalił cygaretkę. - Nawet jest w całkiem niezłym stanie - rzekł, wskazując na kominek.

- Dziwisz się? Przecież to świetnej jakości marmur. - Rafe czule pogładził kamienną powierzchnię.

Jared pokiwał ze znawstwem głową.

- Swoją drogą, nie potrzebujesz pomocy?

Rafe skierował wzrok na wypastowane czarne buty.

- Chcesz pomagać w tym stroju?

- Nie miałem na myśli dziś. Raczej podczas weekendu.

- To co innego. Jasne, każda para rąk się przyda. - Zadowolony z propozycji brata, Rafe ponownie zabrał się do pracy. - Jak tam twoje mięśnie?

- Na pewno nie są słabsze od twoich.

- Wciąż chodzisz na siłownię? - Rafe zamarkował cios. - Bo ja nadal uważam, że takie sale z przyrządami są dobre, ale dla mięczaków.

Jared wypuścił z ust kłęb dymu. Rafe wciągnął go w nozdrza; lepsze bierne palenie niż nic.

- Zmierzymy się?

- Kiedy indziej, jak nie będziesz taki wyelegantowany... Dzięki, że zająłeś się stroną formalną tego przedsięwzięcia.

- Jeszcze nie wystawiłem ci rachunku. - Szczercząc w uśmiechu zęby, Jared wyprostował się. - Kiedy zadzwoniłeś, żebym przygotował papiery, bo chcesz kupić tę ruinę, pomyślałem sobie: odbiło mu. Potem przyjechałem obejrzeć dom i stwierdziłem, że odbiło ci na sto procent. Wprawdzie cena nie była wygórowana, ale co najmniej dwa razy tyle wydasz na remont.

- Trzy razy. Sam remont nie wystarczy.

- A co jeszcze chcesz?

- Przywrócić dom, z zewnątrz i wewnątrz, do jego pierwotnego stanu.

- Nie będzie to łatwe - mruknął Jared. - Ale widzę, że przynajmniej nie masz problemu z siłą roboczą. Trochę się o to bałem, zważywszy na tutejsze duchy.

- Duchy duchami, a jak się dobrze płaci, to chętnych do pracy nie brakuje. Chociaż dziś opuścił nas pomocnik hydraulika. - W oczach Rafe'a pojawiły się wesołe iskierki. - Sprawdzał rury w ubikacji na piętrze.

I nagle poczuł, jak czyjaś łapa zaciska się na jego ramieniu. Zwiął. Uciekał tak, że aż się za nim kurzyło. Raczej nie wróci.

- Czyli wszystko w porządku? Żadnych problemów?

- Żadnych, do których potrzeba prawnika. Hej, znasz ten kawał o prawniku, który spotyka na drodze grzechotnika?

- Znam. Wszystkie skrętnie zapisuję. Błyskając zębami w uśmiechu, Rafe wytarł ręce o dzinsy.

- Udało ci się, Jared. Skończyłeś studia, prowadzisz kancelarię. Mama byłaby z ciebie dumna. - Na moment zamilkł. - Wiesz, dziwnie się czuję na farmie. Właściwie mieszkamy tam we dwóch, ja i Shane. Devin zwykle sypia na kozetce w swoim gabinecie, ty masz własny dom. Kiedy Shane zrywa się o świcie, żeby wydoić krowy, na zewnątrz jest jeszcze ciemno. A on pogwizduje radośnie, jakby nie było większej przyjemności niż wyjście z domu w trzaskający mróz.

- On kocha farmerstwo. Dzięki niemu ta farma wciąż istnieje.

- Wiem.

Słyszając znajomą nutę przygnębienia w głosie brata, Jared zaprotestował:

- Nie, Rafe. Nie miej żadnych wyrzutów. Cały czas nam pomagałeś. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile dla nas znaczyła ta forsa od ciebie. - Utkwił spojrzenie w brudnej szybie. - Wiesz, chyba sprzedam dom w Hagerstown. - Zerknął na brata, który w milczeniu kładł zaprawę. - Zaraz po rozwodzie nie było sensu się go pozbywać. Barbara nie chciała w nim mieszkać, a na rynku panował zastój...

- Rozwód... to dla ciebie wciąż bolesny temat?

- Nie. Minęły już trzy lata. I, dzięki Bogu, rozstaliśmy się w miarę kulturalnie. Po prostu przestaliśmy się z Barbarą lubić.

- Ja nigdy jej nie lubiłem.

- Wiem. W każdym razie chyba sprzedam dom i dopóki nie znajdę czegoś nowego, zamieszkać z wami na farmie.

- Serio? Shane się ucieszy. Ja też. Stęskniłem się za wami wszystkimi. - Rafe brudną ręką potarł brodę, zostawiając na niej szarą smugę. - Uświadomiłem to sobie dopiero teraz, po powrocie. - Zadowolony z efektów pracy, zeskrobał z kielni resztkę zaprawy. - To co, umawiamy się na sobotę?

- Ty stawiasz piwo.

- Jasne. - Rafe dźwignął się z kolan. - Pokaż swoje delikatne rączki, mieszczechu.

Krótkie siarczyste przekleństwo padło z ust Jareda akurat w chwili, gdy w drzwiach salonu pojawiła się Regan.

- Brawo, panie mecenasie - powiedział Rafe, po czym uśmiechnął się do dziewczyny. - Witaj, skarbie.

- Przeszkadzam?

- Nie. Ten facet, który tak pięknie przeklina, to mój brat, Jared.
 - Wiem. To również mój prawnik. Cześć, Jared.
 - Cześć, Regan. - Najstarszy z MacKade'ów podniósł z podłogi puszkę po wodzie mineralnej i wrzucił do niej niedopałek. - Jak tam biznes?
 - Rozkwita, w znacznej mierze dzięki twojemu młodszemu bratu. Przyniosłam przybliżony kosztorys - zwróciła się do Rafe'a. - Również próbki kolorów i materiałów. Mam też parę pomysłów, które chciałabym z tobą omówić.
 - Nie próżnujesz. - Schyliwszy się, Rafe otworzył pokrywkę przenośnej lodówki. - Napijesz się?
 - Nie, dziękuję.
 - Jared?
 - Poproszę. Na drogę. - Złapał w powietrzu puszkę, następnie wyjął z kieszeni okulary słoneczne. - No dobra, dzieciaki, zostawiam was, a sam jadę na spotkanie z klientem.
 - Nie zapomnij o sobocie! - zawołał za nim Rafe. - O siódmej trzydziści. Rano, nie wieczorem. I weź roboczy strój.
 - Nie chciałam go wyganiać - rzekła Regan.
 - Nie wygoniłaś. Usiądziesz? Rozejrzała się.
 - Gdzie?
- Poklepał stojące do góry nogami wiadro.
- Jesteś bardzo miły, ale zaraz muszę wracać. Wysłałam tylko na krótką przerwę obiadową.
 - Jak się spóźnisz, szefowa nie wywali cię z roboty.

- Wywali, wywali. - Otworzywszy teczkę, wyjęła dwa grube skoroszyty. - Tu masz wszystko. Jak przejrzysz, to daj mi znać. - Przez moment stała niezdecydowana, po czym położyła skoroszyty na kozłach do piłowania drewna. - Szybko ruszyłeś z remontem.

- Kiedy człowiek wie, co chce osiągnąć, nie lubi tracić czasu. Może zjemy razem kolację?

Zmrużyła oczy.

- Kolację?

- Dziś wieczorem. Przy okazji omówimy twoje pomysły. -

Postukał brudnym palcem w skoroszyt.

- Bo ja wiem? - Przeczesła ręką włosy. - No dobrze.

- O siódmej? Pojedziemy do Latarnika.

- Dokąd?

- To taki mały lokal na rogu Main i Church. Zmarszczyła czoło.

- Na rogu Main i Church jest wypożyczalnia wideo.

- Serio? - Wsunął ręce do kieszeni. - Kiedyś była tam restauracja. A tam, gdzie ty urzędujesz, mieścił się kiedyś sklep z narzędziami.

- No cóż, nawet na prowincji zachodzą zmiany.

- Tak, nawet na prowincji. - Nie wiedział dlaczego, ale zmiany go irytowały. - Lubisz włoską kuchnię?

- Bardzo. Ale najbliższa włoska restauracja jest za rzeką, w Wirginii Zachodniej. Może spotkajmy się u Ed?

- Nie. Zjemy coś włoskiego. Wpadnę do ciebie około wpół do siódmej. - Wyciągnął z kieszeni zegarek z dewizką i sprawdził godzinę. - Tak, na wpół do siódmej się wyrobię.

- Ładny. - Przytrzymała rękę Rafe'a. - Autentyczny waltham z połowy dziewiętnastego wieku. - Przekreśliła zegarek kopertą do góry.

- Stan doskonały. Dam ci za niego siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Zapłaciłem dziewięćdziesiąt. Roześmiała się wdzięcznie.

- Więc zrobiłeś dobry interes, bo taki waltham wart jest co najmniej sto pięćdziesiąt. - Popatrzyła mu w oczy. - Nie sprawiasz wrażenia faceta, który nosi zegarek kieszonkowy.

- Gdybym nosił normalny, na rękę, to po jednym dniu pracy byłby do wyrzucenia. - Z trudem się powstrzymywał, by jej nie dotknąć. Wyglądała tak schludnie, że miał ochotę ją trochę potarmosić. - Szkoda, że łapy mam brudne.

Czym prędzej puściła jego rękę i cofnęła się krok.

- Twarz też. Ale i tak jesteś przystojny. - Podciągnawszy wyżej torbę, która zsuwała się jej z ramienia, ruszyła do drzwi. - Zatem do zobaczenia. I nie zapomnij skoroszytów.

Przebrała się raz, drugi i trzeci, zanim w końcu uświadomiła sobie, co robi. Lekko poirytowana, przysiadła na miękkim stołeczku przed toaletką. To kolacja biznesowa. Strój, owszem, jest ważny, ale ważniejsza jest rozmowa.

Przygryzając wargę, zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie włożyć małej czarnej.

Nie, do cholery! Zła na siebie, chwyciła szczotkę do włosów. Prosty, skromny strój pasuje najlepiej. Restauracja w Wirginii Zachodniej jest normalnym lokalem, do którego przychodzą rodziny z dziećmi. Nie wybiera się na randkę, a na kolację służbową. Spodnie, blezer, jedwabna bluzka w kolorze ciemnej zieleni idealnie nadają się na taką okazję. Broszka z kamieniem księżycowym może zostać, ale ozdobne kolczyki... Nie, lepsze będą proste złote kółka.

Do diabła! Odłożyła szczotkę i wciągnęła krótkie zamszowe botki. Nie interesują jej randki, mężczyźni, związki. Teraz, kiedy jej sprawy zawodowe miały szansę się rozwinąć, chciała skupić się na pracy, nie na facetach.

Jeżeli kiedykolwiek dojrzeje do prawdziwego związku, to nie wcześniej niż za trzy lata. Nie popełni tego samego błędu co jej matka, która finansowo i emocjonalnie była zależna od męża. Nie chce na nikogo liczyć. Najpierw rozkręci interes, a o życiu osobistym pomyśli dopiero wtedy, gdy mocno stanie na nogach.

Obiecała sobie, że żaden facet nie będzie jej pouczał, jak ma żyć i czy może pracować. Do żadnego nie będzie się łąsiła i błagała, aby dał jej na nową sukienkę. Taki tradycyjny styl życia odpowiadał jej rodzicom, ale ona zamierzała inaczej pokierować swoim losem.

Szkoda tylko, że Rafe MacKade był tak atrakcyjnym facetem. Nie tylko atrakcyjnym, pomyślała, słysząc pukanie do drzwi; również punktualnym.

Rozmowa, którą przeprowadziła sama z sobą, dodała jej wiary we własne siły. Regan wyszła z sypialni do małego, przytulnego salonu, a stamtąd do holu, i otworzyła drzwi.

Oj, tak, jaka szkoda! - pomyślała, widząc jego szeroki uśmiech i cudowne zielone oczy, którymi zmierzył ją od stóp do głów.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział i zanim się zreflektowała, pocałował ją lekko w usta.

- Wezmę płaszcz i... -urwała, patrząc podejrzliwie na Rafe'a. - Co tam masz?

- O to ci chodzi? - spytał, wskazując wzrokiem na torby. - To nasza kolacja. Którędy do kuchni?

- Ale...

Wszedł, nogą zamykając za sobą drzwi.

- Ale... Myślałam, że wychodzimy.

- Pytałem, czy lubisz włoską kuchnię. Nic nie mówiłem o restauracji. - Rozejrzał się po salonie. Miękkie fotele, lśniące stoliki, bibeloty, cięte kwiaty w wazonach. Bardzo kobieco. Powieszony nad kanapą obraz przedstawiający smutną krowę wprowadzał do wnętrza element humoru. - Ładnie mieszkasz.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz własnoręcznie przyrządzić dla mnie kolację?

- To najprostszy, bezdotykowy sposób zaciągnięcia kobiety do łóżka - odparł. - Gdzie kuchnia? Tam?

Regan ze zdumienia opadła szczęką. Po chwili zamknęła usta i podreptała za swoim gościem na tył domu.

- A chociaż masz jakieś zdolności kulinarne? Uśmiechnął się pod nosem, doceniając jej przytyk, po czym zaczął wyjmować przyniesione produkty.

- Sama je ocenisz. Masz patelnię?

- Owszem, mam patelnię. - Wyjęła z szafki dużą, żeliwną, i przez moment stała zamyślona, uderzając w nią ręką.

- Jeśli chcesz mi przywalić, nie zjesz pysznych rurek z pomidorami i bazylią.

- Pysznych rurek, powiadasz? - Oblizawszy usta, postawiła patelnię na kuchence. - W porządku, wstrzymam się do po kolacji.

Nieproszona, wyciągnęła garnek na makaron i podała Rafe'owi. Napenił go wodą. Kiedy się gotowała, opłukał sałatę.

- Gdzie się nauczyłeś gotować?

- W domu. Wszyscy MacKade'owie gotują. Mama nie uznawała podziału prac na męskie i kobiece. Poproszę duży nóż. Dzięki. - Z taką wprawą zaczął kroić warzywa, że Regan zrobiła wielkie oczy. - Praca to praca.

- Kuchnia włoska nie kojarzy się z czymś, co się jada na farmie.

- Mamy babcia pochodziła z Włoch... Możesz przysunąć się odrobinę bliżej?

- Dlaczego?

- Chcę czuć twój zapach. Ładnie pachniesz. Ignorując komplement i dziwny ucisk w żołądku,

Regan sięgnęła po butelkę, którą Rafe z sobą przyniósł.

- Otworzyć?

- Pewnie.

Wyciągnęła korek, żeby wino oddychało, po czym z górnej szafki wyjęła miskę na sałatkę. Kiedy Rafe poprosił, aby włączyła muzykę, przeszła do salonu i nastawiła Counta Bassiego. Dlaczego, zastanawiała się, facet wygląda tak seksownie, kiedy stoi w kuchni z podwiniętymi rękawami i kroi marchewkę?

- Zostaw - powiedziała, kiedy sięgnął po butelkę oliwy. - Mam otwartą.

- Z pierwszego tłoczenia?

- Oczywiście. - Wskazała wąski dzbanuszek wypełniony złocistym płynem.

- Count Bassie, oliwa z pierwszego tłoczenia.

- Napotkał jej oczy. - Wyjdź na mnie.

- Chętnie. W sobotę mam wolne popołudnie.

- Spoglądając z rozbawieniem na zaskoczoną minę Rafe'a, znalazła w szafce odpowiednie kieliszki.

- W sobotę zamierzałem pracować. - Nie spuszczać Regan z oczu, odsunął na bok miskę z sałata.

- Wy zawsze tak mówicie.

O Chryste, co za kobieta! Podszedł bliżej, kiedy nalewała wino.

- Jak jeszcze powiesz, że w letnie wieczory lubisz oglądać w telewizji bejsbol, to natychmiast ci się oświadczę.

- Przykro mi. Nienawidzę sportu.

Dzieło ich kilka centymetrów. Trzymając kieliszek w każdej ręce, Regan cofnęła się.

- Dzięki Bogu, że odkryłem tę twoją wadę, zanim dorobiliśmy się pięciorga dzieci i psa.

- Widzisz, jaki z ciebie szczęściarz? - Czując, jak serce wali jej młotem, cofnęła się kolejny krok.

- Podoba mi się twój pieprzyk. - Przyłożył palec do malej kropeczki przy jej górnej wardze, a po chwili przesunął go niżej i rozpiął guziki blezera.

- Dlaczego ciągle to robisz?

- Co?

- Bawisz się guzikami przy moim ubraniu.

- Ćwiczę. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Poza tym jesteś spięta. Próbuję cię trochę odprężyć.

Postąpiła jeszcze jeden krok do tyłu i nagle utknęła między ścianą a lodówką.

- Wygląda na to, że dalej już nie uciekniesz - rzekł Rafe i obejmując Regan w talii, przycisnął usta do jej ust.

Nie spieszył się. Całował wolno, leniwie. W taki sam sposób, wolno i leniwie, przesuwał dłonie coraz wyżej.

Nie umiała się oprzeć: zamknęła oczy, rozchyliła wargi.

Z tyłu głowy cichy głos ostrzegał ją przed Rafe'em. Usiłował przemówić jej do rozumu. Ale rozum nie słuchał, a tym bardziej ciało.

Serce waliło jej mocno, po plecach przebiegały dreszcze. Cała w środku wibrowała. Płonęła. Miała wrażenie, że zaraz wybuchnie.

Przyglądał się jej z zafascynowaniem, podniecony jej podnieceniem. Drżała, kiedy ją całował. Nawet rzęsy jej drżały.

Policzki przybrały delikatny odcień różu. Oddech miała krótki, urywany.

Najwyższym wysiłkiem woli odsunął się.

- Boże - westchnął. - Za każdym razem jest coraz lepiej.

Spróbujemy jeszcze raz? - szepnął, pocierając nosem jej ucho.

- Nie - odparła zdumiona tym, że usta mówią zupełnie co innego, niż pragną. Na wszelki wypadek przycisnęła Rafe'owi do piersi kieliszek, który trzymała w dłoni.

Zerknął w dół, po czym ponownie utkwiał spojrzenie w jej twarzy. Nie uśmiechał się, oczy miał poważne; przypominał groźne zwierzę szykujące się do skoku.

Zawsze była osobą trzeźwo myślącą, twardo stąpającą po ziemi, lecz nie potrafiła oprzeć się Rafe'owi. Pociągał ją, choć wiedziała, że to nie może się dobrze skończyć.

- Ręka ci drży - powiedział cicho.

- Wiem.

Bała się, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo, jeden nieostrożny ruch, a zwierzę się na nią rzuci. I ją pożre. A ona mu pozwoli. Nie będzie się broniła; będzie jęczała z rozkoszy.

Hm, musi to sobie przemyśleć.

- Weź swój kieliszek, Rafe. Czerwone wino zostawia odporne plamy.

Przez moment nie odzywał się. Nie rozumiał tego, co się z nim dzieje: jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety. Dostrzegł

w jej oczach strach. Nie zdziwiło go to. Była inteligentna; nie wiedziała, czego się po nim spodziewać.

Bez słowa wziął kieliszek, stuknął nim o drugi, po czym wrócił do gotujących się klusek.

Poczuła się tak, jakby przez chwilę balansowała nad przepaścią. Szczęśliwie udało jej się nie spaść. Szczęśliwie? Nagle zrobiło jej się żal - tego, że stchórzyła, że nie odważyła się na skok.

- Chyba powinnam ci coś wyjaśnić... - Wzięła głęboki oddech. - Nie będę kłamać, że mnie nie pociągasz. Albo że nie podobał mi się twój pocałunek. Bo podobał, i to bardzo.

Starając się odprężyć, oparł się plecami o kuchenny blat.

- A więc? - Przyglądał się Regan znad krawędzi kieliszka.

- A więc... - Odgarnęła z twarzy włosy. - Uważam, że... To skomplikowane. Bo nie chciałabym... to znaczy, wydaje mi się, że bym nie chciała... - Pokręciwszy głową, wypła łyk wina. - Cholera, nie potrafię się wysławić. Jąkam się.

- Zauważyłem. To dobrze robi na moje ego.

- Twoje ego doskonale sobie radzi bez mojego jąkania. -

Ponownie wzięła głęboki oddech, po czym wypuściła powietrze. - Jesteś niesamowicie seksownym mężczyzną. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że seks z tobą byłby niezapomnianym przeżyciem... Przestań tak szczerzyć zęby.

- Przepraszam - rzekł Rafe, uśmiech jednak nie znikł mu z twarzy. - Spodobało mi się to „niezapomniane przeżycie”. W każdym

razie wiem, co usiłujesz powiedzieć. Że to za szybko. Że chcesz się zastanowić, że podejmiesz decyzję, kiedy będziesz gotowa. Tak?

Pokiwała wolno głową.

- Dobrze. Zatem znam twój punkt widzenia; teraz kolej na mnie.

- Włączył palnik pod patelnię. - Pragnę cię, Regan. Od pierwszej chwili, kiedy wszedłem do kawiarni i zobaczyłem cię siedzącą przy stoliku z Cassie.

Starła się zignorować klucie w żołądku.

- Czy dlatego zaoferowałaś mi pracę przy urządzaniu dawnego domu Barlowów?

- Przecież wiesz, że nie. Co innego praca, co innego seks.

- W porządku. - Usatysfakcjonowana odpowiedzią, ponownie skinęła głową.

Podniósł gałązkę pomidorów.

- Problem w tym, że seks i myślenie nie idą w parze.

Przynajmniej moim zdaniem. Podczas seksu odzywają się w nas zwierzęce instynkty. Liczy się zapach, dotyk, smak. - Przyłożył palec do czubka noża, sprawdzając ostrość. - Tak uważam. Ale jest nas dwoje. Skoro więc chcesz podumać, to dumaj. Nie będę ci przeszkadzał.

Zaskoczona, patrzyła w milczeniu, jak Rafe wybiera kilka ząbków czosnku.

- Mam ci podziękować? - spytała wreszcie. - Tego po mnie oczekujesz?

- Bynajmniej. - Rozgniółł czosnek nożem. - Po prostu przedstawiłem ci mój punkt widzenia.

- Masz nowoczesne poglądy.

- Mylisz się, jestem tradycjonalistą. Ale jedno mogę ci obiecać: prędzej czy później sprawię, że znów zaczniesz się jąkać.

Dopiła wino. I śmiało podjęła rzucone wyzwanie.

- Ja też ci jedno mogę obiecać. Kiedy w końcu podejmę decyzję, ty również będziesz się jąkał.

Wrzucił zmiążdżony czosnek na patelnię.

- Podoba mi się twój styl, skarbie. Naprawdę.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Słoneczne dni i ciepły wiatr z południa przyniosły oczekiwaną z utęsknieniem odwilż. Zwisające z dachów fantazyjne sople topniały, a stojące na polach i w ogrodach brzuchate bałwany chudły w oczach.

Przez cały tydzień Regan z zapalem szukała na aukcjach mebli, lamp i bibelotów zarówno do domu Barlowów, jak i do własnego sklepu. Ilekroć miała odrobinę wolnego czasu, zastanawiała się nad wystrojem wnętrza, kolorem ścian. Praca nad przyszłym pensjonatem pochłaniała ją bez reszty.

Nawet gdy, tak jak teraz, zachwalała kredens z orzecha włoskiego parze zainteresowanych klientów, to myślami krążyła wokół domu na wzgórzu. Jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy, ale była nim równie owładnięta, jak Rafe.

Sypialnia na piętrze... hm, ściany wyłożone tapetą w maleńkie różyczki, wielkie łoże z baldachimem i toaletka z żółtodrzewu. Byłby to tradycyjnie urządzone pokój dla nowożeńców. Świeże kwiaty w wazonach i suszki w miseczkach nasycąłyby powietrze wonnym aromatem.

Salon na parterze, którego okna wychodziły na południe, też miał ogromny potencjał. Regan wyobraziła sobie, jak wspaniale będzie się kiedyś prezentował: w rogu trzy fikusy, w wiszących ceramicznych donicach paprocie, obite kwiecistą tkaniną sofy i miękkie fotele, na których goście prowadzą rozmowy. Albo siedzą

pograżeni w kontemplacji, podziwiając ogród zimowy pełen kwiatów i ciągnący się w oddali las.

Nie mogła się doczekać końca remontu. Miała tyle pomysłów, jak przemienić tę starą pustą ruinę w ciepły, przytulny dom.

Nie dom, a tym bardziej nie jej dom, lecz pensjonat. Ciągle musiała sobie o tym przypominać. Ciepły, przytulny pensjonat, do którego goście chętnie będą przyjeżdżać. Z trudem wróciła do rzeczywistości i skupiła się na swoich klientach.

- Proszę spojrzeć na tę przepiękną intarsję - kontynuowała, starając się nie naciskać zbyt mocno na potencjalnych kupców. - Oczywiście szybki w drzwiczkach są oryginalne.

Kobieta zerknęła pożądliwym wzrokiem na dyskretnie umieszczony kartonik z ceną, po czym błagalnie spojrzała na męża, który najwyraźniej nie był tak entuzjastycznie nastawiony do kupna jak ona.

- Jest bardzo ładny - przyznał mężczyzna. - Po prostu mieliśmy nadzieję znaleźć coś nieco tańszego.

- Rozumiem. Zważywszy jednak na idealny stan... Na dźwięk zawieszzonego nad drzwiami dzwonka

Regan urwała w pół słowa. Ogarnęło ją podniecenie, a jednocześnie była zła na siebie, że nie potrafi ukryć swych emocji. Kiedy jednak zobaczyła, że to nie Rafe, lecz Cassie stoi w progu, poczuła zawód. Zanim zdążyła uśmiechnąć się do przyjaciółki, ujrzała fioletowe sińce na jej twarzy.

- Może państwo się zastanowić, a ja za moment wrócę -
powiedziała do niezdecydowanych małżonków.

Stukając obcasami, pośpiesznie ruszyła do drzwi. Doszedłszy do Cassie, bez słowa wzięła ją za rękę i zaprowadziła do gabinetu na zapleczu.

- Usiądź - szepnęła, pomagając przyjaciółce zająć miejsce na krześle przy niedużym metalowym stole. - Bardzo cię boli?

- To głupstwo. Po prostu...

- Och, przestań! - Próbując powstrzymać wybuch złości, Regan postawiła czajnik na palniku. - Przepraszam, Cassie. Zrobię nam herbaty. - Zamilkła. Wiedziała, że musi się opanować, powściągnąć emocje. - Zostawię cię na chwilę, dobrze? Dokończę rozmowę z klientami...

- Dobrze. - Cassie siedziała ze spuszczonego wzrokiem, wpatrując się w swoje dłonie. Wstydziła się spojrzeć przyjaciółce w oczy.

Dziesięć minut później, przystawszy na znacznie niższą cenę, żeby tylko pozbyć się klientów, Regan wróciła do pokoiku na zapleczu. Już jestem spokojna, przekonywała się w myślach. Nie będę krzyczeć na Cassie; będę ją wspierać, pocieszać.

Ale nie wytrzymała. Cassie siedziała skulona, nie zważając na gotującą się w czajniku wodę. Na ten widok w Regan znów wstąpiła wściekłość,

- Do jasnej cholery, dlaczego mu na to pozwalasz? Kiedy się wreszcie zbuntujesz? Kiedy przestaniesz być workiem treningowym

dla tego nędznego sadysty? Dlaczego go nie zostawisz? Naprawdę chcesz wylądować w szpitalu?

Cassie z rezygnacją oparła ręce na stole, położyła na nich głowę i wybuchnęła szlochem.

- Kochanie, przepraszam. Ale ze mnie idiotka. Przepraszam, Cassie.

- Nie powinnam tu była przychodzić. Wiem. Ale chciałam z kimś porozmawiać. - Cassie podniosła głowę, lecz twarz zasłoniła ręką.

- Dobrze, że przyszłaś. Dokąd miałabyś pójść, jak nie do mnie? Pokaż mi swoją buzię. - Regan delikatnie odsunęła rękę przyjaciółki od jej twarzy.

Fioletowe sińce ciągnęły się od skroni aż po brodę. Jedno okno było podbite, prawie niewidoczne pod spuchniętą powieką.

- Boże, Cassie, co się stało? Możesz mi powiedzieć?

- On... Joe... nie czuł się najlepiej. Wszyscy ostatnio chorują na grypę. - Głos uwiązł Cassie w gardle. - W każdym razie parę razy nie poszedł do pracy... no wiesz, z powodu grypy... no i wczoraj wylali go z roboty.

Na moment umilkła. Unikając spojrzenia przyjaciółki, zaczęła szukać w torebce i po kieszeniach chusteczki do nosa.

- Wrócił do domu bardzo przybity. Pracował u tych ludzi, z krótkimi przerwami, niemal dwanaście lat. A mamy tyle niezapłaconych rachunków. Niedawno kupiłam na kredyt nową pralkę

i tenisówki dla Connora. Strasznie o nie prosił. Wiedziała, że są drogie, ale...

- Błagam... - powiedziała cicho Regan. - Przestań się obwiniać. Nie mogę słuchać, kiedy bierzesz całą winę na siebie.

Wzdychając ciężko, Cassie zamknęła oczy. Wiedziała, że nie musi okłamywać Regan; może być z nią szczerą. Przyjaźnią się od trzech lat, w tym czasie przyjaciółka nigdy jej nie zawiodła.

- W porządku - szepnęła. - Joe nie był chory. Nie miał żadnej grypy. Od tygodnia pije na umór. Wywalili go z roboty, bo przyszedł kompletnie zalany i jeszcze nawymyślał szefowi.

- A potem wrócił do domu i odegrał się na tobie?

- Regan zdjęła czajnik z palnika i zalała wrzątkiem herbatę. -
Gdzie są dzieci?

- U mojej mamy. Zabrałam je tam wczoraj. Po pobiciu. Tym razem mocno oberwałam.

Odruchowo przyłożyła rękę do gardła. Nie tylko na twarzy miała siniaki, pod golfem również. Joe tak długo ją wczoraj dusił, że była pewna, iż wyzionie ducha. Prawie żałowała, że tak się nie stało.

- Poszłam z dziećmi do mamy. Nie chciałam nocować w domu.

- Słusznie - pochwaliła ją Regan, stawiając na stole dwie filiżanki. - To dobry początek.

Cassie zacisnęła dłonie na filiżance.

- Bo ja wiem? Mama oczekuje, że dziś wrócę do męża. Nie pozwoli nam dłużej zostać.

- Nie pozwoli? Po tym, co Joe zrobił, nie pozwoli ci dłużej u siebie zostać?

- Uważa, że miejsce żony jest u boku męża - odparła Cassie. - Że ślub bierze się na dobre i na złe.

Regan nigdy nie rozumiała własnej matki, cichej, uległej, podporządkowanej mężowi. Irytowała ją jej przesadna służalczość, ale zachowanie matki Cassie budziło w niej obrzydzenie.

- To straszne!

- Taka jest mama - szepnęła Cassie i syknęła z bólu, kiedy gorąca herbata zetknęła się z jej spuchniętą wargą. - Wierzy, że obowiązkiem kobiety jest troska o trwałość małżeństwa.

- Ty też tak uważasz? Że to twój obowiązek? Że ślub bierze się na dobre i złe? Że do końca życia masz mieszkać z sadystą i pozwalać, by cię bił, ilekroć najdzie go ochota?

- Nie wiem, Regan. Kiedyś tak myślałam. Złożyłam przysięgę małżeńską...

Przygnębiona pokręciła głową; przysięga wiele dla niej znaczyła.

- Może byłam za młoda, kiedy wychodziłam za Joego. Może nie powinnam była się tak spieszyć, ale... Moim zdaniem przysięga do czegoś zobowiązuje. Joe jednak łamał ją od samego początku. Zdradzał mnie, w dodatku nawet się z tym specjalnie nie krył. Pomiatał mną... A ja... ja naprawdę chciałam być dobrą żoną.

- Rozplakała się ponownie, z żalu, że jej się nie udało.

- Pobraliśmy się dziesięć lat temu. Mamy dwoje dzieci. A ja stale popełniam błędy. Za pieniądze z napiwków kupiłam Connorowi te drogie buty. Pozwalam Emmie bawić się moją szminką. Nie powinnam była nalegać na nową pralkę. No i w łóżku też jestem kiepska, nie tak jak te kobiety, z którymi Joe mnie zdradza. Poza tym... - Urwała, widząc przerażoną minę przyjaciółki.

- Dziewczyno, czy ty sama siebie słyszysz? - spytała cicho Regan. - Słyszysz, co mówisz?

- Nie mogę z nim dłużej być - wyszeptała drżącym głosem Cassie. - Znęca się nade mną przy dzieciach. Dawniej czekał, aż pójda spać, ale teraz bije mnie na ich oczach. I wymyśla mi. Mówi rzeczy, których dzieci nie powinny słyszeć. Nie chcę tego dłużej tolerować. Nie chcę, żeby dzieci były świadkami przemocy.

- Masz rację, Cassie. Potrzebna ci pomoc...

- Całą noc o tym myślałam. I podjęłam decyzję. - Zawahała się, ale po chwili obciągnęła golf, ukazując fioletowe plamy na szyi.

Regan zbladła; krew odpłynęła jej z twarzy.

- Mój Boże. Próbował cię udusić.

- Z początku nie miał takiego zamiaru. Płakałam, a to go drażniło. Więc chciał mnie uciszyć. Ale potem... potem chyba faktycznie postanowił się mnie pozbyć. Widziałam to w jego oczach. Tę nienawiść. Po prostu ział do mnie nienawiścią. Jeżeli będzie miał okazję, to prędzej czy później mnie zabije. A ja muszę myśleć o dzieciach. One sobie same nie poradzą. Dlatego pójdę do Devina i wniosę oskarżenie.

- Brawo.

- Musiałam najpierw przyjść do ciebie. No wiesz, zebrać się na odwagę. - Wierzchem dłoni przetarła łzy. - Wniesienie oskarżenia... to nie jest łatwe. Zwłaszcza, że szeryfem jest Devin. Przyjaźnimy się od dziecka. On zna moją sytuację domową. Wielokrotnie ratował mnie z opresji, kiedy sąsiedzi, zaniepokojeni krzykami, wzywali go na pomoc. Ale mimo wszystko niezręcznie się z tym czuję.

- Jak chcesz, pójdę z tobą - zaoferowała Regan. Cassie zacisnęła powieki. Właśnie po to tu przyszła: po wsparcie. Nie, nieprawda, pomyślała po chwili. Przyszła, bo jest tchórzem.

- Nie, sama muszę to zrobić. Tylko co dalej? - Wypiła łyk herbaty. - Nie mogę wrócić z dziećmi do domu, póki Joe tam urzęduje.

- Jest ośrodek dla takich kobiet jak...

- Nie. - Cassie zdecydowanym ruchem potrząsnęła głową. - Głupio kierować się dumą, wiem, ale nie pójdę do żadnego ośrodka. Co innego gdybym była sama, ale z dziećmi?

- W porządku, więc zamieszkasz u mnie. Nie protestuj. Niestety mam tylko jeden pokój gościnny, więc będzie wam w trójkę trochę ciasno.

- Nie, Regan, nie mogę ci się zwalić na głowę.

- Posłuchaj. Z tobą pierwszą się zaprzyjaźniłam po przeprowadzce do Antietam. Chcę ci pomóc. Nie odmawiaj mi.

- Mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy z napiwków i nadgodzin. Starczy na kilka nocy w motelu.

- Bo się pogniewam - zagroziła przyjaciółce Regan. -

Zamieszkaż u mnie i już. Choćby przez wzgląd na dzieci - dodała, wiedząc, że to przeważy szalę.

- Odbiorę je od mamy po rozmowie z Devinem. - Dzieci były ważniejsze od dumy własnej. - Dzięki, Regan. Nawet nie wiesz, jaka ci jestem wdzięczna.

- A co to? Pogaduszki w godzinach pracy?

Rafe wszedł do małego biura na zapleczu sklepu i rzucił kurtkę na krzesło. Ponieważ wpatrywał się w Regan, dopiero po chwili zauważył ślęce na twarzy Cassie.

Regan ze zdumieniem obserwowała, jak pogodny, pełen uroku człowiek w ułamku sekundy przeistacza się we wściekłą bestię. Uśmiechnięte usta wykrzywiły się w gniewnym grymasie. Oczy zapłonęły furją, ciało się spięło. Przypominał rozjuszonego wilka.

Wysunął gwałtownie rękę. Cassie wciągnęła z sykiem powietrze, Regan zaś poderwała się na nogi. Nie pozwoli mu uderzyć Cassie! Zanim zdołała go jednak powstrzymać, Rafe delikatnie, z czułością, pogładził Cassie po pokiereszowanej twarzy.

- Robota Joego? - spytał cicho.

- To... to był wypadek.

Zareagował siarczystem przekleństwem, po czym obrócił się na pięcie. Cassie rzuciła się za nim pędem.

- Nie, Rafe, nic nie rób! - Zrozpaczona, szarpała go za rękę. -
Błagam cię!

Bez trudu mógłby ją odepchnąć, była taka mizerna i słaba.
Świadomość tego jeszcze bardziej go rozjuszyła.

- Zostań tutaj. Z Regan.

- Nie, proszę! - Uczepiona jego rękawa, Cassie zaczęła płakać. -
Czuję się dostatecznie podle...

- Tym razem draniowi nie ujdzie to płazem! - syknął. Zamierzał
odsunąć Cassie na bok, kiedy nagle zobaczył jej łzy. I one go
powstrzymały. - Cassie, maleńka. - Mocno przytulił ją do piersi. - Nie
płacz, kwiatuszku. No, nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

Regan, która wybiegła za przyjaciółką, przyglądała się
wszystkiemu bez słowa. Jak to możliwe, zastanawiała się, żeby w
jednym człowieku tkwiły takie pokłady czułości, a jednocześnie taka
niepohamowana wściekłość? Rafe tulił Cassie, jakby była dzieckiem;
stał z pochyloną głową, szepcząc do niej kojące słowa.

Regan starała się powściągnąć łzy. Nie dała rady. Kiedy po
minucie czy dwóch Rafe podniósł wzrok, w jego oczach wciąż płonął
gniew.

- Rafe, przyprowadź ją tutaj - poprosiła cicho. Wszystko w nim
rwało się do walki. Ale kobieta, którą trzymał w ramionach, drżała. A
druga, stojąca nieopodal, patrzyła na niego błagalnie.

- Chodź, maleńka. - Przemawiając szeptem, jakby Cassie była
małym, przerażonym dzieckiem, Rafe delikatnie obrócił ją i postąpił
krok w stronę zaplecza.

- Chodź, usiadzimy sobie.

- Przepraszam - załkała.

- Mnie nie musisz przeproszać - rzekł, siląc się na maksimum opanowania. - Nikogo nie musisz przeproszać.

- Cassie zamierza złożyć wizytę Devinowi.

- Chcąc uspokoić skołatane nerwy, Regan ponownie zajęła się przyrządzaniem herbaty. -1 wnieść przeciw Joemu oskarżenie.

- Słusznie - powiedział Rafe, chociaż wolałby załatwić sprawę po swojemu. Pomógł Cassie usiąść, po czym odgarnął jej z twarzy włosy. - Masz gdzie mieszkać? - spytał.

Skinąwszy głową, wzięła od Regan paczkę chustek do nosa.

- Tak, Regan zaproponowała mnie i dzieciom pokój u siebie.

- A jak dzieciaki? W porządku? Ponownie skinęła głową.

- Tak. Po rozmowie z Devinem odbiorę je od mamy.

- Ale do domu nie wracaj. Powiesz mi, co potrzebujesz, a ja ci wszystko przywiozę.

- Dobrze.

- Chcesz, żebym odprowadził cię na komendę? Przetarła wilgotne od łez policzki.

- Nie. Muszę to zrobić sama... Pójdę już. Nie ma sensu zwlekać.

Regan wyciągnęła szufladę w biurku.

- Masz. To klucz do mieszkania. - Włożyła go do ręki przyjaciółki. - Nie zostawiaj drzwi otwartych.

- Dobrze. No to ja już pójdę. - Cassie ruszyła do wyjścia. Nie sądziła, że to będzie takie trudne. - Wydawało mi się, że Joe się zmieni - powiedziała pod nosem, jakby mówiła sama do siebie. - Modliłam się o to.

- Wiesz, gdzie on jest? - spytał Rafe, kiedy Cassie znikła im z oczu.

- Nie.

- Nie szkodzi, znajdę go. - Sięgnął po kurtkę. - Nie próbuj mi przeszkodzić - rzekł, kiedy Regan położyła rękę na jego dłoni.

Drugą rękę przytknęła do jego policzka, a usta do jego ust.

- To nagroda? Za co? - spytał zaskoczony pocałunkiem.

- Za kilka rzeczy. Za to, że chciałeś draniowi przywalić. -

Wspiąwszy się na palce, pocałowała go po raz drugi. - Za to, że się na prośbę Cassie powstrzymałeś. - Pocałowała po raz trzeci. - I za to, że pokazałeś jej, że prawdziwy mężczyzna jest dobry i czuły.

- O psiakrew. - Westchnął głęboko. - Czyli nie mogę go zabić?

- Połowa mnie bardzo by tego chciała. - Ponownie wstąpiła w nią wściekłość. - Chciałaby stać i patrzeć, jak bijesz go do nieprzytomności. Chciałaby sama wybić mu parę zębów.

Rafe rozprostował jej zwiniętą w pięść dłoń, po czym podniósł do ust.

- No, no. A ja cię miałem za łagodną istotę. Uśmiechnęła się nieporadnie.

- Wstydzę się tych swoich agresywnych zapędów. Cassie potrzebuje teraz spokoju. Ma dość przemocy w domu.

- Znam ją od małego. - Zerknął na herbatę, którą Regan nalała do filiżanki, a która pachniała jak łąka na wiosnę. - Zawsze była drobna, śliczna i nieśmiała. - Widząc wpatrzone w niego oczy Regan,

pokręcił przecząco głową. - Nie, nigdy nie próbowałem jej poderwać. Nie gustowałem w grzecznych, miłych dziewczynkach.

- Dziękuję, Rafe.

- Nie ma za co. - Poglądził ją po włosach. - Trzy dodatkowe osoby to mnóstwo dodatkowych obowiązków. Poradzisz sobie? Bo Cassie może zamieszkać na farmie. Tam jest mnóstwo miejsca.

- Ona potrzebuje towarzystwa kobiety, a nie bandy facetów, nawet najsympatyczniejszych. Devin zajmie się wszystkim, prawda?

- Na bank.

Usatysfakcjonowana, sięgnęła po herbatę.

- Cieszę się. - Nagle przyjrzała się Rafe'owi znad brzegu filiżanki. - Co cię do mnie sprowadza?

- Po pierwsze, chciałem sobie na ciebie popatrzeć.

- Uśmiechnął się. - A po drugie, uznałem, że możemy dokończyć omawianie salonu. Jeden urządzony pokój pozwoli mi się łatwiej zorientować w całości.

- Słusznie... - Urwała, słysząc głosy w sklepie.

- Przepraszam, muszę wyjść do klientów. Ale tu masz wszystko: próbki farb, próbki materiałów, szczegółowy wykaz mebli.

- Przyniosłem też własne próbki.

- Świetnie... - Podeszła do biurka i włączyła komputer. - Jak już się z tym zapoznasz, zerknij do komputera. Wszystko tam umieściłam, pokój po pokoju. Zobaczysz zdjęcia mebli, które proponuję.

Pół godziny później, dokonawszy trzech udanych transakcji, wróciła do gabinetu. Swoim wzrostem i posturą Rafe niemal

całkowicie zasłaniał małe biurko w stylu chippendale, przy którym zwykle pracowała. Wydawał się taki wielki, taki męski. Pachniał sadzą, smarem, drewnem. Buty miał porysowane, koszulę rozdartą na ramieniu, włosy przyprószone tynkiem.

Był najwspanialszym stworzeniem, jakiegokolwiek widziała. Zapalała dziką, nieokiełznaną żądzą.

Usiłując nad sobą zapanować, wzięła trzy głębokie oddechy.

- I co o tym myślisz? - spytała.

- Jesteś znakomicie zorganizowana. - Nie odwracając się, otworzył jeden ze skoroszytów. - I dokładna. Niczego nie przeoczyłaś.

Mile połechtana, zajrzała ponad jego ramieniem do swoich notatek.

- Kiedy zobaczymy gotowy salon, na pewno okaże się, że trzeba będzie wprowadzić parę poprawek, zmienić parę drobiazgów...

- Poprawki już wprowadziłem. Wyprostowała się.

- Tak?

- Tego koloru już nie ma. - Postukał palcem w arkusz, po czym odnalazł właściwą stronę na ekranie. - Zamieniłem jasny groszek na... na sosnową zieleń.

- Groszkowa zieleń jest zgodna z duchem tamtych czasów.

- Jest brzydka. Miał rację, ale...

- Kolor, który wybrałaś, jest zbyt współczesny. Nie pasuje do drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

- Może. Ale jest ładny. Nie denerwuj się, skarbie. - Obrócił się do niej twarzą. - Odwaliłaś kawał porządnej roboty. Jestem pełen

podziwu. Naprawdę nie spodziewałem się takiej szczegółowej analizy, w dodatku wykonanej tak szybko. Masz niesamowite wyczucie detalu.

Regan nie dała się udobruchać.

- Chciałeś, żeby wnętrze odzwierciedlało konkretny okres historyczny. Staram się spełnić twoje życzenie i zaplanować wnętrze zgodnie z duchem tamtej epoki.

- Wiem, ale chcę wprowadzić pewne zmiany. Tak, aby pensjonat odpowiadał również współczesnym gustom. Widziałem twoje mieszkanie na piętrze. Jak dla mnie, jest trochę zbyt kobiece...

- Na szczęście ja tam mieszkam, nie ty - przerwała mu ostro.

- ... i tak schludne, że bałbym się w nim cokolwiek ruszyć - dokończył Rafe. - Ale nie ulega wątpliwości, że masz znakomity gust. Proszę jedynie, abyś nim również się kierowała. Nie tylko wiedzą.

- Na razie mówisz o swoim guście. Jeśli zamierzasz wprowadzić nowe zasady, przynajmniej niech będą jasne.

- Zawsze jesteś taka uparta, czy tylko w tej kwestii? Nie zamierzała odpowiadać na tak postawione pytanie.

- Życzyłeś sobie wnętrz, jakie istniały w czasie wojny secesyjnej. Nie lubię, kiedy ktoś w trakcie zmienia reguły gry.

Rafe wskazał próbkę z kolorem, od którego wszystko się zaczęło.

- Powiedz, ale szczerze. Podoba ci się ta groszkowa zieleń?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Podoba czy nie? Zacisnęła zęby.

- Oczywiście, że nie. Jest ohydna.

- No widzisz? Czasem trzeba robić odstępstwa od reguł.

- To nieprofesjonalne.

- Znasz takie powiedzenie: klient nasz pan? - rzekł Rafe, zamykając temat, po czym ponownie wbił wzrok w ekran. - Skrót MAG to magazyn, tak? Czyli masz tę sofę w magazynie?

- Stoi w sklepie - przyznała z duszą na ramieniu. Tydzień temu kupiła sofę na aukcji, uznając, że będzie świetnie pasowała do salonu Rafe'a. Jeżeli Rafe odrzuci mebel... wołała o tym nie myśleć. - Przyczepiłam do niej karteczkę z rezerwacją - dodała, siląc się na neutralny, profesjonalny ton.

- Chcę ją obejrzeć. Oraz te stoliki. I ekran do postawienia przed kominkiem.

- Klient nasz pan - mruknęła pod nosem, kierując się do sali wystawowej.

Kiedy zatrzymała się przy sofie, nerwy miała napięte do granic. Nie tylko jakością wykonania i urodą mebel zapierał dech w piersi, również ceną. Regan zdawała sobie sprawę, że nigdy nie wzięłaby udziału w licytacji, gdyby oczami wyobraźni nie widziała sofy w domu Rafe'a.

Kątem oka zerknęła na Rafe'a, na jego porysowane buty i podartą koszulę. Wyglądał jak stuprocentowy samiec. Co jej strzeliło do głowy? Dlaczego sądziła, że MacKade zachwyci się eleganckim meblem na giętych nóżkach, który zdecydowanie bardziej pasował do

salonu wytwornej arystokratki niż do wychowanego na farmie twardziela?

- Sofa została wykonana z orzecha włoskiego mniej więcej w połowie dziewiętnastego wieku - rzekła, lodowatą ręką gładząc łagodnie zakrzywione oparcie. - Oczywiście nie zachowała się oryginalna tapicerka, ale to piękne obicie jest w klimacie tamtych czasów. Rzemieślnik, a raczej należałoby powiedzieć artysta, który stworzył to dzieło, wykazał się ogromnym kunsztem. Mebel jest nie tylko atrakcyjny wizualnie i fachowo wykonany, ale w dodatku niesamowicie wygodny.

Rafe kucnął i zajrzał pod sofę.

- Sporo to cacko kosztuje.

- Warte jest swej ceny.

- Dobra. Regan zamrugwała.

- Dobra?

- Tak. Biorę. Jeśli nie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności, do niedzieli powinienem zakończyć prace w salonie. Wtedy w poniedziałek mógłbym odebrać mebel. Chyba że z jakichś powodów to ci nie na rękę? - Popatrzył na nią pytająco.

- Nie. W porządku.

- Co do płatności... może być gotówka przy odbiorze? Nie mam dziś przy sobie książeczki czekowej.

- Może być gotówka przy odbiorze.

- A teraz pokaż mi ten rozkładany stół.

- Rozkładany... - Nieco oszołomiona rozejrzała się po sklepie. -
Tam.

Rafe wyprostował się, starając się zachować powagę. Przez kilka minut wszystko można było wyczytać z jej twarzy, wszystkie myśli, lęki, emocje. Ciekawe, czy miała tego świadomość. Podejrzywał, że nie.

- A ten? - Zatrzymał się po drodze przy innym stoliku.

- Też jest ładny. Z mahoni i żółtodrzewu.

- Podoba mi się. Pasowałby w salonie, prawda?

- Owszem, brałam go pod uwagę.

- Przyślij go w poniedziałek razem z sofą... A to jest ten rozkładany pembroke?

Regan, skołowana, potwierdziła skinieniem. Kiedy godzinę później Rafe opuścił sklep, ona wciąż kiwała głową.

Udał się prosto do biura szeryfa. Oznaczało to, że będzie musiał pracować do późnej nocy, ale nie zamierzał wyjeżdżać z miasteczka, dopóki się nie dowie, czy Joe Dolin tkwi za kratkami.

Devin siedział w fotelu, z nogami na starym metalowym biurku, czytając wyświechtany egzemplarz „Gron gniewu”. Jego mundur składał się z bawełnianej koszuli, dżinsów i wysokich skórzanych butów o zdartych obcasach. Jedynie gwiazda na piersi wskazywała na funkcję, jaką pełnił.

- I pomyśleć, że to ty odpowiadasz za prawo i porządek w tym mieście.

Nie spiesząc się, Devin zaznaczył sobie miejsce zakładką i odłożył książkę na bok.

- Ano ja. Na celę u mnie zawsze możesz liczyć.

- Jeśli w którejś z nich masz Dolina, chętnie do niego zajrzę na parę minut.

- Siedzi zapudłowany. Rafe podszedł do ekspresu.

- Sprawiał kłopoty?

Devin wyszczerzył usta w złośliwym uśmiechu.

- Poradziłem sobie. Mnie też nalej.

- Jak długo możesz go trzymać za kratkami?

- To nie ode mnie zależy - rzekł Devin, sięgając po wyszczerbiony kubek. - Przekażemy go do Hagerstown. Tam dostanie obrońcę z urzędu. Jeśli Cassie nie wycofa oskarżenia, wkrótce odbędzie się rozprawa.

Rafe przysiadł na brzegu zagraconego biurka.

- Myślisz, że może wycofać? Devin wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą. Nigdy dotąd nie wносиła oskarżenia, a ten drań tłucze ją od lat. Pewnie zaczął w noc poślubną. Boże, to takie chuchro, waży najwyżej czterdzieści pięć kilo. - Na moment zamilkł. - Dusił ją. Na szyi ma fioletowe ślady.

- Nie zauważyłem ich.

- Zrobiłem zdjęcia. - Potarłszy ręką policzek, Devin opuścił nogi na podłogę. Mimo że w trakcie zakuwania Joego w kajdanki przyłożył mu raz i drugi, widać było, że wciąż jest spięty. - Wiesz, musiałem spisać oświadczenie Cassie i sfotografować jej sińce. Cały czas

patrzyła na mnie z wyrzutem, jakbym wyrządził jej krzywdę. Nie mam pojęcia, czy zdobędzie się na pojechanie do sądu i opowiedzenie o wszystkim jeszcze raz.

Podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na miasteczko. Zostając szeryfem, obiecał służyć miastu i chronić jego obywateli. Chronić, a nie wyładowywać własne frustracje, powalając na ziemię jednego z nich.

- Usłyszała ode mnie to, co słyszą inne maltretowane kobiety- kontynuował po chwili. -O terapii, o pomocy prawnej, o specjalnych schroniskach. W pewnym momencie zaczęła się wahać, ale przekonałem ją, żeby nie rezygnowała. Więc podpisała wszystko, co trzeba, i rozplakała się, a ja poczułem się jak ostatnie bydło.

Rafe przez moment wpatrywał się w kawę.

- Wciąż ją kochasz, prawda, Dev?

- Kochałem, kiedy byliśmy dziećmi. - Devin z wyraźnym wysiłkiem rozprostował zwinętą w pięść dłoń i obrócił się twarzą do brata. - W szkole średniej.

Śniadzi, szczupli, wysportowani, mogliby być bliźniakami. Niewiele ich różniło. Może oczy - Devina miały ciemniejszy odcień zieleni - i blizny po nieodwzajemnionej miłości, które pozostały mu na sercu.

- Martwię się o nią, Rafe. Znamy Cassie od urodzenia. Razem dorastaliśmy. Nie potrafię spokojnie patrzeć na to wszystko. Niestety mam związane ręce. Ilekroć widzę na jej twarzy czy ciele nowe sińce, ona mówi, że to nic takiego. Że się uderzyła.

- Ale tym razem się przyznała.

- Tak, przyznała się. Wysłałem z nią swojego zastępcę. Pomoże jej odebrać dzieci, wziąć z domu potrzebne rzeczy...

- Wiesz, że zamierza wprowadzić się do Regan Bishop?

- Tak, wspomniała o swoich planach. - Devin dopił kawę, podszedł do ekspresu po dolewkę. - Przynajmniej odważyła się na pierwszy krok. To zawsze jest najtrudniejsze.

Usiadł z powrotem w fotelu za biurkiem. W sprawie Cassie i Joego nic więcej nie mógł zrobić; nadał sprawie bieg i reszta już nie zależała od niego.

- A propos Regan Bishop... podobno się koło niej kręcisz?

- Prawo tego zabrania?

- Nawet gdyby zabraniało, to znając cię, i tak byś się tym nie przejął. - Devin ponownie wstał, swojemu zastępcy skradł z biurka dwa batony. Jeden rzucił Rafe'owi. - Dotychczas gustowałeś w innym typie.

- Widocznie gust mi wyszlachetniał.

- I bardzo dobrze. - Devin odgryzł kawałek batona.

- To coś poważnego?

- Seks zawsze jest czymś poważnym.

- Więc tylko o to chodzi?

- Nie wiem, braciszku. Ale to dobry początek.

- Słyszając, jak ktoś otwiera drzwi, Rafe obejrzał się za siebie i uśmiechnął szeroko do Regan.

Znieruchomiała na widok dwóch wspaniałych mężczyzn szczerzących do niej zęby.

- Nie przeszkadzam?

- Ależ skąd - oznajmił uprzejmie Devin, podrywając się na nogi.

- Piękna kobieta nigdy nie przeszkadza.

Rafe położył rękę na jej ramieniu.

- Zaklepuję.

- Słucham? - spytała z niedowierzaniem. - Coś ty przed chwilą powiedział? Zaklepuję?

Skinąwszy głową, odgryzł kawałek batona, a resztę podsunął Regan. Kiedy odepchnęła jego rękę, sam zjadł go ze smakiem.

- Czyś ty zwariował? Stoi przede mną dorosły facet, zajada się czekoladowym batonem i woła: „zaklepuję”, jakbym była ostatnim lodowym rożkiem w lodówce?

- Kiedy dorastałem, wszystko się zaklepywało. Inaczej ciągle byśmy z sobą walczyli. - Jakby chcąc udowodnić, że nie żartuje, pocałował ją w usta. - Dobra, muszę iść - rzekł. - Cześć, Dev.

Devin chrząknął, przecyszczając gardło. Przezornie nie wybuchnął śmiechem. Kątem oka obserwował kobietę, która z otwartymi ustami wpatrywała się w drzwi.

- Chcesz, żebym za nim poszedł i przyciągnął go z powrotem? - spytał wreszcie. - W dzieciństwie złamałem Rafe'owi palec. Mógłbym to znów zrobić.

- Dzięki, nie kłopotz się. - Postanowiła, że sama się później zrewanżuje Rafe'owi. - Przyszłam sprawdzić, czy aresztowałeś Joego.

- Rafe też.
- Mogłam się tego domyśleć.
- Napijesz się kawy?
- Nie, muszę lecieć. Wpadłam tylko spytać o Joego i czy powinnam przedsięwziąć jakieś środki ostrożności, kiedy Cassie z dziećmi zamieszka u mnie.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Znali się trzy lata, kilka razy rozmawiali dłużej w kawiarni albo na ulicy; podziwiał jej urodę, ale dopiero teraz zobaczył, co jego bratu tak bardzo podoba się w Regan. Odwaga, rozsądek, zdolność współodczuwania.

Zastanawiał się, czy Rafe zdaje sobie sprawę, jak wielki wpływ ta kobieta może wyrzucić na jego życie.

- Usiądź, Regan - powiedział. - Musimy omówić parę rzeczy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W poniedziałek wstała o świcie, z uśmiechem na twarzy. Za kilka godzin do domu na wzgórzu zostaną dostarczone pierwsze meble. Postanowiła sobie, że kiedy tylko otrzyma pieniądze, natychmiast wyruszy do Pensylwanii na aukcję, której początek zaplanowany był na późne popołudnie.

Czyli na cały dzień musi zamknąć sklep. Nie szkodzi. Na pewno nie będzie stratna.

Zaparzyła kawę, wrzuciła pieczywo do tosterka, odwróciła się i o mało nie zemdląca.

- O Boże, Connor! - Przycisnęła rękę do serca. - Ale mnie wystraszyłeś.

- Przepraszam.

Chłopiec był blady, chudy, o wielkich, szarych oczach. Identycznych jak oczy Cassie, pomyślała, uśmiechając się przyjaźnie do dziecka.

- Nic się nie stało. Po prostu nie spodziewałam się, że o tej porze ktoś poza mną jest na nogach. Zjesz śniadanie?

- Nie, dziękuję.

Bez słowa wyjęła z szafki paczkę płatków kukurydzianych, które - jak niedawno odkryła - należały do jego ulubionych, i potrząsnęła nimi.

- Może jednak dotrzymasz mi towarzystwa? Co? Connor uśmiechnął się speszony.

- Jeżeli naprawdę chcesz...

- Chcę, aniołku. A teraz bądź tak miły i postaw mleko na stole. - Patrzyła, jak chłopiec ostrożnie przenosi dzbanek, żeby broń Boże nie wylać nawet kropli. - Mówili w radiu, że szykują się dalsze opady. Pewnie nas zasypie.

Podniosła rękę, żeby pogłaskać małego po głowie. Chłopiec znieruchomiał, jakby w obawie przed razami. Przeklinając w duchu Joego Dolina, policzyła w myślach do trzech, żeby się uspokoić.

- Kto wie, może zamkną szkołę?

- Lubię chodzić do szkoły - powiedział Connor.

- Ja też lubiłam - rzekła, siląc się na pogodny ton. Nalawszy sobie kawy, wróciła do stołu. - Choć jak zamykali szkołę na dzień czy dwa z powodu opadów śniegu, to mi nie przeszkadzało, Ale jak trwało to dłużej, to zaczynałam tęsknić. Masz ulubiony przedmiot?

- Angielski. Bardzo lubię pisać.

- Serio? A co?

- Głównie opowiadania. - Zgarbiwszy się, wbił wzrok w podłogę
- Takie tam głupoty.

- Głupoty? Och, nie mów tak. - Delikatnie ujęła chłopca za brodę i obróciła twarzą do siebie. - Wiesz, jaka twoja mama jest z ciebie dumna? Chwaliła mi się, że dostałeś nagrodę za najlepsze opowiadanie w klasie.

- Naprawdę się chwaliła? - Z jednej strony ucieszyła go wiadomość, z drugiej najchętniej znów by spuścił wzrok. Ale Regan

mu nie pozwoliła. Łzy napłynęły mu do oczu; nie potrafił ich powstrzymać. - Mama często płacze w nocy.

- Wiem, aniołku. Wiem.

- On ciągle ją bił. Wszystko słyszałem. Ale nie umiałem temu zapobiec. Nie umiałem mamie pomóc.

- Cii, nie obwiniaj się, maleńki. - Kierując się instynktem, wzięła chłopca na kolana. - To nie twoja wina. Nic nie mogłeś zrobić. Ale teraz jesteście już bezpieczni, ty, twoja mamusia i siostrzyczka.

- Nienawidzę go.

- Cii. - Zdumiona, ile negatywnych emocji może tkwić w tak małym ciałku, Regan pocałowała dziecko w rozczochraną główkę, po czym zaczęła je delikatnie kołysać w ramionach.

Cassie przystanęła w holu. Zakrywszy ręką usta, przez chwilę tkwiła bez ruchu, zaskoczona tym, co widzi. Wreszcie na palcach poszła do pokoju gościnnego, żeby obudzić córkę do szkoły.

Regan dotarła na miejsce tuż przed furgonetką, którą wynajęła do przewozu mebli. Ledwo otworzyła drzwi, natychmiast ogłuszyła ją wesoła kakofonia dźwięków.

Z holu znikł zapach stęchlizny, nie zostało śladu po pajęczynach. Wszędzie leżały rozłożone prześcieradła, wprawdzie pokryte białą warstwą kurzu, ale to był świeży kurz, czysty.

Egzorcyzmy. Odbywają się tu egzorcyzmy, przemknęło jej przez myśl. Ciekawe, czy skuteczne? Rzuciwszy okiem na schody, powoli skierowała się w ich stronę.

Ziab uderzył w nią z taką siłą, że odruchowo cofnęła się dwa stopnie. Stała z jedną ręką na poręczy, drugą trzymała się za brzuch. Oddychała ciężko, jakby nagły cios pozbawił ją tchu.

- Odważna jesteś - szepnął za jej plecami Rafe. Wciąż lekko oszołomiona, odwróciła się i napotkała jego wzrok.

- To mi nie dawało spokoju - przyznała. - Chciałam sprawdzić, czy tym razem też tak będzie. Powiedz, jakim cudem robotnicy łążą po tych schodach?

- Nie każdy czuje tę falę chłodu. Ci, co czują, pewnie zaciskają zęby i myślą o forsie, którą u mnie zarabiają. - Podeszedł wyżej i wziął Regan za rękę.

- Gdybym sama tego nie doświadczyła, uznałabym, że mnie nabierasz. - Pozwoliła Rafe'owi sprowadzić się na parter. - Tak czy inaczej goście będą mieli o czym rozmawiać podczas śniadania.

- Liczę na to. Daj płaszcz. W tej części domu ogrzewanie już działa. - Zsunął płaszcz z jej ramion. - Wprawdzie nastawione jest na niski poziom, ale przynajmniej zęby nie dzwonią z zimna.

Regan odgarnęła włosy. Faktycznie. Nie dygotała.

- Co się dzieje na górze?

- Wszystko. Malowanie, wiercenie, cyklinowanie. Aha, urządzam dodatkową łazienkę. W związku z tym będę potrzebował umywalki na postumencie i staromodnej wanny na wygiętych nóżkach. Jeśli nie uda ci się znaleźć oryginalnej dziewiętnastowiecznej, od biedy może być współczesna udająca starą.

- Dobra, zorientuję się. - Potarła ręce, nie z zimna, lecz z podniecenia. - To co, pokażesz mi skończony salon, czy mam błagać?

- Pokażę, pokażę.

Nie mógł się tego doczekać. Co pięć minut wyglądał przez okno, sprawdzając, czy Regan nie nadjeżdża. Teraz, gdy już była na miejscu, odczuwał lęk i niepewność. Od prawie dwóch tygodni harował po dwanaście, czternaście godzin dziennie, żeby chociaż ten jeden pokój doprowadzić do idealnego stanu.

- Z farbą dokonaliśmy słusznego wyboru. - Wetknąwszy ręce do kieszeni, ruszył przodem. - Moim zdaniem, ładnie kontrastuje z listwą i podłogą. Miałem trochę kłopotów z oknami, ale w końcu chyba się wszystko udało.

Regan nie odzywała się. Przez moment stała w drzwiach, rozglądając się z zaciekawieniem, po czym, stukając obcasami, weszła do środka.

To, co zobaczyła, zaparło jej dech. Piękne wysokie okna, przez które wpadały promienie słońca, podłoga ze świeżo wypastowanych sosnowych desek. Czyste, gładkie ściany, zamiast ławy pod oknem - wygodne, przytulne siedzisko; odnowiony marmurowy kominek i mnóstwo innych zachwycających detali. Nie była w stanie dobyć z siebie słowa.

- Teraz trzeba wstawić meble, powiesić zasłony, a nad kominkiem to lustro, które znalazłaś - rzekł Rafe. Chciał, żeby Regan w końcu przemówiła, żeby powiedziała cokolwiek. - Muszę jeszcze

wymienić drzwi... - Zmarszczył czoło. - No dobra, o co chodzi? Coś przeoczyłem? Coś zrobiłem nie tak?

- A skądże! Jest przepięknie. - Zachwycona, pogładziła ręką lśniąca framugę okna. - Po prostu brak mi słów. Nie przypuszczałam, że masz tak niesamowity talent, - Obejrzawszy się, posłała mu uśmiech. - Przepraszam, nie chciałam, żeby to zabrzmiało... no wiesz.

- Wiem. Nie zabrzmiało. Sam byłem zdziwiony, kiedy odkryłem w sobie talent do naprawiania zepsutych rzeczy.

- Och, w tym wypadku to coś więcej niż naprawianie. To tworzenie. Ożywianie przeszłości. Na twoim miejscu byłabym z siebie bardzo dumna.

Wzruszyły go jej słowa. I nieco speszyły.

- E tam. Robota jak każda inna. Wystarczy młotek, gwoździe, trochę siły w rękach, trochę oleju w głowie.

Uniosła brwi, a on patrzył, jak jej włosy lśnią w blasku słońca. Ślina napłynęła mu do ust, a po chwili w gardle mu zaschło.

- Nie tylko utalentowany, ale i skromny. No, no! Nie żartuj, Rafe, musiałeś naprawdę ciężko harować, żeby w tak krótkim czasie osiągnąć taki rezultat.

- To, co widzisz, to głównie kosmetyka.

- Ale jaka piękna kosmetyka! - Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, kucnęła i z namaszczeniem pogładziła podłogę. - Zupełnie jak szklana tafla. A te słoje! Czym ją wypastowałeś? Ile dałeś warstw? - Ponieważ milczał, przysiadła na piętach i obejrzała się

za siebie. Uśmiech znikł z jej twarzy. - O co chodzi? Powiedziałam coś nie tak?

- Wstań - poprosił ochryplym głosem.

Wstała. Marzył o tym, żeby wziąć ją w ramiona, pocałować, ale nie ruszył się z miejsca. Bał się, że gdy zacznie, to nie zdoła przerwać.

- Pasujesz tu, do tego salonu. Do tego domu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cię pragnę... Na niczym innym nie potrafię się skupić.

Serce jej łomotało, piersi wznosiły się i opadały.

- Rafe...

- Jak długo każesz mi czekać? - spytał. - Nie jesteśmy dziećmi. Oboje wiemy, czego chcemy.

- Właśnie w tym rzecz. Nie jesteśmy dziećmi; powinniśmy być rozsądni.

- Rozsądnie trzeba przechodzić przez jezdnię. A idąc do łóżka, trzeba być odpowiedzialnym. I szalonym.

Na myśl o dzikim, szalonym seksie z Rafe'em zadrzała.

- Nie wiem, co robić... Zazwyczaj potrafię jasno precyzować swoje myśli, a teraz... Musimy poważnie porozmawiać, Rafe.

- Może ty musisz, ja nie. Ja swoje jasno sprecyzowałem. - Liczył na inną odpowiedź. Zły i sfrustrowany wyjrzał przez okno. -

Furgonetka przyjechała. Meble wstaw byle gdzie. Mam robotę na górze.

- Rafe...

Zmroził ją spojrzeniem, zanim ręka, którą wyciągnęła, zdołała go dosięgnąć.

- Lepiej mnie nie dotykaj. To byłby błąd, a ty ich nie lubisz popełniać.

- Jesteś niesprawiedliwy.

- Owszem, jestem. Każdy ci to powie. - Jego oczy ciskały gromy. - Twój czek leży na półce nad kominkiem.

Nie posiadając się z wściekłości, wyszła za nim do holu.

- MacKade! Przystanął na schodach.

- Słucham?

- Nie interesuje mnie, co inni mówią. Gdybym się przejmowała opinią ludzi, trzymałabym się od ciebie na dystans.

Nagle zobaczyła, że jakiś robotnik zaintrygowany głosami na schodach wychyla głowę zza drzwi.

- Spadaj! - warknęła, po czym zwracając się do Rafe'a, kontynuowała: - Sama o wszystkim decyduję. I bardzo nie lubię, jak się mnie ponagla. Każdy ci to powie.

Skierowała się ku drzwiom, żeby wpuścić tragarzy z meblami. Kiedy zerknęła za siebie, Rafe'a nie było. Rozpłynął się jak duch.

Mało brakowało, a wszystko by zaprzepaścił, pomyślał parę godzin później, oczyszczając pęknięcie w ścianie. Nie był pewien, dlaczego zareagował w taki właśnie sposób. Zazwyczaj potrafił powściągnąć złość. I nie wywierał na kobietach presji.

Może w tym tkwił problem? Że mógł mieć każdą, którą chciał? Wystarczyło skinąć palcem.

Lubił kobiety, ich wygląd, to, jak myślą, jak mówią, jak pachną. Te cudowne, ciepłe istoty czyniły życie ciekawszym. Marszcząc czoło, wcisnął w pęknięcie odrobinę zaprawy.

Kobiety stanowiły ważny element w jego życiu. Uwielbiał ich towarzystwo. Nie tylko przy stoliku w restauracji, również w łóżku, pomyślał z uśmiechem.

Ale co w tym dziwnego? Był facetem z krwi i kości.

Domy też stanowiły ważny element jego życia. Remontowanie ich sprawiało mu olbrzymią satysfakcję. Pieniądze, które otrzymywał po zakończonej pracy, również były nie do pogardzenia.

W końcu za coś trzeba żyć.

Jednak żaden dom nie był tak ważny, jak ten na wzgórzu. I żadna kobieta nie była tak ważna, jak Regan Bishop. Która przypuszczalnie porachowałaby mu kości, gdyby wiedziała, że porównuje ją do czegoś, co się składa z drewna, szkła, kamieni, tynku.

Po raz pierwszy w życiu całą swoją uwagę i energię poświęcał jednemu domowi oraz jednej kobiecie. Niebywałe!

Stary dom Barlowów prześladował go od lat. Regan zaś spotkał zaledwie miesiąc temu. Lecz zarówno ona, jak i dom pochłaniały go bez reszty.

Kiedy ujrzał ją dziś na schodach, hormony zaczęły w nim buzować, zupełnie jakby był nastolatkiem. Stracił głowę. Emocje w połączeniu z pożądaniem okazały się siłą, z którą nie potrafił sobie poradzić.

Masz się uspokoić, MacKade, tłumaczył sobie, wygładzając pęknięcie w ścianie. Skoro Regan potrzebuje czasu, to jej nie poganiaj. Przecież ci się nie spieszy. A jeśli nawet ona cię odrzuci... no cóż, przeżyjesz to.

Nagle usłyszał cichy płacz, a po chwili poczuł zimny powiew.

- Dobra, dobra, słyszę cię - mruknął, nie przerywając pracy. -
Lepiej przyzwyczaj się do mojej obecności. Bo ja tu zostaję.

Gdzieś w głębi domu zatrzasnęły się drzwi. Rafe uśmiechnął się pod nosem. Bawiły go te niekończące się dramaty: odgłosy kroków, szepty, szlochy. Przynajmniej teraz duchy będą miały pięknie odremontowany dom.

Szkoda, pomyślał, że nie może ich zobaczyć, tych istot, które krążą po piętrach. Że tylko je słyszy i czuje. Po plecach przebiegi mu dreszcz, jakby niewidoczne palce połaskotały go po krzyżu.

Wyteńczył słuch. Na korytarzu rozległy się kroki. Ku zaskoczeniu Rafe'a ucichły tuż za drzwiami pokoju, w którym pracował. Patrzył zaintrygowany, jak gałka w drzwiach się obraca. W tym momencie zgasła lampka i pokój pogrążył się w ciemności.

Chociaż za nic w świecie by się do tego nie przyznał, serce podeszło mu do gardła. Klnąc w duchu, Rafe wytarł spocone ręce o brudne dzinsy i ruszył po omacku do drzwi. Te otworzyły się, uderzając go w twarz.

Tym razem nie zaklął w duchu, lecz rzucił na głos siarczyste przekleństwo. Gwiazdy pulsowały mu przed oczami, a z nosa ciekła strużka krwi.

Usłyszał chrapliwy okrzyk, a zaraz po nim dojrzał niewyraźny kształt. Wściekły, nie zważając na ból, rzucił się w pogoń. Nie pozwoli, aby jakiś duch rozkwaszał mu nos.

Dopiero po paru sekundach uświadomił sobie, że trzyma w ramionach ciepłe, szamoczące się ciało, a po kolejnych paru rozpoznał znajomy zapach.

- Co wyczyniasz, do cholery?

- Rafe? - zapiszczała, wymachując w ciemności. Pacnęła go w brodę, zanim w końcu zarzuciła mu ręce na szyję. - Boże, ale mnie wystraszyłeś! Myślałam, że... sama nie wiem. Ale usłyszałam... i przybiegłam na górę...

Odsunął ją na bok. W słabym blasku lampki zawieszanej przy schodach zobaczył przeraźliwie bladą twarz.

- Co tu robisz?

- Byłam po południu na aukcji w Pensylwanii, kupiłam kilka drobiazgów i uznałam, że... Ojej, krew ci leci.

- Co ty powiesz? - Wierzchem dłoni przetarł nos.

- Chyba go nie złamałaś. Raz mi w zupełności wystarczy.

- To ja... - Przycisnęła rękę do serca pewna, że za moment wyskoczy jej z klatki piersiowej. - To ja uderzyłam cię drzwiami? Przepraszam... - Z kieszeni żakietu wyciągnęła chustkę. - Trzymaj. Albo nie, ja sama... - Przyłożyła mu chustkę do nosa. - Wiesz...

- Zaczęła chichotać; nie była w stanie się pohamować.

- Boże, ja... ja...

Poddała się. Trzęsąc się ze śmiechu, osunęła się na podłogę.

- Masz rację, strasznie to zabawne.

- Przepraszam. Ja... Usłyszałam coś, jakieś hałasy, i nie mogłam się powstrzymać. Uznałam, że muszę zobaczyć te słynne duchy, które tu straszą. I wtedy ty wypadłeś z pokoju.

- Całe szczęście, że nie wyrządziłem ci krzywdy.

- Wiem.

Zmrużywszy oczy, obserwował, jak Regan zanosi się śmiechem.

- Jeszcze nie wszystko stracone - mruknął.

- Pomóż mi wstać. - Starła łzy, które ciekły jej po policzkach. -
Zrobię ci zimny kompres.

- Sam sobie zrobię. - Nieco bezceremonialnie podciągnął ją w górę.

- Przestraszyłam cię? - spytała, idąc za Rafe'em do kuchni.

- Nie żartuj.

- Ale też słyszałeś, prawda? Te odgłosy? - Pośpiesznie minęła strefę zimna na schodach.

- Jasne, że tak. Zawsze je słychać wieczorem. I zwykle kilka razy w ciągu dnia.

- One... te duchy ci nie przeszkadzają? Rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

- A dlaczego miałyby przeszkadzać? To jest również ich dom.

- Niby tak.

Rozejrzała się po kuchni. Stała tu mała, zdezelowana lodówka, kuchenka z dwoma działającymi palnikami i stół z opartych na

kozlach starych drzwi. Rafe skierował się do pordzewiałego zlewu i puścił zimną wodę.

- Masz jakąś czystą szmatkę? - spytała Regan. W odpowiedzi pochylił się nad zlewem, podstawiał ręce pod kran i opłukał twarz.

- Bardzo boli? - Przybrała skruszoną minę.

- Owszem. - Chwycił z haczyka postrzępiony ręcznik i wytarł twarz, po czym bez słowa wyjął z lodówki butelkę piwa.

- Już nie krwawi.

Zerwał kapsel, cisnął go w kąt i jednym haustem opróżnił niemal połowę butelki. Regan podjęła kolejną próbę.

- Nie widziałam twojego samochodu. Uznałam, że w domu nikogo nie ma.

- Devin mnie podrzucił - odparł. Nie było sensu się droczyć. - Czasem, jak mi się dłużej zezdnie, to tu nocuję. Na wieczór zapowiadali burzę śnieżną. Nie chciałem, żeby mnie zasypało. W razie potrzeby do miasta dojdę na piechotę.

- No tak, to wszystko wyjaśnia.

- Napijesz się?

- Nie lubię piwa.

- Przykro mi, szampan się skończył.

- Powinnam wracać do siebie... - Odgarnęła włosy z twarzy. - Kupiłam dziś świeczniki i piękny zestaw przyborów kominkowych. Przyjechałam prosto z aukcji, chciałam zobaczyć, jak będą się prezentować.

Pociągnął łyk z butelki.

- No i jak się prezentują?

- Nie wiem. Kiedy usłyszałam te dziwne hałasy, zostawiłam wszystko w holu i ruszyłam na górę.

- Na poszukiwanie duchów?

- Tak. Może teraz, przed wyjściem, poustawiam świeczniki...?

Z butelką piwa w ręce skierował się za Regan do holu.

- Trochę ci od rana opadły emocje?

- Trochę. - Przyjrzała mu się spod oka. – Ale przywalenie ci w nos, chociaż zrobiłam to niechętnie, sprawiło mi dużą przyjemność. Zachowałeś się rano jak dupek.

Podniosła z podłogi karton i powędrowała do salonu.

- Po prostu powiedziałem, co myślę. Niektóre kobiety cenią szczerłość.

- Niektóre kobiety lubią dupków. - Postawiła karton na stoliku pod oknem. - Ja nie. Ja lubię prostotę, uprzejmość, takt. Których to cech ty nie posiadasz.

- Obróciwszy się, uśmiechnęła się szeroko. - Ale zważywszy na okoliczności, powinniśmy ogłosić rozejm. - Na moment zamilkła. - A kto ci wcześniej złamał nos?

- Jared. W dzieciństwie. Walczyliśmy na sianie, on się zamachnął, no i...

Pokiwała głową. Nie rozumiała, dlaczego chłopcy tak bardzo lubią się bić.

- Czyli tu sobie urządziłeś sypialnię? - Wskazała na śpiwór rzucony na podłogę przed kominkiem.

- Na razie to najcieplejszy pokój w całym domu. I najczystszy.

Zważywszy na jakie okoliczności?

- Oj, nie stawiaj butelki bezpośrednio na stoliku.

- Ze srebrnego koszyczka wyjęła podkładkę. - Do antyków trzeba podchodzić z...

- Szacunkiem? - Posłusznie postawił butelkę na podkładce. -

Regan, o jakich okolicznościach mówisz?

- Łączą nas choćby sprawy zawodowe. - Wolnym krokiem wróciła do stolika przy oknie. - Oboje chcemy przywrócić temu domowi jego dawną świetność, więc bez sensu byłoby się kłócić.

Prawda, jakie ładne?

- Wyjęła z kartonu szczypce, pogrzebacz i szufelkę.

- Trzeba je trochę oczyścić.

- O wiele ładniejsze od łomu, którym się dotąd posługiwałem.

Stał z rękami w kieszeniach, patrząc, jak Regan ostrożnie umieszcza przybory kominkowe na specjalnym stojaku. Odsunąwszy się krok, przez moment spoglądała w płomienie.

- Wciąż szukam dobrego ekranu, bo ten bardziej pasuje do któregoś z kominków na piętrze. Tamte też będą działać?

- Nie wiem kiedy, ale tak.

Znał ją zaledwie kilka tygodni. Więc skąd wiedział, że sama z sobą toczy walkę? Opadające włosy zasłaniały jej twarz. Sprawiała wrażenie spokojnej, rozluźnionej, pewnej siebie. Może zdradzały ją zaciśnięte dłonie, a może to, że unikała jego wzroku.

- Regan, dlaczego tu przyjechałaś?

- Już ci mówiłam. - Podeszła do kartonu. - W samochodzie mam więcej rzeczy kupionych na aukcji, ale na razie się z nimi wstrzymam. Natomiast te świeczniki... - Odwinęła je z papieru. - Sam zobacz. Ich miejsce jest na tym stole. Obok wazonu. A propos wazonu, nie może stać pusty. Nawet zimą muszą być w nim kwiaty.

Postawiła świeczniki, przyjrzała im się krytycznym wzrokiem, przesunęła wazon na środek.

- Najlepiej pasowałyby tulipany, tylko nie wiem, czy zimą są do kupienia - kontynuowała, wyjmując z kartonu dwie białe świece. - Ale mogą być też chryzantemy i oczywiście róże. - Uśmiechnęła się. - Co o tym myślisz?

Bez słowa wziął leżącą nad kominkiem paczkę zapalek i przytknął płomyk do świec.

- Ładne.

- Nie chodzi mi o świece, lecz o salon. Jak ci się podoba wystrój? - Przeszedłszy na środek pokoju, pogładziła ręką oparcie sofy.

- Jest idealny. Tak jak ty.

- Nie! Ja nie! - zawołała, swoim nieoczekiwanym wybuchem zaskakując ich oboje. - Peszę się, jak mówisz takie rzeczy. Bo... tego zawsze po mnie oczekiwano. Że będę doskonała, a nie jestem. Tu, w tym pokoju, wszystko stoi równo, na swoim miejscu, a ja... we mnie się kłębí. - Nerwowym ruchem przeczesła włosy. - Kiedyś byłam inna. Nie, nie podchodź. - Cofnęła się, gdy wykonał krok w jej stronę.

- Stój tam, gdzie jesteś. - Wyraźnie spięta, zaczęła przemierzać pokój. - Dziś rano mnie wystraszyłeś.

Miał ochotę ją przytulić. Z najwyższym trudem powściągnął odruch.

- Jak? Czym?

- Jeszcze nikt mnie tak bardzo nie pragnął, jak ty.

- Przystanąwszy, potarła ramiona, jakby chciała się rozgrzać. - Patrzysz na mnie, jakbyś wiedział, co nas czeka. A ja... nie mam nad tym żadnej kontroli.

- Myślałem, że mówiąc wprost, czego chcę, dam ci kontrolę.

- Nie o to chodzi. Nie mam kontroli nad własnymi uczuciami.

Musisz sobie zdawać sprawę, jak ludzie na ciebie reagują.

- Nie rozmawiamy o ludziach.

- No dobrze. Więc musisz sobie zdawać sprawę, jak działasz na mnie. - Na moment zamilkła, usiłując opanować emocje. - Tak, pragnę cię. Jak sam powiedziałaś, nie jesteśmy dziećmi; jesteśmy dorosłymi ludźmi, którzy wiedzą, czego chcą. Bronię się przed uczuciem, ale...

Zmrużył oczy.

- Czego chcesz, Regan? Czego oczekujesz? Że po takim wyznaniu będę stał jak kołek i...

- Chcę podjąć rozsądną decyzję - przerwała mu.

- Kierując się rozumem, a nie chucią. - Wzięła głęboki oddech. -

Ale kiedy cię widzę, mam ochotę zerwać z ciebie ubranie.

Roześmiał się; śmiech pomógł mu rozładować napięcie.

- Nie będę cię powstrzymywał.

Kiedy podszedł krok w jej stronę, cofnęła się pośpiesznie.

- Chciałem tylko sięgnąć po piwo. - Podniósł butelkę. - Zaschło mi w gardle. - Pociągnął kilka łyków, ale to nie złagodziło pieczenia. - Sytuacja wygląda więc następująco: kobieta i mężczyzna, oboje wolni, zdrowi, dorośli, czują do siebie silny pociąg erotyczny...

- Ale prawie się nie znają - wtrąciła Regan. - Prawie nic o sobie nie wiedzą. Nie powinni wskakiwać do łóżka jak do basenu w upalny letni dzień.

- Do basenu zawsze wskakuję. Nie wsuwam się po centymetrze.

- A ja się wsuwam. - Starając się zachować spokój, splotła ręce. - Lubię wiedzieć, w co się pakuję i co z tego może wyniknąć.

- Nigdy nie idziesz na skróty, nie zbaczasz z o-branej trasy?

- Nie. Trzymam się wyznaczonego celu. Po prostu taka jestem. - Pogratulowała sobie w duchu: zdołała opanować nerwy, mówiła w sposób rzeczowy, racjonalny. - W drodze na aukcję miałam sporo czasu na myślenie. I doszłam do wniosku, że musimy zwolnić, Rafe; zastanowić się, co dalej.

Skoro zdołała opanować nerwy, to dlaczego wciąż miętosi róg zakietu?

- To jak z tym domem - kontynuowała po chwili.

- Na razie wyremontowałeś jeden pokój. Ale przystępując do pracy, miałeś w głowie plan całości. Moim zdaniem relacje między dwojgiem ludzi powinny być równie starannie przemyślane, jak remont domu.

- Brzmi sensownie.

- To dobrze. - Odetchnęła głęboko. - Więc zamiast przyspieszać, zwolnimy. - Drżącą ręką sięgnęła po płaszcz. - Tak będzie najrozsądniej.

- Masz rację. - Rafe odstawił piwo. - Regan? Przyciskała płaszcz do piersi, jakby to była lina ratunkowa.

- Co?

- Nie odchodź. Zostań.

- Boże. - Westchnęła. - Bałam się, że nigdy tego nie powiesz.

Rzuciła mu się w ramiona.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- To szaleństwo - szepnęła, wsuwając palce we włosy Rafe'a. - Nie chciałam tego robić.

Na moment oderwał wargi od jej ust.

- Dobrze - mruknął. - To nic nie rób. Sam sobie poradzę.

- Wszystko przemyślałam. - Kolana miała jak z waty. - Słowo honoru. To, co mówiłam, naprawdę ma sens. A to... teraz... my... to chemia. Zwykły fizyczny pociąg.

- Tak, pociąg. - Jednym ruchem zsunął jej z ramion żakiet i przytulił ją mocno do siebie. - Wyłącz myślenie.

Całował jej usta, policzek, szyję. Była gładka, pachnąca, tak jak to sobie wyobrażał. Oddychając ciężko, Regan odchyliła głowę. Po chwili żakiet leżał na podłodze, a ręce Rafe'a, duże i silne, błądziły pod jej swetrem.

Jedwabista skóra i koronkowa bielizna, wgłębienia i delikatne krągłości. Odnajdywał wszystko po kolei, lecz pragnął więcej, jeszcze więcej.

Przeżywała tortury. On też.

Sprawnym ruchem rozpiął guzik jej spodni, opuszkami palców zaczął gładzić aksamitny brzuch. Napierała na jego dłoń, leciutko kasała po szyi.

Mógł ją posiąść tu i teraz, tu i teraz rozładować straszliwe napięcie.

Ale pragnął czegoś więcej.

Ściągnął jej sweter przez głowę, rzucił go na podłogę, rękę przyłożył do jej piersi. Cienka koronka niewiele skrywała.

- Tak sobie ciebie wyobrażałem.

- Wiem.

Uśmiechając się, zsunął ramiączko stanika.

- Ale nawet nie podejrzewasz, co z tobą w myślach wyczyniałem. Zaraz ci pokażę...

Nie odrywając oczu od twarzy Regan, odpiął jej stanik. Zadrżała i po chwili osunęła się na podłogę. Leżała na plecach, na cienkim śpiworze, i oddychając gorączkowo, zdierała z Rafe'a koszulę. Tak bardzo chciała czuć jego ciało, że zakłęła w duchu, kiedy zobaczyła, że dzieli ich jeszcze jedna warstwa odzieży. Rafe ściągnął podkoszulek. Przytknęła usta do jego torsu.

- Dotykaj mnie - szepnęła. - Dotykaj. Wszędzie. Nie potrzebował zachęty. Obok w kominku syczał ogień. Płomienie trawiły ich oboje.

Buty i spodnie wylądowały obok jej ciuszków. Wreszcie! Spełniło się jego marzenie: wiała się pod nim cudowna i naga. Pragnął słyszeć, jak woła jego imię, jak jęczy z rozkoszy. Uniósłszy się na kolanach, zaczął pieścić ustami jej brzuch.

Krzyknęła. Krzyczała raz po raz. Wołała jego imię. Wstrząsana serią dreszczy, mruzczała, że chce jeszcze więcej.

Więc dawał więcej, więcej rozkoszy, więcej pocałunków, więcej pieścizot. Dawał i brał. Turlali się po śpiworze, po podłodze; Regan wbijała paznokcie w plecy Rafe'a, ścisnęła go w pasie, on ją całował

po twarzy, po oczach, po szyi. Wreszcie rozprostował jej ramiona i już była jego. Poruszali się wolno, rytmicznie, patrząc sobie głęboko w oczy. A kiedy Rafe się pochylił, kiedy przytknął wargi do jej warg, ich ruchy nabrały przyśpieszenia.

Obudził ją chłód. Nie mogła uwierzyć, że usnęła, a jednak... Dopiero po chwili zorientowała się, że leży na twardej drewnianej podłodze, przygnieciona ciałem Rafe'a.

Przekręciła głowę w prawo, w lewo. Hm, znajdowali się ze trzy metry od kominka.

- Nie śpisz? - usłyszała nad sobą gruby, lekko zaspany głos.

- Chyba nie. - Z trudem wciągnęła powietrze. - Ale nie jestem pewna.

Zniżywszy się, musnął ustami jej pierś. W odpowiedzi zadrżała.

- O nie, zdecydowanie nie śpię.

- Zmarzłaś. - Przesunął ją z zimnej podłogi na puchowy śpiwór. Żałował, że nie jest to szerokie łóżko z miękkim materacem. - Lepiej?

- Tak. - Lekko speszona, przyciągnęła do brody róg śpiwora.

Jeszcze nigdy przed nikim nie była tak bardzo obnażona, fizycznie i psychicznie. - Chyba zasnęłam.

- Na kilka minut. - Uśmiechnął się zadowolony, jakby wspiał się na wysoki szczyt. I jakby mógł zdobyć kolejnych dziesięć. - Dorzucę parę szczapek.

Wstał nieskrępowany własną nagością i skierował się do kosza z polanami. Na widok jego ramion Regan zaniemówiła. To ona go tak podrapała! Boże...

- Powinnam już iść. Cassie będzie się niepokoić. Rafe przysunął ekran bliżej kominka, sięgnął do leżącej przy koszu torby i wyjął komórkę.

- Zadzwoń do niej.

- Nie wiedziałam, że masz telefon.

- To takie samo narzędzie pracy jak młotek. - Podał jej aparat i usiadł obok. - Zadzwoń. I zostań.

Powinna wrócić do domu, ale... Nie spuszczać oczu z twarzy Rafe'a, posłusznie wystukała własny numer.

- Cassie, to ja... Tak, wszystko w porządku... Śnieżyca? - Przez moment nie wiedziała, o czym przyjaciółka mówi. Odgarnęła włosy z czoła. - Tak, potwornie sypie. Właśnie dlatego dzwonię. Trochę dłużej mi się zeszło i...

Urwała, kiedy Rafe pociągnął za szpiwór i zaczął gładzić ręką jej pierś.

- Co...?

Z trudem zdławiła jęk rozkoszy. Miejsce ręki zajęły usta Rafe'a. Osunęła się bezwładnie na plecy.

- Jaka Pensylwania? Nie, nie jestem w Pensylwanii.

Rafe zabrał jej telefon.

- Cześć, Cassie. Regan jest ze mną. Zostanie tu na noc... Serio? W porządku, zadzwoni rano. - Rozłączywszy się, odłożył komórkę na bok. - Cassie mówi, że spadło ze trzydzieści centymetrów śniegu i ulice są nieprzejezdne, więc masz się stąd nie ruszać.

- Hm... - zamruczała Regan, przeciągając się zmysłowo. - To świetna rada.

Kiedy się obudziła, świece już zgasły, a w kominku zarzyły się tylko małe węgielki. W ciszy, jaka panowała w domu, słyszała bicie własnego serca.

Mimo przesuwających się po ścianach cieni odczuwała wielki spokój. Pomyślała, że duchy chyba poszły spać. A może, ponieważ Rafe spał obok, po prostu się ich nie bała.

Przekręciła głowę i w gasnącym blasku węgielków przez moment przyglądała się jego twarzy. Nawet we śnie nie miał w sobie nic z niewinności dziecka. Była to twarz mężczyzny silnego, władczego, nieustraszonego.

Zdawała sobie sprawę, że Rafe potrafi być też troskliwy i delikatny. Widziała, że taki jest w stosunku do Cassie. Ale jako kochanek był dziki, nieokiełznany, zaborczy.

Po raz pierwszy w życiu ona również taka była.

Teraz, gdy leżała w ciszy, wprost nie mogła uwierzyć, że tej nocy zdobyła się na takie szaleństwo, że pozwoliła Rafe'owi na tak wiele, że sama go zachęcała.

Ciało miała pokryte sińcami. Ciekawe, co poczuje, oglądając je w świetle dnia. Czy spłonie ze wstydu na wspomnienie tego, co Rafe wyczyniał swoimi dłońmi i językiem?

I na wspomnienie tego, co ona wyczyniała.

Och, jak bardzo marzyła o powtórce!

Ostrożnie, nie budząc Rafe'a, wysunęła się z jego objęć. Włożyła flanelową koszulę i zapinając guziki, poczłapała bosą do kuchni.

Chciała się napić zimnej wody. I na spokojnie przemyśleć całą sytuację. Podstawiła szklanę pod kran. Czekała, aż się napelni, obserwowała padający za oknem śnieg.

Niczego nie żałowała. To byłoby głupie. Los postawił na jej drodze fantastycznego kochanka. Rzadko która kobieta ma szczęście trafić tak dobrze. Postanowiła się tym cieszyć, czerpać radość z fizycznej rozkoszy. I nie pozwolić, by cokolwiek, ani seks, ani Rafe, skomplikowało jej życie.

Rafe miał rację. Nie są dziećmi. Oboje wiedzą, czego chcą. Kiedy dom będzie gotowy, Rafe przypuszczalnie ruszy dalej w świat. Na razie jednak mogą cieszyć się swoim towarzystwem. A gdy nadejdzie koniec, rozstaną się w przyjaźni.

Pewnie dobrze byłoby porozmawiać na temat wzajemnych oczekiwań lub ich braku, zanim sprawy posuną się za daleko. Czuli jednak wewnętrzny opór.

Rafe stał w progu, patrząc, jak Regan w obszernej flanelowej koszuli sięgającej do połowy ud spogląda w okno. Przyszło mu do głowy, że nigdy w życiu nie widział równie pięknego widoku. Chciał jej to powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, słów, którymi zdołałby wyrazić, jak wiele dla niego znaczy.

Zadowolili się więc banałem. Ignorując klucie w sercu, które czuł od samego patrzenia, oznajmił lekkim tonem:

- Hej, skarbie, podoba mi się twój seksowny strój. Podskoczyła, niemal wypuszczając z ręki szklanę, po czym odwróciła się od okna. Miał na sobie dzinsy - niezapięte. Szczercząc zęby, opierał się nie dbając o framugę.

- Mnie twój również - odparła takim samym lekkim tonem.

- Nie możesz spać?

- Pić mi się chciało. - Odstawiła szklanę, nawet nie biorąc z niej łyka. - Obudziła mnie cisza. To dziwne, nie sądzisz? Jest cicho jak makiem zasiał.

- Kiedy pada śnieg, hałasy zawsze ustają.

- Chodzi mi o dom. Mam wrażenie, jakby nagle zapanował w nim spokój.

- Nawet martwych żołnierzy i nieszczęśliwe kobiety czasem morzy sen. - Przemierzył kuchnię i sam opróżnił szklanę. - Już prawie świta... Mówiłem ci, że dawno temu, kiedy byliśmy dziećmi, moi bracia i ja spędziliśmy tu noc...?

- Potrzęsalicie łańcuchami, straszycie się opowieściami o duchach i paliliście skradzione fajki?

- Jakbyś zgadła. Pamiętam, że wszedłem tu, do tej kuchni. Też o świcie. Tyle że wtedy była inna pora roku, późne lato, nie zima. Wszystko wokół kwitło, las wydawał się gęsty, tajemniczy. Nad ziemią wisiała mleczna mgła. Było pięknie. I nagle wydało mi się... - urwał.

- Co? Powiedz - poprosiła, kładąc rękę na jego ramieniu.

- Że słyszę, jak żołnierze zwijają obóz i szykują się do walki. Czułem ich strach i podniecenie. Słyszałem też, jak na piętrze budzą się domownicy. Przerazony, nie byłem w stanie się ruszyć. Gdybym mógł, zwałbym. Bracia do dziś by się ze mnie naśmiewali.

- Byłeś dzieckiem, chłopcem.

- No właśnie, chłopcy nie powinni się bać. Spędziłem w domu całą noc, nawet mi się podobało. Ale potem nadszedł świt, a ja stałem w kuchni, trzęsąc portkami ze strachu. Po jakimś czasie hałasy ucichły. Wtedy przysięgłem sobie, że nikt i nic mnie już nie pokona, żadna mgła, żaden las, żaden dom.

Uśmiechnął się i odstawił szklanke.

- Nie umiem zliczyć, ile razy przychodziłem tu później sam. Czekałem, aż coś się wydarzy, żebym mógł wykazać się odwagą. Krążyłem po pokojach, widziałem cienie, słyszałem szepty, szmery. Wyjeżdżając z miasta, obiecałem sobie, że któregoś dnia wrócę do Antietam i kupię ten dom.

- Dotrzymałeś słowa.

- Dotrzymałem. - Popatrzył na nią lekko zawstydzony. - Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

- Więc zachowam twoją tajemnicę dla siebie. - Poglądziła go po policzku. - Bez względu na to, co tobą kierowało, postąpiłeś słusznie. I szlachetnie.

- Bałaś się, spędzając tu noc?

- Czego? Domu? Że straszy? Nie.

Uniósł brwi.

- A czego? Mnie się bałaś?

- Tak - przyznała.

Błysk wesołości znikł z jego oczu.

- Byłem zbyt brutalny...

- Nie o to chodzi. - Odruchowo postawiła czajnik na kuchence, włączyła palnik. - Po prostu nigdy wcześniej nie zachowywałam się tak, jak wczoraj z tobą. Zupełnie straciłam kontrolę. Prawdę mówiąc, dziwię się... - urwała, szukając filtra do kawy.

- Dziwisz się czy żałujesz?

- Och nie, Rafe. Nie żałuję. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Niczego nie żałuję. Ale boję się, bo wiem, do jakiego stanu potrafisz mnie doprowadzić. - Na moment umilkła. - Podejrzewałam, że seks z tobą będzie fantastycznym przeżyciem, ale nie przypuszczałam, że ziemia się pode mną zatrzęsie. Jesteś nieprzewidywalny, a ja lubię porządek, lubię mieć wszystko zaplanowane.

- Mylisz się. Jestem bardzo przewidywalny. Pragnę cię.

- Kiedy mówisz takie rzeczy, serce mi łomocze i ciarki przebiegają po plecach. Ale... - Odmierzyła dwie kopiaste łyżeczki kawy. - Ale za niecałą godzinę przyjdą twoi pracownicy. To nie jest najlepszy moment na poważną rozmowę.

- Dziś nikt nie przyjdzie. W nocy spadło pewnie z pół metra śniegu.

Ręka jej zadrżała, odrobina kawy wylądowała na kuchence.

- Jesteśmy zasypani, skarbie. Możemy rozmawiać do nocy. Przeczyściwszy gardło, utkwiała spojrzenie w twarzy Rafe'a.

- Lepiej będzie, jak sobie pewne sprawy wyjaśnimy. Żeby nie było nieporozumień - rzekła.

- Jakie sprawy?

- No... nasze. Łączą nas relacje erotyczne, cudowny seks bez zobowiązań, bez obietnic, bez... bez...

- Komplikacji?

- No właśnie. - Zadowolona, skinęła głową. Rafe podrapał się po brodzie. Seks bez zobowiązań odzwierciedlał również jego pragnienia, więc dlaczego jej słowa tak bardzo go zirytowały?

- Kochana moja, jeśli będąc ze mną, planujesz się również widywać z kimś innym, to nie zdziw się, że połamie mu kości...

- Ależ co ty...

- I obetnę...

- Przestań! Nie mam zamiaru się z nikim widywać, ale gdyby...

- Nie gdybaj, proszę - rzekł cicho. - Powiedzmy, że łączy nas cudowny monogamiczny seks bez zobowiązań. Pasuje ci?

Powoli zaczęła wlewać wrzątek do filtra.

- Owszem, pasuje.

- Oj, Regan, Regan. Chcesz spisać umowę w trzech egzemplarzach?

- Chcę tylko, abyśmy oboje wiedzieli, na czym stoimy.

Zostaliśmy kochankami, zanim się dobrze poznaliśmy. Nie chcę, byś myślał, że liczę na coś więcej.

- A jeśli ja liczę na więcej? Kłykcie jej zbieleły.

- Liczysz?

Popatrzył w okno na wirujące płatki śniegu.

- Nie - odparł.

Zacisnęła powieki. Próbowwała wmówić w siebie, że czuje jedynie ulgę.

- Czyli wszystko jest jasne.

- Tak, wszystko jest jasne - oznajmił równie beznamiętnym głosem jak ona. - Nie zależy ci na romantycznych uniesieniach ani na wyznaniach, a to znaczy, że nie muszę cię okłamywać. Czujemy do siebie wyłącznie pociąg erotyczny. - Sięgnął po dwa kubki. - To bardzo sprawę upraszcza.

- Rafe, pragnę cię fizycznie... - Wzięła od niego kubki. - Ale gdybym nie darzyła cię sympatią, nie poszłabym z tobą do łóżka. Innych facetów też pragnęłam, a jednak z nimi nie spałam.

Odgarnął jej włosy za ucho.

- Próbujesz mnie rozgniewać?

- Nie, próbuję być szczerą. Nie przyjechałabym tu wczoraj, mając nadzieję, że cię zastanę, gdybym cię nie lubiła.

- Przyjechałaś podrzucić świeczniki - zauważył.

- Głupi jesteś - stwierdziła z rozbawieniem. Podniosła dzbanek i naląła kawy do kubków. - Chyba w to nie uwierzyłeś?

- Uwierzyłem - przyznał, biorąc swój kubek.

- Naiwniak. - Uśmiechnęła się pod nosem.

- A może nie lubię podstępnych, agresywnych kobiet?

- Uwielbiasz. Marzysz o tym, żebym się na ciebie rzuciła.

- Tak sądzisz?

- Jestem tego pewna. Ale najpierw chcę się napić kawy.

Zmrużył oczy.

- A ja chcę z powrotem moją koszulę. Nie spytałaś, czy możesz ją pożyczyć.

- W porządku. - Wolną ręką rozpięła guziki. - Weź ją.

Wyjął kubek z jej ręki, postawił oba na blacie, po czym zgarnął Regan w ramiona i wyszedł do holu. Śmiejąc się wesoło, zaczęła całować Rafe'a po uchu. Nagle otworzyły się drzwi; w progu stanęła przysypana śniegiem postać, a do środka wpadł powiew mroźnego powietrza.

Shane. Ściągnął z głowy czapkę, otrząsnął się jak pies po wyjściu z wody i kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

- Cześć, Regan. Twój samochód jest zakopany po koła.

Chwyciła połę koszuli, próbując się zasłonić.

- Tak, sporo napadało - rzekła, siląc się na neutralny ton.

- Dobrze ponad pół metra. - Nie okazując cienia skrepowania,

Shane wyszczerzył zęby do brata.

- Uznałem, że bez pomocy stąd nie wyjedziesz.

- A czy ja wyglądam jak ktoś, kto chce wyjechać?

- Pokręciwszy gniewnie głową, Rafe przeszedł do salonu i ułożył Regan na sofie. - Nie ruszaj się.

- Rafe! - Pociągnęła dół koszuli, usiłując zakryć gołe uda. - Na miłość boską!

- Nie ruszaj się - powtórzył, po czym wrócił do holu.

- Świeżo zaparzona kawa? - Shane wciągnął w nozdrza rozchodzący się po parterze zapach. - Chętnie bym się napił.

- Daj mi jeden powód, dlaczego mam cię nie zabić. Najmłodszy brat zdjął rękawice i zaczął chuchać w przemarznięte dłonie.

- Bo jechałem w śnieżycy, żebyś tu nie ugrzązł.

- Zapuścił żurawia, ale drzwi salonu były przymknięte.

- Niezłe ma dziewczyna nogi.

- Gdzie chcesz być pochowany?

- Po prostu stwierdzam fakt. - Uśmiechnął się szeroko, ukazując słynny dołeczek MacKade'ów.

- Hej, skąd mogłem wiedzieć? Pomyślałem sobie, że będziesz tu tkwił sam jak palec, więc zrobię dobry uczynek. Potem zobaczyłem samochód Regan i uznałem, że może się jej przyda holownik. - Postąpił krok w stronę salonu. - Właściwie to mógłbym ją spytać...

- Jeszcze jeden krok i będzie po tobie!

- Ale może ona chce wrócić do miasta? - Widząc minę brata, Shane wybuchnął śmiechem. - Tylko mnie nie bij. Jestem tak zmarznięty, że złamię się wpół.

Mruczając pod nosem groźby, Rafe chwycił brata za kołnierz i pociągnął do kuchni. Tam nalał mu kawy do termosu.

- A teraz spadaj.

- Już idę. - Shane wypił łyk. - Najgorszy jest ten wiatr. - Czując, jak ciepło rozchodzi mu się po ciele, ponownie zbliżył termos do ust. - Przepraszam, stary, nie chciałem wam przeszkadzać. - Widząc

zniecierpliwienie na twarzy Rafe'a, zakręcił termos. - To coś poważnego?

- Pilnuj własnego nosa.

- Pilnuję, w końcu jesteś moim bratem. A Regan to porządna dziewczyna.

- Więc?

- Więc nic. - Przesząpił z nogi na nogę. - Lubię ją. Kiedyś nawet myślałem, że... - Ugryzł się w język; nie chciał brata denerwować.

- Co myślałeś?

- No przecież wiesz. Wystarczy na nią spojrzeć. Od razu człowiekowi przychodzą do głowy różne głupie myśli.

Zrobił unik. W samą porę. W przeciwnym razie mógł stracić wszystkie zęby.

- Chryste, nawet jej nie tknąłem. - Rozłożył ręce w geście pokoju. - Chcę powiedzieć: brawo, cieszę się, zgarnąłeś pulę!

Złość wyparowała z Rafe'a. Sięgnął po dzbanek.

- Śpimy ze sobą. To wszystko.

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Regan różni się od innych kobiet. Jeszcze tego sobie dokładnie nie przemyślałem, ale zależy mi na niej.

- Prędzej czy później każdy się zakochuje. - Shane poklepał Rafe'a po gołym ramieniu. - Nawet taki twardziel jak ty.

- A kto mówi o zakochaniu? - mruknął Rafe.

- Nikt. Macie zapasy jedzenia?

- Tak.

- No dobra, to spadam. Podobno około południa przestanie sypać. - Shane wyjrzał przez okno. - Muszę się zająć zwierzętami, więc gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń do Devina, bo ja nie usłyszę telefonu.

- W porządku. Shane... - Rafe zmierzył brata groźnym spojrzeniem. - Jeśli choć zerkniesz do salonu, zabiję cię.

- Nogom już się przyjrzałem. - Pogwizdując wesoło, Shane wędrował ku drzwiom. - Do zobaczenia, Regan! - zawołał, patrząc jednak prosto przed siebie.

Regan siedziała z podciągniętymi kolanami. Po wyjściu Shane'a przycisnęła do nich twarz. W takiej pozie zastał ją Rafe.

- Skarbie, przepraszam. Powinienem był zamknąć drzwi na klucz. - Położywszy dłoń na jej ramieniu, usiadł obok na sofie. - Shane to idiota. No, nie gniewaj się.

Usłyszał dziwny przytłumiony dźwięk, a kiedy podniosła głowę, zobaczył, że twarz ma mokrą od łez. Nie, nie płakała. Śmiała się do rozpuku.

- Boże, ale przedstawialiśmy sobą widok! - Trzymała się za brzuch. - Ty i ja półnaczy, a Shane przysypany śniegiem jak legendarny yeti.

- Uważasz, że to śmieszne?

- Uważam, że to komiczne! - Łzy ciekły jej ciurkiem. - Bracia MacKade. Boże, w co ja się wpakowałam?

- W co? - Objął ją z całej siły. - Oddaj koszulę, to ci pokażę, w co!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Otulona śpiworem spała przy rozpalonym kominku. Płomienie strzelały w górę, ogrzewając ją swym ciepłem. Jej sny były równie przepojone erotyzmem, jak kilka ostatnich godzin na jawie. Czując coraz większe podniecenie, przysunęła się do kochanka. Okazało się jednak, że leży sama. Rozczarowana, westchnęła cicho.

Ogień buzował żywo, czyli przed wyjściem z pokoju Rafe dorzucił trochę szczapek. Poza trzaskiem płomieni słychać było tykanie stojącego nad kominkiem zegara. Dookoła leżało porozrzucone ubranie, buty, podarta koronkowa bielizna - niemi świadkowie odbywających się na podłodze miłosnych igraszek.

Przeciągnęła się. Żałowała, że nie ma tu Rafe'a. Że nie może ugasić jej żaru.

Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś podobnego. Usiadłszy, zaczęła masować zeszywniałe członki. Nawet nie przypuszczała, że jest zdolna do takiej namiętności. Wcześniej nie przywiązywała wagi do seksu. Uważała się za osobę mało rozbudzoną erotycznie. Ciekawe, co by o tym powiedział Rafe?

Ziewnęła szeroko, sięgnęła po sweter i wciągnęła go przez głowę.

Co by powiedział? Pewnie byłby z siebie bardzo dumny.

Kilka ostatnich lat żyła w celibacie. Ale to nie długa abstynencja seksualna zaważyła na jej żywiołowej reakcji. Winowajcą był sam Rafe MacKade; wystarczyło, że jej dotknął, a ona dosłownie płonęła.

Gdyby go nie poznała, gdyby nie stanął na jej drodze, prowadziłyby dalej spokojne, beztrudne życie. Ale teraz wszystko się zmieniło; już na nic nie będzie patrzyła tak jak dawniej. Rafe otworzył jej oczy, uświadomił, do jakich uniesień jest zdolna.

Czy łatwo będzie wrócić do dawnego życia, gdy się raz zasmakowało w Rafe'ie? Czas pokaże. Na razie o tym nie myślała. Marzyła tylko o jednym: żeby go znaleźć jak najprędzej.

W skarpetach na nogach wyruszyła na poszukiwanie. Mógł być wszędzie. Podniecała ją myśl, że go zaskoczy, że mu przeszkodzi w jakiejś robocie.

Od podłogi ciągnęło. Regan na przemian to chuchała w dłonie, to je pocierała, żeby się rozgrzać. Ciekawość jednak pchała ją naprzód.

Pokoje na parterze zwiedzała zaledwie dwa razy. Pierwszy raz, kiedy brała pomiary. Drugi raz, gdy upewniała się, czy nie popełniła błędu. Wtedy po domu kręcili się robotnicy. Dziś nie było nikogo; ciszy nie zakłócał żaden stukot, żadne odgłosy wiercenia, żadne rozmowy i przekleństwa.

Skierowała kroki do pokoju sąsiadującego z salonem. Tu będzie biblioteka: regały z książkami, miękkie fotele zapraszające, by się w nie zapaść i pograć w lekturze, podnóżki dla wygody, okrągły stolik na rzeźbionych nóżkach, na nim karafka z brandy, wazon pełen świeżych kwiatów, stary cynowy kałamarz. No i drabinka, żeby można było swobodnie sięgnąć do najwyższych półek. W rogu pulpit, na nim otwarta Biblia.

10 kwietnia 1856 roku ślub Abigail O'Brian z Charlesem
Richardem Barlowem

5 czerwca 1857 roku narodziny Catherine Anne Barlow

22 listopada 1859 roku narodziny Charlesa Richarda Barłowa
Juniora

9 lutego 1861 roku narodziny Roberta Michaela Barłowa

18 sierpnia 1864 śmierć Abigail Barlow

Regan zakręciło się w głowie. Zadrzała. Objęła się w pasie
rękami, jakby chcąc powstrzymać drżenie ciała. Serce waliło jej
mocno. Dopiero po chwili daty znikły jej przed oczu.

Zastanawiała się nerwowo, skąd to wszystko wie, skąd zna
imiona, daty narodzin i śmierci. Roztrzęsiona, potarła dłonią twarz.

Na pewno musiała je gdzieś przeczytać. Spędziła przecież
mnóstwo czasu w miejskiej bibliotece, zbierając informacje o wojnie
secesyjnej i mieszkańcach Antietam. Powoli wycofała się do holu. Uf!
- odetchnęła głęboko.

Wiedziała oczywiście, że Barlowowie mieli troje dzieci. Czytała
wszystko, co jej wpadło w ręce, na temat właścicieli domu.

Przypuszczalnie podczas lektury trafiła również na daty i z jakiegoś
powodu zachowała je w pamięci. Ot i cała tajemnica.

A jednak kiedy stała w tamtym pustym pokoju, przez moment
miała wrażenie, jakby już kiedyś w nim

była. Jakby znała każdą rysę na ścianie. Jakby widziała leżącą na
pulpicie Biblię, a w niej imiona i daty zapisane starannym

charakterem pisma. Potrząsnęła gwałtownie głową: nie, to niemożliwe.

Skierowała się ku schodom. Tym razem Rafe zostawił drzwi otwarte, bo już na półpiętrze usłyszała chrobot. Na widok kochanka zalała ją fala ciepła.

- Pomóc ci?

Obejrząwszy się, zobaczył Regan ubraną w sweter i spodnie.

- W tym stroju? Pobrudzisz się. Zresztą już prawie kończę... Tak smacznie spałaś.

Oparta o framugę obserwowała jego poczynania.

- Dlaczego niektórzy faceci pracujący fizycznie są tak niesamowicie seksowni?

- Nie wiem. Bywają kobiety, które lubią lśniące spocone ciała.

- Widocznie się do nich zaliczam. - Z uwagą przyglądała się, jak Rafe wprawnym ruchem nabiera na kielnię odrobinę zaprawy, po czym wyrównuje ścianę. - Hm, jesteś lepszy od gościa, który remontował mi mieszkanie. Nie chlapiesz.

- Nienawidzę tej zabawy.

- To dlaczego...?

- Bo podoba mi się końcowy rezultat. Poza tym robię to szybciej niż ekipa, którą wynająłem.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Na farmie ciągle się coś psuło. - Wzruszył ramionami. - Kiedy wyjechałem, pracowałem jako tak zwana złota rączka.

- A potem założyłeś własną firmę.

- Nie lubię pracować dla innych.

- Ja też nie. - Na moment zamilkła. - Dokąd wyruszyłeś? Po wyjeździe stąd?

- Na Południe. Pracowałem dorywczo tu i tam. Lepiej mi szło wbijanie gwoździ niż oranie pola. - Z przyzwyczajenia sięgnął do kieszeni. Była pusta. Zaklął. - Rzuciłem palenie.

- Brawo.

- Dostaję bzika. - Żeby się czymś zająć, podszedł do przeciwległej ściany, którą wyglądał wczoraj.

- I w końcu wylądowałeś na Florydzie... - powiedziała Regan, zachęcając go, by kontynuował.

- Tak. Sporo się tam buduje. Zacząłem kupować domy, właściwie rudery, odnawiać je, potem sprzedawać. Dorobiłem się i postanowiłem wrócić. To wszystko.

- Nie chcę wścibiać nosa...

- Nie wścibiasz. Po prostu nieciekawe wiodłem życie. Tu, w miasteczku, miałem dość kiepską opinią. Tuż przed wyjazdem wdałem się w bójkę w barze. Z Joem Dolinem.

- Zastanawiałam się, co was łączyło.

- Nic. Nienawidziliśmy się.

- Masz doskonały gust, jeśli chodzi o wrogów. Wzruszył ramionami.

- Gdyby Joego nie było w barze, pewnie pobiliłbym się z kimś innym. Tego wieczoru miałem ochotę komuś przylać. - Uśmiechnął

się ponuro. - Zresztą ciągle rozrabiałem. Nikt nie wierzył, że do czegoś w życiu dojdę. Nawet ja w to nie wierzyłem.

Usiłował jej coś powiedzieć, ale nie była pewna co.

- Wygląda na to, że wszyscy, łącznie z tobą, się mylili. - Regan, ludzie wezmą nas na języki. - Rozmyślał o tym, kiedy leżał przy niej, gdy spała. - Wejdiesz do kawiarni albo do supermarketu i nagle rozmowy ucichną. Gdy wyjdiesz, wszyscy zaczną się zastanawiać, co ta miła dziewczyna robi z takim awanturnikiem.

- Rafe, mieszkam tu od trzech lat. Znam miejscowe zwyczaje.

Przeszkadzała mu bezczynność; potrzebował czymś zająć ręce. Sięgnąwszy po papier ścierny, ponownie zaatakował ścianę.

- Podejrzewam, że dotychczas nie dawałaś miejscowym pleciugom powodu do plotek.

Z takim zapalem wyglądał tynk, jakby przyznawali za to nagrody, a on chciał zająć pierwsze miejsce.

- Kiedy otworzyłam sklep, byłam na językach wszystkich. Co ona sobie wyobraża? Zajmuje lokal starego Leroya i zamiast narzędzi oraz śrubek sprzedaje antyki? - Uśmiechnęła się łagodnie. - Z początku ludzie przychodzili obejrzeć zarówno towar, jak i mnie, potem wielu z nich zostało moimi klientami.

- Po prostu chcę, żebyś miała świadomość, co cię czeka.

- Trochę za późno, nie sądzisz? - spytała. - A może ty obawiasz się o swoją reputację?

- Jasne. - W powietrzu fruwały białe drobinki. - Zamierzam ubiegać się o urząd burmistrza.

- Nie, nie, chodzi mi o reputację awanturnika. No wiesz, ludzie mogą mówić: MacKade chyba zmiękł, skoro zadaje się z tą miłą Regan Bishop. Tylko patrzeć, jak zamiast piwa zaczną kupować kwiaty. Pewnie dziewczyna zamierza go ucywilizować.

Cisnął papier ścierny na bok, wsadził ręce do kieszeni i przyjrzał się Regan z zaciekawieniem.

- A zamierzasz? Ucywilizować Rafe'a MacKade'a?

- Tego się boisz? Że a nuż mi się uda?

- Wiele próbowało. Bezskutecznie. – Zakurzonym palcem pogładził ją po policzku. - Prędzej ja ciebie sprowadzę na złą drogę. Wyobrażasz sobie, jak grasz na forszę w bilard w zadymionym barze u Duffa?

- A ty wyobrażasz sobie, jak recytujesz Shelleya?

- Jakiego Shelleya?

Śmiejąc się cicho, wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

- Percy'ego Shelleya. Miej się na baczności. Rafe odprężył się. Pomysł, iż mógłby recytować z pamięci jakiś wiersz, był po prostu absurdalny.

- Skarbie, prędzej wieprzkowi Shane'a wyrosną skrzydła i zwierzak pofrunie nad miastem, niż ja zacznę deklamować poezję.

Ponownie wspięła się na palce i ponownie go cmoknęła.

- Chcesz się założyć? - Uśmiechnęła się. - No dobra, oprowadź mnie po swoim królestwie...

Chwycił ją za rękę.

- Poczekaj. O co się zakładamy? Wyciągnęła go z pokoju do holu.

- Żartuję. Pokaż mi resztę odnowionych pokoi.

- Nie, nie. Założmy się.

- Że zmuszę cię do recytowania Shelleya? - Westchnęła. - W porządku.

Podniósł jej palce do swoich ust. Kiedy zobaczył w jej oczach błysk podniecenia, natychmiast wpadł na pomysł.

- Dobra, najpierw ja. A więc twierdzą, że w ciągu miesiąca stracisz dla mnie głowę; że wbijesz się w czerwoną skórzaną spódniczkę, oczywiście mini, i tak ubrana przyjdiesz do Duffa napić się piwa i zagrać w dziewiątkę w bilard.

Błysk podniecenia znikł, zastąpiony przez wyraz wesołości.

- Mój Boże, MacKade, ale masz dziwne fantazje! Naprawdę wyobrażasz mnie sobie wystrojoną jak na podryw?

- Pewnie. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Skórzana mini. I koniecznie buty na wysokich obcasach, najlepiej szpilki.

- Do czerwonej skórzanej spódnicy zawsze wkładam szpilki.

- I obcisła bluzka. Na gołe ciało. Wybuchnęła śmiechem.

- Marzyciel!

- Przekonamy się. Ale moim zdaniem to zrobisz. - Objął ją w pasie i przytulił do siebie. - Bo oszalejesz na moim punkcie.

- Jedno z nas już oszalało - powiedziała. - Ale dobrze. Teraz moja kolej. - Odsunęła się krok. - Zatem ja twierdzą, że przed

upływem miesiąca będziesz przede mną klęczał, ściskając bukiet...

hm... lili...

- Lili?

- Tak, lubię lilie, więc będziesz klęczał, ściskając bukiet lili, i po mistrzowsku recytował Shelleya.

- Co dostaje zwycięzca?

- Ma satysfakcję.

- W porządku. Uścisnęli sobie ręce.

- A teraz... oprowadzisz mnie czy nie?

- Jasne. - Oczami wyobraźni ujrzał zgrabne nogi Regan wystające spod czerwonej skórzanej mini. Uśmiechając się pod nosem, ruszył w stronę podwójnych drzwi. - Tutaj, zgodnie z twoją sugestią, urządzimy pokój dla nowożeńców.

- Och, Rafe! - Zachwycona, weszła do środka. Tapeta w delikatny kwiecisty wzór pokrywała już niemal wszystkie ściany. Zdobiony kasetonami sufit lśnił warstwą świeżej farby. Na taras, z którego latem będzie można podziwiać zieleń w ogrodzie, otwierały się nowe drzwi balkonowe. Podłogę jeszcze zasłaniały wielkie brezentowe płachty, ale Regan potrafiła wyobrazić sobie błyszczący parkiet, a na nim dywan w pięknych stonowanych kolorach.

Ostrożnie obchodząc wiadra i drabiny, zaczęła w myślach meblować pokój.

- Tu będzie wspaniale.

- W przyszłości na pewno. Póki co praca wre. Stolarz ma pełne ręce roboty...

- Na szczęście koniec już widać. - Zerknęła przez uchylone drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. - Łazienka...

- Tak. Dawniej mieściła się tam garderoba.

- Ojej! - Regan ścisnęła kochanka za rękę. - Czujesz zapach? Rafe potarł policzkiem o jej włosy.

- Tu zawsze pachnie różami. Jeden z tapeciarzy nawet zaczął wyśmiewać się ze swojego kumpla, że się perfumuje.

- Pewnie to był pokój Abigail, prawda? W nim umarła?

- Myślę, że tak. - Obróciwszy do siebie twarz Regan, zobaczył, jak po jej policzku spływa łza. - Nie płacz.

- Musiała być bardzo nieszczęśliwą kobietą. To okropne życie ze świadomością, że człowiek, którego się poślubiło i z którym ma się dzieci, potrafi zabić z zimną krwią. - Wzdrygnęła się. - Ciekawe, jak traktował Abigail? Czy kochał ją, czy po prostu był jej panem i władcą?

- Nie wiem. Ale błagam, nie płacz. - Starł kciukiem pojedynczą łzę. - Czuję się taki bezradny, jakbym miał dwie lewe ręce. - Nie wiedząc, jak ją pocieszyć, pogładził Regan po głowie. - Bez sensu smuć się z powodu czegoś, co się zdarzyło ponad sto lat temu.

- To prawda, ale ona wciąż tu jest. - Objęła Rafe'a w pasie. - Żal mi Abigail, właściwie to mi ich wszystkich żal.

- Skarbie, nie możesz...

- Wiem, wiem - przerwała mu i westchnęła cicho, wsłuchując się w kojące bicie jego serca. - Dziwne, jak się człowiek do wszystkiego przyzwyczaja. Kiedy byłam na dole...

- To co? - Ujął ją za brodę i zmusił, by popatrzyła mu w oczy.

- Nie, nic.

- Powiedz.

- Weszłam do biblioteki. To znaczy do pokoju, który dawnej był biblioteką. - Czuła się rozdarta; z jednej strony chciała Rafe'owi opowiedzieć o swoich doznaniach, z drugiej kępowała się. - I który znów będzie biblioteką. I... Rafe, ja go zobaczyłam.

Wyteżył uwagę.

- Kogo?

- Nie kogo, lecz co. Ten pokój. Nie widziałam poplamionych podłóg. Widziałam książki na półkach, kwiaty na stole, zasłony w oknie. Przysięgam. - Zmarszczyła czoło. - Czasem na etapie planowania wyobrażam sobie, jak dane pomieszczenie będzie w przyszłości wyglądało, ale tym razem było inaczej... Tym razem miałam wrażenie, jakbym przeniosła się w przeszłość. Widziałam w rogu wysoki pulpit, na którym leżała otwarta Biblia. Na pierwszej stronie widziałam ręcznie dokonane wpisy: daty małżeństwa, śmierci, narodzin... - Na moment zamilkła. - Rafe, dlaczego nic nie mówisz?

- Bo słucham ciebie.

- Ten obraz był taki prawdziwy - podjęła po chwili. - Jak dzisiejszy zapach róż w sypialni. A potem nagle zrobiło się zimno, jakby do środka wpadł powiew lodowatego powietrza. - Ponownie przyłożyła policzek do torsu Rafe'a.

Wyczuwając jej napięcie, pogładził ją delikatnie po włosach.

- Jak chcesz, mogę zadzwonić po Devina, żeby odwiózł cię do domu - szepnął.

- Nie, nie chcę wyjeżdżać. Owszem, wstrząsnęła mną ta wizja, ale powoli człowiek przyzwyczaja się do dziwnych rzeczy dziejących się w tym domu.

- Nie powinienem był cię zostawiać samej.

- Bez przesady. Nieszczęśliwe duchy nie wyrządzą mi krzywdy.

Może nie wyrządzą, ale chciał ją chronić. Chciał być przy niej, kiedy ogarnia ją lęk. Żałował, że go nie zawołała; że uznała, iż nie potrzebuje pomocy.

- Następnym razem, kiedy będziesz szła do biblioteki, daj mi znać. Pójdę z tobą.

- Dobrze - obiecała. - Wiesz, widać, jak ten dom się zmienia, nie tylko jego wygląd, ale panująca w nim atmosfera.

- To prawda. - Pocałował ją w czubek głowy.

- A potem znów się zmieni, kiedy wprowadzą się do niego ludzie, kiedy będą się w nim kochać, śmiać. Dom potrzebuje mieszkańców. - Popatrzyła Rafe'owi w oczy. - Kochaj się ze mną.

Przywarł ustami do jej ust, po czym wziął ją na ręce i wyniósł z pokoju. W holu wciąż towarzyszyła im woń róż. Regan objęła kochanka za szyję. Serce biło jej jak szalone, krew dudniła w skroniach.

- To jak narkotyk - szepnęła.

- Wiem. - Przystanąwszy u góry schodów, ponownie zacisnął usta na jej wargach.

- Nigdy wcześniej się tak nie czułam.

Ja też nie, pomyślał. Schodząc w dół, żadne z nich nie zauważyło, że strefa zimna na schodach znikła.

Położył dziewczynę przed kominkiem. Sam ułożył się obok i wsparty na łokciu, czubkiem palca obrysował jej twarz.

- Rafe...

- Ciii. - Chcąc ją uciszyć, musnął ustami jej czoło. Nie była pewna, co zamierzała powiedzieć, ale cieszyła się, że ją powstrzymał. Słowa nie były potrzebne; wystarczyło pożądanie.

Tak, w pocałunkach, pieszczotach było pożądanie, namiętność, ale całkiem nieoczekiwanie pojawiło się coś jeszcze - czułość i tkliwość.

Rafe także wyczuł zmianę, w Regan, w sobie. Hm, dlaczego zawsze się tak śpieszył? Dlaczego bał się wolno i niespiesznie rozkoszować smakiem? Poznawać i być poznawanym, centymetr po centymetrze?

Uwielbiał jej zapach, gładkość jej skóry, jedwabistość włosów, zmysłowe krągłości i wgłębienia. Teraz powoli je kosztował, badał, dotykał. Zapomniał o tym, że gdzieś dalej, na zewnątrz, istnieje normalny świat.

Powoli ściągał z Regan ubranie: sweter, spodnie. Naga, przysiadła na piętach.

- Pomogę ci - szepnęła, rozpinając guziki jego koszuli. Zsunęła mu ją z ramion i przytuliła się do rozgrzanego ciała.

Siedzieli objęci, pieszcząc się leniwie. Rafe położył się na wznak i pociągnął Regan na siebie. Jej włosy opadły niczym kurtyna, zakrywając ich twarze.

Czuła na plecach ciepło wpadających oknem promieni zimowego słońca, na wprost - żar strzelającego w kominku ognia, a pod sobą cudownie mocne ciało mężczyzny. Ręce Rafe'a błędziły po jej pośladkach, po udach i brzuchu, a ona rozkoszowała się ich dotykiem. Nikt nikogo nie popędział, nie ponagłał. Drobiniki kurzu wirowały bezgłośnie w powietrzu, płomienie cichutko syczały, dookoła unosił się zapach róż.

Powoli zsuwała się w dół, znacząc drogę lekkimi pocałunkami. Czuła, jak serce Rafe'a zaczyna bić mocniej, jak mięśnie mu się napinają. Nagle jednym płynnym ruchem przewrócił ją na wznak, a sam znalazł się na niej. Zacisnęła uda na jego biodrach. Powtarzając szeptem jego imię, czekała. Była gotowa, spragniona miłości...

Nie rozmawiali o tym, co czuli. Rozstali się rano, jak gdyby nigdy nic. Jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Ale wydarzyło się. Oboje mieli tego świadomość. I oboje się bali.

Słońce przedzierało się ponad górami na wschodzie, kiedy Regan ruszyła do domu. Rafe długo stał w drzwiach, patrząc za oddalającym się samochodem. Po jej wyjeździe, kiedy był pewien, że nikt go nie widzi, przyłożył rękę do serca.

Boże, ledwo wyjechała, a on już za nią tęskni.

Bez przesady! - zganił się w duchu, a potem zganił się po raz drugi, gdy sięgnął do kieszeni po papierosy, których już nie palił. To

odruch, a nie potrzeba nikotyny, uznał. Gdyby naprawdę chciał zapalić, mógłby kupić paczkę i wypalić całą naraz. Tak jak, gdyby naprawdę tęsknił, mógłby pojechać za Regan.

Seks to potężna siła, która umacnia więź między ludźmi. Nic dziwnego, że czuł się oszołomiony. W końcu facet ma prawo do lekkiego oszołomienia po trzydziestu paru godzinach spędzonych w towarzystwie cudownej, nagiej kobiety.

Dobrze, że wcześniej wszystko sobie wyjaśnili. Na niczym więcej poza związkiem erotycznym mu nie zależało. Regan też nie. Co za ulga i radość znaleźć partnerkę, która ma podobne oczekiwania. Kobieta, której nie trzeba okłamywać, zwodzić obietnicami, szeptać czułych, nic nieznaczących słów.

Skrzywiwszy się, chwycił łopatę i zaczął odgarniać śnieg ze ścieżki prowadzącej do domu. Słońce grzało coraz silniej, a on tak energicznie machał łopatą, że pomimo wiejącego od północy wiatru spocił się jak mysz.

Odrzucając na bok śnieg, rozmyślał o Regan. Pewnie uda się prosto pod prysznic, namydli ciało, włosy... Ciekawe, jak wyglądają mokre? Potem zacznie grzebać w szafie. Nie, poprawił się w myślach. Nie grzebać. Wszystko w szafie i na półkach ma równo poukładane. Wyjmie spódnicę lub spodnie i żakiet, coś eleganckiego, w stonowanych barwach.

Następnie umaluje się: trochę różu na policzki, odrobina cienia na powieki, tusz, no i szminka, nie czerwona i nie beżowa, coś

pośrodku, co podkreśli pełne wargi i uwypukli pieprzyk nad górną wargą.

W połowie ścieżki przystanął, oparł się o łopatę i pokręcił z niedowierzaniem głową. Chyba mu odbiło! Dumał nad kolorem szminki!

Psiakrew, co go obchodzi, na jaki kolor Regan pomaluje sobie powieki, zanim zejdzie na dół, by otworzyć sklep? W gabinecie na zapleczu nastawi wodę na herbatę. Potem zajmie się swoimi sprawami, a jemu nie poświęci nawet jednej myśli.

Znów zaczął odgarniać śnieg. W porządku, jego też robota goni. Nie ma czasu na bujanie w obłokach.

Doszedł do końca ścieżki i do kresu własnej cierpliwości, kiedy na podjazd skręcił radiowóz Devina.

- Czego tu szukasz? - krzywiąc się, zawołał Rafe.

- Nie masz żadnych bandytów, których mógłbyś wsadzić do paki?

- Śmieszne, jak podczas zamieci śnieżnej ludzie łagodnieją. - Devin popatrzył na brata z rozbawieniem w oczach. - Zobaczyłem, że samochód Regan znikł, więc uznałem, że mogę cię odwiedzić.

- Lada chwila przyjadą robotnicy. Nie mam czasu na pogawędki.

- W takim razie zabieram pączki i ruszam. Rafe potarł zmarzniętą twarz.

- Pączki? Z czym?

- Z jabłkiem. I z lukrem.

Wielu rzeczy mógł sobie odmówić, ale nie pączka z jabłkiem i lukrem w mroźny zimowy poranek.

- Długo zamierzasz stać przy wozie, szczerząc idiotycznie zęby?
Dawaj te ciastka.

Devin sięgnął po leżącą na siedzeniu papierową torbę i podszedł do brata.

- Wczoraj zdarzyły się trzy stłuczki. Dlaczego w taką pogodę ludzie nie siedzą w domach?

- Bo w Antietam kochamy ryzyko. Do nikogo ostatnio nie strzelałeś?

Devin wyjął pączka i podał torbę Rafe'owi.

- Nie, za to interweniowałem podczas bójki.

- W barze?

- W sklepie. Millie Yeader pobiła się z panią Metz o ostatnią paczkę papieru toaletowego.

- Krewkie kobity - stwierdził z uśmiechem Rafe.

- Jakoś tak jest, że w czasie obfitych opadów śniegu puszczają nerwy.

- I to jak puszczają! Metz walnęła Millie pękiem bananów. Ta oczywiście chciała wnieść oskarżenie. Z trudem ją przekonałem, żeby tego nie robiła.

- Narzędzie zbrodni: owoc tropikalny. Ciekawe, jaki zapadłby wyrok? - Rafe oblizał palce. - Po to przyjechałeś? Opowiedzieć mi najnowsze plotki?

Wzruszywszy ramionami, Devin dokończył ciastko i wyciągnął z kieszeni papierosa. Widząc nieszczęśliwą minę brata, uśmiechnął się cierpko.

- Podobno żarcie smakuje lepiej, kiedy się rzuci palenie.

- Nic nie smakuje lepiej - warknął Rafe. - Ale niektórzy z nas mają silną wolę. Przynajmniej dmuchaj w moją stronę.

- Bierne palenie też zabija - stwierdził Devin, ale posłusznie dmuchnął bratu dymem w nos. - Jesteś jakiś nie w sosie. Kłopoty sercowe?

Przez moment Rafe rozważał, czy nie zdzielić Devina łopata i nie ukraść mu papierosów, zrezygnował jednak z tego pomysłu.

- Ile trwało, zanim Shane ci wszystko wypaplał?

- Hm... - Zaciągając się dymem, Devin podziwiał krajobraz. - Biorąc pod uwagę wczorajszy stan dróg, myślę, że droga stąd do mojego biura zajęła mu siedem minut. - Strząsnął popiół na śnieg. - Góra siedem minut i dziesięć sekund.

- I teraz mam słuchać twoich mądrych rad?

- Gdyby nie moje mądre rady, te dwie zadziorne baby nadal by się tłukły o papier toaletowy. Ale nie, nie przyjechałem, żeby dawać ci dobre rady.

Zaciągnąwszy się po raz ostatni, rzucił papierosa na śnieg. Rafe popatrzył tęsknie na żarzący się niedopałek.

- W naszej rodzinie to nie ja jestem ekspertem w dziedzinie miłości. - Devin uśmiechnął się krzywo.

Przyjechałem przekazać ci wieści o twoim kumplu Dolinie.

- Siedzi za kratkami.

- Na razie siedzi. Ale podobno, w nadziei na łagodniejsze potraktowanie przez sąd, zamierza się przyznać do pobicia żony i wyrazić skruchę. Przypuszczalnie zgodzi się na terapię odwykową. Dostanie wtedy wyrok w zawieszeniu i ostrzeżenie, aby nigdy więcej nie podnosił ręki na żonę.

- Żartujesz?

- Więzienia są przeludnione. Za przemoc domową rzadko padają surowe kary. Winowajca zwykle bije się w pierś: „Tak, wysoki sędzie, to wszystko moja wina. Upiłem się i straciłem nad sobą kontrolę. Wylano mnie z roboty, miałem podły humor. Moje poczucie wartości spadło do zera”. Na to sędzia: „Proszę się zgłosić na leczenie i więcej nie grzeszyć”.

Na twarzy brata Rafe dojrzał oznaki gniewu i frustracji.

- Pozwolisz na to? - spytał.

- Nie ja wydaję wyroki - warknął Devin; czuł się bezradny. - Mogę zrobić tylko jedną rzecz: zakazać Joemu zbliżania się do Cassie i dzieci. Oczywiście ona musi wyrazić na to zgodę.

- Na razie mieszkają w trójkę u Regan...

- Wiem, wcale mi się to nie podoba. Ale jako szeryf muszę przestrzegać prawa.

- Ja nie.

- Nie bądź w gorącej wodzie kąpany, Rafe, bo tylko możesz Cassie zaszkodzić. Prędzej czy później Joe popełni błąd. To wystarczy. A do tego czasu... Hm, nie wiem, co cię łączy z Regan, ale

gdybyś się do niej wprowadził, to byłoby lepsze od jakichkolwiek zakazów.

- Mara prosić Regan, żeby pozwoliła mi z sobą zamieszkać?

- Z sobą, z Cassie i dziećmiakami.

Pomysł bardzo przypadł mu do gustu. Codziennie budzić się u jej boku, wypijać razem poranną kawę...

- Dobra, pogadam z nią. A potem dam ci znać.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Wykluczone! - Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nie będziesz spał w moim łóżku, kiedy w sąsiednim pokoju śpi dwójka małych dzieci.

- Nie chodzi o seks - tłumaczył cierpliwie Rafe.

- Seks to miły dodatek. Przedstawiam ci prośbę szeryfa.

- Który jest twoim bratem. Nic z tego. - Wróciła do odkurzania szafek, na których stały szklane naczynia.

- Cassie czułaby się skrepowana, a dzieciom dawałibyśmy zły przykład.

Chciał spytać, co byłoby, gdyby dzieci tu nie mieszkały, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Sprawa dotyczy ich bezpieczeństwa - rzekł.

- Myślisz, że Dolin zostawi żonę w spokoju tylko dlatego, że Cassie podpisze papierek zakazujący mu zbliżania się do niej?

- Nie wiem, ale żeby dosięgnąć Cassie, najpierw będzie musiał minąć mnie.

Tego się właśnie najbardziej obawiał. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze.

- Posłuchaj...

Strzepnęła jego rękę ze swojego ramienia.

- To ty posłuchaj. Facet jest pijakiem i łobuzem, a ja się pijanych łobuzów nie boję. Cassie może u mnie mieszkać, jak długo zechce.

Mam w drzwiach porządne zamki, w razie potrzeby zadzwonię do szeryfa.

- Tu nie ma zamka. - Rafe wskazał drzwi do sklepu. - Dolin może wejść w każdej chwili, może zacząć was nękać, może... Kto go powstrzyma?

- Ja.

- Akurat. - Korciło go, żeby nią potrząsnąć. - Jak to zrobisz? Poprosisz go? Pogroźisz mu paluszkami? Nie zapominaj, że drań lubi bić kobiety.

- A ty nie zapominaj, że w przeciwieństwie do ciebie spędziłam tu ostatnie trzy lata. Nieraz widywałam posiniaczoną Cassie.

- Uważasz, że ciebie nie tknie, bo nie jesteś jego żoną? - Nie wytrzymał: chwycił ją za ramiona. - Naprawdę w to wierzysz?

- Wierzę we własną siłę i rozsądek. Nie potrzebuję ciebie w roli ochroniarza.

Oczy mu pociemniały. Zacisnął mocniej ręce na jej ramionach, opuścił je.

- Innymi słowy, nie chcesz i nie potrzebujesz mojej pomocy?

Westchnęła ciężko. Dlaczego facetów tak łatwo zranić? Dlaczego mają tak wybijane ego?

- Biuro szeryfa jest pięć minut stąd - powiedziała łagodnie, próbując go udobruchać. - Rafe, naprawdę doceniam twoją troskę. Słowo honoru. Ale umiem sobie radzić sama.

- Nie wątpię.

- Przez kilka lat pracowałam w sklepie w Waszyngtonie. Któregoś wieczoru wpadli złodzieje; trzymając mnie na muszce, okradli sklep. Nie straciłam głowy.

Wiem, jak się zachowywać i co robić, żeby nie prowokować napastnika. Widzę, że się martwisz, a ja naprawdę różnię się od Cassie. Mnie Dolin nie przestraszy...

- Regan...

- Poczekaj, daj mi skończyć. Cassie jeszcze się nie pozbierała, dzieci są zestresowane. Nie wiem, jak by zareagowały na obecność mężczyzny. Nie znają cię...

Wsunął ręce do kieszeni.

- Przecież nie wyrządzą im krzywdy.

- One tego nie wiedzą. Mała Emma godzinami siedzi koło matki i w milczeniu bawi się lalką. A chłopiec... Boże, jak na niego patrzę, to serce mi się kraje. One potrzebują czasu, żeby znów poczuć się bezpiecznie. Ty, Rafe, jesteś wielki, silny...

- A ty uparta.

- Wydaje mi się, że postępuję słusznie. Tak, żeby dla nich było najlepiej. Dokładnie sobie wszystko przemyślałam. Bardzo mi przykro, ale nie możesz się do nas wprowadzić.

- Zaproś mnie na kolację.

- Co?

- Zaproś mnie na kolację. Żeby dzieciaki mnie poznały i żeby zaczęły się do mnie przyzwyczajać.

- No i kto jest uparty? - Regan westchnęła, ale po chwili skinęła głową: na taki kompromis może pójść. - Dobrze. O wpół do ósmej.

Ale o dziesiątej znikasz.

- Poprzytulamy się na kanapie, kiedy dzieci pójną spać?

- Może. A teraz do widzenia.

- Nie dasz mi buzi na pożegnanie? Pocałowała go cnotliwie w policzek.

- Jestem w pracy... Rafe! - zawołała ze śmiechem, kiedy porwał ją w ramiona. - Stoimy przed oknem...

Nie dokończyła. Zmiażdżył jej usta swoimi.

- A niech sobie ludzie gadają. Przynajmniej teraz mają o czym - rzekł, kierując się ku drzwiom.

Przecznicę dalej Cassie siedziała w gabinecie Devina, wykręcając nerwowo ręce. Teoretycznie powinno być łatwiej rozmawiać o sprawach osobistych z człowiekiem, którego zna się całe życie, ale tak nie było. Obcego chyba mniej by się kępowała.

- Przepraszam, nie mogłam wcześniej wyjść. Miałyśmy wielu klientów...

- Nie szkodzi, Cassie. - Rozmawiając z nią, zawsze mówił cicho, jak do rannego ptaszka. - Wszystkie dokumenty mam przygotowane.

Wystarczy je tylko podpisać.

- Nie wsadzą go do więzienia...? - spytała bezbarwnym głosem.

- Obawiam się, że nie.

- Bo się nie broniłam?

- Nie, Cassie. - Miał ochotę uścisnąć jej drżące dłonie, ale nie mógł. Był szeryfem. - Joe przyznał się do rękoczynów, ale sąd wziął pod uwagę inne okoliczności: jego problemy z alkoholem i to, że stracił pracę. Zobowiązał Joego do podjęcia leczenia, do spotkań z kuratorem, do przestrzegania prawa.

- To mu dobrze zrobi... - Popatrzyła Devinowi w oczy, po czym szybko opuściła spojrzenie. - Miałam na myśli leczenie. Jak przestanie pić, może nie będzie tak agresywny.

- No właśnie - mruknął Devin, który nie wierzył w żadną cudowną przemianę Joego Dolina. - Ale na razie musisz się zabezpieczyć. Temu służy ten zakaz.

Ponownie wbiła w Devina wzrok.

- Czyli ten papierek nie pozwoli Joemu wrócić do domu?

Devin wyciągnął papierosa, schował go z powrotem do paczki.

- Jeżeli złożysz swój podpis - rzekł chłodnym, urzędowym tonem - Joe dostanie zakaz zbliżania się do ciebie. Nie wolno mu będzie wejść do kawiarni, kiedy jesteś w pracy, podejść do ciebie na ulicy, odwiedzić cię w domu Regan. Złamanie któregokolwiek z tych postanowień jest tożsame z unieważnieniem zwolnienia warunkowego i osiemnastomiesięczną odsiadką.

- On o tym wie?

- Został powiadomiony.

Cassie zwilżyła wargi. Joe nie będzie mógł się do niej zbliżyć. Z wrażenia zakreśliło się jej w głowie. Skoro nie będzie mógł się zbliżyć, nie będzie mógł również uderzyć.

- Muszę tylko podpisać?
- Tak, musisz tylko podpisać.

Obszedłszy biurko, Devin podał Cassie długopis. Nie drgnęła. Zdławił przekleństwo.

- O co chodzi, Cassie? Porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, czego chcesz.

Potrząsnęła głową i wzięła długopis. Złożyła podpis, szybko, nerwowo, jakby ta prosta czynność sprawiała jej ból.

- Masz przede mną mnóstwo kłopotów...
- Wykonuję swoją pracę.
- Jesteś dobrym szeryfem. Tak, tak. - Uśmiechnęła się, kiedy popatrzył na nią zaskoczony. - Jesteś spokojny, kompetentny, potrafisz rozmawiać z ludźmi. Wszyscy wiedzą, że można na ciebie liczyć. A moja mama latami powtarzała, że MacKade'owie wylądują w pace... - Zarumieniwszy się, Cassie spuściła wzrok.

- Przepraszam. Głupio gadam.
- Wcale nie. Ja też tak myślałem. Że nic dobrego z nas nie wyrośnie. Wiesz, Cass - dodał po chwili - chyba od dziesięciu lat nie słyszałem, żebyś wypowiedziała naraz tyle słów.

- Bo ja ciągle wygaduję jakieś bzdury.
- Nie mów tak. - Odruchowo ujął ją za brodę, zmuszając, by Cassie spojrzała mu w oczy, po czym opuścił rękę i przysiadł na krawędzi biurka. - Jak dzieciaki?

- Znacznie lepiej.
- A jak wam się mieszka u Regan?

- Świetnie. Regan jest wspaniała. Traktuje nas jak rodzinę. Ona i Rafe... - urwała, ponownie oblewając się rumieńcem. - Na pewno jesteś zajęty, a ja tu siedzę i gadam...

- Akurat mam przerwę obiadową - powiedział Devin. Powiedziałaby cokolwiek, żeby tylko zatrzymać ją dłużej. - Co o nich myślisz? O Regan i Rafe'ie?

- Hm... sprawiała wrażenie szczęśliwej, kiedy dziś rano wróciła do domu.

- A on sprawiał wrażenie nieszczęśliwego, kiedy odwiedziłem go przed południem.

Cassie wygięła usta w uśmiechu.

- To dobry znak. On potrzebuje kobiety silnej i zadziornej, która mu się stawia. Dotychczas mógł mieć każdą, nie musiał się wysilać. Żaden z was nie musiał.

- Tak? - Zmarszczywszy czoło, Devin znów wyjął z paczki papierosa. - A ja pamiętam, jak dostałem od ciebie kosza.

Wstała.

- Och, to było sto lat temu.

- Niecałe dwanaście. Zaraz po twoich szesnastych urodzinach.

- Chodziłam z Joem. - Wciągając palto, zastanawiała się, czy kiedykolwiek miała szesnaście lat; czuła się tak staro. - Dzięki, Dev. Za pomoc, za to pismo, które przygotowałeś...

- Po to tu jestem. Żeby pomagać ludziom. Przystanęła w drzwiach, ale nie odwróciła się.

Wolała nie widzieć współczucia w jego oczach.

- Spytałeś, czego chcę. Tylko jednego. Czuć się bezpieczna.

Powiedziała to tak cicho, że z trudem słyszał jej słowa.

W cienkim paletku, które nie chroniło przed ostrym wiatrem, na piechotę poszła do kawiarni.

Rafe zjawił się dziesięć minut przed czasem. Stojąc pod drzwiami, czuł, jak mu serce łomocze ze zdenerwowania. W jednej ręce trzymał butelkę wina, w drugiej pudełko ciasteczek - miały przełamać lody.

Nie miał pojęcia, jak się postępuje z ludźmi liczącymi poniżej szesnastu lat.

Nacisnął klamkę. Ucieszył się, że nie drgnęła. Zatem drzwi były zamknięte na klucz. Zapukał, po czym odsunął się. Drzwi otworzyła Regan - na taką szerokość, na jaką pozwalał gruby łańcuch.

- Całkiem nieźle - pochwalił Rafe. - Ale w przyszłości pytaj: „Kto tam?”.

- Widziałam cię przez okno. - Zamknęła drzwi, zdjęła łańcuch i ponownie je otworzyła. Spoglądając na jego ręce, uśmiechnęła się szeroko. - Bez bukietu lilii?

- Chciałabyś! - Pewnie by ją pocałował, gdyby w głębi pokoju nie zauważył wpatrzonych w siebie szarych oczu. - Zdaje się, że masz w domu myszkę.

Regan obejrzała się za siebie i uśmiechnęła na widok Emmy.

- Śliczną i cichutką. Emmo, to jest pan MacKade. Poznałaś go u Ed, pamiętasz?

Wyciągnęła rękę do dziewczynki. Ta, spoglądając lękliwie na gościa, wstała z kanapy.

- Znałem twoją mamusię, kiedy była w twoim wieku - powiedział Rafe.

Dziewczynka wyjrzała zza Regan, za którą się ukryła. Chcąc przekupić dziecko, Rafe potrząsnął pudełkiem ze słodyczami.

- Masz ochotę na ciasteczko, aniołku?

W odpowiedzi zobaczył nieśmiały uśmiech.

- Po kolacji - rzekła Regan, wyjmując mu pudełko z rąk.

- Szkoda... Chociaż z kuchni dochodzą wspaniałe zapachy.

- Będzie kurczak z kluseczkami. Popisowe danie Cassie.

Musiałam ją niemal przywiązać, bo chciała uciec z dziećmi do kawiarni. Zgodziła się zostać pod warunkiem, że ona przygotuje kolację. Chodź, Emmo, zaniemiemy ciastka do kuchni.

Zaciskając rączkę na spodniach Regan, dziewczynka rzuciła okiem na Rafe'a. Był wielki, ale spojrzenie miał łagodne. Mimo młodego wieku potrafiła wiele wyczytać z twarzy człowieka. A pan MacKade przypominał z wyglądu szeryfa. Po wejściu do kuchni skupiła uwagę na matce; ciekawa była jej reakcji na gościa.

Cassie podniosła wzrok znad kuchenki i uśmiechnęła się.

- Cześć, Rafe.

Mężczyzna pocałował matkę w fioletowy policzek.

- Jak leci, Cassie?

- Dobrze, dziękuję. - Cassie zerknęła na stojącego obok chłopca.

- Connor, pamiętasz pana MacKade'a?

- Cześć, zuchu. - Rafe wyciągnął rękę do chłopca.

- Ale z ciebie duży chłopak. Do której chodzisz klasy? Trzeciej?

Czwartej?

- Do trzeciej, proszę pana.

Czyli miał osiem lat, o trzy więcej od siostry. Rafe podał Regan wino. Osiem lat, a mówił cicho jak stary ksiądz.

- Panna Kwik wciąż uczy?

- Tak, proszę pana.

- Mówiliśmy na nią panna Kociokwik. Pewnie to przezwisko już na dobre do niej przyłgnęło?

- Tak, proszę pana. - Chłopiec niepewnie zerknął na matkę i zdobywając się na odwagę, spytał: - To pan kupił dawny dom Barlowów?

- Zgadza się.

- Podobno w nim straszy?

Rafe wyjął z miski marchewkę i odgryzł kawałek.

- I to jak!

- A ja wiem wszystko o bitwie nad Antietam - wyrzucił z siebie chłopiec. - To był najbardziej krwawy dzień w całej wojnie secesyjnej. Samej bitwy nikt nie wygrał, bo... - urwał zawstydzony. Właśnie dlatego, pomyślał smętnie, niektórzy koledzy nazywali go kujonem.

- Bo nazajutrz konfederaci wycofali się do Wirginii - dokończył za niego Rafe. - Może byś kiedyś wpadł i obejrzał dom, co? Swoją drogą, przydałby mi się ktoś, kto tak świetnie zna tutejszą historię.

- Mam książkę. Z ilustracjami.
- Serio? - Rafe przyjął od Regan kieliszek wina.
- Pokażesz mi ją kiedyś?

Z chłopcem poszło łatwo; wystarczyła rozmowa na temat niewłaściwej strategii McClellana i strat po obu stronach. Rafe zorientował się, że ma do czynienia z inteligentnym dzieckiem, zbyt odcytanym, aby dobrze się czuło wśród rówieśników, i zbyt nieśmiałym, aby chciało się chwalić swoją ogromną wiedzą.

Z kolei dziewczynka, miniaturowa kopia swojej mamy, cały czas trzymała się blisko Regan lub Cassie, kolację jadła w milczeniu, a z Rafe'a nie spuszczała wzroku.

- Ed powinna cię zatrudnić jako kucharkę, a nie kelnerkę - powiedział Rafe, zjadłszy dokładkę. - W ciągu miesiąca knajpa podwoiłaby zyski.

Cassie zamurowało. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś chwalił jej zdolności kulinarne.

- Cieszę się, że ci smakuje. Jak chcesz, mogę ci resztki zapakować na wynos. Potem wystarczy podgrzać.

- Kochana jesteś. Dzięki.

- Nie, nie! - zawołała Regan, kiedy Cassie zaczęła zbierać naczynia. - Ty gotowałeś, ja sprzątam.

- Ale...

- Tak się umawialiśmy. A ponieważ Rafe zjadł za dwóch, to w ramach spalania kalorii pomoże mi pozmywać naczynia.

Dzieci wytrzeszczyły oczy, kiedy Rafe, pogwizdując wesoło, podwinął rękawy. Mężczyźni, których znali, po kolacji bekali głośno, luzowali paski u spodni i z baterią piw wyciągali się na kanapie przed telewizorem.

- Tatuś mówi, że tylko baby i maminsynki pomagają w kuchni - oznajmiła zaskakująco donośnym głosem dziewczynka.

- Emmo! - Cassie zbladła i przerażonymi oczami popatrzyła na Rafe'a.

Przez moment kusilo go, aby rzucić kąśliwą uwagę na temat ptasiego mózdzku Joego Dolina, ale zrezygnował.

- Moja mama zawsze mówiła, że na posiłek trzeba sobie zasłużyć. - Mrugnął porozumiewawczo do kobiet. - Poza tym, jak pomogę Regan, to potem będę mógł ją pocałować.

- Dlaczego?

- Bo jest równie smaczna jak kurczak waszej mamy.

Emma, usatysfakcjonowana odpowiedzią, skinęła z powagą głową i sięgnęła po ciasteczko.

- W takim razie wykapię dzieciaki. - Cassie wskazała pociechom łazienkę. - Muszę jutro wstąpić. Pracuję na rannej zmianie.

- Dzięki za kolację, Cass.

- Doskonale się spisałeś - pochwaliła Rafe'a Regan, kiedy trójka Dolinów znikła za drzwiami. - Te biedne dzieci pewnie pierwszy raz w życiu siedziały przy stole z mężczyzną, który nie wrzeszczy na nich i ich mamę.

- Joe to skończony kretyn. - Rafe wstawił brudne naczynia do zlewu. - Ma śliczną żonę, cudowne dzieciaki. Na jego miejscu każdy by się cieszył.

Zamyślił się: dom, kochająca żona, dzieci, które rzucają się ojcu na szyję, gdy ten wraca z pracy, wspólne posiłki, śmiech, gwar. Hm, dziwne, nigdy dotąd za czymś takim nie tęsknił. A teraz...

- Wywarłeś na nich wrażenie - ciągnęła Regan, napełniając zlew ciepłą wodą. - Pokazałeś, że istnieją na tym świecie silni, inteligentni mężczyźni, którzy zachowują się w mądry, odpowiedzialny sposób.

Obejrzała się za siebie i nagle się stropiła. Przywykła do tego, jak Rafe na nią patrzy, czasem bardzo łakomym wzrokiem, ale tym razem patrzył inaczej, jakby myślami był daleko.

- Co się stało?

- Słucham? - Ocknął się i wrócił do rzeczywistości. - Nie, nic. - Mój Boże, czyżby naprawdę marzył o rodzinie, dzieciach, domu z trawnikiem i białym płótem? - Ten mały, Connor, wydaje się inteligentnym chłopcem.

- W szkole ma same piątki - oznajmiła z dumą Regan, jakby mówiła o własnym synu. - Tak, to bardzo zdolne, miłe i wrażliwe dziecko. Idealny kozioł ofiarny. Joe potwornie się na nim wyżywał.

- Bił go?

- Nie, Cassie by na to nie pozwoliła. Ale znęcał się psychicznie. Na szczęście to już przeszłość. - Podała Rafe'owi umyty talerz. - Twój ojciec zmywał naczynia?

- Tylko w Święto Dziękczynienia. - Wytarłszy talerz do sucha, Rafe odstawił go na bok. - Buck MacKade to był twardek do kwadratu.

- Buck? Brzmi groźnie.

- Prawda? Pamiętam, że miał niesamowite spojrzenie; potrafił przewiercić człowieka na wylot. Takie samo ma teraz Devin. A ja odziedziczyłem po ojcu ręce. - Wyciągnął je przed siebie, zgiął palce, wyprostował. - Któregoś dnia nagle odkryłem, że mam łapy swojego starego.

Patrzyła ze wzruszeniem, jak Rafe, ściskając pod pachą ściereczkę do naczyń, uśmiecha się do własnych rąk.

- Byliście sobie bliscy?

- Nie dość bliscy. I niestety długo się sobą nie nacieszyliśmy.

- Kiedy umarł?

- Miałem piętnaście lat. Przejechał go traktor. Ojciec męczył się tydzień...

Usiłując powstrzymać łzy, Regan zanurzyła ręce w wodzie.

- Dlatego nienawidzisz życia na farmie?

- Chyba tak. - O dziwo, nigdy sam na to nie wpadł. Farma zabrała mu ojca, dlatego nie chciał na niej pozostać. - On kochał to miejsce, każde drzewo i kamień. Tak jak teraz Shane.

- A co Jared odziedziczył po ojcu?

- Talent krasomówczy. Podobnie jak nasz stary, Jared wszystko potrafi człowiekowi wmówić, do wszystkiego go przekonać.

- W takim razie dobrze, że jest moim prawnikiem. - Podała Rafe'owi kolejny talerz. - Mój ojciec nie umył w życiu nawet jednej szklanki. Zresztą żona by mu na to nie pozwoliła. Moja mama uważa, że kuchnia jest królestwem kobiety. Pod tym względem zgadzają się w stu procentach. Każdego ranka, zanim ojciec wyjdzie do pracy, a jest chirurgiem, matka przynosi mu filiżankę kawy.

- Złości cię to?

- Dziś już mniej. Mama całkowicie podporządkowała się ojcu. Nie wiem, czy kiedykolwiek miała własne ambicje. W każdym razie zachowuje się tak, jakby wygrała los na loterii.

Powoli zaczynał rozumieć, dlaczego Regan boi się trwałych związków i czemu taką wagę przykładła do własnej niezależności.

- Może wygrała - rzekł.

- Najwyraźniej. Mnie jednak denerwują ich wzajemne relacje. Wiesz, że sama nie podejmuje pieniędzy z konta? Ojciec daje jej kieszonkowe i mówi do niej „mamuśka”. - Zdegustowana, pokręciła głową. - Mama uwielbiała życie w Waszyngtonie, ale kiedy parę lat temu ojciec zarządził przeprowadzkę do Arizony, słowem nie zaprotestowała. Kochają się i są ze sobą bardzo szczęśliwi. A na mnie patrzą jak na raroga.

- Bo nie masz bogatego męża, wielkiego domu i karty wstępu do klubu golfowego?

- Zgadłeś. - Parsknęła śmiechem. - Przyznaj się: kiedy tyś ich poznał?

- Przed chwilą. A teraz ty się przyznaj: dlaczego nie masz bogatego męża, wielkiego domu i karty wstępu do klubu golfowego?

- Bo lubię być niezależna i mieć własną przestrzeń, a w golfa gram koszmaranie. - Odgarnęła włosy za uszy. -Zdradzę ci, że moja mama wielkie nadzieje pokładała w Jaredzie.

Miska, którą Rafe wycierał, o mało nie wyslizgnęła mu się z rąk.

- W moim bracie?

- Kiedy tu zamieszkałam, przyjechali w odwiedziny. Jared zaprosił nas na kolację.

- Jared zaprosił was na kolację - powtórzył za nią Rafe.

- Tak. Mama była zachwycona, że spotykam się z prawnikiem.

- Spotykałaś się z moim bratem?

- Byliśmy na paru randkach. To było tuż po jego rozwodzie. -

Wyciągnęła rękę z ociekającą miską i ze zdziwieniem uniosła brwi, bo Rafe nie wykonał ruchu, żeby ją wziąć. - No, co jest?

- Spotykałaś się z moim bratem?

- Pytasz po raz trzeci. - Przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. - A co? Jared nic ci nie mówił?

- Nie. Chciałbym wiedzieć, co rozumiesz pod pojęciem „randka”.

- Chodzi ci o to, czy z nim spałam? - Z trudem zachowując powagę, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Bo co? Spierzesz go na kwaśne jabłko?

- Regan... proszę cię.

- W lewym policzku drga ci mięsień. No już dobrze, dobrze. -
Roześmiała się wesoło. - Odpowiedź brzmi: nie, nie spałam. -
Wetknęła mu miskę do ręki.

- Ale kilka razy pocałowałam się z nim na dobranoc. I mogę
stwierdzić z całą stanowczością, że przynajmniej pięćdziesiąt procent
braci MacKade'ów potrafi znakomicie całować.

- Bylebyś tylko nie chciała sprawdzić pozostałych pięćdziesięciu
procent - mruknął Rafe. Odstawiwszy miskę, sięgnął po kieliszek z
winem. - Dlaczego się nie przespaliście?

Wzdychając ciężko, wzniosła oczy do nieba.

- Widocznie, mój drogi, ani Jaredowi, ani mnie na tym nie
zależało. Fajnie się czuliśmy w roli przyjaciół. Zadowolony?

- Może i tak go spiorę. Dla zasady.

Dopił wino, po czym zaciskając ręce na ramionach Regan,
obrócił ją twarzą do siebie i przywarł ustami do jej ust. Całował długo,
namiętnie, a ona mruczała cicho.

- Żeby ci się nie mylili bracia MacKade... - powiedział, prostując
się.

- Przepraszam, a ty jak masz na imię? Parsknął śmiechem.

- Wiesz co? Zamiast przytulania na kanapie może byśmy
wypróbowali tylne siedzenie w moim samochodzie?

- Kusząca propozycja. - Zakreśliło się jej w głowie.

- Chyba nie zdołam się oprzeć.

Rafe wrócił do domu o północy. Rozpoznał samochód zaparkowany na podjeździe, więc nie zdziwił się na widok Jareda, który krążył po salonie, popijając piwo.

- Przejmuje pan mój majątek, panie mecenasie? Jared posepnym wzrokiem popatrzył na butelkę, którą trzymał w dłoni.

- Wystawiłem dziś swój dom na sprzedaż. Nie chcę dłużej w nim mieszkać.

Usiadłszy na śpiworze, Rafe ściągnął buty. Wiedział, jak to jest; czasem też miewał chandrę. Dlatego miał nadzieję, że zdoła poprawić Jaredowi humor.

- Jakoś nigdy za nim nie przepadałem. Podobnie jak za twoją była.

Jared wybuchnął śmiechem. Brat niczego nie owijał w bawełnę.

- To była niezła inwestycja. Dom, nie żona. Powinienem trochę zarobić. - Podał Rafe'owi butelkę.

- Nie, dzięki. Bez fajek piwo gorzej smakuje. Poza tym za sześć i pół godziny muszę być na nogach. - Na moment Rafe zamilkł. - Zamierzałem wybrać się do ciebie z wizytą.

- W jakimś konkretnym celu?

- Żeby sprać cię na kwaśne jabłko. - Ziewając szeroko, Rafe wyciągnął się na śpiworze. - Ale to może poczekać do jutra. Na razie mi się nie chce.

- W porządku. A czy... czy zrobiłem coś nie tak?

- Całowałaś się z moją kobietą.

- Serio? - Jared rozsiadł się wygodnie na sofie, po czym uśmiechnął się. - Tak, faktycznie. Teraz sobie przypominam. A od kiedy to Regan jest twoją kobietą?

Rafe zrzucił dzinsy i zaczął rozpinać koszulę.

- Gdybyś mieszkał tu, a nie w metropolii, tobyś był na bieżąco.

- Czy ona o tym wie?

- Grunt, że ja wiem. - Zamknąwszy oczy, przykrył się śpiworem.

- I zamierzam ją zatrzymać.

Jared zakrztusił się.

- Znaczy się: poślubić?

- Znaczy się: zatrzymać. - Takie słowo jak „ślub” nie chciało Rafe'owi przejść przez gardło. - Wszystko ma pozostać tak, jak teraz.

Rozmowa coraz bardziej wciągała Jareda. Była o wiele bardziej pasjonująca od popijania piwa i dumania nad własnym losem.

- A jak jest teraz?

- Fantastycznie - odparł Rafe. Czuł zapach Regan na śpiworze. - Ale i tak cię spiorę. Dla zasady.

- Jasne, dla zasady. - Jared ułożył się na sofie. - Swoją drogą, nigdy ci się nie odpłaciłem za to, że zabrałaś Sharilyn Bester, obecnie Fenniman, nad rzekę i pływaliście na golasa.

- Rzuciłaś ją. Ja tylko pocieszałem bidulkę.

- Chodzi o zasady.

Rafe podrapał się po brodzie.

- Masz rację, stary. Musisz jednak przyznać, że daleko Sharilyn do Regan.

- Ale ja nie widziałem Regan nagiej.

- I tylko dlatego jeszcze żyjesz. To co, może uznamy, że jesteście kwita?

- Uf, przynajmniej będę mógł spać spokojnie. Rafe uśmiechnął się pod nosem.

- Żał ci sprzedawać dom, Jared? - spytał po chwili.

- Nie, za dużo wiąże się z nim wspomnień. Chyba byłoby lepiej, gdybyśmy z Barbarą wrzeszczeli na siebie, rzucali talerzami. -

Wypiwszy ostatni łyk, Jared postawił butelkę na podłodze. - Nie ma nic bardziej demoralizującego niż dwoje niemal obcych sobie ludzi, którzy rozwodzą się w sposób tak szalenie kulturalny.

- Wolałbyś mieć złamane serce?

- Nie wiem. Może.

Przez moment słuchali w ciszy dochodzącego z góry szlochu.

- Spytaj Abigail. Ona na pewno wie.

- Może powinieneś zaprosić egzorcystę - mruknął sennie Jared.

Powieki coraz bardziej mu ciążyły.

- E tam. Lubię te moje duchy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rzadko miewał sny. Wolał fantazjować na jawie, świadomie czerpać przyjemność z fantazji.

Ale tej nocy, gdy płomienie cicho syczały w kominku, a księżyc świecił na niebie, śniło mu się, że biegnie przerażony. Że oczy go bołą ze zmęczenia i od koszmarnych obrazów, na które musiał patrzeć.

Widział mężczyzn rozrywanych na strzępy, ziemię wstrząsaną strzałami z moździerzy, czerwoną od krwi. W nozdrza wdzierał mu się zapach śmierci, zapach, od którego nigdy się już nie uwolni.

Tęsknił za zapachem magnolii, za wonią róż, za sielskim widokiem porośniętych zielenią wzgórz, za brązowymi polami, za domem. Och, gdyby znów mógł posłuchać szmeru rzeki przepływającej przez rodzinną plantację, radosnego śmiechu swoich sióstr, zawodzącego śpiewu pracujących w polu ludzi.

Bał się, że świat, który znał i kochał, minął bezpowrotnie. Marzył o tym, żeby go odzyskać, ujrzeć ponownie.

Chciał jeszcze raz spotkać się z ojcem, powiedzieć mu, że jego syn starał się zasłużyć na miano mężczyzny.

Wszędzie wokół toczyła się walka. Na polach, wśród łąk kukurydzy, w jego sercu. Wielu jego kompanów leżało martwych na skalistych wzgórzach Marylandu.

Zgubił się. Był w kłębach czarnego, gryzącego dymu i słyszał głośne strzały, straszliwe jęki i krzyki. A potem nagle zaczął biec, jak tchórz; biegł, szukając jakiejś nory, w której mógłby się skryć.

Wstyd mieszał się ze strachem. Zapomniał o swojej żołnierskiej powinności, o honorze. Musi je odnaleźć.

Wędrował przez gęsty las, po dywanie z czerwonych i złotych liści. Nigdy nie był tak daleko na północy, nigdy nie widział na drzewach takich barw, nie czuł zapachu jesieni.

Miał zaledwie siedemnaście lat.

Raptem coś zamigotało mu przed oczami. Dostrzegł niebieski mundur. Chwycił broń i strzelił. Za szybko, niecelnie.

Kula trafiła go w ramię. Przerażony, wydał z siebie ochryply krzyk i rzucił się do ataku.

Żałował, że widział twarz wroga, młodą i równie przerażoną jak jego własna. Rozległ się szcęk bagnatów. W powietrzu unosił się zapach strachu i krwi.

Poczuł, jak metalowe ostrze wbija się w ciało wroga. Zrobiło mu się niedobrze. A potem zawył, gdy ostrze wroga wbiło się w jego ramię. Walczyli zawzięcie, bez opamiętania, niemal na oślep. I w końcu obaj padli. Po co to było, przemknęło mu przez myśl, kiedy leżeli w kałużach krwi.

Półprzytomny z bólu, zaczął się czołgać. Chciał dotrzeć do domu na kolację. Tak, do domu. Dom majaczył mu przed oczami. Znacząc ziemię krwią, z trudem brnął przed siebie.

Uniosły go czyjeś ręce. Usłyszał szepty. A potem ujrzał ją - swojego anioła, kobietę o ciepłym spojrzeniu i cichym głosie, w którym brzmiała muzyka jego umiłowanego Południa.

Twarz miała piękną, łagodną i bardzo smutną.

Głaskała go po głowie i trzymała za rękę, gdy wnosili go po schodach na piętro.

Chcę wrócić do domu, powiedział. Tak bardzo tego pragnę.
Wydobrzejesz, obiecała mu. Wydobrzejesz i ruszysz w drogę.
Podniosła wzrok i nagle krew odpłynęła jej z twarzy.

„Nie. On jest ranny. To jeszcze dziecko. Charles, nie rób tego”.

Zobaczył mężczyznę, zobaczył broń, usłyszał słowa:

„Żaden Jaś Rebeliant nie ma prawa wstępu do mojego domu.

Nie pozwolę, żeby moja żona dotykała konfederacką szuję”.

Rafe podskoczył. W uszach dudnił mu huk wystrzału. Przez chwilę siedział na śpiworze, czekając, aż huk ucichnie, a serce przestanie mu łomotać.

Wreszcie, drżąc z zimna, wstał i dorzucił kilka polan do ognia. Do rana nie zmrużył oka. Słuchając oddechu śpiącego na sofie brata, leżał i patrzył w ogień, dopóki za oknem nie pojaśniało.

Regan spała w nocy jak niemowlę. Rano, kiedy dzieciaki poszły do szkoły, a Cassie do pracy na ranną zmianę, zaparzyła sobie drugą filiżankę kawy. Lubiła mieć wokół siebie własną przestrzeń, ale odkryła, że lubi również towarzystwo miłych ludzi.

Cieszył ją widok kręcących się po domu dzieci. Emma dała jej buziaka na dzień dobry, a Connor obdarzył ją uśmiechem. Potem ścigała się z Cassie, która pierwsza wpadnie do kuchni, by przyrządzić śniadanie.

Nigdy dotąd nie marzyła o dzieciach, ale nagle... Czyżby obudził się w niej instynkt macierzyński?

Podniosła kredkę, którą Emma zostawiła na stole. Śmieszne, pomyślała, jak szybko dom przechodzi zapachem dzieci. Zapachem kredek i plasteliny, gorącej czekolady i płatków śniadaniowych. I jak szybko człowiek się przyzwyczaja, że dom tętni życiem.

Odruchowo schowała kredkę do kieszeni. No dobrze, czas ruszać do pracy. Umywszy filiżankę, skierowała się schodami na dół do sklepu.

Otworzyła drzwi i wywiesiła tabliczkę z napisem „Otwarte”. Ledwo zdążyła podejść do kasy, kiedy do sklepu wkroczył Joe Dolin.

Ogarnął ją strach, ale po chwili się uspokoiła: Joe nie skrzywdzi Cassie, bo Cassie tu nie ma.

Odkąd go poznała trzy lata temu, sporo przytył. Wciąż był umięśniony, ale mięśnie pokrywała warstwa tłuszczu, której dorobił się od piwa. Przypuszczalnie kiedyś, zanim twarz mu spuchła i pojawiły się wory pod oczami, mógł uchodzić za całkiem przystojnego mężczyznę.

Przedni ząb miał nadkruszony - nie wiedziała, że w wyniku zderzenia z pięścią młodego Rafe'a - a nos krzywy, kilkakrotnie złamany.

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Ze dwa lub trzy razy Joe próbował ją pomacać. Często wodził za nią pożądlivym wzrokiem. I uśmiechał się znacząco.

Nigdy o tym nie mówiła Cassie. I nie zamierzała.

Przygotowała się psychicznie do awantury, jaką na pewno jej urządzi, ale Joe cicho zamknął drzwi i ściągnął z głowy czapkę niczym wieśniak, który przyszedł z wizytą do królowej.

- Regan, bardzo przepraszam, że ci przeszkadzam...

Wzruszył ją jego pokorny ton i zawstydzony, wbity w ziemię wzrok. Ale chwilę później przypomniała sobie sińce na twarzy i szyi Cassie.

- Czego chcesz, Joe?

- Podobno Cassie mieszka u ciebie? Zauważyła, że o dzieciach nie wspomniał słowem.

- Tak.

- Pewnie mówiła ci o naszych kłopotach?

- Że ją pobiliś i że cię aresztowano? Owszem.

- Byłem pijany - rzekł ze spuszczoną głową. - Czuję się okropnie. Siedząc w więzieniu, cały czas o niej myślałem, jak sobie daje radę. A teraz mam zakaz zbliżania się do niej. - Podniósł oczy; lśniły w nich łzy. - Chciałem cię prosić o przysługę.

Milczała. Nie ma szans, by wilgotne oczy drania zaćmiły jej rozum.

- Żebyś porozmawiała z Cassie. Poprosiła ją, by dała mi jeszcze jedną szansę. Sam nie mogę z powodu tego przekłętą zakazu. Ale ciebie ona posłucha.

- Przeceniasz moje możliwości, Joe.

- Nie, ciebie posłucha - powtórzył. - Ciagle opowiada o tym, jaka jesteś mądra. Jeśli jej powiesz, żeby wróciła do domu, na pewno to zrobi.

Regan wzięła głęboki oddech.

- Gdyby Cassie mnie słuchała, już dawno by cię wyrzuciła za drzwi.

Zacisnął zęby.

- Facet ma prawo... - zaczął.

- Co? Bić żonę? Nie ma takiego prawa. I nie licz na to, że przekażę jej twoją prośbę. Jeśli to wszystko, bądź łaskaw wyjść.

Ściągnął wargi i niczym wściekły pies odsłonił dziąsła. Jego spojrzenie stało się zimne, harde.

- Wciąż zadzierasz nosa? Myślisz, że jesteś lepsza ode mnie?

- Nie myślę. Wiem. A teraz wynoś się stąd, bo wezwę szeryfa.

- Miejsce żony jest przy mężu! ~ Huknął pięścią w ladę, tak mocno, że pękła szklana tafla. - Powiedz jej, że jeśli wie, co dla niej dobre, to wróci do domu. I co dla ciebie jest dobre - dodał.

Regan zdławiła uczucie strachu i zacisnęła rękę na kredce w kieszeni, jakby to był jakiś talizman.

- Grozisz mi? - spytała chłodno. - Nie sądzę, aby twój kurator pochwalał takie zachowanie. Może zadzwonię i się upewnię...

- Suka! Jesteś wredną, zimną suką, która nie umie znaleźć sobie faceta! - Miał ochotę jej przyłożyć, zmieść jej z twarzy ten zadufany wyraz. - Tylko spróbuj stanąć między mną a Cassie! Obie tego pożałujecie. Zobaczmy, czy dalej będziesz tak zadzierać nosa.

Wsadził czapkę na głowę i skierował się ku drzwiom.

- Powiedz jej, co mówiłem. Powiedz, że na nią czekam. Ma kazać szeryfowi porwać te durne papiery i być w domu przed wieczorem!

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Regan oparła się o ścianę. Ręce jej drżały. Nienawidziła tego uczucia: bezradności, strachu. Po chwili chwyciła telefon. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Rafe'a, ale się powstrzymała.

To złe posunięcie, stwierdziła, odkładając słuchawkę na widełki. Złe z wielu powodów. Rafe odszuka Joego i pewnie dojdzie do bójki. Może zostać ranny. Zresztą przemocą niczego się nie rozwiąże.

Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Zawsze potrafiła sobie radzić w życiu. Teraz też wiedziała, jak powinna postąpić. Nie namyślając się dłużej, ponownie podniosła telefon i wykręciła numer szeryfa.

- Z początku to nawet było mi go żal. - Wypiła łyk herbaty, po czym odstawiła filiżankę. - A potem wystraszyłam się.

- Nic dziwnego, że drżysz. - Devin popatrzył na pękniętą szklaną taflę. Spotkanie z Joem mogło się skończyć dla Regan o wiele gorzej.

- Nie sądziłem, że jest takim idiotą.

- Chyba wcześniej nic nie pił. Przynajmniej nie wydawał się pijany. Ale z każdą sekundą narastała w nim agresja. - Ponownie sięgnęła po filiżankę.

- Niestety nie mam świadków. Byliśmy sami.

- Wnieś oskarżenie, ja się zajmę resztą. Uśmiechnęła się.

- Czuje, że to ci sprawi przyjemność.
- Nawet nie wiesz, jak wielką.
- W porządku, wniosę. A co z Cassie?
- Natychmiast po twoim telefonie wysłałem do Ed's Cafe

jednego z podwładnych. Ma tam siedzieć, pić kawę i flirtować z Ed. Drugiemu kazałem krążyć wokół szkoły.

Przeraziła się.

- Boże... Myślisz, że może skrzywdzić dzieci?
- Nie sądzę. One go nie obchodzą.
- Masz rację - powiedziała, próbując się pocieszyć.
- Słowem się o nich nie zająknął. Mówił tylko o Cassie, zupełnie

jakby dzieciaki nie istniały. Wiesz co, zamknę sklep i od razu z tobą pojedę.

- Świetnie. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Jest duża szansa, że drań siedzi w domu, opróżnia butelkę i czeka na powrót żony.

Złożywszy na policji oficjalną skargę, Regan udała się do supermarketu. Czowała, że obie z Cassie będą potrzebowały czegoś na poprawę humoru. Spaghetti z mięsnym sosem, a na deser pyszne czekoladowe ciasteczka.

Stojąc w kolejce do kasy, widziała, jak ludzie przyglądają się jej z zaciekawieniem i szepczą jeden do drugiego. Ogarnął ją śmiech. A niech sobie plotkują, pomyślała.

W pewnym momencie, poruszając się ociężale - i nic dziwnego, skoro ważyła co najmniej ze sto kilo - podeszła do niej pani Metz.

- Regan Bishop! Dzień dobry, kochanie.
- Dzień dobry, pani Metz. Coś mi się zdaje, że znów zacnie sypać...
- To prawda - potwierdziła starsza kobieta. - Mówili w radiu. Popatrz, już luty, a zima nie odpuszcza. A co ty tu robisz w środku dnia?
- Klientów mało... - Doszedłszy do kasy, Regan zapłaciła za zakupy. - Zapadli w sen zimowy.
- Byle do wiosny... Ale z interesami nie jest chyba tak źle, co? Słyszałam, że będziesz urządzić dawny dom Barlowów?
- Tak, chociaż na razie trwa remont. - Regan oparła torbę z zakupami na biodrze.
- Nie wierzyłam, że kiedykolwiek znajdzie się ktoś chętny na ten stary dom. Że go kupi i odrestauruje.
- Oczy staruszki zaśniły. - Pewnie MacKade'owi nieźle się powodziło tam na Południu.
- Pewnie tak.
- Och, ci bracia MacKade! Wszystkich nabrali. Kto by pomyślał, że wyrosną na porządnych ludzi? Rafe, na przykład, rozwalił pikapa swojego ojca, zanim jeszcze dostał prawo jazdy. To było tuż po śmierci starego Bucka. Boże, ten chłopak... toż to był diabeł wcielony! Uganiał się za dziewczynami, ciągle szukał okazji do bójki, śmigał po bocznych drogach na warczącym motocyklu. Jego bracia nie byli lepsi.
- Ludzie się zmieniają.

- Aż tak bardzo to nie. - Liczne podbródki pani Metz zatrzęsły się ze śmiechu. - Widziałam Rafe'a po powrocie. Wciąż ma ten szalony błysk w oku. A oko, jak ćwierkają wróbelki, ma skierowane na ciebie.

- Nie kłamią te pani wróbelki - powiedziała Regan. - Coś pani zdradzę: ja też mam oko skierowane na niego.

Już nie tylko podbródki trzęsły się staruszce, również wszystkie fałdy na brzuchu.

- Oj, uważaj, kochanie, uważaj! Ten orzeł wysoko szybuje i nie ogląda się za siebie. - Na moment kobieta zamilkła. - Niegrzeczny był z niego chłopiec. A niegrzeczni chłopcy wyrastają na bardzo niegrzecznych mężczyzn.

- Wiem. - Regan mrugnęła do niej porozumiewawczo. - Dlatego tak bardzo mi się podoba. No, czas na mnie. Zapraszam do mojego sklepu.

- Na pewno wkrótce zajrzę.

Ubawiona rozmową, Regan wędrowała przed siebie. Lubiła to miasteczko. Chodniki były krzywe i popękane, biblioteka otwarta tylko trzy dni w tygodniu, a pocztę codziennie po południu zamykano na godzinę. Mimo to - a może właśnie dlatego - czuła się tu jak w domu.

A Rafe? Chyba nie zdawał sobie sprawy, że mieszkańcy cieszyli się z jego powrotu. Na rogu skrzyła w Main. Może nie zgotowali mu gorącego przyjęcia, ale to nie było w ich stylu. Po prostu pozwolili, żeby na nowo wtopił się w tutejszy krajobraz.

Jego kolejny wyjazd, do którego niechybnie znów dojdzie, przyjmą tak samo naturalnie. Bez względu na to, co się dzieje, życie toczy się dalej.

Od „Czasu Przeszłego” dzieliło ją zaledwie parę metrów. Zwolniła krok. Zawsze uważała, że należy cieszyć się chwilą, nie patrzeć tęsknie w przyszłość ani przeszłość.

Może wieczorem znajdzie pretekst, aby pojechać do domu na wzgórze, spędzić z Rafe'em godzinę lub dwie?

Wyjęła z kieszeni klucze. Podrzuciła je w dłoni, idąc po schodach do mieszkania. Chciała zostawić w kuchni torbę z zakupami, potem zejść do sklepu.

Gdyby jej uwagi nie pochłaniał Rafe, pewnie wcześniej dostrzegłaby, że coś jest nie tak. Drzwi, wyjęte z zawiasów, stały oparte o framugę, ale zobaczyła to w ostatniej chwili, kiedy już sięgała do klamki.

Zamarła bez ruchu. Na ułamek sekundy za długo.

Nie zdążyła rzucić się pędem na dół. Joe chwycił ją za gardło, tak mocno, że nie była w stanie krzyknąć. Cuchnął alkoholem.

- Nawet lepiej, że to ty pojawiłaś się pierwsza - szepnął jej do ucha, wyraźnie podniecony samotnością. - Od dawna chciałem cię dorwać. Pokażę ci, co potrafi prawdziwy facet. Zaraz ściągnę z ciebie te grzeczne fatalaszki...

Wolną ręką zaczął macać ją po piersiach. Regan wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Czowała, jak strach ją oślepia, jak przytępia jej rozum.

- Oddajesz się MacKade'owi, oddasz i mnie.

A potem oszpecę twoją śliczną buźkę. Już nigdy nikomu się nie spodobasz.

Kiedy zaczął ją wciągać do mieszkania, uświadomiła sobie, co ją czeka. Zaczęła walczyć. Torba upadła na ziemię, zakupy rozsypały się po podłodze.

- Potem dam nauczkę Cassie. Ale najpierw zabawię się z tobą - śmiał się Joe. Szarpnął ją mocno za włosy i zarechotał, kiedy jęknęła z bólu.

Wtem przypomniała sobie, że wciąż trzyma w ręce klucze do mieszkania. Modląc się w duchu, żeby się udało, z całej siły się zamachnęła.

Joe zawył jak zarzynane prosię i rozluźnił palce zaciśnięte na jej szyi. Regan błyskawicznie zerwała się do ucieczki. Była pewna, że Joe rzuci się za nią. Na dole schodów potknęła się i upadła na kolana. Otwierając usta do krzyku, obejrzała się za siebie.

Joe leżał zwinięty na podeście, z ręką przytkniętą do twarzy. Pomiedzy jego palcami ciekła krew. Regan dźwignęła się na nogi. Oszołomiona, ruszyła przed siebie. Szła wolno, niepewnie. W uszach jej szumiało.

Pchnęła drzwi do kawiarni Ed. Nie zdawała sobie sprawy, że płaszcz z niej zwisa, a spodnie ma podarte na kolanach i zakrwawione.

Cassie wypuściła tacę, którą trzymała w rękach. Naczynia roztrzaskały się na podłodze.

- Regan! Boże!

- Dzwon po Devina. Joe leży na podeście schodów. Przed moim mieszkaniem. Chyba wyrządziłam mu krzywdę. - Wszystko wirowało jej przed oczami. Na wszelki wypadek zacisnęła rękę na oparciu fotela. - Muszę usiąść...

- Cass, dzwoni do szeryfa! - krzyknęła Ed, a sama podbiegła do Regan i pomogła jej usiąść. - Pochyl głowę, złotko. Tak, dobrze, jeszcze niżej. A teraz weź głęboki oddech. Dobrze. Oddychaj głęboko. Grzeczna dziewczynka.

Rozejrzała się po lokalu. Kilku klientów patrzyło z zaciekawieniem.

- Na co się gapicie? - warknęła. - Niech no który idzie i przypilnuje drania, żeby nie uciekł. A ty, Horace, rusz swój tłusty tyłek i przynieś biednej dziewczynie szklanek wody.

Wszyscy posłusznie rzucili się wypełniać polecenia szefowej. Ed skinęła z zadowoleniem głową i delikatnie uniosła twarz Regan.

- No, przynajmniej odzyskałaś trochę koloru. Kucnąwszy obok, wyciągnęła z kieszeni fartucha paczkę papierosów. Zaciągając się dymem, uśmiechnęła się pod nosem.

- Cokolwiek mu zrobiłaś, złotko, mam nadzieję, że łobuz cierpi. Siedziała w gabinecie szeryfa, trzymając w dłoniach kubek, który podał jej Shane. Była pewna, że najgorsze już minęło. Emocje opadły, strach ustąpił, znów potrafiła się skupić, myśleć logicznie.

Cassie siedziała obok; nic nie mówiła. Shane chodził od ściany do ściany niczym bokser w ringu. Devin wyjął z szuflady biurka kartkę i długopis.

- Przykro mi, Regan, ale muszę cię prosić, żebyś jeszcze raz wszystko opowiedziała. Powoli, dokładnie, niczego nie pomijając.

- Oczywiście. - Zaczęła skubać rozdarte na kolanach spodnie. Kolana wciąż ją piekły, zarówno od upadku, jak i od antyseptyku, który Ed tak hojnie jej zaaplikowała. - Zależy mi, żeby drań...

Nagle drzwi z hukiem otworzyły się na oścież. Regan obejrzała się przez ramię. Zobaczyła wykrzywioną z wściekłości twarz Rafe'a i jego ciskające gromy zielone oczy.

Serce zabiło jej mocniej. Zanim zdołała się podnieść, był już przy niej. Chwycił ją mocno w ramiona.

- Jak się czujesz? Nic ci nie jest? - spytał ochryple. Odkąd dowiedział się o ataku, nie był w stanie o niczym innym myśleć. Wtulił twarz w jej włosy.

Zaczęła dygotać na całym ciele.

- Nic. Słowo honoru. Ja tylko... - urwała. Marzyła, żeby wtopić się w niego i zniknąć.

- Skrzywdził cię? - Drżącą ręką obrócił ją twarzą do siebie. - Zranił? Próbował dotknąć?

Potrząsnęła głową. Z ledwo tłumioną furią Rafe popatrzył na Devina. Jego oczy płonęły jak dwie pochodnie.

- Gdzie on jest? - spytał.

- W areszcie.

Rafe obejrzał się za siebie. Na zapleczu mieściło się kilka cel.

- Nie tu - oznajmił Devin, próbując zachować spokój. - Nie dostaniesz go w swoje ręce, Rafe.

Jared, który przyjechał razem z Rafe'em, położył rękę na jego ramieniu.

- Stary, usiądź i...

- Odwal się! - warknął Rafe, strząsając gniewnie dłoń brata.

- Joem zajmie się policja - rzekł Devin, wstając zza biurka.

- Do diabła z policją! Chcę wiedzieć, gdzie on jest.

- Jak go dopadniesz, Rafe, to możesz na mnie liczyć - mruknął Shane. - Zawsze nienawidziłem tego skurczybyka.

- Lepiej się ucisz, Shane - wycedził Jared, spoglądając na milczącą Cassie.

- Wypchaj się ze swoimi prawniczymi radami. Ja tam jestem po stronie Rafe'a.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy. A ty, Devin, nie wchodź mi w drogę.

- Siadaj, Rafe, bo cię zamknę.

Zanim Regan się zorientowała, Rafe przeskoczył biurko i chwycił Devina za koszulę. Ogarnął ją strach. Wiedziała, że zaraz poleje się krew.

- Przestańcie - poprosiła, ale jej cichy, drżący głos nie przebił się przez gniewne krzyki i przekleństwa.

- Powiedziałam: przestańcie - powtórzyła. Usłyszała za sobą trzask. - Do jasnej cholery! Macie natychmiast przestać! - ryknęła.

Poskutkowało. Pięść Rafe'a znieruchomiła w powietrzu, szamotanina ustała. Czterech wzburzonych braci stało bez ruchu, niczym cztery posągi, i gapiło się na nią.

- Zachowujecie się jak dzieci. Gorzej niż dzieci. Jaki będzie pożytek z tego, że rozkwasicie sobie nosy? Jakie to typowe - mruknięła zde gustowana. - Zakichani bohaterowie, psiakrew! Pasujecie do klatki w zoo!

- Chwyła swój płaszcz. - Nie zamierzam tu tkwić i patrzeć, jak się naparzacie.

- Usiądź, Regan. - Kiedy nie posłuchała, Rafe rzucił się za nią w stronę drzwi. - Usiądź, proszę - powiedział łagodnie, zastępując jej drogę. - O Chryste, twoje ręce...

Poruszony, delikatnie ujął je w swoje dłonie i podniósł do ust. Było w tym geście coś tak intymnego, że pozostali MacKade'owie odwrócili wzrok.

- Czego się spodziewałaś? - spytał cicho; złość z niego wyparowała. - Myślałaś, że co zrobię? Że jak zareaguję?

- Nie wiem. - Wbite w nią cztery pary oczu sprawiły, że poczuła się zagubiona. - Chcę wrócić do domu. Chcę podać Devinowi wszystkie informacje, jakich potrzebuje, a potem wrócić do siebie.

- W porządku. - Rafe puścił jej dłonie i cofnął się o krok.

Usiadłszy przy biurku, z wdzięcznością przyjęła od Jareda kolejny kubek kawy. Devin zadawał pytania, ona odpowiadała, Rafe słuchał. Kiedy skończyła, obrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

Zrobiło się jej przykro, ale nic nie powiedziała.

- Devin, co teraz będzie?

- Mój zastępca da znać, kiedy lekarze opatrzą Joego. Ze szpitala zostanie przewieziony prosto do więzienia. Złamał zasady zwolnienia

warunkowego, więc resztę zasądzonej kary odbędzie za kratkami - wyjaśnił. Zerknął na Cassie, która w ciągu ostatniej godziny nie drgnęła i słowem się nie odezwała. - Teraz dojdą mu nowe zarzuty. Włamanie, napaść, próba gwałtu. Dorzucimy uszkodzenie mienia. Prawdopodobnie będzie nowy proces, na którym będziesz musiała zeznawać.

- Nie boję się.

- Przypuszczalnie obrońca Joego poradzi mu zawarcie ugody.

Widząc pytające spojrzenie brata, Jared skinął głową.

- Ja bym tak zrobił. Dla dobra klienta.

- Tak czy inaczej czeka go kilka lat odsiadki. Nie będzie wam groził ani się narzucał. Na trzy do pięciu lat macie z nim spokój.

Regan odetchnęła głęboko.

- Czy Cassie i ja możemy już iść?

- Tak. Będę z wami w kontakcie - obiecał szeryf.

- Regan, nie wróć z tobą - oznajmiła Cassie piskliwym głosem, jakby zardzewiałym od długiego milczenia.

- Dlaczego?

Cassie popatrzyła na piękne szare spodnie przyjaciółki, brudne i podarte na kolanach.

- Jeszcze pytasz? Po tym, co ci Joe zrobił?

- Joe. Nie ty. Ty nie jesteś niczemu winna.

- Mylisz się. - Cassie przemogła się i spojrzała na Regan. -

Chryste, jak pomyślę, czym to się mogło skończyć! Jesteś moją najlepszą przyjaciółką...

- A ty moją.

- Wybaczyłaś mi...

- Cassie...

- Teraz sama muszę sobie wybaczyć. Dlatego wrócę z dziećmi do domu. Spróbuję zapewnić im takie życie, na jakie zasługują. Na jakie wszyscy troje zasługujemy. - Zamknęła na moment oczy, po czym popatrzyła pytająco na Jareda: - Pomożesz mi?

- Oczywiście, że tak. Jest mnóstwo terapii, na które...

- Nie. - Cassie zacisnęła zęby. Wiedziała, że podjęła słuszną decyzję; że powinna była ją podjąć już dawno. - Chcę wystąpić o rozwód. Jeszcze dzisiaj. Powiesz mi, jak się do tego zabrać?

- Dobrze. - Wziął ją za rękę, a kiedy wstała, otoczył ramieniem. - Chodź. Zaraz się wszystkim zajmujemy.

- Czas najwyższy-mruknął Shane, kiedy drzwi się za nimi zamknęły. - Dawno temu powinna była wywalić drania na zbity pysk.

- To prawda - poparła go Regan, również szykując się do wyjścia. - Nie będzie jej łatwo.

- Nie zdecydowałyby się na rozwód, gdyby Joe nie rzucił się na ciebie - powiedział Devin.

- W takim razie dobrze, że się rzucił. - Wzięła głęboki oddech i wreszcie zdobyła się na odwagę, żeby zadać pytanie, które nękało ją od godziny: - W co go dźgnęłam? W oko?

- Dam ci znać, jak otrzymam informacje ze szpitala. Na pewno chcesz wiedzieć?

- Tak. - Wyciągnęła do niego rękę. - Dziękuję, Devin. Rafe nie miał racji, złoścąc się na ciebie. Słusznie postąpiłeś.

- Gdybym słusznie postąpił, nigdy by do tego nie doszło.

- Nie mów tak. - Ściskając jego dłoń, skrzywiła się z bólu. - Idę do domu. Łyknę aspirynę i spróbuję się zdrzemnąć. Zadzwoń, jak coś będziesz wiedział.

Shane podał Regan płaszcz.

- Odwiozę cię i naprawię te rozwalone drzwi.

- Dzięki. - Pocałowała go w policzek. - Może czasem zachowujecie się jak dzieci, ale w sumie porządne z was chłopaki.

Przytrzymując ją w pasie, Shane skierował się do wyjścia. Na ulicy pomógł jej wsiąść do samochodu.

- Nie martw się. Rafe'owi wkrótce minie złość. - Zatrzasnął drzwi, obszedł maskę i zajął miejsce za kierownicą. - Ale najpierw musi w coś wałnąć, coś kopnąć.

- To pomaga?

- Jeszcze jak!

- Gotów byłeś z nim iść. Dopaść Joego.

- Wszyscy byśmy poszli. - Zerknął w lusterko i upewniwszy się, że nikt nie jedzie, wykonał nielegalny nawrót. - Dev z Jaredem chwilę by pogadali o przestrzeganiu prawa, próbowaliby nas powstrzymać, ale w końcu przyłączyliby się. - Potrząsnął z żalem głową. - Fajnie by było.

- Fajnie?

- Nikomu nie wolno zaczepiać kobiety MacKade'a.

- A więc uważasz mnie za kobietę MacKade'a? Ton jej głosu i spojrzenie, jakie mu rzuciła, sprawiły, że zaczął się jąkać.

- Chodzi mi o to... no wiesz... widząc was razem... Dobra, poddaję się. - Zatrzymawszy samochód przy jej sklepie, zerknął na schody prowadzące do mieszkania. - Wygląda na to, że ktoś mnie ubiegł.

- Słucham?

- Na wszelki wypadek sprawdzę, ale wydaje mi się, że drzwi już masz naprawione. - Wysiadł z furgonetki i wszedł na górę. - Są trochę porysowane, ale tkwią solidnie na zawiasach. - Na próbę pchnął je barkiem. Nawet nie drgnęły. - Pewnie Rafe się wszystkim zajął.

- Aha. - Nie poprawiło jej to humoru. - W takim razie będę musiała mu podziękować. - Dołączywszy do Shane'a, wyjęła z kieszeni klucz i wsadziła go do zamka.

- Niczego ci nie trzeba, Regan? Może chcesz, żebym został chwilę? - spytał z zatroskaniem.

- Nie, dziękuję. I dzięki za podwiezienie.

- Drobiazg.

Shane zbiegł na dół. Siadając za kółkiem, pomyślał sobie, że z taką kobietą jak Regan, silną, niepokorną, pełną temperamentu, Rafe nie będzie miał lekko. Co to, to nie. Rozmyślając o tym, uśmiechnął się szeroko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wbijając gwoździe, rozładowywał wściekłość i frustrację. Żeby nie wyładowywać złości na Bogu ducha winnych ludziach, zaniknął się w sypialni we wschodnim skrzydle. Tam nikt mu nie przeszkadzał. Robotnicy, widząc furję w oczach szefa, słusznie uznali, że dziś lepiej trzymać się od niego z daleka.

Praca posuwała się naprzód, po całym domu niósł się huk. Pistolet do wbijania gwoździ leżał bezużytecznie na podłodze. Rafe wolał walić młotkiem. Wyobrażał sobie, że każdy ćwiek, w który uderza, to szczeka Joego Dolina.

Kiedy drzwi sypialni się otworzyły, nie odwrócił się.

- Spieprzaj, bo cię wywalę z roboty!

- To wywal. - Regan zatrzasnęła za sobą drzwi. - Wtedy wygarnę ci wszystko, nie zastanawiając się, jak to wpłynie na nasze relacje zawodowe.

Rzucił jej spojrzenie. Przebrała się; miała na sobie nie tylko inne spodnie, ale również inną bluzkę, sweter, biżuterię. Czysta, elegancka, starannie uczesana w niczym nie przypominała oszołomionej atakiem, bladej dziewczyny w podartym, zakrwawionym ubraniu. Ale on wciąż ją taką pamiętał.

- Powinnaś stąd wyjść. - Z całej siły zamachnął się i wbił kolejny gwóźdź.

- Powinam, ale nie wyjdę. - Po powrocie do domu wzięła prysznic. Długo się szorowała, by zmyć z siebie nieprzyjemne

wspomnienia. Potem wyrzuciła do śmieci ubranie, które miała na sobie podczas napaści. Teraz była już spokojna, gotowa na konfrontację z Rafe'em. - Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz, o co ci, do diabła, chodzi.

Nie chciał jej mówić. Bał się, że roześmieje mu się w twarz. Że...

- Jestem zajęty. Przez tę pogodę straciłem cały dzień pracy.

- Nie wykręcaj się. I patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię. - Kiedy nie posłuchał, tylko dalej walił młotkiem, oparła ręce na biodrach. - Dlaczego bez słowa opuściłeś gabinet Devina?

- Robota czekała.

Regan kopnęła skrzynkę z narzędziami.

- To trzeba było nie naprawiać moich drzwi.

- Przyślę ci rachunek.

- Dlaczego jesteś na mnie zły? - spytała. - Przecież ja nic nie zrobiłam... - urwała, bo cisnął młotkiem w świeżo wykończoną ścianę.

- Nie, nic nie zrobiłaś. Tylko Joe cię napadł, posiniaczył i o mało nie zgwałcił. Dlaczego miałbym być zły?

Jedno z nas musi zachować spokój, pomyślała. Widząc błysk wściekłości w oczach Rafe'a, zrozumiała, że tą osobą musi być ona.

- Jesteś zdenerwowany...

- Owszem, jestem. - Podniósł skrzynkę z narzędziami i rzucił na podłogę. Wszystko z łoskotem wysypało się ze środka. - Jestem troszkę zdenerwowany. A teraz, z łaski swojej, wyjdź stąd.

- Nie. Proszę bardzo, rzucaj sobie, czym chcesz. A kiedy się uspokoisz, porozmawiamy jak cywilizowani ludzie.

- Szukasz cywilizowanych ludzi? Tu ich nie znajdziesz!

- Powoli to do mnie dociera. - Na moment zamilkła. - Co teraz? Na co masz ochotę? Może mną cisnąć o ścianę? Udowodniłbyś, że jesteś silniejszy od Dolina.

Jego spojrzenie spochmurniało. Dostrzegła w nim wściekłość i ból. Ogarnął ją wstyd.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie chciałam tego powiedzieć.

Ból znikł, pozostała jedynie wściekłość, nad którą starał się zapanować.

- Zwykle mówisz to, co ci leży na sercu. - Podniósł rękę, nie dając jej dojść do słowa. - Chcesz porozmawiać? W porządku. Porozmawiajmy. - Podeszedł do drzwi, otworzył je i wychyliwszy głowę, krzyknął na całe gardło: - Wynocha! Wszyscy do domu! Już!

Usatysfakcjonowany tupotem nóg i brzękiem rzuconych narzędzi, zatrzaskał z powrotem drzwi.

- Nie ma powodu, żeby wszyscy przerywali pracę - zaczęła Regan. - To nam zajmie najwyżej parę minut.

- Nie zawsze wszystko musi być po twojemu.

- Nie rozumiem.

- Chyba rzeczywiście nie rozumiesz. - Zirytowany ponownie otworzył drzwi. - Niech mi który da papierosa!

Nie znalazł się jednak nikt odważny.

Regan patrzyła zafascynowana, jak Rafe chodzi po pokoju. Z rękawami podwiniętymi do łokci, z zawieszonym na biodrach pasem na narzędzia i bandanką na czole, żeby pot mu nie spływał do oczu, wyglądał groźnie, jak prawdziwy bandyta.

A ona czuła narastające podniecenie.

- Może zaparzę kawy i... - urwała, widząc jego morderczy wzrok. - Rafe...

- Zamknij się.

Wyprostowała dumnie ramiona.

- Nie życzę sobie, aby się do mnie tak zwracano.

- Trudno. Zbyt długo się hamowałem.

- Zbyt długo się hamowałeś? - Niewiele brakowało, żeby wybuchnęła śmiechem. - Ciekawe, jak byś się zachowywał, gdybyś się nie...

- Zaraz zobaczysz - wszedł jej w słowo. - Złóścisz się, że opuściłem gabinet Deva? Pokażę ci, co by było, gdybym został dłużej.

- Tylko mnie nie dotykaj. - Podniosła rękę. Pięści miała zaciśnięte niczym bokser gotowy do walki. - Nie waż się.

Zacząła się cofać do drzwi.

- Psiakrew! - Wyszczrzył zęby, po czym przeszedł na drugi koniec pokoju. - Dobra. Ciekawi cię, dlaczego nie dotrwałem do końca? To jedno pytanie nie daje ci spokoju? Dlatego tu przyszedłeś?

- Tak.

- Nie przyszedłeś jednak, kiedy Joe ci groził. Nie przyszedłeś, kiedy wyrządził ci krzywdę.

- Musiałam zgłosić to Devinowi...
- Musiałas zgłosić Devinowi - powtórzył, obracając się do niej twarzą. - Chryste, Regan! Dolin zjawił się rano w twoim sklepie. Groził ci. Mówiłem, że tak będzie.
- Ale poradziłam sobie! - zaprotestowała.
- Tak, świetna jesteś w radzeniu sobie. - Na moment zamilkł. - A jednak byłaś śmiertelnie przerażona.
- Owszem, byłam. - Teraz też była przerażona; nie wiedziała, do czego ta rozmowa ich doprowadzi.
- Dlatego wezwałam Devina.
- Devina, nie mnie. Potem pojechałaś do niego do biura i wniosłaś przeciwko Joemu oskarżenie.
- Tak. Chciałam, żeby go aresztowano.
- Słusznie. A potem wybrałaś się na zakupy.
- Ja... - Zaczęła wykręcać sobie ręce. - Pomyślałam sobie, że... że Cassie będzie przybita i... i uznałam, że jak przygotuję posiłek, to... to nam obu dobrze zrobi.
- I przez cały ten czas, ani kiedy byłaś u Devina, ani kiedy spacerowałaś między półkami, nie przyszło ci do głowy, żeby do mnie zadzwonić, prawda?
- Ja... - Otworzyła usta, po czym je zamknęła.
- W pierwszym odruchu chciałam. Ale kiedy nieco ochłonęłam, postanowiłam nie dzwonić.
- Kiedy nieco ochłonęłaś?
- Tak. Uznałam, że to mój problem i że sama go rozwiążę.

- Sama... Nie zadzwoniłaś. Chciał cię zgwałcić, zabić, a ty... a ty... Nie zadzwoniłaś, nie odezwałaś się. O wszystkim dowiedziałem się od Shane'a, który był u Devina, gdy ten odebrał telefon. Gdyby nie Shane...

Regan uświadomiła sobie, że faktycznie sprawiła mu przykrość. A przecież nie zamierzała. Nawet do głowy jej nie przyszło, że może poczuć się urażony.

- Rafe, nie pomyślałam... Byłam w szoku. Zanim jako tako doszłam do siebie, siedziałam już w gabinecie Devina. To wszystko stało się tak szybko. - Modliła się w duchu, aby zrozumiał i jej wybaczył. - Prawdę mówiąc, wciąż mam takie uczucie, jakby to się przydarzyło komuś innemu.

- Ale przydarzyło się tobie. Doskonale sobie poradziłaś ze stresem.

- Musiałam wziąć się w garść.

- I wzięłaś. Sama jedna. Bez niczyjej pomocy. - Podniósł z podłogi młotek.

- Musiałam-powtórzyła. -Nie chcę być taka jak...

- Jak twoja matka - dokończył za nią.

- Cenię własną niezależność, ale w tym wypadku nie o to chodziło. Nie zadzwoniłam do ciebie, bo...

- Bo nie byłem ci potrzebny. - Ogień w jego oczach zgasł. Spojrzenie miał puste, chłodne. - Bo mnie nie potrzebujesz.

Powoli zaczęła ogarniać ją panika.

- Nieprawda.

- No tak, do seksu potrzebujesz. - Uśmiechnął się cierpko. - Tę potrzebę oboje świetnie zaspokajamy. Tyle że mnie zachciało się czegoś więcej. Przepraszam, więcej nie popełnię tego błędu.

- Ale my... nie chodzi o sam seks.

- Chodzi, chodzi. - Wyjął z pudełka gwóźdź, przyłożył do deski.
- Od początku o to chodziło. Ale nie ma co narzekać. W końcu to nie do pogardzenia. - Huknął młotkiem w gwóźdź. - Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jak cię najdzie ochota.

Krew odpłynęła jej z policzków i zastygła w okolicy serca.

- To obrzydliwe, co mówisz.

- Sama, skarbie, ustaliłaś takie reguły. Po co komplikować życie, nie?

- Nie chcę takich reguł.

- Za późno. - Wbijał gwoździe, jeden po drugim. Jeszcze żadna kobieta tak mu nie dopiekła; żadna nie sprawiła tak wielkiego bólu. I żadna więcej nie sprawi, obiecał sobie. - Albo je przyjmujesz, albo się nie bawimy.

Otworzyła usta. Chciała powiedzieć: „Pocałuj mnie w nos” i wyjść. Ale nie mogła. Nie potrafiła. Łzy piekły ją w oczy. Zrozumiała, że kocha tego faceta. Czy musiała to sobie uświadomić teraz, czy nie mogła wcześniej?

- Rafe...

- Regan, zakończmy tę rozmowę. Wszystko ustaliłaś na samym początku. Trzymajmy się tego. Przecież nie chcesz sobie komplikować życia.

- Nie chcę...

- Ja też nie. Zrzućmy winę na moje wybujałe ego. Po prostu nie spodobało mi się, że zwróciłaś się o pomoc do mojego brata zamiast do mnie. Pokrzychałem, powściekałem się i teraz możemy wrócić do tego, co było.

Od chłodnego, racjonalnego Rafe'a zdecydowanie bardziej wolała Rafe'a wściekłego i zagniewanego.

- Nie wiem, czy to możliwe. To znaczy, powrót do poprzedniego stanu.

- Zastanów się. Na spokojnie, tak jak lubisz.

- Jeśli wolisz... - Przycisnęła rękę do gardła, czekając, aż głos przestanie jej drżeć. - Jeśli wolisz zawiesić naszą współpracę, mogę ci podać nazwiska paru dobrych dekoratorów...

Przyjrzał się jej uważnie. Oczy miała suche, na twarzy malował się wyraz znużenia.

- Nie widzę powodu - rzekł. - Trochę jestem opóźniony z pracą... Aha, ten pokój będzie gotowy za tydzień; można będzie wstawić meble.

- Świetnie. Zamówię transport.

Podeszła do drzwi i przekręciła gałkę. Bojąc się, że za moment się rozplacze, oddaliła się pośpiesznie.

Dopiero na zewnątrz zaczęła biec. Wiatr chłostał jej mokre policzki.

Kiedy doleciał go odgłos zamykanych drzwi, Rafe usiadł na podłodze i potarł dłońmi twarz.

Po raz pierwszy w życiu miał złamane serce. Pocieszał się, że po raz pierwszy i ostatni.

Sadź lśniła na drzewach, na śniegu osiadły igielki lodu, drogi pokryła gołoledź. Ocieplenie miało dopiero nadejść. Tymczasem każdej nocy temperatura spadała, a zalegający wokół śnieg twardniał.

Rafe się tym nie przejmował. Miał pretekst, żeby nie wychodzić na zewnątrz, lecz pracować dwadzieścia godzin na dobę. Każdy gwóźdź, jaki wbijał, i każda powierzchnia, jaką wygładzał, sprawiały, że dawny dom Barlowów coraz bardziej przeobrażał się w królestwo MacKade'a.

Kiedy mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, wówczas krążył po pokojach razem z duchami.

Był zbyt zajęty, żeby dumać o Regan. Sam siebie tak przekonywał. Jeśli przypadkiem jakaś myśl o niej wślizgiwała mu się do głowy, wtedy czym prędzej chwycił narzędzia i ze zdwojoną energią rzucał się do pracy.

- Kiepsko wyglądasz, stary. - Devin zapalił papierosa. -
Pamiętasz „Doriana Graya”? Zaczynasz przypominać ten portret w szafie.

- Bierz młotek albo zjeżdżaj stąd.

Devin, niezrażony, kucnął i przesunął palcem po sztukaterii.

- Ładne to. Jak fachowo nazywa się ten kolor?

- Pyłek różany - burknął Rafe.

- Tak, bardzo ładne. - Devin strzepnął popiół do pustego kubka po kawie. - Jeśli się lubi róż.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Dziś wypisali Joego ze szpitala. Rafe zmierzył go wzrokiem.

- Nie mój interes.

- Nie stracił oka - kontynuował Devin. - Przez jakiś czas będzie nosił opaskę. Lekarze jeszcze nie wiedzą, czy doznał trwałego urazu.

- Szkoda, że Regan nie celowała w jaja.

- Szkoda. W każdym razie przyznał się do włamania i napaści, a także zgodził na terapię. Dzięki temu wycofano zarzut o próbę gwałtu. Jutro zapadnie wyrok.

- Ile dostanie?

- Nie mniej niż trzy lata. Wiem, że to mało, dlatego wybieram się do sądu. Kiedy za rok lub półtora będzie się starał o zwolnienie warunkowe, zrobię wszystko, żeby temu zapobiec.

- Tak jak powiedziałem: to nie mój interes. - Rafe przybił ostatni kawałek listwy. - Jak miewa się Cassie?

- Nieźle. Jared pomaga jej w uzyskaniu rozwodu. Nie powinno być z tym najmniejszego problemu, i dobrze, bo im szybciej zamknie za sobą ten ponury rozdział, tym szybciej będzie mogła rozpocząć nowe życie. - Zerknąwszy na brata, Devin zgasił w kubku papierosa. - Nie spytasz, jak się miewa Regan?

- Nie.

- Ed mówi, że przestała wpadać na lunch. Pewnie przygoda z Joem mogła spowodować problemy ze snem i utratę apetytu, ale podejrzewam, że chodzi o coś innego.

- Poradzi sobie. Ona doskonale ze wszystkim umie sobie radzić.

- To dobrze. Wiesz, była duża szansa, że gdyby tamtego dnia Joe wciągnął ją do mieszkania, to ktoś by zobaczył wyważone drzwi albo usłyszał krzyki... Ale nawet w ciągu paru minut drań mógłby jej wyrządzić ogromną krzywdę.

- Myślisz, że nie wiem? - zdenerwował się Rafe. - Myślisz, że nie wiem, czym to się mogło skończyć?

- Mogę kontynuować?

- Nie.

Devin jednak zignorował sprzeciw.

- Ludzie, którzy siedzieli w kawiarni, opowiadali mi, że kiedy Regan weszła, ledwo trzymała się na nogach. Byli pewni, że jest pijana. Gdyby nie Ed, zwałiłaby się nieprzytomna na ziemię.

- Nie chcę tego słuchać - mruknął Rafe. Kłykcie mu zbieleły.

- Chcesz - powiedział Devin, nie spuszczać oczu z brata. - Kiedy dotarłem na miejsce, Regan była w szoku. Źrenice miała wielkości główki od szpilki. Zamierzałem ją zawieźć na pogotowie, ale zaprotestowała. Z wielkim trudem zdołała wziąć się w garść.

- To twardzielka. - Rafe poczuł bolesne klucie w sercu.

- Tak, twardzielka. To akurat wiesz, ale nie wiesz, co się działo na twarzy tej twardzielki, kiedy ty się pojawiłeś. Wielu mężczyzn może przeżyć całe życie i nie spotykać kobiety, która tak na nich patrzy.

- Nie jestem jej do niczego potrzebny.

- Bzdury gadasz. Może jesteś głupi, ale nie aż tak.

- Głupi byłem wcześniej. Kiedy straciłem czujność. Więcej tego nie zrobię. - Rafe wstał, wsunął młotek za pas z narzędziami. - Ja jej też nie potrzebuję.

Wzdychając ciężko, Devin podniósł się z kolan.

- Jesteś zakochany bez pamięci.

- Akurat. Zadurzyłem się na chwilę, ale to już przeszłość.

Devin zacisnął usta. Istniał tylko jeden skuteczny, choć nieprzyjemny sposób rozwiązania tej kwestii.

- Na pewno?

- A co, masz problemy ze słuchem?

- No dobra. - Devin uśmiechnął się. - Wiesz, nie chciałem się między was pakować, ale skoro Regan jest ci obojętna, to może... może mnie się uda zaostrzyć jej apetyt.

Spodziewał się ciosu, dlatego przyjął go z filozoficznym spokojem. Po chwili podniósł rękę do twarzy i pomacał się po brodzie. O dziwo, szczękę miał w jednym kawałku.

- Tak wygląda ta twoja przeszłość?

- Powinienem ci mocniej przywalić - wycedził Rafe. Był wściekły, że tak łatwo dał się podejść.

- Nie radzę. Na następne ciosy będę odpowiadał. - Devin ponownie poruszył szczęką. - Cholera, niezły masz ten prawy sierpowy.

Rafe, rozbawiony, potrząsnął ręką.

- A ty, cholera, wciąż masz gębę twardą jak skała.

- Kocham cię, brachu. - Devin otoczył brata ramieniem. - Lepiej ci teraz?

- Nie. Może.

- Nie chcesz pojechać do Regan, pogodzić się?

- Nie zamierzam uganiać się za żadną babą. Pożyjemy, zobaczymy, pomyślał Devin.

- Słuchaj, mam wolny wieczór. Może się upijemy? Ruszyli po schodach.

- Świetny pomysł. U Duffa. O dziesiątej.

- Postaram się ściągnąć Jareda i Shane'a.

- Będzie jak za dawnych, dobrych czasów... - Rafe urwał.

W holu na dole czekała Regan.

- Przywiozłam meble - oznajmiła, siłąc się na neutralny ton. - Nagrałeś mi się, że o trzeciej będziesz gotowy.

- Tak, można wszystko wstawiać.

- Cześć, Devin.

- Cześć, Regan. Właśnie wychodzę. Do wieczora, Rafe.

- Dzięki, Dev. - Rafe nie spuszczał oczu z Regan. - Dojechałaś bez problemu?

- Tak, drogi są odśnieżone - odparła. Dziwiło ją, że Rafe nie widzi, jak mocno krwawi jej serce. - Udało mi się zdobyć materac do łóża z baldachimem. Jak chcesz, ustawię wszystko...

- Będę wdzięczny. Wracam do roboty. Krzyknij, jak skończysz. Wypiszę ci czek.

Chciała coś powiedzieć, cokolwiek, ale odwrócił się i odszedł. Skierowała się ku drzwiom, żeby wydać tragarzom instrukcje.

Kiedy skończyła meblować pokój, dochodziła piąta. Skupiona na pracy nawet nie zauważyła, kiedy ucichł stukot młotków i warkot świdrów. Chcąc rozproszyć mrok, zapaliła stojącą przy fotelu lampę z kloszem w różany wzór, a fotel przysunęła nieco bliżej kominka.

W kominku nie strzelały płomienie, a w powietrzu wciąż unosił się zapach farby, ale pokój był już gotów do zamieszkania.

Regan zawahała się. Oprócz zapachu farby czuła również zapach róż.

Łoże z baldachimem. Przeciągnęła ręką po słupku łóżka. Brakowało pięknej mięsistej narzuty i kilku poduszek w zdobionych koronką poszewkach. Brakowało półki nad kominkiem, a w nogach łóżka - komody z drewna cedrowego. I jeszcze paru drobiazgów, choćby koronkowych zasłon w oknie i srebrnej szczotki do włosów na toaletce.

Kiedyś ten pokój będzie piękny.

Ogarnął ją smutek. Żałowała, że Rafe wrócił do miasteczka, że go poznała...

Stał bez słowa w otwartych drzwiach i obserwował ją. Nagle zeszywniała; ciarki przeszły jej po plecach. Odwróciwszy się, napotkała jego wzrok.

- Już prawie skończyłam - rzekła po chwili, która trwała całe wieki.

- Widzę. - Nie ruszył się z miejsca, ale powiódł spojrzeniem wkoło. - Wygląda wspaniale.

- Mam kilka przedmiotów z cyny i stare srebrne ramki. Będą pasowały nad kominkiem...

- Świetnie.

- Zauważyłam, że sporo zrobiłeś w sąsiedniej sypialni. Szybki jesteś.

- Tak mówią. - Wyciągnął z kieszeni czek. - Proszę.

- Dziękuję.

Otworzyła torebkę, wsunęła do niej czek. Niech cię diabli wezmą, MacKade, pomyślała.

- To ja już pójdę. - Obróciwszy się, zderzyła się z Rafe'em. Chciała go ominąć, ale zastąpił jej drogę.

- Przepraszam...

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Źle wyglądasz.

- Miły jesteś.

- Masz cienie pod oczami.

- To był ciężki dzień - rzekła, a w duchu pomyślała: po co człowiek wydaje forszę na kosmetyki?

- Jestem zmęczona.

- Dlaczego nie jadasz lunchów u Ed? Przypomniała sobie, że jeszcze kilka dni temu podobało jej się życie w małym miasteczku. Nie umiała jednak przypomnieć sobie dlaczego.

- To, co robię w przerwie obiadowej, to wyłącznie moja sprawa.

- Dolin siedzi w więzieniu. Nie będzie cię niepokoił.
- Nie boję się Dolina. - Uniosła dumnie głowę.
- Zresztą rozważam kupno broni.
- To cholernie głupi pomysł. Zirykował ją zarówno jego ton, jak i słowa.

- Jasne. Tylko tobie wolno bronić innych przed bandytami.
Przepuść mnie, MacKade.

Kiedy chwycił ją za ramię, instynktownie wyciągnęła rękę i wymierzyła mu policzek. Przerazona cofnęła się krok.

- Widzisz, co przez ciebie zrobiłam? - Bliska łez, upuściła torebkę. - Boże, nigdy nikogo nie uderzyłam w twarz!

- Twój debiut wypadł znakomicie. Następnym razem weź większy rozmach.

- Nie będzie następnego razu. W przeciwieństwie do ciebie uważam, że do komunikacji służą słowa, a nie pięści. - Odetchnęła głęboko. - Przepraszam.

- Jeśli zamierzasz wyjść, znów ci zastąpię drogę i wszystko się zacznie od początku.

- W porządku. - Zostawiła torebkę na podłodze.
- Najwyraźniej chcesz mi coś powiedzieć.
- Chcę spytać, jak się czujesz. Widzisz? Staram się być miły, kulturalny.

- Dobrze się czuję, dziękuję. A ty?
- Ja również. Napijesz się kawy? Piwa?

- Dziękuję bardzo - odparła. O co chodzi, zastanawiała się. W jakim celu prowadzi grzeczną, bezsensowną rozmowę? - Nie mam ochoty ani na kawę, ani na piwo.

- A na co masz? Czego chcesz?

Oho, pomyślała, słysząc zaczepny, lekko zniecierpliwiony ton. To był ten Rafe, którego знаła i za którym tak bardzo tęskniła.

- Żebyś mi dał święty spokój.

Nic nie powiedział, jedynie odsunął się na bok. Podniosła torebkę, zawahała się, położyła ją na stole.

- To nieprawda.

Do diabła z dumą, z rozsądkiem, nawet z sercem. Nie wyobrażała sobie, aby mogło boleć bardziej niż teraz.

- Nie doszłabyś do drzwi - rzekł. - Wiesz o tym?

- Wiem tylko, że nie chcę z tobą walczyć.

- Nie walczę. Czekam.

Skinęła głową. Zrozumiała. Jeżeli tylko tyle mógł jej zaofiarować, w porządku, nie będzie domagać się niczego więcej. Zdjęła buty, rozpięła sweter.

- Co robisz?

- W zeszłym tygodniu dałeś mi ultimatum. - Rzuciła sweter na krzesło, zaczęła odpinać bluzkę. - Postanowiłam je przyjąć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Takiego leku na chandrę się nie spodziewał. Kiedy wreszcie dobył z siebie głos, Regan stała naprzeciwko niego odziana jedynie w dwa kawałeczki czarnego jedwabiu.

- Tak po prostu?

- Zawsze tak było. Czysta chemia.

Obiecała sobie, że będzie jej pragnął; rozpali w nim takie pożądanie, że nigdy nie będzie miał jej dość. Z wzrokiem utkwionym w jego twarzy, zbliżyła się jeden krok, drugi...

- To co, MacKade? Chcesz mnie czy nie? - Zacisnęła ręce na jego koszuli i szarpnęła mocno, rozrywając ją. - Bo ja ciebie tak.

Przywarła ustami do jego ust. Ocierając się o niego, rozpięła mu dzinsy.

- No, na co czekasz? - szepnęła.

Wyskoczył ze spodni. Nie miał siły ani ochoty się bronić. Chwycił Regan w ramiona i wszedł w nią, zanim jeszcze opadli na łóżko.

To był seks, dziki seks. Ciało uderzało o ciało, pot lał się strugami, słychać było dyszenie, sapanie. Zęby gryzły, paznokcie drapały, języki toczyły pojedynek.

Walka zaostrzała się, była coraz bardziej zaciekle, szalona, namiętna. Uczestniczyli w niej z zapalem, czerpiąc jak najwięcej doznań. W powietrzu unosił się zapach róż.

Odgięła plecy w tył. Chciała znaleźć się na krawędzi bólu i rozkoszy, znów poczuć, że żyje. Chciała wiedzieć, że przynajmniej tu, w łóżku, Rafe jest równie bezradny jak ona. Ze potrzebuje jej tak samo, jak ona jego.

Podczas seksu nie sposób knuć, udawać, milczeć. Ciało mówi prawdę.

Podczas seksu nie ma miejsca na dumę, na tkliwość. W człowieku budzi się pierwotna siła, instynkt, pragnienie, żądza.

Przetoczył ją na wznak. Nie zaprotestowała. Chciał wypełnić ją, osiąść, zaspokoić. Odrzucił włosy z jej oczu. To było ważne - obserwowanie jej reakcji, grymasów, drżenia warg.

Zalała go fala miłości.

- Otwórz oczy - szepnął. - Patrz na mnie.

Otworzyła, ale nic nie widziała. Była na krawędzi.

Nie potrafił się powstrzymać. Wraz z nią runął w przepaść.

Leżał oszołomiony, spoglądając w sufit. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, jak nierozzerwalną więź tworzy serce z resztą ciała. Zrozumiał, że już nigdy nie będzie w stanie jej zerwać.

Regan leżała obok. Nie odzywała się. Marzyła, żeby Rafe wziął ją w ramiona. Tak jak robił to przedtem. Bo leżąc sama, czuła się porzucona, opuszczona, straszliwie samotna.

Wprawdzie mogła pierwsza wyciągnąć do niego dłoń, przytulić się, ale przecież ustalili warunki. Seks bez zobowiązań. Sama tego chciała. On też. A więc...

- Dla odmiany kochaliśmy się w łóżku. - Usiadła tyłem do niego. Potrafiła kontrolować głos, ale bała się, że wyraz twarzy ją zdradzi. - Ciągłe robimy coś po raz pierwszy, prawda, MacKade?

Zamruczał. Miał ochotę pogłaskać jej plecy, ale były takie sztywne, takie spięte.

- Musimy kiedyś spróbować na prześcieradle.

- Pewnie. - Schyliła się. Ręce jej drżały, kiedy sięgała po bieliznę. - Możemy nawet dorzucić ze dwie poduszki i pozory czułości. Tak dla urozmaicenia.

Zmrużywszy oczy, patrzył, jak zapina stanik. Po chwili, urażony i zły, wstał z łóżka i wciągnął spodnie.

- Nie lubię pozorów.

- Och, zapomniałam. - Podniosła z podłogi bluzkę. - Ty lubisz prosto, po męsku, kawa na ławę.

- O co ci chodzi? Dostałaś to, czego chciałaś.

- Nie masz zielonego pojęcia, czego chcę. - Przerażona, że zaraz się rozplacze, czym prędzej założyła spodnie. - Najwyraźniej sama też nie bardzo wiem.

- To ty, skarbie, zrobiłaś striptiz. I ty pierwsza zerwałaś się z łóżka i zaczęłaś ubierać, jakbyś się gdzieś spieszyła.

- A ty przetoczyłeś się na bok, zanim jeszcze złapałeś powietrze. Jakbyś zapłacił dwadzieścia dolców i twój czas właśnie upłynął.

- Nigdy nie traktowałem cię jak dziwki - szepnął, zaciskając ręce na jej ramionach.

Jego gniew podziałał na nią uspokajająco. Powstrzymał ją przed zrobieniem z siebie jeszcze większej idiotki.

- Przepraszam, Rafe. Nie powinnam była tego mówić.

Zdał sobie sprawę, że jego palce ją ranią. Opuścił ręce.

- Może byłem za szybki. Może powinienem bardziej się skupić na tobie. Ale zaskoczyłaś mnie i...

- Nie, w porządku. - Podniosła sweter. Była spokojna, podejrzewała jednak, że jeśli Rafe dotknie jej jeszcze raz, wówczas nie wytrzyma i wybuchnie szlochem. - Po pierwsze, sama zaczęłam. Po drugie, przystałam na twoje warunki.

- Moje warunki...

- Są bardzo jasne. I do przyjęcia. Problem chyba polega na tym, że oboje mamy gorące temperamenty i czasem nas ponosi. Ostatnie dni nie były dla mnie łatwe, ale nie powinnam wyżywać się na tobie.

- Musisz być taka rozsądna?

- Nie muszę. Ale będę. - Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały smutne. - Nie wiem, dlaczego z sobą walczymy, skoro znaleźliśmy idealne rozwiązanie. Prosty związek erotyczny. Bez uczuciowego zaangażowania, bez zobowiązań. A więc jeszcze raz cię przepraszam. Jestem trochę zmęczona i przybita, dlatego...

Wzruszyła ramionami, po czym wspięła się na palce i pocałowała go lekko w usta.

- Jak chcesz, wpadnij do mnie jutro po pracy. Postaram się wynagrodzić ci dzisiejszy dzień.

- Może. Zobaczymy. - Dlaczego nie mógł nic wyczytać z jej oczu? Przedtem mu się udawało. - Odwiozę cię do domu.

- Nie trzeba. - Z całej siły się powstrzymywała, żeby nie rzucić się pędem do drzwi. - Przyjechałam samochodem. Poza tym dziś naprawdę jestem zmęczona.

Marzył, żeby ją wziąć w objęcia i nigdy z nich nie wypuścić.

- Jak chcesz. Zresztą wieczorem mam się spotkać z braćmi u Duffa.

- Czyli do jutra.

Dotarła do drzwi, o dziwo nawet się nie potykając. Jej płaszcz wisiał na poręczy schodów. Gdyby go zostawiła w innym miejscu, pewnie wyszłaby bez wierzchniego okrycia. A tak na moment przystanęła i włożyła go.

Wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk. Uważnie, jakby od tego zależało jej życie, wycofała samochód z podjazdu. Skręciła na szosę prowadzącą do miasteczka; kilometr dalej zjechała na pobocze, zgasiła silnik, oparła głowę na kierownicy i rozplakała się jak dziecko.

Dwadzieścia minut później, zmęczona, wyprostowała się. W samochodzie było zimno jak w psiarni, ale nie włączyła ogrzewania.

Była osobą kompetentną. Wszyscy tak mówili. Bystrą, dobrze zorganizowaną, rozsądną.

To dlaczego tak sobie spała życie?

Oczywiście winę ponosił Rafe MacKade. Zaprzętał jej myśli, odkąd tylko wrócił do miasteczka. Był arogancki, impulsywny, nieokiełznany. I czarujący.

Czy musiała się zakochać? Powinna była wiedzieć, że romansując z nim, nie zdoła pozostać chłodna i obojętna.

Może gdyby postąpiła inaczej, gdyby była ciut bardziej uległa i mniej uparta, może wtedy on też by się w niej zakochał. A tak wszystko zepsuła.

Nie! Uderzyła pięścią w drążek kierownicy. Zaczynała rozumować tak jak jej matka. Bądź miła, grzeczna, uśmiechaj się do swojego mężczyzny. Chwal go, pochlebiaj mu, spełniaj jego życzenia. Graj według odwiecznych zasad, wtedy możesz być pewna wygranej.

Nie, pomyślała Regan, ona tak nie chce. Że też coś takiego mogło jej przyjść do głowy! Nie będzie grała, oszukiwała, zwodziła tylko po to, aby złapać faceta w sidła miłości.

Ale czy tak właśnie nie zrobiła? Czy dziś w sypialni nie uciekła się do gry, do sztuczek, by zawrócić Rafe'owi w głowie?

Zagubiona i bezradna, siedziała w zaparkowanym na poboczu drogi samochodzie. Już niczego nie była pewna. Oprócz tego, że kocha Rafe'a. Kochała, a swoim uporem i przeogromnym pragnieniem bycia samodzielną uraziła go. A siebie samą upokorzyła.

Postąpiła jak idiotka.

Czy nie mogła iść na drobny kompromis? Zmienić swojego nastawienia? Rafe to uczynił.

Sprawiła mu przykrość. Doprowadziła go do furii. Jednakże zamiast wdawać się z kimś w bójkę, pojechał do domu i złość wyładował w pracy. Westchnęła ciężko. To ona zachowała się jak tchórz, nie chciała mu zaufać, nie chciała zgodzić się na ustępstwa.

Rafe nie próbował jej zmieniać, wpływać na jej życie. Dawał jej mnóstwo swobody, obdarzał sympatią, dostarczał fantastycznych doznań, o jakich wiele kobiet może tylko marzyć.

A ona, uparta, zaślepiona, trzymała go na dystans.

Mężczyzna też ma swoje potrzeby, swoją dumę. Powinna przestać myśleć wyłącznie o sobie. Przecież potrafi być elastyczna. Kompromis wcale nie oznacza kapitulacji. Może jeszcze nie jest za późno? Może zdąży mu pokazać, że jej zależy? Może...

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Tak, wiedziała, co ma zrobić. Nie zastanawiając się, czy podjęła słuszną decyzję, włączyła silnik i czym prędzej ruszyła w dalszą drogę. Parę minut później stała przed domem Cassie, dobijając się do jej drzwi.

Cassie otworzyła, trzymając na rękach Emmę.

- Regan? Właśnie zamierzałam... Ojej, płakałaś! Czy Joe...

- Nie, nie denerwuj się. Wszystko w porządku, ale potrzebuję twojej pomocy.

- O co chodzi? - Cassie zamknęła za przyjaciółką drzwi. - Co się stało?

- Na czym polega dziewiątka w bilardzie?

- Dzie... - Cassie postawiła córkę na podłodze. - Dziewiątka w bilardzie?

- Tak. I gdzie o tej porze znajdę czerwoną skórzaną mini?

- Hm... Bez pomocy Ed się nie obejdzie.

- Wciągnij powietrze, złotko.

- Już bardziej nie mogę.

Zaciskając z determinacją usta, Ed walczyła z suwakiem. Wreszcie, z okrzykiem triumfu, usiadła na łóżku.

- No, udało się. Ale na twoim miejscu nie wykonywałabym gwałtownych ruchów.

- Chyba żadnego nie zdołam wykonać. - Regan ostrożnie postąpiła krok do przodu. Spódnica, która ledwo cokolwiek zakrywała, podjechała kolejny centymetr w górę.

- Ty masz figurę, a ja kości - stwierdziła z rozbawieniem Ed. - Gdyby ta spódnica była odrobinę krótsza, Devin kazałby cię aresztować.

Regan wspięła się na palce przed lustrem, ale widziała się tylko od pasa w górę.

- Kurczę, nawet nie mogę się dobrze obejrzeć.

- Położyłam dzieciaki spać - oznajmiła Cassie, wchodząc do pokoju. Nagle stanęła jak wryta. - O rany...

- Nieźle, co? - spytała z zadowoleniem Ed. Kiedy ostatni raz wystąpiła tak ubrana, facetom oczy wyszły na wierzch. Podejrzewała, że teraz wypadną im na podłogę. - Włóż buty. Wsadziłam do środka trochę waty, żeby ci nie pospadały.

Przytrzymując się toaletki, Regan włożyła szpilki na dziesięciocentymetrowych obcasach.

- Chryste, przewrócę się...

- To oni poprzewracają się na twój widok. A teraz barwy wojenne... - Ed sięgnęła do torby z kosmetykami.

- Boże, to był kretyński pomysł. Ja chyba nie...

- Chcesz stchórczyć? Nie zależy ci na Rafe'ie?

- Zależy, ale...

- To siadaj i nie gadaj. Hm, ta czerwona szminka będzie idealna...

- Nie mogę usiąść - powiedziała po próbie Regan. - Uszkodzę sobie jakiś wewnętrzny organ.

- To stój. - Ed przystąpiła do pracy. - A teraz zasady dziewiątki... Grałaś kiedyś w bilard?

- Kilka razy z moim ojcem.

- No dobra, przynajmniej wiesz, jak trzyma się kij. A teraz słuchaj...

Uderzone bile potoczyły się po stole. Piątka wpadła do narożnej łuzi.

- Zwyczajny fart - mruknął Jared, smarując kredą koniec kija.

- Akurat! - prychnął Rafe. - Teraz szóstka do bocznej.

- W dziewiątkę Rafe jest niepokonany - rzekł Shane. Bardziej niż grą zainteresowany był szczupłą rudowłosą dziewczyną przy barze. - Co to za jedna, Dev?

Devin obejrzał się za siebie.

- Bratanica Hollowaya. Ma chłopaka wielkości szafy, który połamie ci kości, jeśli zaczniesz się do niej przystawiać.

Shane, który kochał wyzwania, natychmiast podszedł do baru. Devin westchnął ciężko. No cóż, jeśli narzeczony rudej się pojawi, trzeba będzie interweniować.

- Wygrałem. - Rafe wyciągnął rękę po należne mu dziesięć dolarów. - Teraz ty, Dev.

- Napiłbym się piwa.

- Jared stawia. - Rafe wyszczerzył zęby do starszego brata.

- Stawiałem poprzednią kolejkę.

- Bo poprzednią grę też przegrałeś.

- On płaci - powiedział Jared do barmana, wskazując na Rafe'a. -
Trzy piwa.

- A ja?

Jared zerknął na Shane'a, który obejmował ramieniem rudą.

- Ty prowadzisz.

- Czy on musi podrywać każdą dziewczynę, jaka się nawinie? -
mruknął Rafe.

- Przejął pałeczkę po tobie. - Devin z namysłem dokonał wyboru kija. - Skoro ty jesteś zaobrączkowany...

- Zaobrączkowany? - Rafe zerknął na rudą. Docenił jej urodę, ale nic nie poczuł, żadnego dreszczu. - Regan i ja mamy... porozumienie. To wszystko.

- Zakochał się. - Jared podniósł do ust piwo.

Rafe zignorował brata. Nie zamierzał dać się sprowokować. Uśmiechnął się, gdy dwie bile wylądowały w luzach.

- Wkrótce zacznie się golić dwa razy dziennie i nosić czyste koszule. - Jared pokręcił ze smutkiem głową. - Wtedy będziemy wiedzieli, że go straciliśmy.

- Zacznie chodzić na targi staroci i do opery.

- Devin westchnął ciężko. - Także na wieczorki poetyckie.
- Dobra, dobra. - Tym razem Rafe nie trafił.
- Mówcie tak dalej, jak chcecie mieć rozkwaszone nosy.
- Nie strasz, nie strasz, kochasiu. - Pochyliwszy się nad stołem, Devin wbił kulę do łuzi. Przechodząc koło Rafe'a, pociągnął nosem. - Nowa woda kolońska?

- Nie używam... - Rafe zaklął pod nosem. - Przyznaj się. Jesteś zazdrosny. Sypiasz sam na wąskiej pryczy, tuż pod celą więzienną.

- Jakbyś zgadł.

- O której masz być w domu, Rafe? - Jared wrzucił kilka monet do szafy grającej. - Nie chcielibyśmy, żebyś za karę dostał po głowie wałkiem do ciasta.

- Od kiedy na prawo przyjmują dupków? - Kątem oka Rafe zauważył, że Duff przygląda im się niepewnie. To dobrze. W końcu kiedyś siali tu postrach. - Jaka jest kara za rozwalenie paru stołków?

- Nic z tego - sprzeciwił się Devin. Ale zrobiło mu się żal. Od lat nie uczestniczył w prawdziwej bójce.

- Noszę odznakę szeryfa.

- To ją zdejmij. I przyłożmy Shane'owi. Zabawmy się jak za dawnych czasów.

Wybijając palcami rytm do muzyki, Jared spojrzał na najmłodszego brata, który niewątpliwie czynił postępy z rudą. Już choćby za to należały mu się baty.

- Mam przy sobie dość forsy na kaucję - stwierdził.

- I co nieco ekstra, gdyby trzeba było przekupić szeryfa.

Devin wyprostował się i z czułością w oczach popatrzył na Shane'a.

- Jak nie zostawi dziewczyny w spokoju, to dziś oberwie.

Równie dobrze może oberwać od nas.

- Na pewno będziemy łagodniejsi niż narzeczony rudej.

Barman z przerażeniem obserwował, jak trzech MacKade'ów rusza w stronę baru.

- Hej, chłopaki, nie tutaj. Devin, do cholery, jesteś stróżem prawa!

- Chcę tylko wykonać swą braterską powinność.

- O co chodzi? - Shane odskoczył od baru. - Trzech na jednego?

- Uśmiechnął się szeroko, ignorując innych klientów, którzy odeszli w bezpieczne miejsce. - No dobra! Pokażcie, co umiecie.

Otworzyły się drzwi baru. Shane popełnił błąd, spoglądając za siebie. Szczeka opadła mu ze zdziwienia. W tym samym momencie Rafe skoczył na niego, powalając go na stół.

- Oj, młody, młody, wyszedłeś z wprawy! - Nagle Rafe znieruchomiał.

Czerwona jak wóz strażacki spódnica ledwo zakrywała pupę, opinała biodra niczym druga skóra. Nogi ciągnęły się bez końca. Rafe przesuwiał po nich wzrokiem, aż zatrzymał się na niebotycznie wysokich szpilkach w równie jaskrawym kolorze czerwieni.

Powiódł spojrzeniem w górę; najpierw ujrzał obcisły czarny top trzymający się na jędrnych piersiach, a dopiero później twarz.

Usta pociągnięte lśniąca, czerwoną szminką. Nad górną wargą ciemny pieprzyk. Włosy lekko zwichrzone, oczy mocno umalowane. Wyglądała jak kobieta, która pięć minut temu wstała z łóżka i ma ochotę znów się w nim znaleźć.

- Kurka wodna! - Shane pierwszy odzyskał głos. - To Regan? Ale z niej gorący towar!

Rafe puścił brata i ruszył ku drzwiom. W głowie mu szumiało, jakby to on otrzymał cios.

- Dokąd to? - zamruczała Regan. - Myślałam, że zagramy w dziewiątkę.

- W dziewiątkę?

- Tak. - Podeszła do baru, oparła się łokciem o ladę. - To co, MacKade? Postawisz mi piwo?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bała się, że straci rezon, jeśli Rafe dalej będzie się na nią tak gapił.

Było jej zimno; płaszcz zostawiła w samochodzie, bo chciała wyrzucić wrażenie od samego wejścia. Poza tym nie czuła nóg. I ledwo mogła oddychać.

Rafe milczał, więc powiodła spojrzeniem po klientach baru. Wszyscy mieli rozdziawione gęby. Zdobywając się na odwagę, uśmiechnęła się do barmana, który też stał z wytrzeszczonymi oczami.

- Poproszę to samo, co on.

Z piwem w ręce ponownie odwróciła się twarzą do sali. Nikt nie ruszył się z miejsca. Pociągnęła łyk. Nienawidziła piwa.

- Hej, MacKade, ustawisz bile czy ja mam to zrobić?

- Ja ustawię - zaoferował Jared.

Nie wiedział, na co patrzeć: na Regan, która kołysząc biodrami, podeszła po kij, czy na ogłupiałą minę brata. Słyszając stukot kul, Rafe ocknął się.

- Mówiłaś, że zamierzasz iść wcześniej spać.

- Zmieniłam zdanie. - Skierowała się do stołu, z trudem się powstrzymując, żeby nie obciągnąć spódniczki. - Kto ze mną zagra?

Krzesa zaszurały o podłogę i pół tuzina facetów poderwało się na nogi. Rafe posłał im mordercze spojrzenie. Pół tuzina facetów usiadło z powrotem, jakby uznało, że jednak nie ma ochoty grać.

- Żartujesz, prawda?

Regan wzięła od Devina kij i gładząc jego drewnianą powierzchnię, uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- Bynajmniej.

Z głębi sali rozległy się jęki. Regan oddała piwo Jaredowi i pochyliła się nad stołem. Skórzana spódniczka podjechała wyżej. Rafe dźgnął Shane'a łokciem w bok.

- Będiesz się tak gapił, to oślepniesz.

- Rany, Rafe, a gdzie mam patrzeć? - spytał najmłodszy MacKade, wpychając ręce do kieszeni.

Regan rozbiła trójkąt, jedną bilę posłała do luzu. Mając świeżo w pamięci instrukcje Ed, obeszła stół. Zatrzymała się przy Devinie.

- Blokujesz stół, szeryfie.

- Fakt. Przepraszam.

Kiedy pochyliła się nad zielonym suknem, napotkał spojrzenie Jareda. Uśmiechnęli się jak dwaj chłopcy uradowani z nowego roweru.

Kolejna bila wylądowała w luzie. Regan, ośmielona sukcesem, ponownie wygięła się nad stołem. Tym razem się nie udało.

- Ojej. - Wydeła czerwone usta i zatrzepotała czarnymi rzęsami.

- Twoja kolej. - Poglądziła Rafe'a po torsie. - Potrzeć kredą twój kijek?

Sala ryknęła śmiechem. Rozległy się gwizdy, okrzyki.

- Starczy tego! - warknął Rafe.

Wyrwał Regan kij z ręki, rzucił go Devinowi, a ją pociągnął w stronę drzwi.

- Ale jeszcze nie skończyliśmy - zaprotestowała.

Chwyił z wieszaka swoją kurtkę i narzucił jej na ramiona.

- Zapnij ją. - Otworzył drzwi.

- No to przepadł - stwierdził z uśmiechem Devin.

- Oj, przepadł. - Shane pogładził się po brzuchu. - A

zauważyliście jej...

Wyřeczając nieobecnego Rafe'a, Jared pacnął Shane'a kijem.

Na zewnątrz Rafe podprowadził Regan do swojego sportowego samochodu.

- Wsiadaj.

- Przyjechałam własnym. Moglibyśmy...

- Wsiadaj.

Nie było to proste. Spódnica podjechała jeszcze wyżej. Rafe zazgrzytał zębami.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Do domu. - Zatrzasnawszy drzwi, obszedł maskę. - I lepiej się do mnie nie odzywaj.

Milczała przez całą drogę. Kiedy z piskiem opon zahamował przed jej mieszkaniem, nie ruszyła się z miejsca. Wiedziała, że bez pomocy nie da rady wysiąść z nisko zawieszzonego, sportowego auta.

- Klucze - warknął Rafe, pomógłszy jej wydostać się na zewnątrz. Po chwili otworzył drzwi.

Zirytowana, minęła go i pierwsza weszła do mieszkania.

- Podejrzewam, że...

Nie dokończyła. Przycisnąwszy ją do ściany, zamknął jej usta pocałunkiem. Na obcasach była tego samego wzrostu, co on.

- Dawaj to! - Zerwał z niej swoją kurtkę. -I wyłaź z tych ciuchów!

Zrezygnowana, spuściła wzrok, po czym odnalazła palcami zamek błyskawiczny.

- Nie! Nie tu... - Przeraził się. Jeśli Regan znów zrobi striptiz... Wolał o tym nie myśleć. Dodatkowo wystraszył go wyraz zagubienia i bezradności w jej oczach. - Chciałbym, żebyś włożyła coś innego.

Proszę.

- Sądziłam, że...

- Wiem. Musimy porozmawiać. Ale gdy będziesz tak ubrana, nie zdołam się skupić.

Bez słowa poszła do sypialni. Z ulgą pozbyła się butów, następnie lśniącej czerwonej skóry. Nareszcie mogła normalnie oddychać. Rozejrzała się po pokoju. Czuła się jak kretynka; zrobiła z siebie pośmiewisko. Po co? Po nic.

Nie, nieprawda, że po nic, pomyślała, wkładając spodnie. Zrobiła to dla Rafe'a, a on nawet nie docenił jej poświęcenia.

Kiedy wróciła do salonu - uczesana, bez makijażu, w czarnych spodniach i beżowym sweterku - Rafe wydeptywał ścieżkę w dywanie.

- Co ci strzeliło do głowy - spytał - żeby w takim stroju przyjść do baru?

- To był twój pomysł - odparła, ale on nie słyszał.

- Jeszcze minuta, a wiesz, co by się tam działo? Do licha, przecież widziałem cię naga, ale nie miałem pojęcia, że jesteś tak zbudowana. Teraz całe miasteczko będzie wiedziało.

- Mówiłeś, że...

- Nie obchodzi mnie, co ludzie gadają na mój temat. Ale nie chcę, żeby gadali o tobie. A w ogóle to skąd wytrzasnęłaś tę spódnicę?

- Och, doprawdy...

- Doprawdy! I jeszcze sposób, w jaki pochylałaś się nad stołem...

- Uważaj, co mówisz, MacKade - ostrzegła go, mrużąc oczy.

- Teraz będę musiał skopać tyłki swoim braciom za to, że ślinili się na twój widok. Jakim prawem...

Niewiele się namyślając, Regan cisnęła na podłogę ulubiony wazon. Nie roztrzaskał się, jedynie potoczył po miękkim dywanie. Ale to wystarczyło, żeby Rafe się uciszył.

- Upokorzyłam się dla ciebie. Ledwie wbiłam się w ciasną spódnicę, mam zgniecione wnętrzości, pewnie nigdy się nie doczyszczę z tego cholernego makijażu, bolą mnie nogi. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony?

- Ja...

- Zamknij się. Teraz ja mówię. Sam chciałeś, żebym się tak ubrała. Spełniłam twoją prośbę, a ty co? Nic, tylko mnie krytykujesz! Wiesz co, MacKade? Idź do diabła!

Usiadła w fotelu; nie czuła nóg. Pociągając nosem, zaczęła je masować.

Odczekał, żeby się uspokoiła.

- Zrobiłaś to dla mnie? - spytał wreszcie.

- Nie. Dla siebie. Bo uwielbiam paradować zimą półnaga na dziesięciocentymetrowych obcasach. To mnie podnieca.

- Zrobiłaś to, bo chciałaś mnie zdenerwować... Zacisnęła powieki. Opuściła ją złość.

- Nie, Rafe. Dlatego, że straciłam dla ciebie głowę. Tak jak to przewidziałeś. A teraz wyjdź i zostaw mnie samą. Jestem zmęczona.

Przez moment obserwował ją w milczeniu, po czym ruszył do drzwi.

Siedziała zrezygnowana, zbyt przybita, by choć uronić łzę. Kochała go i to się nie zmieni.

Po chwili usłyszała, jak drzwi się otwierają. Nie uniosła powiek.

- Mówiłam, że jestem zmęczona...

Coś spadło jej na kolana. Zamrugowała. Na widok bukietu lilii wytrzeszczyła oczy.

- Niestety, w lutym nie ma świeżych - rzekł. - Te od kilku dni wożę w bagażniku, dlatego są zimne.

- Są piękne. - Poglądziła chłodne jedwabiste płatki. - Od kilku dni?

- Tak. - Skrzywiwszy się, Rafe wetknął ręce do kieszeni. - Psiakrew.

Czułby mniejszy strach, gdyby mu zakładano na szyję stryczek. Uklęknął.

- Co robisz?

- Cicho bądź. - Potwornie skrepowany, zaklął pod nosem, przeczesał ręką włosy, po czym nabrał w płuca powietrza. - „Gdy wstałem, widząc światło brzasku, wzywałem ciebie”*.

- Rafe...

- Nie przerywaj mi. Przez ciebie muszę zacząć od nowa.

- Ale... - Umilkła. Zastanawiała się, czy jest jedyną kobietą na świecie, której mężczyzna recytuje Shelleya, patrząc na nią tak morderczym wzrokiem. - Dobrze, przepraszam.

- W porządku. - Potarł ręką brodę. - No więc... „Gdy wstałem, widząc światło brzasku, wzywałem ciebie. Gdy rosa zgasła w dziennym blasku i żar południa...” - Zmrużył oczy, usiłując się skupić. - Już wiem. „...i żar południa legł na niebie, gdy dzień zmęczony szedł odpocząć wolno, jak gość niemiły oczom - wzywałem ciebie”. Uf. - Odetchnął z ulgą.

- Tydzień się tego uczyłem. Jeżeli komukolwiek wspomnisz o mojej recytacji...

- Nie wspomnę. - Wzruszona, pogładziła go po policzku. -
Dziękuję.

- Te słowa... poniekąd oddają, co do ciebie czuję. Myślę o tobie, Regan. Codziennie. Jeżeli chcesz słuchać poezji...

- Nie chcę.

- Kiepski ze mnie romantyk. Daję sztuczne kwiaty i mówię cudzymi słowami...

** Percy Bysshe Shelley, „Do nocy”, przeł. Ludmiła Marjańska (,Poeci języka angielskiego”, tom II, PIW, 1971)*

Łzy załśniły jej w oczach. Łzy szczęścia.

- Kwiaty są śliczne, słowa też. Ale ja nie potrzebuję wierszy. Nie chcę, żebyś się dla mnie zmieniał. Powiedziałam, że przyjmę cię takiego, jakim jesteś. I przyjmę.

- Ja ciebie też. Taką, jaka jesteś. Choć ta skórzana mini...

- Myślę, że Ed mi ją czasem pożyczy.

- Ed? - Roześmiał się cicho. - Nic dziwnego, że była taka obcisła. - Nagle poczuł, jak na szyję skapują mu ciepłe krople. - Och, nie, błagam, nie płacz.

- Nie płaczę. Po prostu się wzruszyłam. Hm, czyli oboje wygraliśmy zakład. Lub oboje go przegraliśmy. Zależy, jak na to spojrzeć. - Osuszyła ręką łzy.

- Oczywiście ja przegrałam na oczach widzów.

- Jeśli myślisz, że wyrecytuję wiersz w barze, to się mylisz! Nie wyszedłbym stamtąd żywy.

- Wiem. Rafe... ja naprawdę cię potrzebuję. Tamtego dnia, kiedy Joe się na mnie rzucił, też cię potrzebowałam. Ale bałam się ci o tym powiedzieć.

Zbliżył do ust jej dłoń i poczuł, jak tysiące ran się goją. Już nawet nie peszyło go, że przed nią klęczy.

- Mój głuptasie. Pocałowała go lekko w usta.

- Sztuczne czy nie, do wazonu trzeba je wstawić - powiedziała, spoglądając na lilie.

Sięgnął za siebie po wazon, który rzuciła na podłogę.

- Proszę... Rzadko się zdarza dzień tak obfitujący we wrażenia.

Przeniosła wazon z bukietem na stół.

- A jeszcze się nie skończył. Chcesz zostać i zobaczyć, co jeszcze się wydarzy?

- Czytasz w moich myślach. Wiesz, Regan, mamy więcej wspólnego, niż nam się wydaje. Ty grasz w bilard, ja lubię antyki... - Wstał z kolan, lekko zdenerwowany ujął w palce porcelanową figurkę kota, po chwili ją odstawił. - Może byśmy się pobrali?

- Hm... Już raz mi to proponowałeś. Ale potem wycofałeś się, bo powiedziałam, że nie oglądam bejsbola.

- Mówię serio. Odwróciła się do niego.

- Wiem, że znamy się krótko. - Zbliżył się o krok. Więcej nie miał odwagi. Przyglądała mu się, jakby postradał zmysły. I pewnie postradał. - Wprawdzie oboje stwierdziliśmy, że do szczęścia wystarczy nam sam seks. Ale...

- Rafe, ja nie...

- Nie przerywaj - prychnął. - Daj mi skończyć. No więc mnie sam seks nie wystarczy. Od początku zależało mi na czymś więcej. Kocham cię, Regan.

- Kochasz mnie - powtórzyła oszołomiona jego wyznaniem.

- Tak, kocham. Zakochałem się w tobie w chwili, gdy cię ujrzałem. A może jeszcze wcześniej. Nie wiem. Nigdy dotąd nie byłem zakochany.

- Ja też nie. Nie usłyszał jej.

- Nikomu nigdy nie byłem potrzebny. Nie chciałem być potrzebny. Ale chcę, żebyś ty mnie potrzebowała. Nie cierpię prosić, lecz...

- Nie musisz. - Podeszła do niego i zacisnęła ręce na jego twarzy. - O nic nie musisz mnie prosić.

- Gdybyś dała mi szansę... Wiem, że lubisz na spokojnie wszystko analizować. Ale nam może się udać. Nie bój się, zaryzykuj.

- Tak.

- Co tak?

- Skup się. - Pocałowała go w usta. - Tak, wyjdę za ciebie za mąż.

- Tak po prostu? Nie chcesz pomyśleć, zastanowić się?

- Nie.

- Super! Świetnie! - Cofnął się krok. - Moglibyśmy... no wiesz... już jutro... papiery... Co tam trzeba. Chcesz, żebym ci dał... pierścioneek?

- Chcę. Jąkasz się, Rafe.

- Nie. Po prostu nie spodziewałem się, że wyrazisz zgodę.

- Klamka zapadła. Jeżeli próbujesz się wycofać, to za późno.

Przyznaj się: to przez spódniczkę?

- Jaką spódniczkę? - spytał zdumiony. Uśmiechnęła się, zachwycona jego odpowiedzią.

- Powiedz mi jeszcze raz. Że mnie kochasz. - Objęła go za szyję.

- Powinieneś się przyzwycząić do mówienia tych słów.

- Kocham.

- I kochałeś tego pierwszego wieczoru, kiedy byliśmy sami w domu na wzgórzu?

- Tak.

- Ciekawe, czy duchy to czuły? Pamiętam, że nastał taki niesamowity spokój... Rafe, chcesz tam pojechać? Dziś?

- Tak. - Przytknął czoło do jej czoło. - Bardzo.

- Muszę ci najpierw coś wyjaśnić. Mogłabym z tobą sypiać bez miłości. Mogłabym, bo jesteś najfantastyczniejszym facetem, jakiego w życiu spotkałam. Ale gdybym cię nie kochała do szaleństwa, za nic w świecie nie włożyłabym dziś tego durnego stroju. Jasne? -

Uśmiechnęła się.

- Popatrz mi prosto w oczy. I powtórz to.

- Kocham cię, Rafe. Bez pamięci. I będę kochać do grobowej deski.

Przeszył go dreszcz.

- Ty też powinnaś się przyzwycząić do mówienia tych słów.

- Kocham cię, kocham, kocham. Widzisz, jak szybko się uczę?

Boże, czego ja się tak bałam?

Przytulił ją z całej siły.

- Pewnie tego samego, co ja. Tego, co nowe i nieznanne. Miłości.

Później, gdy leżeli objęci w wielkim łóżku na piętrze, Regan uśmiechnęła się błogo.

- Cieszę się, że wróciłeś, MacKade. Witaj w domu. Przez moment wsłuchiwali się w swoje oddechy.

A potem zapadła głęboka cisza. Wszyscy spali spokojnym snem,
i oni, i duchy.

RS

Duma Jareda

RS

PROLOG

Od rana żołnierze toczyli zacięty bój. Po lesie niesły się odgłosy walki, huk wystrzałów, szcęk bagnatów, krzyki i jęki rannych.

Trup słał się gęsto. Ci, którzy mieli siłę walczyć, łaknęli zemsty na wrogu.

Mimo że nastał wrzesień, liście jeszcze nie opadły z drzew. Tworzyły zielony baldachim, przez który z trudem przedzierały się promienie słońca. W gorącym, przesyconym wilgocią powietrzu czuć było zapach ziemi, runa leśnego, zwierząt.

Jared MacKade uwielbiał to miejsce.

Był oficerem armii Unii. Kapitanem. Ogłosił się nim, bo jako najstarszy, dwunastoletni, miał do tego prawo. Oddział, którym dowodził, składał się z jego młodszego o dwa lata brata, kaprała Devina.

Cel walki był jasno określony: zlikwidować wroga, czyli żołnierzy Konfederacji.

Ponieważ wojna to sprawa poważna, Jared starannie opracował strategię. Wybrał Devina z dwóch powodów: po pierwsze, Devin wykonywał rozkazy, po drugie, miał łeb na karku. I podobnie jak on, nie lubił brać jeńców.

Rafe i Shane, pozostali z czwórki braci, walczyli równie zaciekle, ale częściej kierowali się instynktem niż rozumem. Tak jak

teraz: biegli przez las, wydzierając się wniebogłosy, podczas gdy Jared z Devinem tkwili przyczajeni w krzakach.

- Zaraz się rozdziela - szepnął Jared i splunął z pogardą; płucie wydawało mu się czymś dorosłym. - Rafe liczy, że wciągnie nas w zasadzkę. Nie myśli jak wojskowy.

- A Shane w ogóle nie myśli - mruknął Devin. Dwóch chłopców o czarnych potarganych włosach i ładnych, choć nieludzko umorusanych twarzach uśmiechnęło się porozumiewawczo. Jared potoczył zielonymi oczami po lesie. Znał tu każdy kamień, każdy korzeń, każdą dróżkę. Często przychodził tu sam - posiedzieć, położyć albo posłuchać szumu wiatru, szelestu wiewiórek, zawodzenia duchów.

Wiedział wszystko o wojnie secesyjnej, o bitwie nad potokiem Antietam. O tym, że tu, w tym lesie, walczyli i ginęli żołnierze. Nic dziwnego, że bitwa, uznawana za najkrwawszą w tej wojnie, zapłodniła wyobraźnię młodego chłopca. Razem z braćmi przeczesywał ziemię, na której toczyły się walki, strzelał i padał trupem, ganiał po czarnym, spalonym w ogniu wojny polu kukurydzy.

Często w nocy zastanawiał się, co czuli bracia walczący po przeciwnych stronach. I jaką rolę on by odegrał, gdyby żył w tamtych czasach.

Najbardziej fascynowało go, że ludzie umierali dla sprawy. Matka wielokrotnie powtarzała, że w życiu liczy się cel, wiara i duma. A potem, wichrząc mu czuprynę, dodawała ze śmiechem, że o jego dumę nie musi się martwić. Miał jej w nadmiarze.

Zawsze chciał być najlepszy, najszybszy, najsilniejszy, najmądrzejszy. Nie było to proste; jego bracia byli równie zdeterminowani. Jednak on bardziej się starał, żeby osiągnąć cel: dłużej śleczął nad książkami, walczył z większą zawziętością, pracował z większym poświęceniem.

Jared MacKade nie uznawał porażek.

- Idą - poinformował szeptem brata.

Devin skinął głową. Uważnie wsłuchiwał się w odgłosy.

- Rafe nadchodzi z prawej, Shane z lewej.

- Dobra, ja się zajmę Rafe'em. Ty czekaj ukryty. Jak nadbiegnie Shane, atakuj.

Bracia uścisnęli sobie ręce.

- Zwycięstwo albo śmierć.

Niebieska koszula wroga mignęła Jaredowi przed oczami. Jared nie drgnął. Uzbrowszy się w cierpliwość, czekał na odpowiedni moment. Wreszcie, wydając z siebie dziki okrzyk, rzucił się do boju.

Turlając się po ziemi, żołnierze wylądowali w kolczastych jeżynach. Jared nie łudził się, że to koniec. Rafe, co mogli poświadczyć wszystkie dzieciaki z miejscowej podstawówki, był zażartym przeciwnikiem. Walka sprawiała mu frajdę.

Jared świetnie to rozumiał. Czyż może być większa przyjemność niż zabawa w wojnę? Kolce czepiały się ubrań, raniły skórę. Ale kto by się tym przejmował? Żołnierze poderwali się na nogi i z zapalem walczyli dalej. Nieopodal toczyła się druga walka; słychać było sapanie, przekleństwa, szelest suchych liści.

Bracia byli w swoim żywiole.

- Nie żyjesz, śmierdzący Rebeliancie! - krzyknął Jared, uwięziwszy pod pachą głowę Rafe'a.

- Zaciągnę cię do piekła, podły Jankesie!

Po chwili padli na ziemię, brudni, zdyszani, roześmiani. Ocierając krew z rozciętej wargi, Jared obrócił się, by sprawdzić, jak jego oddział sobie radzi. Devin miał podbite oko, a Shane rozdarte spodnie, za które wszyscy solidarnie oberwą od mamy.

Westchnąwszy z zadowoleniem, wyciągnął się na wznak i popatrzył na słońce przeświecające przez liście.

- Nie przerwiesz im? - spytał obojętnym tonem Rafe.

- Po co? - Jared ponownie starł krew. - Już prawie skończyli.

- Idę do miasta. - Dźwignąwszy się z ziemi, Rafe otrzepał spodnie. Roznosiła go energia. - Może zajrzę do kawiarni Ed.

Devin poderwał głowę.

- Masz forszę?

Uśmiechając się szeroko, Rafe poklepał się po kieszeni. Zabrzęczały monety.

- Może mam, może nie - odparł i rzucił się przed siebie.

Takiemu wyzwaniu ani Devin, ani Shane nie potrafili się oprzeć. Chwycić Rafe'a za nogi i potrząsnąć nim tak, żeby forsa wypadła mu z kieszeni... Ile sił w nogach pognali za bratem.

- Chodź z nami, Jare! - krzyknął przez ramię Shane.

- Dojdę później - obiecał Jared.

Ale nie ruszył się z miejsca. Spoglądając na promienie słońca przeświecające przez liście, rozmyślał o bitwie, która toczyła się tu ponad sto pięćdziesiąt lat temu. Słyszał huk moździerzy, krzyki rannych i umierających. A po chwili, gdzieś w pobliżu, urywane oddechy tych, co się zgubili i wędrowali przerażeni.

Zamknął oczy. Zbyt dobrze znał tutejsze duchy, aby się ich bać. Żałował, że nie może z nimi porozmawiać, spytać, jakie to uczucie, gdy człowiek dla idei naraża własne życie.

On sam mógłby zginąć w obronie swoich najbliższych: rodziców i braci. Ale umrzeć dla sprawy?

Przysiągł sobie, że któregoś dnia dokona czegoś ważnego, co będzie miało wpływ na życie innych. Tak, by patrząc na niego, ludzie mówili: oto Jared MacKade, człowiek szlachetny i nieustraszony, który nie cofa się przed niczym.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Marzył o zimnym piwie. Niemal czuł, jak gorzki złocisty płyn spływa mu do gardła, pozwalając zapomnieć o ciężkim dniu w sądzie, o sędzi-kretynie i o klientce, która swoim zachowaniem doprowadzała go do białej gorączki.

Nie dlatego, że brała udział w serii drobnych kradzieży w zachodniej dzielnicy Hagerstown, a on musi jej bronić. Bronił, bo na tym polegała jego praca. Złościło go, że kobieta próbowała go uwieść.

Miała spaczone pojęcie o relacjach łączących prawnika z klientem. Wyjaśnił jej w sposób stanowczy i jednoznaczny, że jeśli jeszcze raz pozwoli sobie na zbyt dużą poufałość, to może sobie szukać nowego obrońcy.

W innych okolicznościach może by nie zareagował tak ostro, może nawet by się roześmiał, ale ostatnio miał zbyt wiele spraw na głowie, żeby tolerować takie zachowanie.

Zniecierpliwionym gestem wsunął płytę do odtwarzacza. Po chwili wewnątrz samochodu wypełniły dźwięki muzyki Mozarta.

W drodze do domu - i do lodówki, w której czekało zimne piwo - musiał jeszcze zatrzymać się w jednym miejscu. Musiał, bo Savannah Morningstar, do której wydzwaniał przez cały dzień, nie raczyła oddzwonić.

Poruszył ramionami, żeby rozładować napięcie, poprawił ciemne okulary i wcisnął pedał gazu; czasem lubił przekraczać dozwoloną

prędkość. Jechał szybko, nie zwracając uwagi na budzącą się do życia przyrodę.

Zahamował ostro, żeby nie rozjechać zająca, potem znów przyśpieszył i wyprzedził jadącą w stronę Antietam furgonetkę. Miał nadzieję, że Shane zaczął już szykować kolację. Do diabła! Przypomniawszy sobie, że dziś przypada jego, nie Shane'a, dyżur przy garach.

Mógł się podobać z tym zachmurzonym czołem, lekko zniekształconym, bo w przeszłości dwukrotnie złamanym nosem, wydatną szczęką, czarnymi brwiami i zielonymi oczami. Wysoki, o szerokich ramionach i wąskich biodrach, doskonale prezentował się w białej wykrochmalonej koszuli i garniturze.

Na sali sądowej przykuwał wzrok. Ale w sądzie nie był Jaredem MacKade'em, urodzonym rozrabiaką i czarującym utraپیئcem, który wraz z braćmi siał postrach w okolicy. W sądzie był poważnym, szanowanym panem mecenasem.

Kilometr czy dwa przed miasteczkiem zerknął na dom stojący na szczycie wzgórza. Stary dom Barlowów kupił po powrocie w rodzinne strony jego młodszy brat Rafe; zamierzał urządzić w nim pensjonat.

Widząc na podjeździe znajomy samochód, Jared zawahał się. Kusiło go, by machnąć ręką na obowiązki i wstąpić do brata na piwo. Podejrzewał jednak, że

Rafe ciężko pracuje, by do jesieni zakończyć remont. A jeśli nie pracuje, to z utęsknieniem czeka na swoją świeżo poślubioną żonę.

Jared wciąż nie mógł uwierzyć, że największy ladaco z ich czwórki został niedawno mężem.

Minąwszy wzgórze, skręcił w lewo, w drogę prowadzącą na farmę MacKade'ów i do sąsiadującej z nią niedużej posiadłości. Według informacji, jakie zdobył, Savannah Morningstar kupiła domek na skraju lasu zaledwie dwa miesiące temu. Mieszkała w nim z synem i, jako że miejscowi plotkarze nic nie wiedzieli na jej temat, najwyraźniej stroniła od ludzi.

Zdaniem Jareda, kobieta była albo mało rozgarnięta, albo źle wychowana. Nie miał ochoty składać jej wizyty, mimo że głos na sekretarce brzmiał nisko, zmysłowo. Psiakrew, zwykła uprzejmość nakazuje oddzwonić, gdy ktoś zostawia wiadomość!

Kątem oka dojrzał między drzewami skromny dom. Właściwie chatę, do której parę lat temu dobudowano pięterko. Przy skrzynce pocztowej z nazwiskiem Morningstar skręcił i zwolnił, żeby na głębokich wybojach nie uszkodzić resorów.

Pamiętał, że chatę zbudował jakiś lekarz z miasta, który chciał spędzać urlopy na łonie natury. Mieszczuchom często marzy się odpoczynek na wsi, dopóki go nie zakosztują. Oczywiście lekarzowi łono natury szybko się znudziło.

Ziemia przed domem, do niedawna pełna głazów i chwastów, była obsiana trawą. Kamienie nie znikły; oczyszczone i wyeksponowane stanowiły część krajobrazu; pomiędzy nimi ktoś posadził kwiatki.

A właściwie sadył, sądząc po klęczącej na ziemi postaci. Jared zaparkował obok wiekowego autka, wziął z siedzenia teczkę i wysiadł. Gdy Savannah Morningstar podniosła się z kolan, ucieszył się, że nie zdjął z nosa ciemnych okularów.

Wysoka, pewnie z metr siedemdziesiąt siedem, niesamowicie zgrabna, o niebotycznie długich nogach, ubrana była w bawełnianą koszulkę i dżinsowe szorty, które ledwo zasłaniały pośladki. Ręce i kolana miała usmarowane ziemią.

Jej gęste, czarne włosy lśniły w słońcu. Nosiła je splecione w luźny, pojedynczy warkocz. Oczy, podobnie jak Jareda, zasłaniały okulary słoneczne.

- Savannah Morningstar?

- Tak, to ja.

To był ten sam niski, zmysłowy głos, co na sekretarce. Idealnie pasował do tej kobiety.

- Jestem Jared MacKade. Przekrzywiła w bok głowę.

- Wygląda pan na prawnika. Ale ja żadnego nie potrzebuję.

- A ja nie jeżdżę od domu do domu, szukając klientów.

Zostawiłem kilka wiadomości na pani sekretarce.

- Wiem. - Kucnąwszy, dokończyła sadzenie fioletowego floksa. - Urok sekretarki polega na tym, że nie trzeba rozmawiać z każdym, kto dzwoni. - Przyklepała ręką ziemię. - Najwyraźniej nie miałam ochoty na rozmowę z panem, mecenasie MacKade.

- Czyli nie mała rozgarnięta, lecz źle wychowana - mruknął Jared.

Uśmiechnęła się.

- Zgadł pan. Ale skoro już pan przyjechał, niech pan powie, o co chodzi.

- Znajomy prawnik z Oklahomy skontaktował się ze mną, kiedy odkrył, gdzie pani mieszka.

Poczuła ukłucie w żołądku. Sięgnęła po kolejną sadzonkę i niespiesznie odgarnęła łopatką ziemię.

- Wyjechałam z Oklahomy prawie dziesięć lat temu. Nie przypominam sobie, żebym złamała tam prawo.

- Znajomy wypełnia zlecenie pani ojca.

Straciła zapal do ogrodnictwa. Nie chcąc wyrządzić roślinom krzywdy, wstała i wytarła ręce o szorty.

- Nie interesuje mnie mój ojciec. Może pan to przekazać swojemu znajomemu.

- Pani ojciec nie żyje.

Zamierzał powiedzieć to inaczej. Łagodniej. Specjalnie nie wspominał o niczym przez telefon. Wciąż pamiętał, jak bardzo sam cierpiał po śmierci rodziców.

Nie wybuchnęła płaczem. Przyjęła wiadomość spokojnie, niemal obojętnie. Kiedyś kochała ojca, kiedyś go potrzebowała. Teraz nie czuła nic.

- Kiedy umarł?

- Siedem miesięcy temu. Przykro mi. Trochę trwało, zanim...

- Jak? - przerwała mu.

- Miał wypadek. Z tego, co się orientuję, występował na rodeo. Podczas zawodów upadł i uderzył głową w ziemię. Na chwilę stracił przytomność. Odmówił pójścia do szpitala na prześwietlenie. Skontaktował się jednak z moim znajomym i wydał mu polecenia. Tydzień później nastąpił zator.

Stała bez ruchu. Oczami wyobraźni widziała człowieka, którego kiedyś znała i kochała. Widziała go, jak siedzi na wierzgającym mustangu, z ręką uniesioną wysoko do góry. Widziała go roześmianego i pijanego. Widziała go, jak czule szepcze do schorowanej klaczy.

I widziała, jak wściekły ze wstydu wyrzuca z domu swoje jedyne dziecko, swoją córkę. Ale nie potrafiła zobaczyć go martwego.

- Dziękuję, panie MacKade. - Obróciwszy się na pięcie, skierowała się do domu.

- Pani Morningstar... - Gdyby słyszał rozpacz w jej głosie, zostawiłby ją w spokoju. Ale niczego takiego nie słyszał.

- Pić mi się chce - oznajmiła, zatraskując za sobą siatkowe drzwi.

Ogarnęła go wściekłość. Jemu też chciało się pić! Zamierzał wyświadczyć przysługę znajomemu, a potem pojechać na farmę, gdzie w lodówce czekało zimne piwo. Nie pukając, wszedł za kobietą do domu.

Nieduży salon umeblowany był z myślą o wygodzie mieszkańców: kanapa, miękkie fotele, solidny stół, na którym można oprzeć nogi. Beż ścian idealnie zlewał się z jasnym brązem sosnowej

podłogi. Spokojny ton mebli i koloryt ścian ożywiały obrazy na ścianach, barwne poduchy, jaskrawy dywan i porozrzucane na nim zabawki. No tak, Savannah Morningstar ma przecież dziecko.

Przeszedł dalej, do kuchni o lśniących białych szafkach i połyskującej w słońcu sosnowej podłodze, identycznej jak ta w salonie. Kobieta szorowała ręce. Nie odzywając się, wytarła je ręcznikiem, po czym wyjęła z lodówki dzban lemoniady.

- Podobnie jak pani, ja też chciałbym jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

Westchnąwszy głośno, zdjęła okulary i cisnęła je na blat. Facet nie jest niczemu winien, przemknęło jej przez myśl.

- Napije się pan?

Nie czekając na odpowiedź, naląła mu lemoniady do szklanki, sięgnęła po szklankę dla siebie.

- Dziękuję.

- Jeśli przyjechał mnie pan poinformować, że mój ojciec miał długi, które muszę spłacić, to oświadczam, że nie mam takiego zamiaru. - Klucie w żołądku już prawie ustało. Znacznie spokojniejsza niż parę minut temu, oparła się o kuchenny blat. - Pieniądze, które posiadam, zarobiłam ciężką pracą i nie zamierzam się ich pozbywać.

- Ojciec zostawił pani w spadku siedem tysięcy osiemset dwadzieścia pięć dolarów. I kilka centów.

Ręka ze szklanką na moment znieruchomiała. Po chwili kobieta wypła łyk.

- Skąd wziął siedem tysięcy dolców?

- Nie mam pojęcia. Leżą na specjalnym koncie w banku w Tulsie. - Jared otworzył teczkę. - Musi mi pani tylko pokazać dokument ze zdjęciem i podpisać papiery, które przyniosłem. Za kilka dni otrzyma pani czek.

Kobieta odstawiła z hukiem szklanę.

- Nie chcę jego pieniędzy!

Jared położył papiery na stole.

- Należą się pani.

- Powiedziałam, że nie chcę.

Zdobywając się na cierpliwość, Jared zdjął okulary i wsunął je do kieszeni.

- Rozumiem, że nie utrzymywali państwo z sobą kontaktów...

- Niczego pan nie rozumie - warknęła. - Ale to nieważne. Niech pan schowa papiery do swojej ślicznej teczuszki i zostawi mnie w spokoju.

Przyzwyczajony do różnych zachowań, Jared nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Pani ojciec wydał instrukcje, że gdyby pani odmówiła przyjęcia spadku, pieniądze mają przypaść dziecku.

Oczy jej się zaszklily.

- Proszę nie mieszać do tego mojego syna.

- Prawo...

- Nie obchodzi mnie. To jest mój syn. I ja o nim decyduję. Nie potrzebujemy tej forsy.

- Zrobi pani, jak zechce. Oczywiście może pani zrezygnować ze spadku, ale wtedy sprawa trafi do sądu. Po co komplikować sobie życie? Czy nie lepiej wziąć pieniądze, przegrać je w ruletkę, oddać na cele dobroczynne albo wsadzić do puszki i zakopać w ogrodzie?

Z całej siły starała się zachować spokój; nie było to łatwe.

- Już powiedziałam. Nie chcę tych pieniędzy. -Słyszając trzaśnięcie drzwiami, poderwała głowę, po czym rzuciła Jaredowi ostrzegawcze spojrzenie. - Syn wrócił. Proszę przy nim nie wspominać o spadku.

- Hej, mamó! Connor i ja...

Wysoki, chudy chłopiec o potarganych czarnych włosach przygniecionych czapką z daszkiem stanął w progu i zmierzył Jareda wzrokiem, w którym ciekawość mieszała się z nieufnością.

- Kto to?

Nie tylko oczy odziedziczył po matce, pomyślał Jared; również złe maniery.

- Jestem Jared MacKade, wasz sąsiad.

- Brat Shane'a? - Chłopiec wszedł do kuchni i jednym haustem opróżnił szklanekę lemoniady. - Shane jest fajny - poinformował matkę. - Właśnie stamtąd wracamy, Connor i ja. Z farmy MacKade'ów. Ich wielka ruda kocica miała małe.

- Co, znów? - zdziwił się Jared. - Tym razem osobiście zawiozę ją do weterynarza i każę wysterylizować. - Zerknął na chłopca. - Twój kolega to Connor Dolin?

- Tak. Bo co?

- Nic. Jego mama to moja stara kumpela.

Savannah położyła rękę na ramieniu syna.

- Bryan, leć się umyć, a ja zacznę szykować kolację.

- Dobra.

- Miło było cię poznać, Bryan.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko, po czym wybiegł z kuchni.

- Jest bardzo do pani podobny.

- To prawda. - Głośny tupot nóg na schodach sprawił, że kobieta wzniosła oczy do nieba. - Zastanawiam się nad zainstalowaniem jakiejś izolacji akustycznej.

- A ja próbuję sobie wyobrazić Bryana bawiącego się z Connorem.

W jej oczach pojawiły się iskry gniewu.

- Coś się panu nie podoba?

- Jeden to żywe srebro, a drugi jest cichy i nieśmiały. Dzieci tak pełne temperamentu jak Bryan rzadko zaprzyjaźniają się z tymi cichymi.

- Polubili się. - Gniew wyparował jej z twarzy. - Bryan nie miał dotąd okazji nawiązać prawdziwej przyjaźni. Ciągłe byliśmy w ruchu. Teraz to się zmieniło.

- Można spytać, dlaczego zdecydowała się pani tu osiaść?

- Stwierdziłam, że... - urwała. - Dobra, dobra, usiłuje mnie pan zmiękczyć, żeby pozbyć się problemu ze spadkiem. Nic z tego. - Otworzywszy lodówkę, wyjęła paczkę kurzych piersi.

- Siedem tysięcy piechotą nie chodzi. Jeśli pani je mądrze ulokuje, może starczy na opłacenie Bryanowi studiów.

- Jeśli Bryan zechce studiować, sama opłacę mu studia.

- Proszę mi wierzyć, wiem, co to jest upór i duma. Błagam, niech się pani nimi nie kieruje.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Gdzie się pan uchował, panie MacKade? W dzisiejszych czasach nie spotyka się ludzi tak cierpliwych i szlachetnych.

Jego uśmiech niemal ją oślepił. Zamrugła.

- Rzadko bywa pani w miasteczku, prawda? Tam usłyszałaby pani całkiem inną opinię na mój temat. Swoją drogą niech pani kiedyś spyta mamę Connora o MacKade'ów. Zostawię pani te papiery. - Ponownie wsunął na nos okulary. - Proszę sobie wszystko przemyśleć i zadzwonić do mnie. Znajdzie pani mój numer w książce telefonicznej.

Po chwili silnik zawarczał i samochód odjechał. Savannah stała zamyślona. Słyszając kroki syna na schodach, zgarnęła pozostawione przez Jareda dokumenty i schowała do szuflady.

- Po co tu był? - spytał chłopiec. - Dlaczego miał na sobie garnitur?

- Wielu mężczyzn nosi garnitury. - Czasem na pytania syna udzielała wymijających odpowiedzi, ale nigdy go nie okłamywała. - Nie szukaj niczego w lodówce, Bry. Już robię kolację.

- Ale ja jestem głodny. Nie wytrzymam do kolacji.

Savannah rzuciła synowi jabłko.

- Shane pozwolił mnie i Connorowi, żebyśmy jutro po szkole zajrzeli do kociaków. Fajna jest ta farma, mamó. Powinnaś ją zobaczyć.

- Widziałam w życiu kilka farm.

- Ale nie tę. Shane ma również dwa psy, Freda i Ethel.

- Freda i... - Roześmiała się.

- A ze strychu w stodole widać miasto. I wiesz, co Connor mówi? Że na tych polach za domem toczyła się jedna z najważniejszych bitew wojny secesyjnej. Pewnie wszędzie wkoło leżą trupy.

- Fascynujące.

Chłopiec wbił zęby w jabłko.

- Pomyślałem sobie, że może chciałabyś zobaczyć kociaki.

- Tak sobie pomyślałeś?

- Tak. Bo pewnie za jakiś czas Shane będzie szukał dla nich domów. I może byś chciała wziąć jednego.

Włożyła kawałki kurczaka do rondla.

- Wziąć jednego?

- Do towarzystwa. Żebyś nie czuła się samotna, kiedy jestem w szkole. - Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Hm. - Pełna podziwu dla zaradności syna, pokręciła głową. - Ale z ciebie spryciarz, Bry.

Liczył na taką reakcję.

- To co? Możemy wziąć kotka?

Gdyby mogła, dałaby mu cały świat, a nie tylko jedno małe puchate stworzenie.

- Jasne. Ale... - Nie dokończyła, bo z dzikiem okrzykiem radości rzucił się jej na szyję.

Huśtając się na ganku, Savannah wpatrywała się w las. Kolacja była zjedzona, talerze umyte, lekcje odrobione, dziecko - z ukochaną bejsbolówką - położone do łóżka.

Lubiła obserwować, jak słońce zniża się ku zachodowi, jak zapalają się gwiazdy, a niebo przybiera coraz ciemniejszy odcień granatu. Czasem w ciszy słyszała pohukiwanie sowy, czasem dochodzące z pobliskiej farmy muczenie krów, a czasem, zwłaszcza po deszczu, szemranie strumyka.

Nie mogła się doczekać robaczek świętojańskich. Powinny spodobać się Bryanowi. Chciała, żeby jej syn miał szczęśliwe, beztroskie dzieciństwo: żeby w letnie wieczory ganiał za świetlikami, tulił do piersi ukochanego kotka, nawiązywał przyjaźnie; żeby cudowne wspomnienia towarzyszyły mu przez całe życie.

Żeby miał dzieciństwo, jakiego ona była pozbawiona.

Ponownie wprawiła huśtawkę w ruch. Rozkoszowała się panującą wokół ciszą.

Dziesięć lat trwało, zanim w końcu trafiła tu, na ten ganek, do tego domu. Niczego nie żałowała: ani poświęcenia, ani bólu, ani strachu. Nie żałowała, bo nagrodą za poniesiony trud był jej fantastyczny syn, którego kochała nad życie.

Pokonała przeciwności losu. Dzięki własnej pracy i wytrwałości osiągnęła wymarzony spokój.

Jim Morningstar, mężczyzna niestroniący od alkoholu i uciech... Jak śmiał ofiarować jej pieniądze, skoro nie dał miłości?

A teraz... teraz nie żył. Powinna wylać kilka łez. Powinna być wdzięczna, że przed śmiercią przypomniał sobie o niej i o wnuku, którego nigdy nie widział. Że postanowił wynagrodzić jej krzywdy i upokorzenie paroma tysiącami dolarów.

Do diabła z ojcem, pomyślała. Znużona przymknęła oczy. Nawet za osiem milionów nie byłaby w stanie zapomnieć i wybaczyć. I żaden przystojny, złotousty prawnik w eleganckim garniturze nie zdoła sprawić, by zmieniła zdanie.

Do diabła z Jaredem MacKade'em. Nie miał prawa pojawiać się bez zaproszenia, stać w jej kuchni, popijać lemoniadę, uśmiechać się do Bryana i gadać o jego studiach. Nie miał prawa patrzeć na nią tymi swoimi zielonymi oczami i budzić w niej uśpione żądze.

Było tyle przyjemnych rzeczy, o których wolałaby dumać w ten piękny wiosenny wieczór. Naprawdę nie chciała zastanawiać się nad tym, ile czasu minęło, odkąd kochała się z mężczyzną... Psiakość, dlaczego Jared MacKade zajechał pod jej dom i zburzył spokój, którego tak pragnęła?

Podczas jednej krótkiej wizyty uzmysłowił jej dwie prawdy: że Jim Morningstar nie żyje i że w niej wciąż buzuje hormony.

Cóż, obu tym faktom musi stawić czoło. Prędzej czy później Jared znów się pojawi. Spotkanie jest nieuniknione. Należy więc

podjąć świadomą decyzję i porozmawiać z synem, poinformować go o śmierci dziadka, a także o testamencie.

Ale dopiero jutro. Dziś nie chciała o niczym myśleć, niczym się martwić, niczego rozważać.

Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że drży na całym ciele, a policzki ma mokre od łez. Podkurczyła nogi i skuliwszy się, przycisnęła twarz do kolan.

- Och, tatusiu...

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Jared nie miał nic przeciwko pracy na farmie. Nie chciałby zajmować się tylko tym, ale kiedy czas mu pozwalał, chętnie zakasywał rękawy i brał się do roboty. Lubił pomagać bratu, zwłaszcza odkąd zamieszkał z Shane'em. Praca na farmie była czymś, co się miało we krwi, coś, czego się nie zapominało. Dojenie, karmienie zwierząt, orka...

Spocony, w podniszczonym podkoszulku i spłowiałych dżinsach, rzucał bydłu siano. Wielkie czarno-białe krowy tłoczyły się przy żłobie. Ich zapach kojarzył mu się z dzieciństwem i z ojcem.

Buck MacKade troszczył się o bydło i nauczył tego swoich czterech synów. Kochał życie na farmie; farma była dla niego wszystkim, tak jak dla Shane'a. Ciekawe, pomyślał Jared, co ojciec by powiedział na wieść o tym, że jego najstarszy syn został prawnikiem.

Pewnie czułby się onieśmielony eleganckimi garniturami, skórzaną teczką, biurkiem pełnym ważnych dokumentów. Ale - Jared gorąco w to wierzył - chyba byłby z niego dumny.

Dorzucił siana. Po tygodniu spędzonym w sądach miło było dla odmiany popracować fizycznie. Nieopodał Shane, pogwizdując wesoło, zaganiał bydło. Wyglądał identycznie jak Buck MacKade: zakurzone dżinsy, stara, rozpięta koszula, twarde, umięśnione ciało, na głowie czapka z daszkiem, przydługie włosy, które należało przystrzyc.

- Jak ci się podoba nowa sąsiadka?

- Kto?
- Nowa sąsiadka - powtórzył Jared, wskazując kciukiem w stronę lasu.
- Chodzi ci o boginię? - Przerwawszy pracę, Shane przycisnął rękę do serca.
- Na mnie też wywarła wrażenie - przyznał rozbawiony Jared.
- Jest zbudowana jak... po prostu brak mi słów. - Shane poklepał czule krowę po zadzie. - Widziałem ją tylko raz, kiedy robiła z dzieciakiem zakupy. Rozmawialiśmy minutę, może dwie, a potem przez godzinę serce waliło mi młotem.
- Co o niej myślisz?
- Hm... - Shane rozwiązał belę i rozrzucił siano.
- Myślę, że potrafi sama radzić sobie w życiu i nie szuka towarzystwa. No i ma doskonale relacje z synem.
- Zauważyłem.
- Kiedy?
- Byłem u niej dwa dni temu. Służbowo.
- Tak? I co?
- I nic. - Jared ściągnął kolejną belę siana.
- A miejscowe plotkarki co mówią?
- Niewiele. Podobno była w okolicy i przypadkiem zobaczyła w gazecie ogłoszenie o sprzedaży domku pod lasem. Przyjechała, kupiła domek, dzieciaka zapisała do szkoły, a sama nie udziela się towarzysko. Biedna pani Metz dostaje szału.

- Nie wątpię. Skoro największa pleciuga w miasteczku nic nie wie o nowej mieszkance Antietam, to nikt nie wie.

- Jako jej prawnik może zdobędziesz jakieś informacje.

- Savannah Morningstar nie jest moją klientką - oznajmił Jared. - Podobno jej syn czasem tu wpada?

- Tak. Razem z Connorem.

- Dziwnie się dobrali.

- Może, ale świetnie się dogadują. Bry to naprawdę bystry dzieciak. W każdej sprawie ma własne zdanie, zadaje miliony pytań, potrafi wszystko logicznie uzasadnić. - Shane rzucił okiem na brata. - Kogoś mi przypomina.

- Tak?

- Ojciec zawsze powtarzał, że ty potrafisz przekonująco wygłosić dwa przeciwstawne poglądy. Bryan jest taki sam. W dodatku umie rozweselić Connora. A to się liczy.

- I to bardzo. Przy takim ojcu Connor rzadko miał okazję do śmiechu.

- Na szczęście Dolin siedzi za kratkami. Więcej nie będzie się znącał nad Cassie i dziećmi. Kiedy sfinalizuje się ich rozwód?

- Najdalej za sześćdziesiąt dni.

- To dobrze... Przytaszczysz ze stodoły jeszcze jedną bełę? A ja nakarmię świnię. - Skierował się do zagrody. Na jego widok zwierzęta zaczęły głośno chrumkać. - Chodźcie, chodźcie, moje maluszki. Zaraz dam wam papu.

- On zawsze do nich mówi - za plecami Shane'a rozległ się głos Bryana.

- Pewnie, że mówię. A one mi odpowiadają. - Obróciwszy się, Shane zobaczył, że chłopiec nie przyszedł sam.

Savannah, uśmiechnięta, z rozpuszczonymi włosami, w spranej dżinsowej kurtce, stała z ręką na ramieniu syna. Shane oparł się niebdale o ogrodzenie. Świnie mogły poczekać.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Podeszła bliżej i zajrzała do zagrody. -

Wyglądają, jakby były głodne.

- Świnie zawsze są głodne.

Oparła się łokciem o ogrodzenie. Była przyzwyczajona do widoku i zapachu zwierząt.

- Zwłaszcza ta jedna jest dobrze odkarmiona.

- Niedługo będzie mieć małe. Niedługo muszę ją odseparować od reszty.

- Wiosna na farmie. A który to tatuś?

- Tamten, który chodzi z taką zadowoloną miną.

- Ignorując swą prośną partnerkę? Typowe.

- Kobieta odgarnęła z twarzy włosy. - Panie MacKade...

- Shane. Proszę mi mówić po imieniu.

- A ja jestem Savannah. - Uśmiechnęła się.

- A więc, Shane, podobno masz do oddania kociaki?

- Co, czyżbyś namówił mamę? - Shane zerknął na chłopca.

Udając niewiniątko, Bryan wzruszył ramionami.

- Mamie przyda się towarzystwo, kiedy jestem w szkole.
- Sprytnie. Kociaki są w stodołę. Zaprowadzę cię.
- Nie trzeba - zaprotestowała Savannah. - Nie chcę przeszkadzać ci w pracy. Świnie czekają, a Bryan na pewno trafi do kociąt.

- Jasne, że trafię. Chodź, mamó. - Chłopiec pociągnął ją za rękę.
- Te kotki są super. Zresztą wszystkie tutejsze zwierzaki są fajne.

Ruszyła z synem w stronę stodoły, z której właśnie wyłonił się Jared z wielką belą siana przerzuconą przez ramię. Tak, pomyślała, wszystkie tutejsze zwierzaki są fajne.

Nie odrywając oczu od jej twarzy, przystanął i cisnął belę na ziemię. Zdała sobie sprawę, że garnitur wprowadził ją w błąd. Jared MacKade nie był eleganckim panem mecenasem. Był wspaniale zbudowanym mężczyzną z krwi i kości.

- Panie MacKade... - Savannah skinęła na powitanie głową.
- Pani Morningstar... - przywitał się równie neutralnym tonem. -
Cześć, Bryan.

- Nie wiedziałem, że pan tu pracuje - rzekł chłopiec.
- Czasem pomagam bratu.
- Dlaczego u nas był pan w garniturze? Shane nigdy nie nosi garniturów.

- Muszę go kiedyś tak ubrać, gdy będzie spał. Ciekawe, jak zareaguje?

Chłopiec roześmiał się wesoło.

- Rety, zgubiłeś ząb?

- Dziś rano - oznajmił z dumą Bryan, wysuwając język przez szparę. - Nieźle się teraz pluje.

- Wygrałem lokalne mistrzostwa w pluciu. Trzy metry i dziesięć centymetrów. W bezwietrzną pogodę.

Wynik Jareda zrobił na chłopcu wrażenie. Mały skupił się i po chwili strzyknął śliną. Jared z uznaniem pokiwał głową.

- Brawo.

- Potrafię jeszcze dalej.

- Nikt nie wątpi, że jesteś najlepszy w swojej kategorii wiekowej, Bry - stwierdziła z lekką ironią jego matka. - Ale pan MacKade pracuje, a my przyszliśmy obejrzeć kociaki.

- Są zaraz za drzwiami.

Chłopiec ruszył pędem do stodoły, a Savannah za nim, znacznie wolniejszym krokiem.

- Trzy metry? - spytała, zerkając za siebie.

- I dziesięć centymetrów.

- Zdziwiał mnie pan, panie MacKade.

Szła, kołysząc zmysłowo biodrami. Nie tracąc czasu, Jared odbył sam z sobą męską rozmowę i pośpiesznie ruszył do stodoły.

- Prawda, jakie śliczne? - Bryan kucnął na sianie obok śpiących maluchów i ich znudzonej mamy. - Jeszcze przez kilka tygodni muszą tu mieszkać... - Delikatnie, opuszką palca, pogładził puszysty, szary łebek. - Ale potem możemy któregoś zabrać do siebie.

Nawet nie sądziła, że widok kociaków tak bardzo ją wzruszy.

- Jezu, jakie maleńkie... - Opadłszy na kolana, ostrożnie wzięła jedną miękką kulkę do ręki. - Zobacz, Bry, mieści mi się na dłoni. - Przysunęła twarz do kociej mordki. - Jaki ty jesteś słodki, jaki cudny...

- Mnie się ten podoba najbardziej - rzekł Bryan, głaszcząc szarego. - Nazwę go Cal. Na cześć Cala Ripkina.

Ruda kulka, którą Savannah trzymała w dłoni, poruszyła się i zamiauczała.

- No dobrze. - Savannah ustąpiła synowi. - Weźmiemy szarego.

- Możecie wziąć oba - zaproponował Jared, widząc rozterkę na twarzy kobiety. - Razem będzie im różniej.

- Oba? - ucieszył się chłopiec. - Mamusiu, słyszałaś? Razem będzie im różniej.

- Ależ, Bry...

- Przecież taki maluch nie zajmuje dużo miejsca. Zresztą teraz mamy mnóstwo pokoi. A Calowi przyda się towarzystwo.

- Dzięki, MacKade - mruknęła Savannah.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- W ten sposób - ciągnął Bryan, spostrzegłszy, z jaką czułością matka wpatruje się w małego rudzielca - każde z nas będzie miało swojego kotka. - Poglądził kociaka, którego Savannah trzymała. - Lubi cię. Widzisz? Liże twoją rękę.

- Bo jest głodny... - Savannah westchnęła. Wiedziała, że nie zdoła się oprzeć. - Hm, może rzeczywiście będzie im różniej we dwójkę?

Bryan poderwał się z klęczek i nie okazując najmniejszego zawstydzenia tak typowego dla dziewięciolatków, zarzucił matce ręce na szyję i entuzjastycznie pocałował ją w policzek.

- Powiem Shane'owi, które są nasze! - Po chwili znikł.

- Kusił panią ten rudy - zagadnął Jared.

- Owszem. Ale mam świadomość, że nie zawsze można mieć to, czego się pragnie. - Odłożyła kotka, żeby mógł ssać matkę. - No cóż, dwa pewnie nie są bardziej kłopotliwe niż jeden.

Jared pomógł jej wstać. Wyszli na powietrze.

- To kim pan jest? Farmerem, który dorabia jako prawnik, czy prawnikiem, który dorabia jako farmer?

- Ostatnio jednym i drugim. Przez kilka lat mieszkałem w Hagerstown. - Przyśpieszył, żeby dotrzymać jej kroku. - Ze trzy miesiące temu przeprowadziłem się na wieś, ale wciąż miałem sporo spraw do załatwienia w mieście, więc Shane z Devinem musieli sobie radzić sami.

- Z Devinem? - Przystanąła w słońcu; grzało coraz silniej. - Ach, tak. To nasz szeryf. Bryan wspominał, że też tu mieszka.

- Mieszkać to mieszka u siebie w gabinecie - sprostował Jared. - A tu czasem nocuje.

- Mój Boże! To w miasteczku, w którym są dwie ulice na krzyż, jest aż tyle przestępstw?

- Devin poważnie traktuje swoje obowiązki.

- Ponad jej ramieniem Jared dojrzał Bryana, który, podskakując wesoło, pomagał Shane'owi zagonić krowy na pastwisko. -

Przemyślała pani sprawę spadku?

- Owszem, przemyślałam. Ale zanim podejmę ostateczną decyzję, muszę porozmawiać z synem.

- Spostrzegłszy zdziwienie malujące się na twarzy mężczyzny, dodała: - Stanowimy zespół, panie MacKade. Mamy równe prawa. Ale dziś po południu Bryan rozgrywa mecz, więc nie chcę go rozpraszać. Najdalej w poniedziałek dam panu odpowiedź.

- Doskonale.

Nagle zobaczyła, jak Jared posyła bratu ostrzegawcze spojrzenie.

- Niech no zgadnę. Pana brat znów gapi się na mój tyłek?

- Skąd pani wie? - spytał zaintrygowany.

Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Kobiety zawsze wiedzą takie rzeczy. Tylko czasem udają niewiniątka. - Obróciwszy się, mrugnęła porozumiewawczo do Shane'a. - Hej, Bryan, wracamy do domu. Przed meczem masz kilka rzeczy do zrobienia.

Wędrując z synem przez las, słuchała, jak chłopiec paple o kotach, meczu, zwierzętach na farmie MacKade'ów. Buzia mu się nie zamykała.

Jest szczęśliwy, pomyślała. Wie, że nikt mu nie wyrządzi krzywdy. Poczowała się dumna: dobrze wychowała syna. Sama jedna, bez niczyjej pomocy.

- Ruszaj przodem, Bry. Zrób, co masz zrobić, a potem się przebierz. Ja sobie tu posiedzę.

- Często tu siadujesz - stwierdził.

- Tak. Lubię to miejsce. Przyjrzał się jej uważnie.

- Mamusiu? Naprawdę tu zostaniemy? Na zawsze?

Pocałowała syna w czoło.

- Tak, kochanie. Na zawsze - przyrzekła i w nagrodę otrzymała promienny uśmiech.

Zostawszy sama, usiadła na leżącej przy ścieżce kłodzie i zamknęła oczy.

Dziesiątki myśli i wspomnień cisnęły się jej do głowy, ale odpędzała je. Koncentrowała się na ciszy, na spokoju.

Nauczyła się tego w dzieciństwie, kiedy panujący dookoła chaos wydawał się jej nie do wytrzymania. Długie godziny w rozklekotanej furgonetce, śmierdzące padoki, podniesione głosy, ciągłe ssanie w żołądku, płacz dzieci, nieogrzewane pomieszczenia. Łatwiej było to wszystko znieść, kiedy mogła na chwilę się wyłączyć, uciec w nicość.

Później wracała do życia z nową energią i siłą.

Jared obserwował ją zafascynowany. Mityczne stworzenie, przemknęło mu przez myśl. Siedziała nieruchomo, z malującym się na twarzy wyrazem błogiego spokoju. Nie zdziwiłby się, gdyby na jej ramieniu przysiadł motyl lub barwny ptak.

Zawsze uważał ten las za swój własny, prywatny teren. Ale obecność Savannah wcale mu nie przeszkadzała. Tak jakby wiedział, że ją tu zastanie.

Bał się zamrużyć. Bał się, że w tym ułamku sekundy Savannah może zniknąć; że już jej nie odnajdzie.

Uniosła powieki i popatrzyła mu prosto w oczy.

Przez moment żadne się nie odzywało. Była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni się na nią gapią. Gapili się, nawet kiedy była dzieckiem. Różnie reagowała: irytacją, rozbawieniem, zainteresowaniem. Ale nigdy dotąd spojrzenie mężczyzny nie odjęło jej mowy.

Jared wykonał krok, ponownie wprawiając świat w ruch.

- Nie cierpię mówić oczywistości... - Usiadł koło niej na kłodzie. Dlatego, że chciał. I dlatego, że kolana miał jak z waty. - Ale pani uroda zapiera dech w piersi.

Savannah przechyliła głowę.

- Nie powinien pan orać teraz jakiegoś poletka?

- Shane nie lubi pożyczać traktora. A pani nie powinna szykować się na mecz syna?

- Mam jeszcze dwie godziny. - Wzięła głęboki oddech. - To które z nas wtargnęło na teren drugiego? Do kogo należy ten skrawek lasu?

Jared wyjął z kieszeni cygaretkę i zapalki.

- Do mojego brata.

- Myślałam, że farma jest waszą wspólną własnością.

- Farma owszem. - Wypuścił z ust kłęby dymu. - Ale ten kawałek lasu należy do Rafe'a.

- Do Rafe'a? To znaczy, że MacKade'ów jest jeszcze więcej?

- Czterech. - Starał się nie okazać zdziwienia, kiedy zabrała mu cygaretkę i zaciągnęła się.

- Czterech MacKade'ów? No, no. Aż strach pomyśleć, co się działo, kiedy w czwórkę przyjeżdżaliście do miasteczka. I co, żadnej dziewczynie nie udało się was usidlić?

- Rafe ma żonę. A ja jestem rozwiedziony. Oddała mu cygaretkę.

- I znów mieszka pan na farmie...

- Niewiele brakowało, a mieszkałbym w pani domu.

- Tak?

- Tak. Swój wystawiłem na sprzedaż. Szukam czegoś w okolicy. Miałem nadzieję, że uda mi się kupić domek, w którym pani mieszka, ale się spóźniłem.

- Podniósł patyk i zaczął rysować na ziemi. - Tu jest farma, tu dom Rafe'a, a tu pani.

- Hm... Całe wzgórze należałoby do MacKade'ów. Przegapił pan swoją szansę, mecenasie MacKade.

- Na to wygląda, pani Morningstar.

- Savannah. Skoro jesteśmy sąsiadami, mówmy sobie po imieniu. - Zabrawszy Jaredowi patyk, wskazała nim wierzchołek narysowanego na ziemi trójkąta.

- To ten dom na szczycie wzgórza, który widać z szosy?

- Zgadza się. Dawna posiadłość Barlowów.

- Tam straszy.

- Słyszałaś te wszystkie historyjki?

- Historyjki? - W jej oczach pojawił się błysk zainteresowania. -
Nie.

- Więc dlaczego powiedziałaś, że tam straszy?

- Po prostu to czuję. Tu, w tym lesie, też wyczuwam... hm, jakby pewien niepokój. - Uśmiechnęła się. - Płynie we mnie indiańska krew. Krew Apaczów. Mój ojciec twierdził, że jest stuprocentowym Indianinem, ale... - urwała i odwróciła wzrok.

- Ale...

- Był mieszancem. Oprócz indiańskiej w jego żyłach płynęła również krew włoska, meksykańska, trochę francuskiej.

- A twoja mama?

- Pochodziła z rodziny anglo-meksykańskiej. Występowała na rodeo, była mistrzynią w wyścigu wokół beczek. Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy miałam pięć lat. Słabo ją pamiętam.

- Moi starzy też nie żyją. - Podsunął jej cygaretkę. - Trudno pogodzić się ze śmiercią rodziców.

Savannah zaciągnęła się dymem.

- Może. Ale ja ojca straciłam dziesięć lat temu, kiedy wykopał mnie z domu. Miałam szesnaście lat i byłam w ciąży.

- Ojej, przykro mi.

- Jakoś sobie poradziłam. - Nie wiedziała, dlaczego opowiada mu o sobie. Może dlatego, że wokół panowała niczym niezmacona cisza, a Jared umiał słuchać? - Ostatnie dwa dni więcej myślałam o ojcu niż przez całe lata. Boże, Jared, nie wyobrażasz sobie, co dziesięć lat temu, ba, nawet pięć, znaczyłoby dla mnie osiem tysięcy dolarów.

- Wzruszywszy ramionami, odgarnęła z twarzy włosy. - Bywały takie chwile w moim życiu, że nawet osiem dolarów... Mniejsza z tym.

Impulsywnie uściskała jej dłoń.

- Jesteś bardzo dzielną kobietą...

Popatrzyła na ich złożone ręce, po czym wolno wysunęła swoją i dźwignęła się na nogi.

- W każdym razie sprawę spadku muszę przedyskutować z Bryanem.

- ...i wspaniale wychowałeś syna. Uśmiechnęła się.

- Razem się wychowywaliśmy. Ale dziękuję za miłe słowa.

Zadzwoń.

- Savannah... - Zastąpił jej drogę. - W Antietam mieszkają dobrzy ludzie. Tu nikt nie musi być samotny, chyba że mu na tym bardzo zależy.

- W porządku, mecenasie. Wszystko sobie przemyślę. I wkrótce się odezwę.

Od lat nie był na meczu Małej Ligi. Kiedy dojechał na miejsce i rozejrzał się dookoła, wchłaniając dźwięki, obrazy, atmosferę, nie mógł się sobie nadziwić. Widzów było mnóstwo. Dzieciaki, które przyszły kibicować kolegom, ganiały się za ogrodzeniem, pod trybunami. Właściciele stoisk oferujących hot-dogi, lody i napoje uwijali się jak w ukropie.

Jared zaparkował samochód na wyboistym poboczu i ruszył po trawie w stronę boiska. Szukał wzrokiem Savannah, zamiast niej dojrzał Connora Dolina.

Chudy, jasnowłosy chłopiec stał w kolejce do stoiska z jedzeniem i patrzył w ziemię. Dwóch większych wyrostków dokuczało mu.

- Hej, kujonie. Jak tam twój stary? Lubi życie za kratkami?

Popychali go, szturchali. Connor nie reagował. Stojąca przed nimi kobieta odwróciła się i pogroziła im palcem, ale to nie odniosło skutku.

- Co, dupku, nosisz mu do pierdła ciasteczka? Pewnie taki maminsynek piecze pyszne ciasteczka, nie?

- Cześć, Connor. - Uśmiechnąwszy się do chłopca, Jared obrzucił jego prześladowców takim spojrzeniem, że ci natychmiast się rozpierzchli. - Jak leci?

- W porządku - odparł Connor, czerwony z upokorzenia. - Mam kupić hot-dogi i colę.

Jared pokiwał głową. Wiedział, że nie powinien wspominać o tym, czego przed chwilą był świadkiem.

- A w meczu nie bierzesz udziału? Dlaczego?

- Kiepski ze mnie gracz - stwierdził rzeczowo chłopiec. Zbyt często słyszał, że jest do niczego, by poddawać to w wątpliwość. - Ale Bryan gra. Bryan Morningstar. To najlepszy zawodnik w drużynie.

- Serio? - Widząc błysk ożywienia w szarych oczach chłopca, Jared chciał pstryknąć w daszek jego czapki. Reakcja Connora - instynktownie cofnięcie głowy - uświadomiła mu, ile w życiu przeszło to dziewięcioletnie dziecko. - Chętnie na niego popatrzę -

kontynuował mężczyzna, jakby niczego nie zauważył. - Na jakiej gra pozycji?

Wstydząc się własnego tchórzostwa, Connor ponownie wbił wzrok w ziemię.

- Łącznika.

- Nie gadaj! Ja też kiedyś grałem na pozycji łącznika.

- Naprawdę? - Chłopiec wytrzeszczył oczy.

- Tak. Devin był trzeciobazowym, a...

- Szeryf MacKade grał w bejsbola? - Zdumienie ustąpiło miejsca zachwytowi. Connor uwielbiał szeryfa. - Pewnie był dobry?

- Całkiem niezły - przyznał Jared. Do dziś nic mógł przeboleć, że mając Devina za przeciwnika, nie udawało mu się wykonać pełnego obiegu. - Ile chcesz hot-dogów?

- Dwa. Ale ja mam pieniądze - odparł Connor, pokazując wymięte banknoty. - Mama mi dała. I pani Morningstar. Jej też mam kupić. Z musztardą.

- Dziś ja funduję. - Jared pokazał sprzedawcy trzy palce. Podał chłopcu pierwszego hot-doga i patrzył, jak ten ostrożnie podsuwa go pod kranik z musztardą. - Mama i siostra też tu są?

- Nie, proszę pana. Mama jest w pracy, a Emma razem z nią. Ale pozwoliła mi przyjść na mecz.

Jared poprosił o napoje i zapakował wszystko do pudełka.

- Dasz radę to nieść?

Ruszyli w stronę trybun. Chłopiec, przejęty odpowiedzialnym zadaniem, niósł pudełko z taką miną, jakby hot-dogi były laskami dynamitu, a napoje płonąca pochodnią.

- Mamy miejsca na samej górze. Pani Morningstar mówi, że stamtąd najlepiej widać.

Jared odnalazł ją wzrokiem. Siedziała z łokciami wspartymi o kolana, a brodą podpartą na dłoni, i patrzyła - jak się domyślał, bo oczy miała przysłonięte ciemnymi okularami - na boisko.

Źle się domyślał, bo patrzyła na niego. Obserwowała, jak idzie koło chłopca, od czasu do czasu witając się z kimś skinieniem głowy lub uśmiechem. Nie uszło jej uwadze, jak na widok Jareda kilka kobiet, i to w różnym wieku, wypina pierś do przodu albo dyskretnie poprawia fryzurę.

Działa na kobiety, przemknęło jej przez myśl. Sprawia, że stajemy się bardziej świadome własnej fizyczności. To muszą być feromony, uznała po chwili. Sygnał seksualności.

Zabrała leżącą na ławie kurtkę Connora i przesunęła się na bok, żeby zrobić Jaredowi miejsce.

- Świetna pogoda na mecz. - Usiadł obok niej, a koło niego usiadł Connor. - Ciasno.

- Trochę. - Wyjęła z pudełka hot-doga. - Dzięki, Con.

- Pan MacKade zapłacił - wyjaśnił chłopiec, oddając jej pieniądze.

Chciała powiedzieć, żeby je zatrzymał, ale wiedziała, że duma mu nie pozwoli.

- Jak wynik? - spytał Jared.

- Przegrywamy jednym punktem. Rozpoczyna się trzecia zmiana. - Savannah odgryzła kawałek bułki.

- Wkrótce wejdzie Bryan. - Connor przełknął duży kęs i dodał: - Ma najlepsze wyniki w całym zespole.

Wyszedł zawodnik w pomarańczowym stroju. Stroje drużyny sponsorowała kawiarnia Edwiny Crump.

- Poznałaś już Ed? - spytał Jared.

- Właścicielkę kawiarni, w której pracuje Cassandra? Jeszcze nie.

- Dobrze, że nie kazała chłopcom grać w różowych strojach.

Savannah chciała coś odpowiedzieć, ale słysząc uderzenie kija, wydała głośny okrzyk radości. Tłum zaczął kibicować. Zawodnik cisnął kij na ziemię i ruszył pędem do pierwszej bazy.

Drugie odbicie się nie powiodło. Ktoś z publiczności rzucił wiązanek w stronę sędziego, na trybunach wywiązało się kilka ostrych dyskusji.

- Ludzie nadal poważnie traktują rozgrywki Małej Ligi - zauważył Jared.

- Bo bejsbol to poważna sprawa.

Nagle na boisku pojawił się Bryan. Po trybunie przeszedł szmer.

- To młody Morningstar.

- Podobno świetnie odbija.

- Może. Ale dziś miotacz nikomu nie przepuści. Słyszając to, Savannah trąciła kolanem siedzącego przed nią faceta.

- Zobaczy pan, Bryan Morningstar sobie z nim poradzi.

Jared wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- O tak, bejsbol to poważna sprawa. Savannah zdusiła przekleństwo, kiedy jej syn zamachnął się i nie trafił pierwszej piłki.

- Założę się o dolara, że zdobędzie bazę domową.

- Życzę mu tego samego, ale... Dobra. MacKade'owie uwielbiają hazard.

Savannah wstrzymała oddech, podczas gdy Bryan wykonywał rutynowe czynności: lewą nogą kopnął ziemię, potem powtórzył to prawą, poprawił kask, zamachnął się kijem.

- Patrz na piłkę, Bry - szepnęła, kiedy ponownie zajął miejsce. - Patrz na piłkę.

Patrzył. Przeleciała obok i wpadła prosto w rękawicę łapacza.

- Przecież była za nisko! - oburzyła się Savannah. Siedzący przed nią mężczyzna obrócił się i pokiwał głową.

- Zdecydowanie za nisko. Sędzia Perkins ma wzrok jak moja babcia, która potrzebuje okularów, żeby widzieć własne myśli.

- Ktoś powinien wywalić szanownego Perkinsa na zbity.... - urwała, przypomniawszy sobie o obecności Connora, który wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. - Trzecia i ostatnia próba.

- Oby się udało - szepnął Jared.

Bryan zajął miejsce. Miotacz rzucił; tym razem piłka poszybowała wysoko nad wyciągniętymi do góry rękami obrońców i opadła daleko poza boiskiem.

Wraz z resztą tłumu Savannah poderwała się na nogi i kręcąc biodrami, odtńczyła taniec zwycięstwa.

Dopóki syn nie wykonał pełnego obiegu, cały czas mu głośno kibicowała.

- A nie mówiłam, że sobie poradzi? - podekscytowana spytała swojego nowego kumpla z niższego rzędu i dała mu buziaka.

Mężczyzna, ze trzydzieści lat od niej starszy, zarumienił się jak młokos.

- Mówiła pani, mówiła.

- Hm, nie należysz do tych skromnych i nieśmiałych - rzekł Jared, kiedy ponownie usiadła.

- Dobra, dobra, płać. - Nadstawiła rękę. Jared podał jej dolara.

- Tak przegrywać to ja lubię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niepotrzebnie się zgodziłam, pomyślała, siedząc naprzeciwko Jareda w Ed's Cafe i jedząc lody. Ale Bryan i Connor byli tak uradowani, kiedy Jared zaproponował po wielkim pucharze lodów, by uczcić zwycięstwo miejscowej drużyny, że nie miała serca im odmówić.

Przez chwilę z zaciekawieniem obserwowała relacje łączące Jareda z Cassandrą Dolin.

Matka Connora była śliczną, drobną blondynką o wielkich, smutnych oczach. Jared odnosił się do niej łagodnie, starał się ją rozweselić. Najwyraźniej lubił nieśmiałe, wrażliwe blondynki.

- Chodź, Cassie, zjedz z nami lody.

- Nie mogę. - Cassandra przystanąła na moment i pogłaskała po główce małą Emmę, która z przejęciem wylizywała miseczkę. - Mamy mnóstwo gości. Ale dziękuję, Jared; tymi lodami sprawiłeś dzieciakom frajdę.

- Chociaż spróbuj - rzekł, przysuwając jej do ust łyżkę.

Zarumieniwszy się, posłusznie jak dziecko otworzyła usta.

- Pyszne.

- Hamburgery odebrać! - krzyknęła Edwina.

- Już idę! - Cassie pośpieszyła w stronę lady.

Właścicielka kawiarni posłała Jaredowi kokieterijne spojrzenie. Fakt, iż była dwadzieścia lat od niego starsza, nie czynił jej ślepą na męską urodę.

- Hej, przystojniaku, za rzadko tu wpadasz. - Przyglądała szopę kręconych rudych włosów. - Kiedy zabierzesz mnie na tańce?

- Kiedy tylko zechcesz, księżniczko. Roześmiawszy się wesoło, Ed zakołysała swoimi kościstymi biodrami.

- Dziś w klubie gra jakiś supermodny zespół. Wystarczy, że skiniesz palcem, a jestem twoja. - Rechocząc pod nosem, oddaliła się do kuchni.

Savannah oparła łokcie o stół.

- Hm, widzę, że w miasteczku można zaszaleć.

- I to jak! - Jared uniósł brew. - Masz ochotę się wybrać?

- Chyba sobie odpuszczę, ale dzięki. Bry, nie tak szybko.

Chłopiec nabrał na łyżeczkę kolejną porcję lodów.

- Są pyszne. A twoje, Connor? - Postanowiwszy sprawdzić, zanurzył pustą łyżeczkę w pucharku Connora. - Truskawkowe też są niezłe, ale kajmakowe biją wszystkie na głowę.

Łakomym wzrokiem zerknął na lody małej Emmy.

- Bry, nie - ostrzegła go cicho matka i popatrzyła z aprobatą, jak pięcioletnia dziewczynka zaborczym ruchem zasłania swoją miseczkę.

- Słusznie, kochanie - pochwaliła ją. Może Emma była nieśmiałym dzieckiem, ale doskonale wiedziała, że nie musi się dzielić swoją własnością. - Na pewno sama sobie poradzisz z tymi lodami.

- Lubię lody. - Mała wygięła usta w uśmiechu.

- Ja też. - Savannah sięgnęła do swojej miseczki.

- A karmelowe są najlepsze, prawda?

- Karmelowe z bitą śmietaną. Pani Ed zawsze dużo jej daje. -
Emma włożyła łyżeczkę do pustego pucharku. - Teraz mogę iść do
Regan. Mamusia mi pozwoliła.

- Co to jest Regan? - spytał Bryan.

- Nie co, tylko kto. Przyjaciółka mojej mamy - wyjaśnił Connor.

- Ma sklep tuż obok, a w nim mnóstwo fajnych rzeczy.

- To chodźmy obejrzyć.

Zanim poderwał się do wyjścia, Savannah przytrzymała go za
łokieć. Natychmiast się zreflektował.

- Dziękuję za lody, panie MacKade. Chodź, Connor.

- Ja też dziękuję - powiedział Connor, zsuwając się z krzesła.

Popatrzywszy na siostrę, która ciągnęła go za rękę, zmarszczył brwi.

- I ja - przypomniała o sobie dziewczynka, nie puszczając ręki
brata.

- Mam nadzieję, że wam smakowały. Pozdrówcie ode mnie
Regan.

- Dobrze. Mamusiu! Idziemy do Regan - poinformował matkę
Connor.

- Tylko niczego nie dotykajcie - przykazała Cassie, która
obsługiwała sąsiedni stół. - I wróćcie tu, gdyby była zajęta.

Bryan pierwszy znikł za drzwiami, po nim Connor, którego
spowalniała młodsza siostra.

- Brawo, mecenasie. - Savannah wyciągnęła rękę na oparciu
siedzenia. - Zyskałeś sympatię dzieciarni.

- Ty też. Po raz pierwszy zdarzyło mi się słyszeć, żeby Emma wypowiedziała tyle słów naraz.

- Bidulka jest potwornie nieśmiała. Za to wygląda jak aniołek. Podobnie jak jej mama.

Dwa aniołki, które przeszły przez piekło, pomyślał Jared.

- Cassie sama się nimi zajmuje.

- Z dwójką dzieci na pewno nie jest jej łatwo. - Savannah spojrzała w bok, gdzie Cassie przecierała ściereczką blat stolika. - Jesteście blisko, to znaczy ty i ona?

- Znamy się niemal od urodzenia. Łączy nas przyjaźń. - Zadowolony, że Savannah wykazuje nim zainteresowanie, sięgnął po cygaretkę. -i sprawy zawodowe. Już choćby ten fakt wyklucza bardziej intymną zażyłość. To byłoby nieetyczne.

- A ty jesteś bardzo etycznym człowiekiem?

- Bardzo. - Na moment zamilkł. - Nawet nie wiem, czym się zajmujesz.

- Och, różne rzeczy robiłam w życiu... - Wyjęła mu z palców cygaretkę i zaciągnęła się. - W chwili obecnej pracuję jako ilustratorka. Głównie ilustruję książki dla dzieci. - Ze śmiechem oddała mu cygaretkę. - Co? To do mnie nie pasuje?

- Nie wiem. Musiałbym zobaczyć twoje ilustracje. - Podniósł wzrok i twarz mu się rozjaśniła. - Cześć, Dev.

Savannah obejrzała się przez ramię. Mężczyzna, który wszedł do kawiarni, był równie przystojny jak Jared, równie wysoki i świetnie zbudowany. Oczywiście też miał w podobnym zielonym kolorze, ale

bardziej ruchliwe. Przebiegł nimi po sali, rejestrując wszystko, co się dzieje.

Instynktownie spięła się, przybrała neutralny wyraz twarzy. I bez oznaki szeryfa, którą miał na piersi, potrafiłaby poznać, że jest stróżem prawa. Umiała wyczuć gliniarza na odległość.

- Zauważyłem twój samochód. - Posyłając Cassie przyjazny uśmiech, Devin wsunął się na siedzenie koło brata.

- Savannah Morningstar, Devin MacKade - przedstawił ich sobie Jared.

- Miło mi. - Co za laska, pomyślał Devin. Po chwili dostrzegł chłód w jej spojrzeniu. - To pani kupiła ten domek pod lasem? Domek starego doktora?

- Owszem, ja.

Miał wrażenie, że bije od niej mróz.

- Czyli ten chłopiec, Bryan, którego spotkałem na farmie, to pani syn?

- Zgadza się. Ma gdzie spać, co jeść, jest zdrowy i chodzi do szkoły. A teraz przepraszam. Pójdę sprawdzić, co robią dzieciaki.

Siarczysty mróz, pomyślał Devin, odprowadzając ją wzrokiem do drzwi.

- O rany. Co jej odbiło?

- Nie mam zielonego pojęcia - mruknął Jared. - Ale się dowiem.

- Wyciągnął kilka banknotów, które rzucił na stół.

- Wiesz, co mi się wydaje? - Devin wysunął się, żeby przepuścić brata. - Że twoja znajoma miewała problemy z prawem.

Cholera, cholera, cholera! Wyszedłszy na zewnątrz, Savannah próbowała odzyskać spokój. Była zła siebie; zachowała się jak kretyńka. Człowiek nigdy nie powinien tracić czujności, bo nie wiadomo, kiedy pojawi się zagrożenie.

Wepchnęła pięści w kieszenie spodni. Uświadomiła sobie, że nawet nie wie, jaki sklep prowadzi ta Regan, ani gdzie on się mieści. A chce znaleźć syna i wrócić do domu.

- Możesz mi wytłumaczyć, co cię ugryzło? - Dogoniwszy ją, Jared położył rękę na jej ramieniu.

Wzięła głęboki oddech i policzyła w myślach do trzech.

- Nic. Skończyłam jeść lody i wyszłam.

Ujął ją pod łokieć. Natychmiast strąciła jego dłoń.

- Nie dotykaj mnie, chyba że cię o to poproszę.

- Dobrze, przepraszam. - Zamilkł, starając się powściągnąć złość. - Dlaczego byłaś tak nieuprzejmie?

- Często bywam nieuprzejma - warknęła. - Zwłaszcza wobec gliniarzy. Nie lubię ich. Jeszcze bardziej od prawników. Nie mam ochoty zadawać się z przedstawicielem którejś z tych profesji. Dokąd poszły dzieci?

- Rozmawiało nam się całkiem sympatycznie.

- Rozmawiało. Czas przeszedł. Teraz możesz sobie porozmawiać z bratem o łamaniu prawa i przestrzeganiu porządku. - Dawne lęki wróciły; nie potrafiła się od nich uwolnić. - Jak chce, może sobie sprawdzić, czy nie figuruję w jakiejś kartotece. Zareczam, że nie. Pracuję legalnie, mam pieniądze w banku.

- No i bardzo dobrze. Dlaczego Devin miałby cię sprawdzać?

- Bo policjanci i prawnicy uwielbiają wściubiać nos w cudze sprawy. Też to robisz, odkąd parę dni temu zajechałeś pod mój dom. To, jak mieszkam i wychowuję syna, to wyłącznie mój interes. Więc wara ode mnie!

Kipiała z wściekłości. Próbując powściągnąć własny gniew, przyglądał się jej z zafascynowaniem.

- Ależ ja niczego od ciebie nie chcę. Proszę jedynie, żebyś raczyła mi wytłumaczyć, co cię ugryzło.

Nie była w stanie pojąć, jak on to robi. Jego oczy ciskały gromy, a jednak mówił spokojnie, w sposób opanowany i wyważony. Nienawidziła takich ludzi.

- Czy możesz mi powiedzieć, dokąd się udał mój syn?

- Do „Czasu Przeszłego”. To ten sklep z antykami, który przed chwilą minęłaś.

Kiedy chciała zawrócić, ponownie przytrzymał ją za łokieć.

- Prosiłam, żebyś mnie nie...

- Posłuchaj. Nie wparujesz tam jak ziejąca ogniem amazonka.

Ogień w jej oczach niemal go parzył.

- Zabierz łapy, zanim uszkodzę tę twoją śliczną buźkę.

W odpowiedzi zwiększył ucisk.

- Tam w środku jest dwójka maltretowanych dzieci - zaczął i nagle ze zdumieniem ujrzał, jak zmienia się wyraz jej twarzy: wściekłość ustąpiła miejsca zaskoczeniu, zaskoczenie ogromnemu współczuciu.

- Connor, Emma... powinnam była się domyśleć.
- Zerknęła za siebie w stronę kawiarni. -I Cassandra.
- Te dzieci widziały, jak ich ojciec bije matkę. W ich krótkim życiu zbyt wiele złego się wydarzyło. Jeżeli wpadniesz tam jak burza...

- Nie mam zwyczaju straszyć dzieci - warknęła.
- Cokolwiek wam, stróżom prawa, się wydaje, jestem dobrą matką. Bryanowi nigdy niczego nie brakowało. Kocham go...

Zacisnęła powieki; przez chwilę milczała, jakby z całej siły próbowała zapanować nad emocjami.

- Puść mój łokieć - poprosiła. - Chcę zabrać syna do domu.

Puścił. Cofnęła się parę kroków do sklepu Regan, stanęła przy drzwiach, wzięła jeszcze jeden głęboki oddech, po czym nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Z kawiarni wyłonił się Devin. Zatrzymawszy się przy Jaredzie, podrapał się po głowie.

- Ciekawe przedstawienie.

- Coś mi się zdaje, że to była dopiero uwertura.

- Jared wsunął rękę do kieszeni. - Dziwna z niej kobieta.

Skomplikowana.

- I piękna. Patrząc na nią, facet może zapomnieć, kim jest i jak się nazywa. - Devin uśmiechnął się do brata. - Ty jeszcze pamiętasz?

- Jak przez mgłę. Chyba trafnie zgadłeś, że miała problemy z prawem.

Devin zmrużył oczy. Był odpowiedzialny za porządek w miasteczku.

- Mógłbym to sprawdzić...

- Błagam, nie. Ona właśnie tego się spodziewa.

- Wolnym krokiem Jared skierował się w stronę swojego samochodu. - A ja mam ochotę ją zaskoczyć, postąpić wbrew jej oczekiwaniom.

- Jak sobie życzysz - mruknął Devin, patrząc, jak brat zajmuje miejsce za kierownicą. - Mogę nic nie robić.

Przynajmniej dopóki pani Morningstar znów nie wpakuje się w kłopoty, pomyślał. Ale tego nie powiedział na głos.

Bryan siedział odwrócony bokiem do matki i wpatrywał się w krajobraz za oknem. Nie rozumiał, dlaczego Connor nie może zostać u nich na noc. Była sobota, lekcje zaczynały się dopiero w poniedziałek, mieliby mnóstwo czasu na zabawę.

A tak, bez najlepszego kumpla, co ma sam robić w domu? Pewnie mama coś wymyśli, na przykład każe mu posprzątać pokój, a potem odrobić lekcje. Równie dobrze mógłby siedzieć za kratkami.

- Równie dobrze mógłbym siedzieć za kratkami - mruknął, spoglądając matce w oczy.

- Jasne. Myślisz, że tam grają w bejsbola i jedzą lody?

- Ale w domu będę się nudził - oznajmił chłopiec tonem rozkapryszonego dziewięciolatka.

- Nie martw się, znajdziemy ci coś do roboty - stwierdziła Savannah tonem sfrustrowanej rodzicielki. Słyszac samą siebie,

jękneła w duchu. - Nie gniewaj się, Bry. Dziś nie jest dobry dzień na zapraszanie Connora. Mam zbyt wiele spraw na głowie.

- Ale nie musiałyby u nas nocować. Ja mógłbym u niego. Jego mamie by to nie przeszkadzało.

Skreśliła w podjazd prowadzący do domu.

- Ale twojej przeszkadza. Koniec dyskusji. A skoro masz się nudzić, to wyrzuć śmieci... jeśli pamiętasz, prosiłam cię o to z samego rana, potem wyczyść tę czarną norę, którą nazywasz swoim pokojem, a jak skończysz, to poucz się matematyki, żebyś w wakacje nie wylądował na letnich kursach.

Wysiadł, jak tylko zatrzymała samochód, i znów mruknął coś pod nosem na temat więzienia, że tam byłoby mu lepiej niż w domu. Savannah poczuła, jak wszystko się w niej gotuje.

- Bryanie Morningstar!

Odwrócił się. Przez moment stali bez ruchu, z rumieńcami na twarzy, z furią w oczach.

- Psiakrew, dlaczego jesteś taki podobny do mnie? Gdybym się postarała, może mogłabym urodzić cichą, posłuszną dziewczynkę. Co mi strzeliło do głowy? Dlaczego uznałam, że od grzecznej dziewczynki wolę przemądrzałego, pyskatego chłopca?

Kąciki warg mu zadrgały.

- Bo jakbyś miała dziewczynkę, to sama musiałybyś wynosić śmieci. Dziewczynka jęczałaby, że śmieci są brudne i śmierdzą.

- No trudno, to bym je sama wynosiła. Może i tak wyniosę, tylko najpierw ciebie wsadzę do worka.

- Wyciągnęła rękę, żeby chwycić syna, ale on odskoczył ze śmiechem.

- Nie złapiesz mnie! Jesteś za stara.

- Tak myślisz?

Rzuciła się na nim biegiem. Czmychnął, nie dając się złapać. Stanął parę kroków dalej i chichotał, trzymając się na brzuch. Savannah wykorzystała własne doświadczenie i chwilę nieuwagi syna. Chwyciwszy go wpół, przewróciła się z nim na trawę.

- Ty paskudo, ty! I kto jest stary? No, kto?

- Ty... - zapiszczał, próbując uwolnić się od łaskoczących palców matki. - Masz prawie trzydzieści lat.

- Wcale nie! Odszczekaj. - Uwięziwszy w zgięciu łokcia głowę syna, potarła jego włosy. - No, Einsteinie, umiesz liczyć? Ile to jest: trzydzieści minus dwadzieścia sześć?

- Zero! To jest zero! - zawołał Bryan. Wreszcie, bojąc się, że ze śmiechu zsika się w spodnie, jeśli mama dalej go będzie łaskotać, postanowił się poddać.

- No dobrze. Cztery. Już nie łaskocz. Trzydzieści minus dwadzieścia sześć równa się cztery.

- Bardzo dobrze. I zapamiętaj to. Jak również, które z nas jest silniejsze. - Z taką siłą przytuliła syna do piersi, że na moment zabrakło mu tchu. - Kocham cię, misiaczku. Tak strasznie cię kocham.

- O rany, mamó. - Zawstydzony czułościami, usiłował się oswobodzić. - Przecież wiem.

- Przepraszam, że na ciebie burknęłam.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Ja też przepraszam.

- Connor zanocuje u nas w następny weekend, dobrze?

- Fajnie.

Zmarszczył czoło. Dlaczego mama wciąż go ściska? Przestał się wyrywać. Właściwie to mu nie przeszkadzało, byleby żaden z kolegów nie widział go w matczynych objęciach. Lecz tu nikogo nie było, natomiast mama ślicznie pachniała i miała taką jedwabistą skórę. Przypomniawszy sobie, jak przed laty kołysała go do snu, nucąc piosenkę.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Odkąd sięgał pamięcią, mama zawsze przy nim była. I będzie. Wiedział, że go nie opuści, że zawsze go pocieszy i wesprze. Położył głowę na jej ramieniu i przez chwilę siedzieli przytuleni.

- Możemy później upiec coś na grillu?

- Jasne. Masz ochotę na wielkiego, soczystego hamburgera?

- Tak! Z frytkami.

- Oczywiście, że z frytkami. Kto by jadł wielkiego, soczystego hamburgera bez frytek? - Na moment zamilkła, po czym, wzdychając cicho, spytała: - Bry, czy Connor mówił ci coś o swoim ojcu?

Poczuła, jak ciało dziecka lekko sztywnieje. Pocałowała syna w czubek głowy.

- To tajemnica, tak?

- Tak jakby.

- Nie chcę, żebyś zdradzał zaufanie swojego przyjaciela.

Dowiedziałam się dziś, że tatuś Connora nieraz bił jego mamę. I pomyślałam sobie, że jeśli Connor wspominał coś na ten temat, to może masz ochotę ze mną o tym pogadać.

Miał, wielką, i to od chwili, kiedy Connor zwierzył mu się. Ale podczas tej rozmowy Connor się rozplakał. Odwrócił wtedy oczy i udawał, że niczego nie widzi. Obowiązywała go jednak przyjacielska solidarność; o łzach Connora nie mógł przecież opowiadać mamie.

- Con mówił, że jego tata jest w więzieniu za pobicie mamy. Że to się często zdarzało. Jego tata sporo pił, a potem tłukł mamę, która chodziła cała posiniaczona. Teraz się rozwodzą.

- Rozumiem. - Znała wielu mężczyzn w typie Joego Dolina; nienawidziła ich. - A czy tata Connora kiedykolwiek podniósł rękę na niego lub Emmę?

- Emmy nigdy nie uderzył, ale Connora tak - wygadał się chłopiec, zanim zdążył ugryźć się w język. - Wyzywał go od najgorszych, szturchał, czasem mocniej trzepnął. Oczywiście tylko wtedy, gdy byli sami i nikt tego nie widział. Wymyślał mu od mięczaków i maminsynków tylko dlatego, że Con lubi czytać książki i pisać opowiadania... Connor nie jest żadnym mięczakiem.

- Jasne, że nie.

- Jest mądry. Prawie wcale nie musi się uczyć, żeby znać odpowiedź. W klasie rzadko podnosi rękę, nauczycielka sama wzywa go do tablicy. - Wpatrywał się w las; oczy mu pociemniały. - Niektóre

dzieciaki mu dokuczają. Że ma ojca w więzieniu, że jest kujonem, że nie umie rzucić piłki. Ale przy mnie milkną i dają mu spokój.

Zamknawszy oczy, przycisnęła policzek do głowy syna.

- Jesteś fajnym, dzielnym chłopakiem. Wiesz?

- E tam. Mamo... ci, którzy dokuczają Connorowi, ci jego gnębiciele... tak naprawdę to oni są mięczakami, prawda?

- Prawda. Obaj jesteście mądrzy, kochanie. I ty, i Con. - Savannah westchnęła. - Bryan, musimy porozmawiać. Pamiętasz, jak parę dni temu wróciłeś do domu i zastałeś tu pana MacKade'a?

- Tak.

- Pan MacKade jest prawnikiem. Odwiedził mnie służbowo.

- Mamy kłopoty?

- Nie, kochanie. - Usiadła tak, by patrzeć na twarz syna. - Nie mamy żadnych kłopotów. Pan MacKade przyszedł w sprawie... przyszedł poinformować mnie, że zmarł mój ojciec.

- Aha. - Chłopiec nie czuł nic, żadnego bólu czy żalu. Nie poznał dziadka; mama wyjaśniła mu, że Jim Morningstar występuje na rodeo i sporo podróżuje po Stanach. - Pewnie był już stary.

- Pewnie tak. - Zastanawiała się, ile ojciec miał lat. Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? - Bryan, dawno temu twój dziadek i ja pokłóciliśmy się. Wyjechałam wtedy z domu i zaczęłam samodzielne życie. - Czy mogła powiedzieć ukochanemu dziecku, że to ono było powodem awantury z ojcem? Nigdy. Tę informację zabierze z sobą do grobu. - W każdym razie straciliśmy kontakt.

- A skąd pan MacKade wie, że dziadek zmarł? Znali się?

- Nie, misiaczku. Po prostu... Dziadek miał wypadek. Kiedy leżał ranny w Oklahomie, zaczął dumać nad swoim życiem. Postanowił zatrudnić prawnika i zlecić mu, żeby nas odszukał. Trwało to dość długo. W końcu prawnik z Oklahomy zadzwonił do pana MacKade'a i poprosił, żeby poinformował mnie o śmierci twojego dziadka. A także o tym, że dziadek zostawił nam w spadku trochę pieniędzy.

- O rany!

- Około siedmiu tysięcy...

- Dolarów? - dokończył Bryan, wytrzeszczając szeroko oczy.

Dla niego była to wprost niewyobrażalna suma. Starczyłoby na nowy rower, nową rękawicę bejsbolową i kartę ze zdjęciem Cala Ripkina, o której od dawna marzył. - I możemy je zatrzymać?

- Musiałabym podpisać kilka dokumentów. Chłopiec na moment przestał myśleć o tym, co można kupić za siedem tysięcy dolarów, i przyjrzał się uważnie matce.

- Nie chcesz przyjąć tych pieniędzy, prawda? Dlaczego?

- Bo... - Podciągnęła kolana do brody i otoczyła je ramieniem. - Nie wiem, Bry, jak ci to wytłumaczyć. Przez te wszystkie lata byłam wściekła na twojego dziadka. A teraz jestem wściekła, że tak długo czekał, zanim postanowił nas odszukać.

Chłopiec zamyślił się, pogładził matkę po ramieniu.

- Czy to jest tak, że zostawiając nam pieniądze, dziadek chciał powiedzieć „przepraszam”? A jeśli je przyjmiesz, to będzie znaczyło, że mu wybaczasz?

Savannah pokręciła z podziwem głową. Dlaczego sama na to nie wpadła? Popatrzyła synowi głęboko w oczy.

- Uważasz, że powinniśmy je przyjąć?

- Pewnie nie musimy. - Oczami wyobraźni zobaczył, jak karta z podobizną Cala Ripkina się od niego oddala. - No bo pracujesz, zarabiasz, mamy gdzie mieszkać...

- Nie, nie musimy - powiedziała szeptem i poczuła, jak kamień spada jej z serca. To prawda, nie musieli, i właśnie dlatego mogli. - Wiesz co? W poniedziałek rano wybiorę się do pana MacKade'a, podpiszę dokumenty i poproszę go, żeby przelał pieniądze na moje konto.

- Super. - Bryan poderwał się na nogi. - Zadzwoń do Connora i powiem mu, że jesteśmy bogaci.

- Nie.

Zatrzymał się w pół kroku.

- Ale mammo...

- Nie, Bry. Nieładnie chwalić się pieniędzmi, to po pierwsze. A po drugie, wcale nie będziemy bogaci: całą sumę zamierzam ulokować na specjalnym koncie i przeznaczyć na opłacenie twoich studiów.

Bryanowi szczeka opadła ze zdziwienia.

- Moich studiów? Ale, mammo, na studia to ja pójdę za sto lat. O ile w ogóle pójdę.

- Wiem, Bry. I do niczego nie będę cię zmuszać. Ale gdybyś uznał, że chcesz studiować, wówczas pieniądze bardzo się przydadzą.

Dziewięcioletni chłopiec czuł się tak, jakby w jednej sekundzie wygrał i stracił fortunę.

- Wszystko chcesz wpłacić na to konto? Co do centa?

- Wszystko... - zaczęła, ale widząc nieszczęśliwą minę syna, zmieniła zdanie - ale nie co do centa. Możesz sobie kupić jedną rzecz. To będzie taki prezent od twojego dziadka.

Rozpromienił się.

- Jedną dowolną rzecz?

- W granicach rozsądku. Wybierając pozłacany samochód corvette, przekroczyłbyś granice rozsądku.

Z dzikim okrzykiem radości chłopiec uściskał matkę.

- Muszę sprawdzić w katalogu cenę jednej karty do kolekcji.

Pognał przed siebie ile sił w nogach, wbiegł na ganek, pchnął siatkowe drzwi i zniknął jej z oczu.

Wieczorem Savannah smażyła na grillu hamburgery, Bryan, z rozłożonym na kolanach katalogiem kart bejsbolowych z podobiznami słynnych graczy, siedział na huśtawce, a po drugiej stronie lasu Jared MacKade dumiał o swojej pięknej sąsiadce.

Kusiło go, żeby przejść ścieżką przez las i dokończyć rozmowę, którą prowadzili dziś na chodniku przed kawiarnią. Savannah Morningstar stanowiła intrygującą zagadkę, którą chętnie by rozwikłał. Ale nie wstał z bujanego fotela. Powtarzał sobie w duchu, że drażliwe, obraźliwe kobiety nie są w jego stylu. Zwłaszcza drażliwe, obraźliwe kobiety, które łatwo wpadają w złość i mają mroczną przeszłość.

Nie chciał komplikować sobie życia. Rozwiódł się z żoną, sprzedał dom, zamieszkał z braćmi. W jego życiu wreszcie zagościł spokój. Ale oczywiście nie miałby nic przeciwko nawiązaniu luźnej znajomości z Savannah; mogliby się umówić na kilka randek, pójść do łóżka... Z taką ponętą kobietą nawet facet stojący nad grobem miałby ochotę się przespać.

A Jared bynajmniej nie stał nad grobem.

Nie był też głupi. Zdawał sobie sprawę, że znajomość ze ślicznotką, która naskoczyła dziś i na niego, i na Devina, może oznaczać kłopoty. Sam był człowiekiem wybuchowym, o ognistym temperamencie. Podejrzewał, że z kimś równie zapalczywym długo by nie wytrzymał. Dlatego wolał kobiety spokojne, opanowane, rozsądne.

Jak jego była żona? Która czasem była tak chłodna i opanowana, że miał ochotę przytknąć jej lusterko do ust, by przekonać się, czy jeszcze oddycha. Skrzywił się na samo wspomnienie.

W poniedziałek rano napisze oficjalne pismo do Savannah Morningstar zawiadamiające ją o spadku, który może przyjąć lub odrzucić, oraz o krokach, jakie powinna przedsięwziąć.

Każdemu swojemu klientowi Jared gotów był poświęcić wiele czasu, wiele nieprzespanych nocy. Jednakże Savannah nie była klientką; wyświadczał uprzejmość koledze z innego stanu. Więc napisze ten list i koniec. Nie będzie jej do niczego namawiać ani się w nic angażować.

Swoje zrobił, na prośbę kolegi się z nią skontaktował. Dalej niech sama sobie radzi.

Psiakrew, kobieta ma dzieciaka. Miłego, rezolutnego chłopaczka. Nawiązując jakiegokolwiek bliższe relacje z nią, siłą rzeczy nawiązywałby je również z jej synem. Matka i dziecko stanowią jedność.

Kolejna sprawa: charakter pani Morningstar. Pod piękną zewnętrzną powłoką kryła się osoba twarda, silna, która niejedno w życiu widziała i niejedno przeżyła. Tak drapieżnego, przenikliwego spojrzenia nie miewają kobiety, które spędzają czas na pieczeniu ciasteczek.

Zadumał się. Savannah Morningstar wyglądała na kobietę, która potrafi mężczyznę zgnieść, zdeptać i wyrzucić.

Oczywiście z nim, Jaredem, by tak nie postąpiła. On by z nią sobie poradził. Gdyby chciał.

Oczami wyobraźni ujrzał jej śliczną twarz. Chciał. Potwornie chciał.

Zdegustowany sam sobą, poderwał się na nogi i ruszył do lasu. Spacer dobrze mu zrobi. Zresztą wołał towarzystwo duchów od towarzystwa własnych myśli.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sissy Bleaker, sekretarka Jareda, odebrała telefon po pierwszym dzwonku.

- Dzień dobry, kancelaria mecenasa MacKade'a. - Spojrzała na zegarek: za kwadrans piąta. Dokładnie za godzinę była umówiona na randkę. Miała nadzieję, że szef nie każe jej zostać dłużej, ale nie była pewna, bo od rana chodził naburmuszony i warczał jak niedźwiedź, którego boli ząb. - A, pan Brill. Witam. Nie, niestety. Pan MacKade ma teraz ważne spotkanie.

Na dźwięk otwieranych drzwi ogarnęła ją złość. Do diabła, jak ma się w ciągu godziny przeobrazić w seksowne bóstwo, jeżeli natychmiast stąd nie wyjdzie?

- Chętnie przekażę szefowi wiadomość. Sięgając po notes, podniosła wzrok. I stwierdziła, że nawet gdyby miała tydzień, to nigdy nie będzie wyglądać tak powabnie jak kobieta, która właśnie weszła do sekretariatu.

Savannah najchętniej wykonałaby w tył zwrot. Na ogół nosiła sportowe stroje, dzinsy i bawełniane koszule. Nienawidziła eleganckich spódnic, spodni, zakietów. Ale idąc do biura czy urzędu, zawsze ubierała się stosownie do okazji.

W kancelarii MacKade'a wiało chłodem. Rośliny w doniczkach i stonowane akwarele na białych ścianach wcale nie ocieplały atmosfery. Podłogę przykrywała szara wykładzina; stojące w

poczekalni szare skórzane fotele sprawiały wrażenie twardych i mało wygodnych.

Słusznie, pomyślała ironicznie Savannah. Jeszcze nigdy nie widziała biura lub urzędu, którego personel starałby się zapewnić petentom wygodę. Petent ma się czuć jak petent. Sądziła jednak, że Jared MacKade będzie miał lepszy gust, a jego kancelaria cieplejszy, bardziej przyjazny wystrój.

Siedząca przy biurku sekretarka była młoda, energiczna, i zapewne piekielnie sprawna. Na widok gościa wygięła usta w profesjonalnym, idealnie wyważonym uśmiechu - ani zbyt przyjacielskim, ani zbyt zimnym.

Oczywiście Savannah nie miała pojęcia, że Sissy skręca się w zazdrości.

- Naturalnie, panie Brill. Wszystko przekażę panu mecenasowi... Nie ma za co. Do widzenia. - Zastanawiając się, gdzie kobieta kupiła tak fantastyczny zakiet o przepięknym kroju i ostrych kolorach, Sissy odłożyła słuchawkę. - Dzień dobry. W czym mogę pani pomóc?

- Chciałabym się widzieć z panem MacKade'em.

- Jest pani umówiona? - Sissy zadała pytanie pro forma. Plan zajęć swojego szefa знаła równie dobrze jak własny.

- Nie, ja... - Cholera jasna! Savannah nie cierpiała takich sytuacji. - Akurat byłam w mieście i pomyślałam, że zaryzykuję. Że może pan MacKade zechce mi poświęcić kilka minut.

- Niestety pan MacKade odbywa akurat telekonferencję.

Jasne, pomyślała gorzko Savannah. Cóż innego robią prawnicy, gdy nie grają w golfa? Odbywają spotkania i konferencje.

- W takim razie chciałabym zostawić wiadomość. Moje nazwisko Morningstar.

W głowie Sissy natychmiast zapaliło się światełko. Nazwisko Morningstar słyszała dziś rano, kiedy Jared dyktował jej krótki, oficjalny list do klientki o tym nazwisku. Dyktując, zgrzytał zębami, wahał się, mruczał coś pod nosem, kazał coś usuwać, poprawiać.

- Oczywiście. Jeśli to wiadomość prywatna, może pani... - Sissy urwała i popatrzyła na telefon. - Widzę, że pan MacKade właśnie zakończył konferencję. Poinformuję go, że pani przyszła. Może znajdzie chwilę.

- Doskonale. - Savannah zaczęła chodzić po pokoju.

Daleko mi do niej, smętnie pomyślała Sissy. Może gdybym była wyższa o dziesięć centymetrów, miała węższą talię, bardziej wydatny biust i szczuplejsze biodra... Pokręciwszy głowę, podniosła słuchawkę.

- Panie mecenasie, przyszła pani Morningstar. Jeśli ma pan chwilkę... Tak, jest tutaj, w sekretariacie. Dobrze, oczywiście. - Rozłączyła się, starając się zachować neutralny wyraz twarzy. - Pan MacKade przyjmie panią - zwróciła się do gościa. - Proszę przejść tymi schodami na piętro. To będą drzwi po lewej.

- Dziękuję.

Savannah obróciła się na pięcie. Położywszy rękę na idealnie białej poręczu, ruszyła na górę. Hm, zapewne kiedyś był to normalny,

przytulny dom, w którym mieszkała rodzina z dziećmi. Dziś wewnątrz było eleganckie, urządzone z klasą, ale chłodne i sterylne.

U góry schodów zobaczyła nieduży korytarzyk. Na wprost wisiała grafika przedstawiająca wazon z białą orchideą, grafika tak pozbawiona charakteru i jakiegokolwiek ładunku emocjonalnego, że Savannah wzdrygnęła się z niesmakiem. Po prawej i lewej znajdowały się drzwi. Skierowała się ku tym po lewej stronie, zastukała i nie czekając na zaproszenie, nacisnęła klamkę.

Na tle matowych bieli i jasnych szarości Jared w ciemnoszarym garniturze i zawiązanym pod szyją krawacie prezentował się znakomicie. Wcale jej to nie zdziwiło. Pomyślała jednak, że ktoś powinien mu uzmysłwić, że przyjemniej pracuje się w otoczeniu ożywionym barwnymi plamami.

Ale tym kimś na pewno nie będzie ona. Nie lubiła prawników, a on w trzyczęściowym garniturze wyglądał jak prawnik do potęgi.

Wstawszy z fotela, skinął na powitanie głową.

- Dzień dobry, Savannah. - Zapraszającym gestem wskazał krzesło.

- Nie zajmę ci dużo czasu - rzekła, stojąc. - Dziękuję, że znalazłeś dla mnie chwilę.

- Nie jestem zajęty. - Chcąc to udowodnić, odsunął na bok papiery, które leżały na środku biurka, i usiadł. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Wyciągnęła z torebki dokumenty, które zostawił u niej parę dni temu, i rzuciła je na biurko.

- Proszę. Wszystko podpisałam. - Dołożyła swoje prawo jazdy i kartę z numerem ubezpieczenia. - To na dowód, że ja to ja. Niestety aktu urodzenia nie mam.

- Dobrze... - Powoli, nie spiesząc się, Jared wyjął z kieszeni okulary w rogowej oprawie i nasadził je na nos.

Savannah przełknęła ślinę. Serce waliło jej młotem.

W tych cholernych okularach Jared MacKade wyglądał jak emanujący seksem, przystojny intelektualista.

- Hm... - Obejrzawszy dokładnie prawo jazdy, postukał w nie palcem. - Obawiam się, że jest nieważne.

- Jak to nieważne? - oburzyła się. - Niedawno przedłużałam ważność...

- Widzę, ale osoba na zdjęciu nie dorównuje ci urodą. Więc dokument jest nieważny.

Rozgniewana wsunęła rękę do kieszeni.

- Żarty sobie stroisz. Nie rozumiem, jak można...

- Usiądź, proszę.

Wzruszyła ramionami i zajęła miejsce, które wskazał.

- Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak kolor? - spytała. - Tu nie ma krzty koloru. Całe twoje biuro jest bezbarwne, a sztuka na ścianie nudna i bez charakteru.

- To prawda - przyznał. - Urzędzaniem zajmowała się moja była żona, księgowka, specjalistka od podatków; miała gabinet po drugiej stronie korytarza. - Odchylił się na fotelu i powiódł wkoło spojrzeniem.

- Przyzwyczailem się, ale masz rację. Należałoby coś zmienić.

- Nie coś, a wszystko. - Zła na siebie, przeczesła ręką włosy. -

Czuję się tu nieswojo.

- Widzę. - Podniósł leżące na biurku papiery.

- Twój podpis oznacza, że zgadzasz się przyjąć czek na sumę, jaka została po śmierci twojego ojca. Rozumiesz to, prawda?

- Tak.

- A mienie osobiste?

- Mienie osobiste? Jakie mienie? Myślałam, że zostawił jedynie pieniądze.

- Nie, nie tylko. Jak chcesz, mogę zdobyć szczegółową listę. Wtedy zdecydujesz, czy jego rzeczy mają trafić na śmietnik, czy do ciebie. Jeśli do ciebie, wówczas zostaniesz obciążona kosztami przesyłki.

Wszystko wyrzucić! - chciała krzyknąć. Tak jak on mnie wyrzucił z domu.

- Proszę, żeby mi je przysłano.

- Dobrze. - Zanotował w notesie. - Powiem sekretarce, żeby jutro przygotowała pismo stwierdzające, że w ciągu czterdziestu pięciu dni otrzymasz mienie osobiste ojca oraz czek pomniejszony o kwotę przesyłki.

- Po co list, skoro o wszystkim mnie poinformowałeś?

Rozbawionym wzrokiem popatrzył na nią znad okularów.

- My, prawnicy, na wszystko musimy mieć podkładkę.

Zużywamy tony papieru.

Z upoważnienia kolegi z Oklahomy złożył podpis pod podpisem Savannah, następnie oddał jej prawo jazdy i legitymację ubezpieczalni.

- I to już?

- Już.

- Bolało mniej, niż myślałam - powiedziała, wstając. - Jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała prawnika, wiem, do kogo się zwrócić.

- Nie zgodziłbym się ciebie reprezentować. - Zdjąwszy okulary, wyszedł zza biurka.

- Miły jesteś - stwierdziła. Oczy jej płonęły.

- Nie zgodziłbym się ciebie reprezentować - powtórzył, stając obok niej - bo to by było nieetyczne.

Nie przypuszczała, że jakikolwiek mężczyzna zdoła ją jeszcze czymś zaskoczyć. Jaredowi się to udało.

Zanim się spostrzegła, wziął ją w objęcia i zmiażdżył jej usta w pocałunku. Nawet nie zdążyła mu uciec. Nie żeby chciała uciekać.

Czuła żar, ale tego się spodziewała. Nie spodziewała się jednak cudownego mrowienia, które przeszło po całym jej ciele.

Obejmował ją lekko i gładził dłonią po plecach. W każdej chwili mogła się odsunąć, zaprotestować. Ale, przemknęło jej przez myśl, tylko idiotka protestowałaby przeciwko tym ustom, tym pieszczotom, temu żarowi.

A ona idiotką nie była; przytuliła się mocniej i zarzuciła Jaredowi ręce na szyję.

Zastanawiał się, jak to będzie. Odkąd ujrzał ją, sadzącą floksy przed domem, zastanawiał się, jak to będzie trzymać ją w objęciach. Teraz wiedział: ramiona miała silne, usta miękkie i gorące. Przyłgnęła do niego tak, jakby pieścili się już setki razy. W jej dotyku, w jędrnym ciele, w namiętnych pocałunkach czuł coś bardzo swojskiego. Jakby po długiej, męczącej podróży wreszcie dotarł do wymarzonego celu.

Wsunął palce w jej włosy. Nawzajem się badali, poznawali, smakowali. W końcu oderwał usta od jej ust i lekko odchylił głowę. Patrzył z namysłem na twarz Savannah, na jej oczy, duże i ciemne, na zaróżowione policzki. Ich serca biły w jednym rytmie, niemal uderzały jedno o drugie. Obojgiem wstrząsały równie silne emocje.

Chciałby doprowadzić ją do drżenia. Chciał, żeby wiała się w jego ramionach z rozkoszy, żeby jej oczy płonęły dzikim blaskiem...

- Gdybyś jednak kiedykolwiek potrzebowała prawnika, z przyjemnością ci kogoś polecę.

Uniosła brwi. Ale on ma zimną krew, pomyślała.

Kontynuuje rozmowę, jakby nigdy nic. Jakby ona cała w środku nie płonęła. Uśmiechnęła się, pełna podziwu dla jego opanowania.

- To świetnie. Dziękuję.

- Przepraszam na moment - powiedział, słysząc cichy terkot telefonu. - Tak, Sissy? - Oderwał od Savannah wzrok, żeby spojrzeć na zegarek. - Fakt, jest już po piątej. Oczywiście, możesz wyjść. Ja pozamykam. Aha, Sissy, jeśli chodzi o ten list, który dyktowałem ci dziś rano... Tak, ten pierwszy... Nie wysyłaj go, proszę. Muszę nanieść parę poprawek.

Savannah przyglądała mu się z namysłem. Odsyłał sekretarkę do domu. Zostaną sami. Wiedziała, co to znaczy, kiedy mężczyzna patrzy na kobietę w taki sposób, w jaki Jared patrzył na nią. Wiedziała, co musi nastąpić po tak namiętym pocałunku.

Odkąd zaszła w ciążę i opuściła dom, stała się bardzo ostrożna i bardzo wybredna. Samotne wychowywanie dziecka to nie bułka z masłem; to niezwykle odpowiedzialne zadanie. Mężczyzna pojawia się i znika, dziecko jest na zawsze. Nie należała do kobiet, które bez zastanowienia wskakują facetom do łóżka. Owszem, miewała erotyczne potrzeby, ale nie uważała, że za wszelką cenę musi je zaspokajać.

Nie miała kłapek na oczach. Potrafiła realistycznie ocenić sytuację. I wiedziała, że ten mężczyzna ze słuchawką przy uchu, który kartkuje kalendarz, aby uzgodnić coś z sekretarką, jeszcze dziś zostanie jej kochankiem.

- Moja sekretarka musi wyjść; umówiła się na randkę - rzekł, odkładając słuchawkę na widełki. - Więc po raz pierwszy od dawna kończymy pracę o czasie. - Przechyliwszy głowę, zmrużył oczy. - Mam cię zapytać, bardzo dyskretnie, gdzie kupiłaś żakiet.

- Ten? - Ubawiona pytaniem, Savannah wskazała na siebie. - Sama go uszyłam.

- Żartujesz.

Wyduła wargi i dumnie uniosła brodę. Jared rozpoznał oznaki: zaraz wybuchnie gniewem.

- A co? Nie wyglądam na taką, która umie szyć? Która umie opiekować się dziećmi, zajmować domem?

Zaintrygowany, przysiadł na krawędzi biurka i pogładził delikatnie klapę cudownie kolorowego żakietu.

- Jest wspaniały. Co jeszcze potrafisz robić?

- Wszystko.

Nie sprzeciwiła się, kiedy przyciągnął ją do siebie. Oparłszy ręce na ramionach Jareda, przymknęła oczy i ochoczo nadstawiła usta do pocałunku.

- Jest wcześniej - szepnął.

- Owszem.

- Gdzie Bryan?

- U Cassie. - Zdziwiło ją, że pyta o jej syna; że w takiej chwili w ogóle o nim pamięta. - Obiecałam, że wpadnę po niego o szóstej. Za pół godziny muszę wyjść.

- To nam zajmie zdecydowanie więcej czasu. - Nie przerywając serii lekkich pocałunków, uwięził Savannah między swoimi udami. - Zadzwoń do Cassie i spytaj, czy nie przechowałaby Bryana do siódmej. - Przygryzł zębami jej dolną wargę. - A jeszcze lepiej do wpół do ósmej.

Nie mogła się doczekać, żeby rozwiązać mu krawat, rozpiąć guziki koszuli...

- Do wpół do ósmej? Hm... No, dobrze.

- Pójdziemy naprzeciwko.

- Naprzeciwko?

- Tak, do lokalu naprzeciwko. Na kolację.

Odsunęła się zdumiona.

- Na kolację?

- Tak. - Jared wstał z biurka. Miał ochotę zerwać z niej ubranie, rzucić ją na podłogę, kochać się bez pamięci. - Chciałbym cię zaprosić na kolację.

- Dlaczego?

- Żeby spędzić godzinę lub dwie w twoim towarzystwie.

Nie w twoim towarzystwie, a w twoich objęciach! W tobie, Savannah! Boże. Zachowując pozory opanowania, zaczął szukać w kalendarzyku telefonu Cassie. Niczego po sobie nie dawał poznać.

- Tu masz numer Cassie.

- Znam go. - Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Dlaczego serce jej tak wali, podczas gdy Jared stoi opanowany, jakby nic się nie wydarzyło? - Jared, o co chodzi? Przecież oboje wiemy, że kolacja nie jest potrzebna.

Poczuł ucisk w żołądku. Mógł ją mieć. Tu i teraz. Po prostu. Po prostu? Nie, zależało mu na czymś więcej.

- Chciałbym z tobą posiedzieć, Savannah, zjeść kolację, porozmawiać. - Wykręciwszy numer, podał jej słuchawkę. - Dobrze?

Zawahała się. Nie była pewna, czy może mu ufać. Po chwili jednak wzięła telefon.

Nie była to wykwiniona restauracja; ot, zwykła sympatyczna knajpka specjalizująca się w typowo amerykańskich daniach z rusztu.

Sącząc drinka, Savannah zastanawiała się, co Jared knuje; jaki będzie jego następny krok?

- A więc szyjesz ubrania?

- Czasami.

Oparł się o drewnianą ławę i uśmiechnął przyjaźnie.

- Czasami...? - powtórzył, patrząc wyczekująco.

Nic nie knuł; najwyraźniej mówił prawdę, twierdząc, że chce porozmawiać. W porządku, mogą rozmawiać.

- Nauczyłam się z konieczności. Kawalek materiału kosztował mniej niż gotowe ubranie, a nie chciałam paradować nago. Teraz już mnie stać na kupowanie ciuchów, ale od czasu do czasu dla przyjemności szyję coś własnoręcznie.

- Jednak na życie zarabiasz jako ilustratorka, a nie krawcowa.

Wzruszyła ramionami.

- Lubię kolory, wzory... Można powiedzieć, że dopisało mi szczęście.

- Szczęście?

Wychwyciła nutę zainteresowania w jego głosie.

- Nie chcesz słuchać opowieści o moim życiu.

- Ależ bardzo chcę. - Skinieniem głowy podziękował kelnerce, która postawiła przed nimi zamówione dania. - Możesz zacząć w dowolnym punkcie.

Ukroiła kawałek pachnącego ziołami kurczaka o ciemnej chrupiącej skórce, którego jej polecił.

- Mieszkasz w tej okolicy od urodzenia, prawda? - spytała.

- Zgadza się.

- Masz tu korzenie: dużą rodzinę, sąsiadów i przyjaciół, których znasz od dziecka.

- Tak.

- Ja też postanowiłam zapuścić korzenie. Ze względu na syna. Chcę mu zapewnić nie tylko dach nad głową, ale poczucie przynależności.

Przez chwilę Jared milczał. Podziwiał siłę, która przebijała z jej głosu, niezwykłą zaciętość i determinację.

- Dlaczego akurat tu, w Antietam?

- Od dziesięciu lat przemierzam się na wschód. Uznałam, że dalej nie muszę. - Odprężyła się. Widziała skupienie na twarzy Jareda. Podobało się jej, że potrafi słuchać. - Nie chciałam, żeby Bryan dorastał w dużym mieście, w anonimowym tłumie. Zależało mi, żeby był częścią...

- Miejscowej społeczności?

- Tak. W małych miasteczkach istnieje poczucie wspólnoty. Ludzie się znają z imienia i nazwiska, zarówno dzieci, jak i dorośli. To chciałam dać mojemu synowi, dom w znaczeniu miejsca i ludzi, a nie tylko czterech ścian i dachu. Sama jednak lubię trzymać się na uboczu. Poza tym...

- Poza tym?

- Coś mnie tu ciągnęło. Jakieś mistyczne „coś”, którego nie umiem wytłumaczyć. Może ta ziemia, może wzgórza, a może las. Tak... - uśmiechnęła się. - Twój las mnie wzywał. Gadające drzewa...

- Do mnie całe życie gadały i wciąż gadają - oznajmił z prostotą.
- Myślę, że nigdzie indziej nie byłbym szczęśliwy. Przeprowadziłem się do większego miasta, bo wydawało mi się to rozsądne i praktyczne. Nie mówiąc o tym, że życie na prowincji i spacer po lesie nie bardzo odpowiadały mojej żonie.

Skoro on zasypywał ją pytaniami, stwierdziła, że jej też wolno zadać parę.

- Dlaczego się pobraliście?

- Bo ślub wydawał nam się rozsądnym i praktycznym rozwiązaniem. - Skrzywił się. - Nie najlepiej to o nas świadczy, prawda? Darzyliśmy się z Barbarą sympatią i szacunkiem, ale nasz związek był pozbawiony namiętności. Po dwóch latach rozstaliśmy się w sposób cywilizowany i beznamiętny.

Trudno jej było sobie wyobrazić, aby facet, który całuje tak zmysłowo, mógł cokolwiek robić w sposób chłodny i beznamiętny.

- Tak po prostu? Obyło się bez rozlewu krwi?

- Mieliśmy zbyt wiele rozsądku, żeby z sobą walczyć. Poza tym nie dorobiliśmy się dzieci. - Nie dorobili się, bo Barbara nie chciała ich mieć, ale ten fakt przemilczał. - Wychodząc za mnie, żona pozostała przy własnym nazwisku.

- Tak bywa w nowoczesnych związkach, w których oboje małżonkowie pracują.

- Wiem. W każdym razie po dwóch latach podzieliliśmy się wszystkim po równo i rozeszliśmy. Bez płaczu, bez awantur, bez emocji.

Savannah przechyliła w bok głowę.

- Było ci przykro, że po ślubie żona nie przyjęła twojego nazwiska?

W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, ale uznał, że to nie ma sensu.

- Tak. Może jestem tradycjonalistą, nie wiem. Wydaje mi się, że wspólne nazwisko bardziej ludzi łączy, ale może przemawia przede mną urażona duma.

- Czy ja wiem? Po prostu kobiecie, którą poślubiłeś, chciałeś ofiarować coś, co sam dostałeś od swoich rodziców i co chciałeś przekazać swoim dzieciom.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza.

- Nie tylko prawnicy potrafią czytać z cudzych twarzy. Zresztą doskonale rozumiem, jak ważną rzeczą jest nazwisko. Kiedy urodził się Bryan, długo wpatrywałam się w formularz, który dostałam do wypełnienia. Zastanawiałam się, co wpisać w rubrykę „Ojciec”. Jeżeli napiszę prawdę, mój syn będzie nosił nazwisko jakiegoś dupka. Mój syn - powtórzyła cicho.

- I co w końcu napisałaś?

Miała wtedy siedemnaście lat i była zupełnie sama.

- Nieznany. Napisałam: ojciec nieznany. Bo on się nie liczył, nie był ważny. Mojemu synowi dałam własne nazwisko.

- Widział Bryana?

- Nigdy. Kiedy usłyszał, że jestem w ciąży, spakował manatki i zniknął piorunem. Tylko mi nie współczuj - ostrzegła Jareda,

odgadując jego zamiary. - Bo facet wyświadczył mi przysługę. Szesnastoletniej dziewczynie łatwo zadurzyć się w przystojnym kowboju, ale trudno byłoby z nim żyć.

- Co powiedziałaś Bryanowi?

- Prawdę. O ile to możliwe, staram się go nie okłamywać. Nie wstydzę się swojej przeszłości. Byłam młoda, głupia i zakochana bez pamięci. Przynajmniej tak mi się wydawało. Cieszę się, że czasem głupota zostaje wynagrodzona czymś tak wspaniałym jak Bryan.

- Jesteś niezwykłą kobietą.

Jego komplement wzruszył ją, a zarazem speszył.

- Nie. Po prostu mam szczęście.

- Nie było ci łatwo.

- Trudności nigdy mnie nie przerażały. Pokiwał ze zrozumieniem. Jego też nie.

- Co robiłaś, kiedy opuściłaś dom?

- Kiedy zostałam wyrzucona z domu - poprawiła go. - Ojciec uderzył mnie w twarz, zaczął wyzywać od... lepiej to przemilczę, po czym wywalił za drzwi. Zresztą drzwi ledwo trzymały się na zawiasach - dodała zaskoczona, że Jared zaciska rękę na jej dłoni. - Mieszkaliśmy wówczas w starej zdezelowanej przyczepie.

Wstrząsnęła nim jej historia. Sam nie wiedział dlaczego. W swoim gabinecie słyszał mnóstwo równie strasznych opowieści. Jednakże na myśl o ciężarnej szesnastoletniej dziewczynie, która w nikim nie miała oparcia, ogarnął go gniew.

- Do nikogo nie mogłaś zwrócić się o pomoc?

- Do nikogo. Nie znałam rodziny mojej matki. Ojciec pewnie za dzień lub dwa zmieniłby zdanie. Taki był: w gorącej wodzie kąpany. Ale wyzwiska, jakimi mnie obrzucił, zaboląły bardziej od uderzenia. Więc spakowałam plecak, stanęłam przy drodze, uniosłam kciuk i ruszyłam przed siebie. W Oklahoma City pracowałam jako kelnerka. - Podniosła do ust kieliszek. - Pewnie dlatego tak dobrze dogaduję się z Cassie. Obie wiemy, jak to jest, kiedy przez cały dzień obsługuje się klientów. Ona robi to o wiele lepiej niż ja.

Jared zamyślił się; chciał poznać jej życie, lecz Savannah nie wdawała się w szczegóły, pomijała mnóstwo spraw.

- Jak kelnerka z Oklahoma City zostaje ilustratorką książek dla dzieci?

- Nie cały czas byłam kelnerką. Robiłam masę innych rzeczy. - Najedzona, odchyliła się wygodnie. - Zdziwiłbyś się jakich. - Roześmiała się wesoło na widok jego zaskoczonej miny. - Oj, bardzo byś się zdziwił.

- Na przykład?

- Podawałam drinki pijakom w barze w Wichita.

- Musisz się bardziej postarać, jeśli chcesz mnie zaszokować.

- No dobra. Pracowałam w klubie ze striptizem w Abilane. - Zadowolona z siebie, zabrała mu cygaretkę, którą właśnie wyjął z kieszeni. - Jesteś zgorszony?

Starając się zachować spokój, potarł zapałkę i przytknął płomyk do cygaretki.

- Byłaś striptizerką?

- Tancerką egzotyczną. - Wydmuchała dym.

- I co? Zdołałam cię zaszokować?

- Raczej... zaintrygować.

- Aha. Zanim puścisz wodze wyobraźni, powiem ci, że nigdy nie rozbierałam się do rosołu. Na plaży spotyka się kobiety bardziej skąpo ubrane. Tyle że im nikt nie płaci za paradowanie w bikini, a mnie płacono. Chociaż słabo. - Oddała mu cygaretkę. - Więcej zarabiałam, projektując i szyjąc kostiumy dla innych dziewczyn, niż tańcząc na scenie. Więc zrezygnowałam z tańca.

- Tylko z powodu małych zarobków?

- Nie tylko - przyznała. Tego, o czym nie mówiła, nie musiał wiedzieć. - Powiedzmy, że nie odpowiadały mi również godziny pracy. Później... - zamyśliła się.

- Tak, później znalazłam pracę w wesołym miasteczku. A jeszcze później pojechałam do Nowego Orleanu. Sprzedawałam widoczki, rysunki uliczek i mokradeł, robiłam turystom portrety węglem. Świetnie się tam czułam. Jedzenie było doskonałe, muzyka wspaniała.

- Ale ruszyłaś dalej.

- Nigdy nie mieszkałam długo w jednym miejscu. Kwestia przyzwyczajenia. Zaczęłam myśleć o tym, że najwyższy czas na zmianę otoczenia, kiedy szczęście się do mnie uśmiechnęło. Okazało się, że kobieta, którą portretowałam, pisze książki dla dzieci. I właśnie zwolniła swoją ilustratorkę. Z powodu różnic koncepcyjnych, jak powiedziała. Ponieważ podobała się jej moja kreska, zaproponowała

mi pewien układ. Da mi do przeczytania swój tekst, a ja przygotuję kilka rysunków. Jeżeli wydawca je zaakceptuje, to podpisze ze mną umowę. Jeżeli nie, wtedy ona sama zapłaci mi sto dolarów. Nie miałam nic do stracenia.

- Podpisano z tobą kontrakt.

- Dano mi nowe życie. Już nie musiałam szukać opiekunek do dziecka, martwić się, z czego zapłacę czynsz, ani denerwować, że zaraz przyjdzie ktoś z opieki społecznej, by sprawdzić, czy dobrze wypełniam matczyne obowiązki. I nie musiałam dłużej tłumaczyć się gliniarzom, że na ulicy naprawdę sprzedaję rysunki, a nie siebie. Po pewnym czasie odłożyłam dość pieniędzy na dom z ogrodem i dobrą szkołę dla Bryana. Wreszcie mój syn gra w Małej Lidze i nawiązuje przyjaźnie z rówieśnikami. - Ponownie wypłała łyk. - I tak doszliśmy do chwili obecnej. Do terażniejszości.

- Do terażniejszości. A co z przyszłością?

- O to chciałam zapytać ciebie. Dlaczego siedzimy tu, jemy, rozmawiamy? Wolisz kolację i rozmowę od seksu?

Nie zakrztusił się; spokojnie wydmuchał dym.

- Nie owijasz w bawełnę.

- Prawnicy używają dwudziestu słów, gdy wystarczy jedno - rzekła. - W przeciwieństwie do mnie.

- Czyli oczekiwałaś, że zaciągnę cię do łóżka? A ja nie lubię być przewidywalny. - Zmrużonymi oczami wpatrywał się w nią zza chmury dymu. - Nasz seks, Savannah, będzie dziki i namiętny. Dziki i nieprzewidywalny. Na zawsze wryje ci się w pamięć.

Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Chyba właśnie to ją niepokoiło.

- Więc to ty, mecenasie, dyktujesz warunki? Ty wybierasz czas i miejsce, a ja nie mam nic do powiedzenia?

- Zgadza się. - W jego oczach pojawił się błysk, któremu trudno było się oprzeć. - Jestem piekielnie staroświeckim facetem.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Hm, piekielnie staroświeckim facetem... Nazajutrz po kolacji z Jaredem Savannah stała w kuchni, z rękami na biodrach, i patrzyła na długie pudełko, które dostała z kwiaciarni.

W środku były róże. Tuzin długich czerwonych róż.

Przysłanie kobiecie kwiatów można uznać za staroświecki gest. Do pewnego stopnia również za gest przewidywalny. Tyle że Savannah jeszcze nigdy w życiu nie dostała lśniącego białego pudełka wypełnionego czerwonymi różami.

Była pewna, że Jared doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Do kwiatów dołączona była karteczka: „Nim twój ogród zakwitnie”.

Skąd wiedział, że jedną z jej największych słabości są kwiaty? Że mieszkając w ciasnych pokoikach w hałaśliwych, zatłoczonych miastach, marzyła o tym, by codziennie wachać barwne pąki? Że przyrzekła sobie, iż kiedyś w przyszłości dorobi się domku z ogródkiem, o który sama będzie dbała?

Skąd on to wiedział? Potrafił przeniknąć ją na wylot, ot co. Przerazona tą myślą, niepewnym krokiem zbliżyła się do dostarczonych przez posłańca kwiatów.

Z takim skupieniem się w nie wpatrywała, że aż podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo? - burknęła do słuchawki.

- Przeszkadzam? - spytał Jared.

Ponownie skierowała spojrzenie na przepiękne kwiaty leżące na zielonej bibule.

- Owszem, jestem zajęta.

- Mam tylko jedno krótkie pytanie: może byś wpadła z Bryanem na farmę? Wieczorem na kolację.

Zmarszczywszy czoło, wyjęła z pudełka pojedynczą różę.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Choćby dlatego, że nastawiłam sos do spaghetti. - Czekala. On również. - Pewnie czekasz, że zaproszę cię do siebie?

- Tak.

Obracając w palcach łodygę, usiłowała wymyślić sensowny powód odmowy.

- No dobrze. Zapraszam. Ale po szkole Bryan idzie na trening. Muszę go odebrać o szóstej, więc...

- Ja go odbiorę. Wracając z pracy, przejeżdżam tuż obok. Zatem do zobaczenia.

Miała wrażenie, że wszystko wymyka się jej spod kontroli.

- Jared, mówiłam ci, że to nie jest potrzebne. Kolacja, kwiaty...

- Podobają ci się?

- Oczywiście. Są przepiękne.

- Więc ciesz się nimi. A my z Bryanem zjawimy się parę minut po szóstej.

Skołowana, odłożyła słuchawkę. Jeszcze chwilę wpatrywała się w kwiaty, po czym uznała, że trzeba włożyć je do wazonu.

Kwadrans po szóstej usłyszała samochód skręcający pod dom. Dokończyła fragment sukni okrutnej królowej - robiła ilustracje do nowego wydania bajek dla dzieci - i wstała od biurka. Zanim doszła do kuchni, Bryan był już na ganku.

- ...i odbił, a niezdara Tommy nie zdołał złapać. Piłka uderzyła go w twarz. Krew trysnęła mu z nosa. To było niesamowite. Cześć, mamusiu!

- Cześć. - Pokręciła głową na widok czarnego od ziemi ubrania syna. - Miałeś dziś parę udanych wślizgów?

- I to jakich! - Ruszył prosto do lodówki po dzbanek z sokiem.

- A Tommy'emu piłka rozkrwawiła nos - wtrącił Jared.

- Słyszałam.

- Jego mama strasznie się zdenerwowała. - Przejęty zdarzeniem na boisku, chłopiec zapomniał o szklance. Podnosił dzbanek do ust, kiedy nagle dostrzegł karcące spojrzenie własnej mamy. - Ale nie ma złamanego nosa. Tylko rozkitwaszony.

- Rozkitwaszony? Chyba musimy popracować dziś nad gramatyką i słownictwem.

- Oj, mamo, nikt nie mówi tak jak w książkach. Zresztą z dyktanda dostałem piątkę z minusem.

- A z matematyki?

Bryan pośpiesznie opróżnił szklanę.

- Muszę się przebrać i umyć. - Wykonawszy w tył zwrot, pognął szybko na górę.

- Nie lubimy dzielenia - wyjaśniła Savannah.

- A kto lubi? - Jared podał jej butelkę wytrawnego francuskiego wina. - Ale piątka z minusem z dyktanda to nie byle co.

Rzuciła okiem na elegancką etykietę na butelce.

- Szkoda tak wspaniałego wina do zwykłego spaghetti.

Jared wciągnął nosem powietrze, w którym unosił się zapach pomidorów i świeżych ziół.

- Zwykłego? Nie sądzę.

- Przynajmniej zdejmij krawat. Trochę mnie onieśmiela. -

Podeszła do szuflady po korkociąg. - Potrafisz...

Obrócił ją za ramiona, pochylił wolno głowę i przywarł ustami do jej ust.

- ...całować - powiedziała, odsuwając się po chwili. - O rany, ale ty potrafisz całować! - Sięgnąwszy po korkociąg, który spadł z łoskotem na blat, paroma ruchami doświadczonej barmanki otworzyła butelkę. - Wyborne wino i piękne kwiaty, wszystko jednego dnia.

Uważaj, bo mi zawrócisz w głowie.

- Zamierzam.

Z najwyższej półki zdjęła dwa kieliszki.

- Myślałam, że po wysłuchaniu skróconej wersji „Historii życia Savannah Morningstar” wiesz, że nie jestem kobietą nawykłą do luksusów.

Kwiaty stały na stole. Pogładził palcem jedwabisty płatek.

- Pasują do ciebie.

Schowawszy krawat do kieszeni, rozpiął pod szyją koszulę. Savannah napełniła kieliszki.

- Kiedy zadzwoniłeś, nawet ci za nie nie podziękowałam - rzekła, podając mu jeden. - Więc... twoje zdrowie, Jared. I dziękuję za róże.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Bryan będzie się czał na górze, dopóki nie uzna, że zapomniałam o teście z matematyki. Jeśli jesteś głodny, zawołam go, żeby zszedł.

- Nie ma pośpiechu.

Z kieliszkiem w ręku przeszedł do salonu. Chciał się z bliska przyjrzeć wiszącym na ścianie obrazom.

Uderzały kolorem. I mocnymi, odważnymi pociągnięciami pędzla. Tematyka była różnorodna: martwa natura, kwiaty w pełnym rozkwicie, twarze, poskręcane drzewa, skaliste wzgórza, skłębione chmury.

Zazwyczaj nad kominkiem widywało się spokojne pejzaże. Jednakże te obrazy przykuwały wzrok. Podobnie jak sama artystka, wywierały piorunujące wrażenie.

- Nic dziwnego, że skrytykowałeś to, co wisi u mnie w kancelarii.

- Uważam, że sztuka nie powinna być chłodna i neutralna. - Wzruszyła ramionami. - Ale to moje zdanie.

- A jaka powinna być?

- Pełna życia.

- Twoja z pewnością jest - rzekł. - Nadal sprzedajesz swoje obrazy?

- Jeśli mi cena odpowiada.

- Zamierzam poprosić Regan, moją bratową, żeby na nowo urządziła mi biuro. Wykonała fantastyczną robotę w pensjonacie odrestaurowanym przez mojego brata. I tak się zastanawiam... zgodzisz się, żeby powiesiła kilka twoich obrazów?

Nie spuszczać z niego oczu, Savannah popijała wino. W głębi duszy od dawna o tym marzyła. Żeby jej obrazy wisiały w miejscu publicznym. Ale przecież była amatorką, malowała dla przyjemności. Nigdy się w tym kierunku nie szkoliła.

- Już ci powiedziałam, że pójde z tobą do łóżka. Roześmiał się, nagle jednak zaschło mu w gardle.

- Wiem, pamiętam. Ale teraz rozmawiamy o twoim malarstwie. Sprzedałabyś mi kilka płócien?

- Naprawdę chcesz je powiesić w biurze?

- Mam to powtórzyć? Tak, Savannah, chciałbym je powiesić.

Spokojnie, nie podniecaj się, nakazała sobie w duchu. Nie pokazuj mu, ile to dla ciebie znaczy.

- Nie wolałbyś ładnych, spokojnych pastelów?

- Wolę twoją dzikość. Parsknęła śmiechem.

- Zostawmy wolną rękę twojej bratowej. Jeśli uzna, że moje obrazy pasują do jej koncepcji, wtedy pogadamy. - Wróciwszy do kuchni, nastawiła wodę na spaghetti.

- Zgoda. A może chciałabyś wpaść kiedyś do pensjonatu i zobaczyć, co z Rafe'em tam zrobili?

- Bardzo chętnie.

- Moglibyśmy pojechać po kolacji. Pokręciła z żalem głową.

- A lekcje? Czekają mnie dziś zadania z matematyki. Dzielenie.

- W takim razie... - Jared napełnił ponownie kieliszki. - Proszę.

Podobno wino rozjaśnia umysł.

Nie spodziewała się, że Jared zostanie po kolacji. Ale został. Obaj z Bryanem siedzieli przy kuchennym stole, rozwiązując zadania z arytmetyki.

Starszy tłumaczył je młodszemu, posługując się statystyką wyników bejsbolowych. A młodszy w lot wszystko chwycił. Podając Jaredowi świeżo zaparzoną kawę, Savannah zastanawiała się, dlaczego sama nie wpadła na tak genialny w swej prostocie pomysł.

Wiedziała dlaczego. Dlatego, że cyfry ją przerażały. Uczenie syna ją przerażało. Świadomość tego, że wkrótce nie będzie potrafiła pomóc swojemu dziecku w odrabianiu lekcji, napawała ją strachem i wstydem.

Często zarywała noce. W tajemnicy przed Bryanem studiowała jego podręczniki, żeby jak najdłużej służyć mu pomocą.

- Więc ogólny wynik dzieli się przez liczbę uderzeń kijem - wyjaśnił Jared, poprawiając okulary w rogowych oprawkach.

- Kapuję! - zawołał uradowany chłopiec. - Taka matma to jest fajna. - Wysunąwszy czubek języka, starannie zapisywał cyfry. Bo w

tym momencie cyfry nie były cyframi, lecz oznaczały zawodników. -
Chcesz zobaczyć, mamusiu?

Zajrzała mu przez ramię do zeszytu i uśmiechnęła się.

- Świetna robota. - Pochyliwszy się, pocałowała Bryana w
czubek głowy. - Obaj spisaliście się na medal.

- A ja nie dostanę całusa? - spytał Jared. Cmoknęła go w usta,
lekko i niewinnie, ale Bryan mimo to się skrzywił, jakby mu się
zebrało na wymioty.

- A fuj! Ohyda! Musicie to robić przy stole?

- To nie patrz - odparł Jared i tym razem on pocałował
Savannah.

- Ja spływam. - Chłopiec zamknął książkę i poderwał się z
krzesła.

- Spływaj. Prosto do wanny - powiedziała jego matka.

- Już? - Popatrzył błagalnie na Jareda.

- Wysoki sędzie, uważam, że mojemu klientowi należy się
chwila wytchnienia.

- Chwila wytchnienia? - spytała Savannah, ale donośny okrzyk
radości zagłuszył jej głos.

- Co najmniej godzina oglądania telewizji! Hura, hura!

- Wysoki sędzie, bardzo proszę o wyrozumiałość.

- Jared posłał Bryanowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Mój klient chciał powiedzieć, że po odbyciu kary i podjęciu
odpowiednich kroków ku rehabilitacji marzy mu się półgodzinny
odpoczynek przed telewizorem. Po tym czasie, sam z własnej

nieprzymuszonej woli i przez nikogo nieponaglany, wykona polecenie sądu.

Savannah westchnęła głośno.

- No dobrze. Masz zgasić u siebie światło najdalej o wpół do dziesiątej.

Bryan uniósł rękę w geście zwycięstwa i szepnął do Jareda:

- Trzeba było prosić o godzinę. Może by się zgodziła?

- Co za dużo, to niezdrowo. Wierz mi, jestem twoim prawnikiem.

Chłopiec wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- W porządku. Dzięki, panie MacKade. Dobranoc.

- Co za mowa obrończa - mruknęła pod nosem Savannah, kiedy chłopiec pomknął na górę do jej sypialni, gdzie stał mały przenośny telewizor.

- Nie mogłem się powstrzymać. - Lekko speszony, Jared wetknął ręce do kieszeni. - Przypomniałem sobie, jak to jest być dziewięciolatkiem, który robi wszystko, żeby jeszcze przez godzinę nie kłaść się spać. Mam nadzieję, że wysoki sąd się na mnie nie gniewa?

Zabrała filiżanki po kawie i wstawiła je do zlewu.

- Nie, nie gniewam się. To miło, że się za nim ująłeś. Zresztą podejrzewam, że pół godziny sam by u mnie wybłagał.

- Zasłużył sobie. Zresztą ja też. Obaj ślęczeliśmy nad tym zadaniem z matmy.

- Ty również chcesz mieć chwilę wytchnienia? Pół godziny oglądania telewizji?

- Nie. - Schował okulary do kieszeni na piersi. - Ja mam ochotę na spacer po lesie. - Widząc, jak Savannah zerka w stronę schodów, wziął ją za rękę. - Nie pójdziemy daleko. Hej, Bry! - zawołał. - Twoja mama i ja idziemy się przejść.

- W porządku - odparł chłopiec, zupełnie niezainteresowany ich poczynaniami.

Na haczyku przy drzwiach kuchennych wisiała dżinsowa kurtka. Jared podał ją kobiecie.

- Po zachodzie słońca robi się chłodno.

- Tylko do skraju lasu i wracamy - rzekła Savannah, wsuwając ręce w rękawy. Z takiej odległości usłyszy, gdyby Bryan wołał.

- Tylko do lasu - obiecał Jared, otwierając drzwi.

- Nie czujesz się samotna w ciągu dnia?

- Nie. Lubię własne towarzystwo. - Powietrze było rześkie, niebo bezchmurne; blask gwiazd niemal raził w oczy. - I lubię ciszę.

Nierównymi schodkami wyciosanymi w skarpie doszli do wąskiej ścieżki, która doprowadziła ich do lasu.

- Tu po raz pierwszy całowałem się z dziewczyną - powiedział Jared, wchodząc pomiędzy drzewa.

- Z kuzynką Joanie.

- Z kuzynką?

- W trzeciej linii. Ze strony matki. Miała długie złociste loki i oczy koloru chabrów. Byłem w niej po uszy zakochany.

- Ile miałeś lat?

- Jedenaście.

Ukryta w cieniu drzew skąpanych w blasku księżyca, Savannah roześmiała się wesoło.

- A Joanie dwanaście.

- Hm, czyli podobały ci się starsze kobiety?

- Chyba rzeczywiście rajcowało mnie, że byłem od niej młodszy.

Któregoś wieczoru, kiedy słońce zachodziło za górą, barwiąc niebo na czerwono, a lelki zaczynały pokrzykiwać, zwabiłem Joanie do lasu...

- Bardzo romantycznie.

- Szedłem, pocąc się ze zdenerwowania. Było ciepło, w powietrzu unosił się zapach wiciokrzewu. Przy pierwszym zakolu strumyka zdobyłem się na odwagę i ją pocałowałem.

- Jak słodko.

- Byłoby słodko, gdyby moi bracia nie skradali się za nami.

Zaczęli wydzierać się jak opętańcy. Joanie pobiegła z powrotem na farmę. Oczywiście później bracia dokuczali mi przez wiele tygodni. Żeby ratować swój honor, musiałem z każdym stanąć do walki. Devin złamał mi palec. Wtedy straciłem zainteresowanie kuzynką.

- Fajnie. To taki rodzaj inicjacji.

- Od tamtej pory nauczyłem się czegoś o całowaniu dziewczyn w lesie.

Kiedy wziął ją w ramiona i przywarł ustami do jej ust, przyznała mu w duchu rację: wiele się od tamtej pory nauczył.

- A co obecnie porabia kuzynka Joanie?

- Mieszka z mężem i dziećmi w bliźniaku w Wirginii i pracuje na pół etatu jako agentka nieruchomości.

- Wzdychając cicho, przycisnął usta do jej czoła.

- Wciąż ma złociste loki i chabrowe oczy.

- Kolejny duch w lesie MacKade'ów. - Savannah zerknęła za siebie. Stąd, gdzie stali, widziała zapalone światła w swoim domu. - Opowiedz mi o innych. Innych duchach.

- Najślynniejsza jest opowieść o dwóch kapralach. Jeden nosił niebieski, drugi szary mundur. Podczas bitwy nad Antietam oddzielili się od swoich oddziałów. - Objął Savannah ramieniem; wolnym krokiem wędrowali ścieżką. - Spotkali się tu, w tym lesie, dwaj chłopcy z mlekiem pod nosem. Ze strachu lub z poczucia obowiązku zaczęli z sobą walczyć. Obaj zostali ciężko ranni. Półżywi, ledwo trzymając się na nogach, ruszyli w przeciwnych kierunkach. Jeden dotarł na farmę.

- Na waszą farmę?

- Tak. Jankes z brzuchem rozdartym bagnetem. Mój pradziadek, zagorzały wróg Unii, znalazł go nieopodal wędzarni. Podobno w umierającym żołnierzu ujrzął swojego syna, który zginął nad Bull Run, dlatego wziął go na ręce i wniósł do domu. Pradziadek z rodziną próbował ratować chłopaka, ale nie udało się. Jankes zmarł nazajutrz. Bojąc się represji, MacKade'owie pochowali go na polu w nieoznakowanym grobie.

- Czyli dusza Jankesa błąka się po lesie - szepnęła Savannah. - I straszy, bo nie może odnaleźć drogi do domu.

- Na to wygląda.

- A drugi kapral?

- Dotarł do domu Barlowów, tam gdzie jest teraz pensjonat Rafe'a. Służąca pobiegła po swoją panią. Abigail Barlow zamierzała opatrzeć rannego, kiedy nagle pojawił się jej mąż i zastrzelił chłopaka.

Savannah nie wzdrygnęła się. Była przyzwyczajona do okrucieństw i podłych zachowań.

- Zastrzelił, bo w rannym nie widział człowieka, tylko mundur niewłaściwego koloru?

- Tak. Abigail odwróciła się od męża. Od tego dnia już się do niego nie odezwała. Zmarła kilka lat później.

- Smutna historia. Bezsensowna śmierć sprawia, że dusza miota się niespokojnie. Ale tu... - zamknęła oczy - tu panuje spokój. Po prostu zmarli nie chcą być zapomniani. Jesteś ciekaw, gdzie dokładnie się starli?

Przyjrzał się jej z namysłem. Otworzyła oczy. Były ciemne, bardziej tajemnicze od rozgwieżdżonej nocy.

- Pięćdziesiąt metrów na zachód stąd. Przy poskręcanym drzewie i niedużym skupisku skał.

Jared poczuł, jak zimne palce muskają go lekko po szyi. Ale nie były to palce Savannah. Obie jej ręce trzymał w swoich.

- Siedząc na tych skałach, kilka razy słyszałem brzęk bagnetów.

- Ja też. I zastanawiałam się, kto walczy, z kim i dlaczego.

- Często ci się to zdarza? - spytał ochryple.

- Twój pradziad był farmerem. Widząc umierającego chłopca, próbował go ratować. Mój był szamanem. Patrząc w ogień, miał wizje, które usiłował interpretować. Ty wciąż starasz się ratować ludzi, prawda, Jared? A ja wciąż staram się zrozumieć wizje.

- Jesteś...

- Medium? - Roześmiała się. - Nie. Po prostu mam intuicję, instynkt, przeczucie. Wszyscy je mają, tylko na ogół je lekceważą. Opuszczając Oklahomę, kierowałam się intuicją. Wiedziałam, że znajdę swoje miejsce na ziemi. Że kiedy do niego dotrę, instynktownie poczuję, że dalej nie muszę szukać. Kiedy spojrzałam na ten dom, na skały, na las, zrozumiałam, że jestem w domu. Tak samo, kiedy cię zobaczyłam, wiedziałam, że obudzisz we mnie pożądanie. - Wspiąwszy się na palce, pocałowała go lekko w usta. - A teraz wiem, że muszę wrócić do domu i położyć syna spać, zanim zacznie nocne buszowanie po lodówce.

- Savannah... - Przytrzymał ją, nim zdążyła się oddalić. - Dokąd zmierzamy, ty i ja? Wiesz?

Po krzyżu przebiegł jej prąd, najpierw gorący, potem zimny i znów gorący. Nie dała nic po sobie poznać.

- Kiedy człowiek stara się zbyt daleko wybiec w przyszłość, wtedy zwykle potyka się o terażniejszość. Żyjmy dniem dzisiejszym, Jared.

Podniósł jej rękę do ust, a ona nagle uświadomiła sobie, że terażniejszość dostarczy im obojgu aż nadto wrażeń.

Pod koniec tygodnia Savannah postanowiła obejrzeć dawny dom Barlowów. Uśmiechnęła się do siebie. Użyła określenia, jakim posługiwali się miejscowi. A przecież to już nie był dom Barlowów; to był dom MacKade'a.

Barlowowie nie mieszkali tam od ponad pięćdziesięciu lat. Sprzedali dom małżeństwu z północnej części stanu; ci mieszkali w nim krótko. Dwadzieścia lat temu wyprowadzili się. Dom został wystawiony na sprzedaż, ale nie było chętnych.

Dopóki nie pojawił się Rafe MacKade.

Savannah skręciła z drogi na wąski, stromy podjazd. Zauważyła, że ktoś już zaczął porządkować teren, usuwać rosnące dziko zarośla, chwasty i jeżyny, ale pracy wciąż było co niemiara.

Dom był dwupiętrowy, z pięknego jasnego kamienia. Z tego, co słyszała - oczywiście od pani Metz, którą spotkała kiedyś w sklepie - jeszcze parę miesięcy temu większość okien zasłaniały deski. Teraz to się zmieniło: wstawiono nowe okna, lśniące szyby...

Dom miał dwie werandy, na parterze i na piętrze. Tę na piętrze właśnie rozbierano. Nic dziwnego; przekrzywiona i spróchniała sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała się zawalić. Natomiast ta na parterze pachniała nowością, jeszcze jej nawet nie pomalowano.

Wschodnie skrzydło zastawione było rusztowaniem. Wszędzie dookoła leżały materiały budowlane. Savannah zatrzymała samochód koło pikapa załadowanego śmieciami i zgasiła silnik.

Zastukała do drzwi. Lekko zirytowany głos krzyknął, że otwarte. Weszła do środka i nagle poczuła, jak uderza w nią potężna fala emocji: śmiechu, płaczu, strachu, radości. Po chwili fala się cofnęła.

U szczytu schodów Savannah spostrzegła Jareda. Uśmiechając się, postąpiła krok do przodu.

- Nie spodziewałam się, że cię tu zasta... - urwała. Bo mężczyzna na schodach wcale nie był Jaredem.

Oczy miał w nieco ciemniejszym odcieniu zieleni, włosy odrobinę dłuższe i potargane, twarz ciut szerszą, brwi trochę bardziej uniesione.

Ale uśmiech miał identyczny, czarujący, drapieżny, bezczelny.

- Jestem przystojniejszy - oznajmił Rafe, ruszając w dół.

- Bo ja wiem? Podobieństwo rodzinne jest niesamowite. -

Wyciągnęła na powitanie rękę. - Rafe MacKade, prawda?

- Nie inaczej.

- A ja jestem...

- Savannah Morningstar. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Regan nic a nic nie przesadziła - stwierdził po chwili.

- Słucham?

- W zeszłym tygodniu spotkałyście się u niej w sklepie.

Opowiadała mi o tobie. Kazała mi wyobrazić sobie Izydę, boginię starożytnego Egiptu. Spytałem, jak ona wygląda, ta Izyda, bo nie mam zielonego pojęcia. Wtedy kazała mi sobie wyobrazić kobietę, na widok której wszystkim facetom skacze ciśnienie.

- Tak mnie opisała? - zdumiała się Savannah.

- Nic a nic nie przesadziła - powtórzył Rafe.

- Jared wspomniał, że może zajrzysz. - Wsunął kciuki za pas z narzędziami.

- Nie chcę przeszkadzać ci w pracy...

- Nie przeszkadzasz. - Obdarzył ją uśmiechem.

- Czekam na Regan. Mieszkamy tu chwilowo... Napijesz się piwa?

W towarzystwie Rafe'a czuła się swobodnie, jakby znali się od dawna.

- Chętnie.

Skierowała się za nim do kuchni; raptem przystanąła i wbiła wzrok w schody.

- Coś się stało? - spytał, obserwując ją z zaciekawieniem.

- To było tu. Na tych schodach.

- Rozumiem. Jared opowiedział ci o naszych duchach.

Zakreśliło się jej w głowie.

- Mówił o młodym kapralu z armii konfederackiej, którego zastrzelił Barlow. Ale nie mówił mi, gdzie się znajdowali.

Z trudem, jakby miała nogi z kamienia, doszła do schodów i zaczęła się po nich wspinać. Raptem przeniknął ją przeraźliwy ziąb. Krew odpłynęła jej z twarzy, zbieleły zaciśnięte na poręczy kłykcie.

- Tutaj... - Ledwo była w stanie mówić. - Dokładnie w tym miejscu. Ranny czuł zapach róż, zapach nadziei i wtem... Miał jedno marzenie: wrócić do domu.

Zadrżała, po czym wolno ruszyła w dół.

- Tak, piwo dobrze mi robi.

- Mnie też. - Rafe odetchnął głęboko. - Mnie też.

- Często ci się to zdarza? - spytał, otwierając dwie butelki piwa.

- Nie. Ale jest kilka miejsc... - Wyjrzała przez okno. - Ten dom, ciągnący się nieopodal las, brzeg rzeki, nad którą posadziłam jaskry i azalie, pole kukurydzy... Tam krążą... nie wiem, jak je nazwać...

Emocje. Silne potrafią przetrwać całe wieki.

- Miewam taki sen - rzekł cicho Rafe; dotąd opowiedział o nim tylko swojej żonie. - Ubrany w konfederacki mundur biegnę zakrwawiony przez las. Chcę wrócić do domu, marzę o tym. Boję się i strasznie się tego wstydzę. Nagle dostrzegam żołnierza z wrogiej armii. Przez chwilę patrzymy na siebie, a potem zaczynamy ze sobą walczyć. Brutalnie, kompletnie bez sensu. Później czołgam się przez las i docieram tutaj. Mój dom, myślę uradowany. Widzę nad sobą kobietę, która mówi, że wszystko będzie dobrze. Wierzę jej. Jacyś ludzie wnoszą mnie po schodach na górę. Ona cały czas idzie koło mnie. Pachnie różami. Nagle krzyczy do kogoś. Podnoszę głowę. Dostrzegam mężczyznę ze strzelbą. I wtedy się budzę.

Na moment zamilkł i pociągnął łyk z butelki.

- Najdłużej po przebudzeniu zostaje we mną pragnienie, żeby odnaleźć drogę do domu. Hm, dziwne... od paru miesięcy nic mi się nie śni.

- Może dlatego, że odnalazłeś dom.

- Na to wygląda. - Uśmiechając się szeroko, stuknął się butelką ze swoim gościem. - Chcesz obejrzeć resztę domu czy wystarczy wrażeń?

- Oczywiście, że chcę. - Popatrzyła wkoło: kuchnia zabudowana była sosnowymi szafkami o przeszklonych frontach, z niebieskimi blatami pięknie harmonizowały beżowe sprzęty: toster, ekspres do kawy. - Kuchnia jest prawie skończona.

- Prawie. To zasługa Regan. Powiedziała, że zamieszka na placu budowy tylko wtedy, jeśli będzie miała kuchnię i łazienkę, z których można normalnie korzystać.

- Bardzo rozsądnie.

Ujawszy Savannah za łokieć, Rafe ruszył holem w głąb domu.

- Jeśli ci nie przeszkadza, wolałabym zacząć od góry - powiedziała, zanim otworzył drzwi po prawej ręce.

- Jasne.

Większość ludzi zaczynała od salonu lub biblioteki, ale kolejność zwiedzania nie robiła Rafe'owi różnicy. W połowie schodów Savannah zadrżała, jakby przebiegł ją prąd.

Odetchnęła z ulgą, kiedy doszła na piętro. Nie widziała brezentu na podłodze, wiader, narzędzi, lecz solidne mury, które mogą przetrwać wieki.

- Skończyliśmy urządzać... - zaczął Rafe i urwał. Zamierzał pokazać jej odrestaurowaną sypialnię, która kiedyś należała do Abigail Barlow, ale Savannah skierowała się w przeciwną stronę. Bez słowa podążył za nią.

Pokój, który ją zainteresował, nie miał drzwi; zdjęte z zawiasów stały oparte o framugę. Z wysokich okien rozciągał się widok na leżące w dolinie miasteczko. Savannah powiodła wokół wzrokiem: kominek, ściany w intensywnym kolorze zieleń, świeżo wycyklinowana podłoga. Dalej, w głębi, mniejsze pomieszczenie - czyżby pokój lokaja? - przerobione na łazienkę.

- Sypialnia pana domu.

- Tak podejrzewaliśmy. - Rafe patrzył z zafascynowaniem, jak Savannah podchodzi do okna, do kominka, odwraca się, znów idzie do okna.

Nie miała najmniejszych wątpliwości. Tu urzędował Barlow. Tu, stojąc w oknie, rozmyślał. Stąd spoglądał na miasteczko. Tu, często wbrew ich woli, zaciągał do łóżka młode pokojówki. Tu spał kamiennym snem człowieka pozbawionego wyrzutów sumienia.

- Co to był za łotr! Dzięki Bogu, że już niewiele po nim zostało.

- Uśmiechnęła się. - Skutecznie usuwasz jego ślady.

Rafe potarł brodę.

- Masz parapsychiczne zdolności...?

- Kiedyś wróżyłam z dłoni. Wbrew pozorom, to bardzo żmudne zajęcie. O wiele bardziej wolę wczuwać się w atmosferę starych domów. - Wyszedłszy do holu, skierowała się do sypialni Abigail. - Ojej! - westchnęła z zachwytem.

- Nam też się podoba. - Rafe przystanął w progu. W powietrzu unosił się zapach róż i zapach Regan.

- Tu będzie apartament dla nowożeńców.

- Jest idealny - szepnęła Savannah. - Po prostu piękny.

Tapeta w maleńkie różyczki, palisandrowa podłoga, łukowe okna, w nich koronkowe zasłony, przez które do środka wpadały promienie słońca. Ogromne łóże z baldachimem, na półce nad kominkiem kryształowe świeczniki z perłowymi świecami.

Przepiękna toaletka, na niej lampa w kształcie globusa. Eleganckie drewniane krzesła z haftowanymi siedziskami, stolik na giętych nóżkach. Jasnoróżowy wazon pełen złocistych żonkili.

Nigdy nie widziała równie pięknego pokoju. Nic dziwnego, przemknęło jej przez myśl. Niby gdzie miała widzieć? Całe życie mieszkała w obskurnych przyczepach, zagraconych budach, tanich hotelikach.

- Jared wspomniał, że urządzaniem wnętrza zajmuje się twoja żona.

- Zgadza się.

Poczuła ukłucie zazdrości. Chciałaby mieć tak znakomite wycucie stylu, tak doskonały gust.

- Pięknie tu - powtórzyła. - Kiedy pensjonat rozpocznie działalność, nie będziecie się mogli opędzić od gości.

- Nastawiamy się na wrzesień. Może się uda? - Na dźwięk otwieranych na dole drzwi oczy mu załśniły.

- To Regan.

Savannah zobaczyła, jak wygląda zakochany MacKade. I znów poczuła ukłucie zazdrości.

- Kochanie, jestem w sypialni! - zawołał Rafe.

- Z fantastyczną kobietą.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - Regan weszła do pokoju, wnosząc z sobą ciepły, zmysłowy zapach.

- Dzień dobry, Savannah... - Tylko tyle zdołała powiedzieć, zanim mąż porwał ją w ramiona i namiętnie pocałował na powitanie. - Cześć, Rafe.

- Cześć, moja śliczna.

Regan MacKade, kobieta o lśniących włosach, ujmującej twarzy, z uroczym pieprzykiem nad górną wargą i oczach w kolorze nieba, objęła męża w pasie. Ubrana z niewyszukaną elegancją w płócienne spodnie, turkusowy żakiet i białą koszulową bluzkę, wpatrywała się w niego z miłością. Oboje promienieli szczęściem.

- Oprowadzałem Savannah po naszym królestwie.

- To dobrze. - Regan odgarnęła z twarzy włosy, na jej ręce błysnęły pierścionki. - Jak wrażenia?

- Ogromnie mi się podoba. - Przypomniawszy sobie o butelce piwa, Savannah podniosła ją do ust.

- Dziś z samego rana zadzwonił do mnie Jared. Chce zmienić wystrój kancelarii.

- Najwyższy czas - stwierdził Rafe. - Jego biuro przypomina mauzoleum. Same biele i szarości. Równie dobrze mógłby pracować w grobowcu.

Savannah podziwiała kolejne pomieszczenia. Te dokończone i te, w których widać było jedynie kurz i zwisające ze ścian pajęczyny. Z każdą sekundą coraz bardziej traciła pewność siebie. Nic nie

wiedziała o antykach, perskich dywanach, rodzajach farb i okuciach w oknach.

- Jared zachwycił się twoimi obrazami - rzekła Regan, kiedy schodzili na parter. - To one zainspirowały go do nowej aranżacji kancelarii. Chętnie bym je kiedyś zobaczyła.

- Nie sądzę, żeby ci się spodobały. - Savannah wsunęła ręce do kieszeni dżinsów. - Nie mam wykształcenia plastycznego. - Powiodła spojrzeniem po stylowo urządzonej salonie. Meble, marmurowy kominek, mosiężny ekran, świeczniki... wszystko było idealnie dopasowane. - Żaden z moich obrazów nie nadawałby się do tego wnętrza. Ani do kancelarii. No, czas na mnie. - Podała Rafe'owi pustą butelkę. - Muszę odebrać syna.

Regan, zaskoczona nagłym pożegnaniem, odprowadziła gościa do drzwi.

- Jeśli w ten weekend miałabyś wolną godzinę, mogłybyśmy się wspólnie zastanowić nad kolorystyką. Jared...

- Obawiam się, że jestem zajęta. - Savannah nacisnęła klamkę. Chciała jak najszybciej wsiąść do samochodu i odjechać. - Zresztą dekoratorstwo to twoja dziedzina. Jeszcze raz dziękuję. Do zobaczenia.

- Ale... - Przez chwilę Regan patrzyła za oddalającą się postacią, po czym obróciła się twarzą do męża. - Co się stało? Co ja takiego powiedziałam?

- Nie mam pojęcia. - Zmrużywszy z namysłem oczy, Rafe pogładził żonę po głowie. - To dziwna kobieta; miewa wizje. Usiądźmy, to ci o wszystkim opowiem.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Jared zajechał pod dom Savannah, walczyły w nim różne emocje: zdumienie, irytacja, ciekawość. Oczywiście już po godzinie wiedział, że Savannah wybiegła z domu Rafe'a, jakby goniło ją stado wilków. I że nie zamierza urządzać mu kancelarii.

Chciał się dowiedzieć dlaczego.

Pomachał do bawiących się w ogrodzie Bryana i Connora. Odpowiedzieli na powitanie i dalej grali w koszykówkę.

Zastukał do drzwi. Nikt nie otworzył, więc sam wszedł do środka. Muzyka grała na pełny regulator.

Savannah siedziała w pracowni pochylona nad stołem. Miała na sobie poplamiony farbą obszerny męski podkoszulek i mocno podziurawione dżinsy. Była boso.

Wyglądała ponętnie. Na jej widok zaschło mu w gardle. - Hej.

Nie podniosła głowy. Z wyrazem zaciętej koncentracji na twarzy wykonywała delikatne pociągnięcia wąskim pędzelkiem zanurzonym w jaskrawoczerwonej farbie.

Jared rozejrzył się po zagraconym pokoiku, który kiedyś pewnie służył jako sień. Najwyraźniej Savannah należała do osób, które mogą tworzyć w każdych warunkach. Przez szerokie okno wpadały promienie słońca. Światło wydobywało na wierzch każdą cząsteczkę kurzu. Na podłodze leżało stare linoleum gdzieś pochlapanie farbą. Nieoprawione obrazy stały niedbale oparte o ścianę. Stalowe

półki uginały się pod ciężarem butelek, słoików, tubek i puszek. W powietrzu unosił się zapach terpentyny.

Na widok sprzętu grającego Jared odetchnął z ulgą. Bojąc się, że za moment ogłuchnie, podszedł do półki i wyłączył dziki rock and roli. W pracowni nastała cisza jak makiem zasiał.

- Nie wyłączaj! - warknęła Savannah.

- Nawet nie słyszałaś, jak wszedłem.

- Pracuję. - Wetknęła pędzelek do słoika z roztworem i sięgnęła po inny. - Spadaj.

Skoczyło mu ciśnienie, ale głos miał opanowany.

- Dziękuję. Chętnie napiję się piwa. Tobie też przynieść?

- Pracuję - powtórzyła.

- Widzę. - Ignorując gniewne spojrzenie, jakie mu posłała, pochylił się nad stołem.

Okrutna królowa była prawie skończona. Przerazająca w swym pięknie, smukła i wysoka, stała w fioletowej sukni i narzuconym na ramiona gronostajowym futrze. Na głowie miała lśniąca złotą koronę wysadzaną klejnotami, w ręce trzymała czerwone jabłko.

- Okrutna, a zarazem przepiękna - szepnął Jared. - To królowa-czarownica z bajki o królewnie Śnieżce?

- Nie, to trzygłowy potwór, który przybył z kosmosu. Zasłaniasz mi światło.

- Przepraszam. - Odsunął się na bok, ale wiedział, że nie w tym tkwi problem.

- Nie umiem pracować przy widzach - burknęła.

- Mówiłaś, że malowałaś na ulicy.
- To co innego.
- Savannah. - Starł jej z policzka czerwoną kropkę. - Czy Rafe albo Regan sprawili ci przykrość?

- Czym?

- Właśnie o to pytam.

- Byli bardzo mili. Słowo honoru - dodała, kiedy w odpowiedzi uniósł nieznacznie brwi. - Świetnie mi się rozmawiało z twoim bratem. Z przyjemnością obejrzałam jego dom. A twoja bratowa jest uroczą kobietą.

Aha! - pomyślał. Tu jest pies pogrzebany.

- Nie spodobała ci się Regan?

- Zwariowałaś? Jak ktoś taki mógłby się nie spodobać? Po prostu... nie wyszłabym nam współpraca. Poza tym nie chcę, żeby moje obrazy wisiały u ciebie w biurze.

- Dlaczego?

- Bo nie. Zastanowiłam się nad tym i doszłam do wniosku, że nie. - Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. - Po prostu nie jestem zainteresowana. Niczym. Więc spadaj.

Był szybki jak błyskawica. Mogła się spodziewać, że garnitur nie spowolni jego ruchów. Zanim się zorientowała, Jared zacisnął rękę na jej łokciu i podciągnął ją w górę.

- Mówiłam, żebyś mnie nie dotykał, chyba że sama cię o to poproszę.

- Owszem, mówiłaś. Wiele rzeczy mówiłaś. - Nie zważając na gniewny błysk w jej oczach, drugą rękę zacisnął na jej ramieniu. -
Może mi wyjaśnisz, o co chodzi?

- Z niczego nie muszę ci się tłumaczyć. Myślisz, że jak się parę razy całowaliśmy, to masz do mnie prawo? Po pierwsze, całowałam się z wieloma facetami, a po drugie, nie jestem ci nic winna.

Dobrze mierzyła. Trafiła prosto do celu, w samo serce.

- Jesteś. Uprzejmość nakazuje, abys wyjaśniła mi, co się stało.

- W nosie mam uprzejmość.

- W porządku. - Wściekły, zmiażdżył jej usta swoimi.

Nie próbowała się wyrywać. Instykt mówił jej, że to nic nie da; że może być tylko gorzej. Więc usztywniała ciało i starała się wyłączyć umysł, uciec myślami gdzie indziej. Wiedziała, że w takiej sytuacji chłód i obojętność są skuteczniejszą bronią niż zażarta walka.

Ale ciało i umysł okazały się zdradzieckie. Savannah zadrzała.

Ucieszył Jareda ten dreszczyk, ucieszył jej cichy, bezradny jęk. Wciąż jednak kipiała w nim złość. Podniósł głowę.

Policzki miała zarumienione, oddech urywany. Pragnęła go równie mocno, jak on jej. Potrafił wyczytać to z jej oczu.

- Coś mi się zdaje, że kłamiesz. Że jednak jesteś zainteresowana.

Nie mylił się. Z całego serca marzyła, aby choć raz w życiu mężczyzna spojrział na nią tak, jak Rafe patrzył na Regan. Z drugiej strony wolałaby być silna, samowystarczalna i nie mieć takich potrzeb.

- Zainteresowana czym? Seksem? - Uśmiechając się cierpko, pogładziła go palcem po brodzie. - Jasne, że tak. Jak znajdę chwilkę, możemy wskoczyć do łóżka.

- Psiakrew... Potrząsnęła smutno głową.

- Wiedziałam, że tak będzie. Jesteś przystojnym, cholernie seksownym facetem, Jared. Masz mnóstwo zalet, ale... - pociągnęła go lekko za krawat - za bardzo się różnimy. Jak na mój gust jesteś zbyt tradycyjny, zbyt pod linijkę. - Na moment zamilkła. - Jako prawnik wiesz, że nie wolno wchodzić na cudzy teren, zakłócać innym spokoju. Więc grzecznie cię proszę, zachowując wszelkie pozory uprzejmości, żebyś sobie poszedł. Chyba nie chcesz, żebym wezwała na pomoc twojego brata szeryfa?

- Cholera jasna, co cię ugryzło?

- Nic. Poszłam po rozum do głowy. A teraz wyjdź, zanim cię wyrzucę.

Nie zamierzał jej o nic prosić. Nie zamierzał się łąsić. Nie pokaże jej, jak bardzo go zraniła. A zraniła. Uderzyła w miejsce najbardziej czułe: w jego dumę.

Bez słowa odwrócił się i znikł za drzwiami.

Dopiero gdy usłyszała, jak samochód oddala się od domu, usiadła przy stole i zamknęła oczy.

Zgodnie z wcześniejszą obietnicą pozwoliła, żeby w piątek Connor został u nich na noc. Do późna słuchała dochodzących z góry wesołych okrzyków. W sobotę rano siedziała na trybunach, kibicując drużynie Bryana. Rozglądała się dyskretnie, wypatrując wysokiego

mężczyzny o ciemnych włosach i zielonych oczach, ale nigdzie go nie dojrzała.

Po meczu podrzuciła chłopców do Cassie. Wróciwszy do domu, przez godzinę krążyła po pokojach, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, po czym wreszcie zabrała się do pracy.

Złą królową już wcześniej skończyła, teraz musiała narysować królewicza, który pocałunkiem budzi Śnieżkę. To nie może być mdły marzyciel z głową w chmurach, pomyślała, kreśląc męską postać. Śnieżka zasługuje na ognistego kochanka, który zapewni jej życie szczęśliwe i pełne namiętności.

Nic dziwnego, że postaci na rysunku odruchowo dała rysy charakterystyczne dla mężczyzn z rodu MacKade'ów. Królewicz wyglądał jak... - Savannah uśmiechnęła się kwaśno - jak pogromca smoków. Jak awanturnik i wichrzyciel. Zresztą czy w tamtych czasach władzy i tronu nie zdobywało się, tocząc krwawe wojny?

Oczami wyobraźni ujrzała Jareda. Taki był królewicz z jej bajki. Właśnie kogoś takiego chciała narysować. Buntownika, wojownika, pogromcę.

Radość tworzenia. Uwielbiała to. Zawsze fascynował ją proces ożywiania postaci. Gdyby jej los inaczej się potoczył, nie przyjmowałaby zleceń; malowałaby dla przyjemności to, co widzi, czuje, pragnie.

Ale i tak była szczęściarą. Nigdy nie uczyła się rysunku, ale od dziecka, ilekroć czas jej na to pozwalał, siadała z arkuszem papieru, z kredkami, farbami. Uciekała w świat marzeń.

Tak, miała wielkie szczęście. Rysowała dla pieniędzy, a malowała dla relaksu. Malarstwo traktowała jak niegroźne i stosunkowo tanie hobby.

Pochylona nad rysunkiem, zaczęła go poprawiać, wzbogacać w elementy nadające postaci charakter: pełne, zmysłowe wargi, dołeczek w policzku, gęste brwi, bardziej umięśnione ramiona, groźny błysk w oczach, które na pewno będą miały odcień trawy po deszczu.

Przyszło jej do głowy, że dzięki temu, iż poznała Jareda MacKade'a, stworzyła znakomitego królewicza. Ilustracja należała do wyjątkowo udanych.

Dźwięk podjeżdżającego pod dom samochodu sprawił, że serce zabiło jej gwałtownie. Poderwała się na nogi. Przez szybkę w drzwiach zobaczyła Regan MacKade. Kobiety mierzyły się chłodnym wzrokiem. Wreszcie Savannah otworzyła drzwi i cofnęła się, wpuszczając gościa.

- Nie wiem, co cię łączy z Jaredem - oznajmiła prosto z mostu żona Rafe'a. - I jeśli uważasz, że to nie moja sprawa, to się mylisz. Jared to mój szwagier. Ale przyszłam z innego powodu. Chciałam spytać, czym ci się naraziłam? Dlaczego wolisz zrezygnować z dobrego zlecenia, niż czasem spotkać się ze mną na gruncie zawodowym?

- Nie interesuje mnie urządzenie niczyjej kancelarii.

- Kłamiesz.

W Savannah wstąpiła złość.

- Posłuchaj, siostró...

- Nie, ty posłuchaj - przerwała jej Regan. - Nie musimy się kumplować. Mam przyjaciółki. A ty byłaś zainteresowana urządzaniem kancelarii, kiedy Jared ci to zaproponował. Inaczej nie przyjechałabyś obejrzeć pensjonatu. Z tego, co mówił Rafe, wszystko było dobrze, dopóki nie pojawiłam się w drzwiach. Więc o co chodzi? Co, siostrze?

Savannah poczuła, jak złość ją opuszcza, ustępując miejsca rozbawieniu. Właściwie to była pełna podziwu dla Regan.

- Ale mi nagadałaś.

- Odpowiedz, proszę. Co ci się we mnie nie spodobało?

- Twój wygląd.

- Słucham?

- I to, jak mówisz. - Zadowolona z siebie, Savannah uśmiechnęła się szeroko. - Na pewno chodziłaś do prywatnych szkół, należałaś do klubu golfowego i byłaś najpiękniejszą debiutantką na balu.

- Na żadnym balu nie byłam. Zresztą co to ma do rzeczy?

- To, że wyglądasz jak te wytworne kobiety w eleganckich pismach dla pań.

Regan rozłożyła ręce w geście bezradności.

- I dlatego mnie nie lubisz?

- Dlatego.

- A ty wyglądasz jak posąg bogini, której mężczyźni składali ofiary z dziewczyc. I z tego powodu miałabym czuć do ciebie wrogość?

Przez chwilę wpatrywały się w siebie w milczeniu. W końcu Savannah westchnęła.

- Napijesz się mrożonej herbaty?

- Z przyjemnością.

Przy drugiej szklance Regan zaczęła krążyć po salonie. Nagle wbiła wzrok w obraz na ścianie przedstawiający skaliste wzgórze i drzewa w ognistych barwach jesieni.

- Ten - stwierdziła stanowczym tonem. - Ten obraz powinien wisieć w kancelarii Jareda zamiast tej nijakiej białej orchidei.

- A ja myślałam, że orchidea jest w twoim guście - rzekła Savannah. Na widok zdumionej miny Regan o mało nie wybuchnęła śmiechem. - No dobrze, widzę, że się pomyliłam.

- Intensywna zieleń i blady fiolet. Taka kolorystyka powinna tam dominować. Trzeba wyrzucić sztywne fotele z poczekalni, a zamiast nich wstawić miękkie, skórzane. I odsłonić podłogę. Można dać jakiś dywanik, ale ta szara wykładzina jest koszmarnie monotonna.

Savannah słuchała z uwagą. Proponowane przez Regan zmiany coraz bardziej się jej podobały.

- Naprawdę sądzisz, że moje obrazy pasują?

- Absolutnie. Sądzę też, że świetnie będzie nam się współpracowało. - Regan wyciągnęła rękę. - To co? Urządzimy Jaredowi fajne biuro?

Savannah uścisnęła ozdobioną pierścionkami dłoń.

- Urządzimy.

Po południu wybrała się na spacer do lasu. Szła zadumana. Zdawała sobie sprawę, że pozory mylą. Nienawidziła, gdy ludzie oceniali innych po wyglądzie, a jednak sama też tak postąpiła. Patrząc

na Regan, widziała kobietę elegancką, z klasą, kochającą luksusowe życie.

Czy mogła się domyślać, że pod tą schludną, wytworną powierzchownością kryje się osoba butna, zdziorna, odważna?

Mogła. A przynajmniej powinna była.

Jared siedział na głazie na skraju lasu, wypuszczając kółka dymu. Nie zdziwiła się. Wiedziała, że go tu zastanie.

Nie odezwał się, kiedy usiadła obok i wyjęła mu z ręki cygaretkę. Ciszę zakłócał jedynie śpiew ptaków i szelest poruszanych wiatrem liści.

- Chciałam cię przeprosić - powiedziała po chwili. - Za tamten dzień. - Westchnęła ciężko. - Nie byłam z tobą szczerą, a tak nie cierpię kłamstw. Zwłaszcza kiedy sama kłamię... Ja... naprawdę ucieszyłam się z twojej propozycji. I naprawdę mi zależało na tej pracy. Ale poczułam się zbyt onieśmielona. - Skrzywiła się, wyraźnie sobą zdegustowana.

- Onieśmielona? - Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego. - Czym?

- Raczej kim. Twoją bratową.

- Regan? - Wytrzeszczył oczy, po czym parsknął śmiechem. - Nie żartuj.

I właśnie ten śmiech, tubalny i niewymuszony, przelał czarę goryczy. Savannah poderwała się na nogi.

- Mam prawo czuć się onieśmielona! - zawołała gniewnie. - A ty nie masz prawa śmiać się ze mnie i mówić „nie żartuj”!

- Przepraszam. - Zreflektowawszy się, Jared błyskawicznie spoważniał. - Czym Regan cię onieśmieliła?

- Swoją klasą. Urodą. Inteligencją. Tym, że osiągnęła w życiu sukces. Że stanowi moje przeciwieństwo. Nie mam kompleksu niższości i na ogół dobrze się czuję we własnej skórze. Ale kiedy spotykam kogoś takiego jak ona, uzmysławiam sobie, jak wielka dzieli nas przepaść. Nigdy nie będę tak doskonała... Nie znoszę czuć się niekompetentną kretynką. - Zniecierpliwionym gestem wetknęła rękę do kieszeni. - Wiesz, nie sądziłam, że ją polubię, a jednak... Wpadła dziś do mnie z wizytą.

- To w jej stylu. Regan nigdy nie chowa głowy w piasek. - Patrzył w skupieniu na smugę dymu. - Poproś, żeby ci kiedyś opowiedziała o tym, jak ubrana w czerwoną skórzaną mini wparowała do zadymionego baru Duffa. Rafe o mało nie dostał zawału.

Savannah zmarszczyła czoło. Niełatwo jej było wyobrazić sobie Regan w skórzanej mini.

- Nie omieszkam jej spytać. A jeśli twoja propozycja jest nadal aktualna, to chętnie pomogę w urządzaniu twojej kancelarii.

- Jest bardzo aktualna.

Podał jej cygaretkę. Kiedy Savannah przecząco potrząsnęła głową, zaciągnął się, po czym starannie przygniótł peta butem.

- W paru innych sprawach też nie do końca byłam z tobą szczerą - kontynuowała po chwili. - Nie jesteś mi obojętny. Zaskoczyło mnie uczucie, jakim cię darzę. I wystraszyło.

Świdrował ją wzrokiem. Zastanawiała się, ilu przesłuchiwanym przez niego świadków nie wytrzymało tak przenikliwego spojrzenia.

- Życie bywa o wiele prostsze, kiedy człowiek nie jest zaangażowany uczuciowo. Może źle odczytałam sygnały, ale nagle wydało mi się, że zależy ci na czymś głębszym. Więc stchórzyłam. Zrejęterowałam. Hej! - zezłościła się, kiedy nie odezwał się słowem. - Będziesz tak siedział i milczał?

- Słucham uważnie.

- W porządku. Mam dziecko. Przede wszystkim muszę myśleć o nim. Nie mogę związać się z kimś, kogo Bryan polubi, kogo zacznie traktować jak ojca, a później ten ktoś... Związki się rozpadają.

Wstał, nie spuszczać z niej wzroku.

- Czyli zamierzasz trzymać mnie na dystans?

- Nie. Chyba nie. Bo... no, bo darzę cię uczuciem.

- Świetnie. Ja ciebie również.

- Aha... - Ręce w kieszeni zacisnęły się w pięści.

- Aha - powtórzył i podszedłszy krok bliżej, przywarł ustami do jej ust.

Nie była przyzwyczajona, aby mężczyzna w ten sposób okazywał jej czułość. Jakby tylko ona się liczyła na świecie. Zakręciło się jej w głowie, napięcie minęło, serce zmiękło.

- To już koniec? - spytał cicho Jared. - Koniec niedomówień?

Uśmiechnęła się speszona.

- Tak. Boże, nie cierpię kłamstw. Pocałował ją w czubek głowy.

- Ja też nie.

- Więc zawrzyjmy pakt. Cokolwiek się stanie, będziemy z sobą szczerzy.

- Zgoda. - Ujął ją palcami za brodę i ponownie pocałował, tym razem w usta. - Mogę cię odprowadzić do domu?

Szli przez las, trzymając się za ręce. Widziała złociste nitki słońca przedzierające się przez gałęzie, czuła zapach powietrza, słyszała każdy najlżejszy szelest, to jak liście rosą na drzewach, a kwiaty prężą się ku światłu.

To miłość, pomyślała. Miłość wyostrza zmysły.

- Powinnam wkrótce odebrać Bryana. - Zerknęła na Jareda. - Ale mogę zadzwonić do Cassie i umówić się z nią inaczej.

Wiedział, co Savannah proponuje. Serce zabiło mu mocniej. Kiedy podniósł ich złączone dłonie do ust, ujrzał w jej oczach wyraz zdziwienia i radości. Jeszcze nie, powiedział sam do siebie. Jeszcze chwilę się wstrzymaj.

- Razem go odbierzemy. A potem zapraszam was do kina i na pizzę. Dobry pomysł?

Odwróciła wzrok. Czuła wielką gulę w gardle.

- Ś...świąteczny - wydukała z trudem. - Dziękuję.

- Jared to super gość - oznajmił Bryan, wskakując na łóżko. - Zna się na bejsbolu, na prowadzeniu farmy, na historii. Jest o wiele mądrzejszy od Connora.

- Z ciebie też jest fajny gość. - Savannah potargała syna po włosach.

- Wiesz, co powiedział? Że każdy człowiek jest wyjątkowy. I każdy ma jakiś talent.

- Tak powiedział? - Savannah oparła się o łóżko tak, by jej twarz znalazła się na tym samym poziomie, co twarz chłopca.

- No. Wtedy jak poszliśmy kupić popcorn. Powiedział, że nie ma dwóch identycznych ludzi. I że wie, co mówi, bo ma trzech braci.

Wszyscy czterej są do siebie podobni, a zarazem się różnią.

Powiedział jeszcze, że jestem urodzonym graczem.

- Graczem? - Uśmiechnęła się. - W co?

- Oj, mam! W bejsbola. I wiesz, co jeszcze powiedział?

- Nie. Co jeszcze powiedział?

- Że nawet gdybym nie został zawodnikiem ligowym, to mógłbym inaczej wykorzystać swój talent. Oczywiście będę grał w lidze zawodowej, ale może zajmę się również prawem.

- Chciałbyś być prawnikiem? - spytała lekko przerażona.

Wyglądało na to, że jej syn darzy Jareda równie wielkim uczuciem jak ona.

- Tak. Prawnik chodzi do sądu, przepytuje świadków i wsadza przestępców za kratki. Tyle że strasznie długo trzeba się uczyć, żeby zostać prawnikiem. Jared najpierw skończył szkołę średnią, potem college, potem studia prawnicze...

- Ty też możesz, jeśli zechcesz.

- Zastanowię się. - Wyciągnął się na łóżku i przytulił do siebie poduszkę. - Dobranoc, mamusiu.

- Dobranoc, misiaczku.

Przycisnęła usta do skroni chłopca, wstała, zgasiła światło i wyszła, zamykając drzwi. Podobnie jak ona, Bryan mimo młodego wieku cenił sobie prywatność.

Miałaby mieć syna prawnika? Ona, która nawet nie skończyła szkoły średniej? Hm. Potarła ręką policzek.

Po chwili lęk ustąpił miejsca dumie. Kto wie, do czego w życiu dojdzie jej ukochane dziecko?

Weszła do sypialni i stanąwszy przy oknie, popatrzyła na ciemny las. Pomiedzy drzewami migotały światła na farmie MacKade'ów. Uśmiechnęła się. Tam, na tej farmie za lasem, mieszka mężczyzna, którego kocha.

Przytknęła dłoń do chłodnej szyby. Dobrze, że z zakochaniem się czekała na takiego faceta jak Jared MacKade.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przysłał jej kilkanaście żółtych tulipanów, które umieściła w kilkunastu starych butelkach. Później przez godzinę krążyła po domu nieprzytomna ze szczęścia.

Zabrał ją i Bryana na prawdziwy mecz odbywający się w sąsiednim okręgu, czym podbił serce chłopca.

Zaprosił ich na pizzę. Siedzieli na drewnianych ławach, muzyka z szafy grającej wypełniała salę, obok stały automaty do gry. Pizzę jedli rękami, wydzierali się, usiłując przekrzyczeć zespół rockowy, a potem szaleli przy automacie.

Byli razem na kolacji w eleganckiej restauracji, pili szampana z kryształowych kieliszków, w blasku świec patrzyli sobie w oczy, trzymali się za ręce.

Kupił jej kompost do ogródka.

- Smali do ciebie cholewki - stwierdziła Cassie, która siedziała u Savannah w kuchni, popijając lemoniadę i oglądając próbki farb.

- Co smali?

- Cholewki. - Cassie westchnęła cicho. Mimo lat spędzonych u boku męża-brutala w głębi duszy wciąż była romantyczką. - Prawda, Regan?

- Zdecydowanie. Żółte tulipany, no, no. - Żona Rafe'a popatrzyła na długi rząd butelek z kwiatami.

- Spotykamy się, to wszystko - oznajmiła Savannah, starając się zachować neutralny tembr głosu.

- Kupił ci kompost i pomógł go rozprowadzić - rzekła Cassie takim tonem, jakby mówiła o pierścionku zaręczynowym.

- To prawda - przyznała z rozmarzeniem Savannah, bo przypomniała sobie, co było później: umazani ziemią, lepcy od potu całowali się namiętnie.

- Zadurzyła się dziewczyna - stwierdziła Regan.

- Może. - Savannah wypięła łyk lemoniady. - I co z tego?

- Ależ ja nic nie mówię! Jak ci się podoba ten odcień?

- Zbyt cytrynowy.

- Racja.

Cassie z podziwem obserwowała, jak przyjaciółki wybierają i odrzucają kolory. Miała nadzieję, że kiedy odłoży dość pieniędzy na remont, Regan doradzi jej, na jaki kolor pomalować ściany w salonie. Bo żadne szorowanie już nie pomagało. A jeśli Savannah wskaże jej odpowiedni materiał, wtedy uszyje nowe zasłony do pokoju Emmy. Wesołe, pasujące do sypialni małej dziewczynki.

To były drobne, proste rzeczy, które innym kobietom nie sprawiały problemów, ale dla Cassie stanowiły wyzwanie. Po raz pierwszy w życiu nikt jej nie rozkazywał, nie mówił: zrób to, zrób tamto. Nie słyszała narzekań, krytyki, wyzwisk.

Ciągle powtarzała sobie, że teraz ona rządzi, że od nikogo nie jest zależna. Jeśli się postara, to powoli, krok po kroku, przemieni maleńki obskurny domek, w którym mieszkała z dziećmi, w prawdziwy przytulny dom. W dom, który nie będzie kojarzył się dzieciom z krzykiem, biciem i wszechobecnym zapachem piwa.

Rozejrzała się tęsknym wzrokiem po domku Savannah. Też był nieduży, za to mnóstwo w nim było koloru, kwiatów, poduszek... i kurzu.

Ona wciąż odkurzała, szorowała i pucowała, jakby bała się, że lada moment wróci Joe i zacznie się pieniść, że w domu jest nieposprzątane. Powtarzała sobie, że Joe nie wróci, bo siedzi w więzieniu, lecz mimo to, leżąc wieczorem w łóżku, nasłuchiwała jego kroków i nerwowo podskakiwała przy najlżejszym dźwięku.

A rano budziła się z uczuciem ulgi, że Joego nie ma. Z uczuciem ulgi i wstydu.

- Dzieciaki wracają - rzekła, odpychając od siebie dawne lęki. - Mogę przyrządzić więcej lemoniady?

Savannah, skupiona na kolorach, które Regan wybrała do biblioteki Jareda, skinęła w odpowiedzi głową.

Do domu wpadły trzy małe tornada.

- Jeszcze tylko trzy tygodnie! - oznajmił radośnie Bryan. - Za trzy tygodnie możemy wziąć kociaki.

Savannah obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła na widok Emmy obejmującej Cassie za nogę.

- Cześć, aniołeczku.

- Dzień dobry - przywitała się dziewczynka. - Bryan pozwolił mi pogłaskać swoje kotki. Są takie mięciutkie.

- Ona też by chciała. - Bryan, który nigdy nie cierpiał na brak śmiałości, wetknął rękę do puszki z ciastkami. - Pani Dolin, czy Emma może sobie wziąć jednego?

- Jakiego jednego? O czym mówisz, Bry?
- O kotach. Czy Emma może jednego wziąć? Shane ma ich dużo.
- Kota? - Cassie pogładziła córkę po głowie.
- Nie możemy mieć w domu zwierząt, bo... - urwała.

Zamierzała powiedzieć: bo tatuś ich nie lubi. W samą porę ugryzła się w język. Strach przed Joem nie pozwalał jej słyszeć, z jaką zazdrością w głosie Connor mówił o kotach, które Bryan dostanie, ani widzieć, jak wielką radość sprawiała Emmie zabawa z pieskiem sąsiadów.

- Właściwie dlaczego nie możemy? Możemy. Connor nagroził ją pełnym wdzięczności, promiennym uśmiechem.

- Serio? - spytał z takim niedowierzaniem, a zarazem taką nadzieją w głosie, że Cassie niemal się rozplakała. - Naprawdę możemy?

- Jasne, że tak - odparła, biorąc Emmę na rękę.

- Chcesz kotka, córeńko?

- Są takie śliczniutki.

- Ty też jesteś śliczniutka. - Tak, pomyślała Cassie. Najwyższy czas, żeby zaczęła podejmować decyzje, nie zastanawiając się nad reakcją Joego. - Connor, powiesz Shane'owi, żeby zarezerwował jednego dla nas?

- Ale fajnie. - Nieświadom tego, co rozgrywa się obok, Bryan wepchnął do ust kolejne ciastko. - Będą się mogły z sobą bawić. Hej, Con, chodź, poćwiczmy rzuty.

- Dobra. - Connor popędził za kumplem. - Dzięki, mamuś!

- Hola! - Rafe niemal zderzył się z nim w drzwiach. Udając, że nie widzi, jak Connor sztywnieje, poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- Ależ wy, chłopaki, jesteście szybcy. Jared i ja nie mogliśmy za wami nadażyć. Swoją drogą, Connor, w przyszłym roku trzeba cię zapisać do drużyny. Przecież ty w parę sekund obiegiesz wszystkie bazy. -

Przepuściwszy chłopca, Rafe wszedł do środka. - Mmm, trzy piękności. Warto było tu przyjść, oj, warto.

- Już prawie skończyliśmy. - Regan nadstawiła usta do pocałunku.

- Nie spieszy mi się...

- Cześć, przystojniaku. - Savannah poczęstowała Rafe'a ciastkiem.

- Dzięki. Cassie, dobrze, że cię zastałem. Chcę z tobą pogadać.

- Coś się stało?

- Mam problem. - Wsunął ciastko w stronę Emmy. - Dasz mi za to buziaka, co, aniołku?

Nie spuszczać oczu z ciastka, Emma przytknęła usta do jego nosa.

- Problem? - spytała Cassie. Lekko zdenerwowana, postawiła córkę na podłodze. - Idź, kochanie, do chłopców... Jaki problem?

Rafe oparł się o blat.

- Już mówię. Otóż Regan i ja znaleźliśmy dla siebie idealny dom, parę kilometrów za miastem. Oczywiście trzeba go wyremontować. - Uśmiechnął się do żony. - Mniej więcej w czerwcu chcielibyśmy się do niego wprowadzić.

- To wspaniale.

- Chodzi jednak o to, że potrzebujemy kogoś do pensjonatu. Na stałe. Kogoś, kto tam zamieszka i nad wszystkim będzie sprawował pieczę. Nad budynkiem, nad gośćmi.

- Rozumiem. - Cassie pokiwała głową. - Chcecie, żebym popytała wśród bywalców kawiarni?

- Nie, Cassie. Nam zależy na kimś, kogo znamy i komu ufamy. - Z pojemnika wyciągnął kolejne ciastko i zjadł je ze smakiem. - Co ty na to?

- Co ja na to? - powtórzyła zdezorientowana.

- Och, Rafe, nie tak się to robi - skarciła męża Regan. - Cassie, chcielibyśmy ci zaproponować pracę. Żebyś zamieszkała w pensjonacie i go prowadziła. Sami sobie nie poradzimy.

- Boże, chcecie mnie zatrudnić? - Dobrze, że nie trzymała w ręce dzbanka, bo pewnie by go upuściła. - Ale ja nic nie wiem o prowadzeniu pensjonatu. Do tego potrzebna jest wiedza, doświadczenie, a ja...

- Prowadzisz dom - zauważył Rafe. - Opiekujesz się dwójką dzieci. Świetnie sobie radzisz z klientami kawiarni. Doskonale gotujesz, niemal tak dobrze jak ja. Kiedy trzeba, przejmujesz obowiązki w kuchni. Jesteś przyjaźnie nastawiona do świata. Znakomicie dogadujesz się z ludźmi. Moim zdaniem, to wystarczające kwalifikacje.

- Ale...

- Zastanów się, Cassie - Regan ponownie przejęła od męża pałeczkę. - Wiem, że po tylu latach pracy u Ed niełatwo ci odejść z kawiarni, ale wyświadczyłybyś nam ogromną przysługę. Rafe remontuje duży apartament na drugim piętrze, w którym mogłabyś za darmo zamieszkać. Nikt by ci tam nie przeszkadzał. Może byś wpadła z dziećmi i zobaczyła, jak to wszystko wygląda? Nie masz pojęcia, ile dla nas znaczy twoja pomoc.

Własny apartament. Za darmo. W pięknym starym domu na wzgórzu. Prowadzenie pensjonatu. Cassie zakreśliło się w głowie.

- Chciałabym wam pomóc, ale...

- To świetnie - ucieszył się Rafe, klepiąc ją po ramieniu. - Po prostu przyjdź, rozejrzyj się, a potem omówimy szczegóły.

- Dobrze - zgodziła się oszołomiona propozycją.

- Na pewno wpadnę. A teraz muszę lecieć. Obiecałam chłopcom, że zrobimy hot-dogi na grillu.

- Przyniosę plecak Bryana. - Savannah poczekała, aż Cassie wyjdzie, po czym zwróciła się do Regan i Rafe'a. - Genialnie to rozegraliście. Dobrzy z was przyjaciele.

Była przy schodach, kiedy nagle spostrzegła Devina rozmawiającego na ganku z Cassie. Natychmiast się spięła.

- Mogę panu w czymś pomóc, szeryfie?

- Nie. - Popatrzył na nią przez siatkowe drzwi.

- Wybrałem się z braćmi na spacer... Ładnie pani zagospodarowała teren nad strumykiem.

- Dziękuję.

Widząc, jak Emma wyciąga do niego swoje cenne ciasteczko, Savannah zmarszczyła z zadumą czoło. Devin pochylił się i odgryzł kawałeczek.

- Ty, kwiatuszku, smakujesz o niebo lepiej - rzekł, łaskocząc ją za uchem.

Dziewczynka zapiszczała z radości.

- Możesz mnie wziąć na ręce - rzekła wspaniałomyślnie, obejmując go za szyję.

- Panienka jest bardzo łaskawa. - Z Emmą na rękach, zerknął ponownie na Savannah. - Niektóre kobiety mnie lubią.

- Na to wygląda.

- Nie jestem tu służbowo, pani Morningstar. - Posłał jej słynny uśmiech MacKade'ów. - Przyszedłem dać całusa tej ślicznej panience.

- Cmoknął Emmę w policzek.

- Ma pan przypiętą odznakę szeryfa.

- Z przyzwyczajenia. Naprawdę niczego od pani nie chcę.

- To dobrze. - Savannah zerknęła na drugi koniec ogrodu, gdzie Jared ćwiczył z chłopcami rzuty i łapanie.

- Tak, to bardzo dobrze - rzekł cicho Devin. Skinąwszy głową na znak zgody, ruszyła na górę spakować Bryanowi pizzę.

Devin zszedł z ganku. Zamienił parę słów z Cassie, nawet zdołał przywołać uśmiech na jej usta, po czym oddał jej Emmę i odprowadził wzrokiem do samochodu.

Już nie była tak przeraźliwie chuda jak podczas ostatnich paru miesięcy, zanim Joe trafił za kratki. Ale wciąż przypominała

płochliwą sarnę, która w każdej chwili gotowa jest rzucić się do ucieczki. Zawsze starał się zachowywać przy niej delikatnie, by jej nie wystraszyć, nie urazić. Cienie, które miała pod oczami, znikły, ale w oczach nadal czaił się lęk.

Martwił się o nią. Kiedy samochód z Cassie i dziećmi znikł za zakrętem, Devin dołączył do Jareda.

- Twoja dama nie bardzo mnie lubi - rzeki. Jared zamachnął się kijem bejsbolowym.

- Nie lubi odznaki na twojej piersi.

- Nie. Mnie nie lubi.

Jared obejrzał się przez ramię. Na widok Savannah, która obserwowała ich z ganku, serce zabiło mu mocniej.

- Miała ciężkie życie.

- Nie wątpię - mruknął Devin; takie rzeczy potrafił wyczytywać z twarzy. - Zależy ci na niej, prawda?

- Bardzo.

- Hm. - Nie spuszczać wzroku z kobiety na ganku, potarł palcami brodę. W przeciwieństwie do Cassie, Savannah nie przypominała płochliwej sarny; przeciwnie, sprawiała wrażenie osoby silnej, nieustraszonej. - Muszę przyznać, że od czasu rozvodu twój gust, jeśli chodzi o płęć piękną, znacznie się poprawił.

Jared oparł się o kij.

- Myślałem, że lubisz Barbarę. Devin parsknął śmiechem.

- Myliłeś się.

- Nigdy nie mówiłeś, że...

- Bo nigdy nie pytałeś. - Podniósł piłkę, rzucił wysoko, potem złapał jedną ręką. - Ale ta mi się zdecydowanie podoba.

Jared otworzył szeroko oczy.

- Przed chwilą powiedziałeś, że jej nie lubisz.

- Powiedziałem, że ona mnie nie lubi. - Devin wyszczerzył w uśmiechu zęby. - A to mi się zawsze w kobiecie podoba.

Jared zacisnął ramię wokół szyi brata. Po chwili obaj upadli na ziemię.

Obserwując zapasy na trawie, Savannah pomyślała o Bryanie i Connorze, którzy uwielbiali toczyć podobne walki. Za plecami usłyszała głos Rafe'a.

- Cholera, zaczęli beze mnie.

- Kochanie. - Regan ujęła męża za łokieć. - Obiecałeś zabrać mnie na kolację.

- Ale...

- Jutro się z nimi pobawisz. Idziemy. Cześć, Savannah.

Devin poderwał się na nogi. Uskoczywszy Jaredowi, który usiłował złapać go za kostkę, otrzepał dzinsy, pomachał Savannah na pożegnanie i pobiegł za Rafe'em i Regan.

Jared wszedł zmachany na ganek i krzywiąc się lekko, pomasował żebra.

- Parę razy nieźle oberwałem.

- To była zabawa czy walka? - spytała Savannah.

- Co za różnica? Roześmiała się.

- A o co wam poszło?

- O ciebie. - Wszedł do domu. - Masz coś zimnego do picia?

- Jak to: o mnie? - Wbiegła za nim do kuchni.

- Powiedział... - Wyjąwszy z lodówki zimne piwo, Jared oblizał się ze smakiem, po czym otworzył butelkę i pociągnął łyk. - Powiedział, że mu się podobasz, więc musiałem mu przywalić.

- Ja się podobam? Szeryfowi?

- Tak. - Pochylił się nad zlewem i opłukał twarz chłodną wodą. - Lubi cię.

- Lubi mnie? - powtórzyła zdumiona Savannah.

- Dlaczego?

- Bo ty go nie lubisz, a on bywa przekorny. Bo ja cię lubię, a on zawsze mnie wspiera. - Wytrzeł twarz ściereczką do naczyń. - Bo ma otwarty umysł i dobrą intuicję.

- Próbujesz wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia?

- Nie. Opisuję ci mojego brata. Rafe jest zadziorny, bezczelny, ambitny. Shane to luzak o złotym sercu. A Devin jest uczciwy i sprawiedliwy. - Odłożył ściereczkę na bok. - Po prostu boli mnie, że tego nie widzisz.

- Potrzebuję czasu - rzekła, a w duchu obiecała sobie, że postara się pozbyć uprzedzeń do szeryfa.

- Zaskoczyło mnie, jak cudownie radzi sobie z Emmą. Jared odzyskał humor.

- Bo my, MacKade'owie, mamy szalone powodzenie u kobiet.

- Zauważyłam. - Pociągnęła łyk z jego butelki.

- Zostaniesz na kolacji?

- Nie wolisz zjeść na mieście?
- Nie. - Popatrzyła z uśmiechem na żółte tulipany.
- Wolę zostać w domu.

Przed laty, pracując w wesołym miasteczku, poznała Dużą Mae, która obsługiwała koło fortuny. Duża Mae ciągle powtarzała, że jeśli znajdzie mężczyznę, który potrafi gotować i na którego będzie mogła bez wstępu patrzeć rano przy śniadaniu, to natychmiast za niego wyjdzie.

Po tym, jak Jared przygotował kurczaka z ryżem na ostro, Savannah stwierdziła, że Duża Mae niegłupio to sobie wykombinowała. Popijając wino, w które Jared stale ją zaopatrywał, przyglądała mu się znad płomyka świecy.

- Gdzie się nauczyłeś gotować?
 - W domu. Mama uważała, że jej synowie muszą umieć gotować. A że miała wielką drewnianą chochlę, którą lubiła wymachiwać, nie protestowaliśmy.
 - Zawsze byliście tacy zżyci?
 - Tak. W znacznej mierze to zasługa rodziców i miłości, jaką nas darzyli. - Zamilkł i na moment odpłynął myślami. - Brakuje mi ich.
- Savannah poczuła ukłucie zazdrości; zbyt słabo znała swoich, by za nimi tęsknić.
- Dobrze was wychowali.
 - Niektórzy w miasteczku mieli odmienne zdanie. Pewnie nadal mają. - Oczy błyszczały mu wesoło.
 - Ciężko pracowaliśmy na naszą reputację.

- Tak, słyszałam opowieści o awanturkach MacKade'ach. -
Oparła brodę na dłoni. - O tych nicponiach, którzy zabawiali się na
całego. To słowa pani Metz.

- Staruszka nas uwielbia.

- Tak myślę. Parę dni temu brałam benzynę, kiedy pani Metz
podjechała na stację. Zaczęły z Sharilyn rozmawiać o dawnych
dziejach.

- Z Sharilyn? - Jared odchrząknął.

- Która bardzo ciepło wspomina ciebie i twojego dodge'a rocznik
sześćdziesiąty czwarty.

Podobało się jej, że Jared nie próbuje niczemu zaprzeczać.

- Tak, to była niezła fura. Jak się miewa Sharilyn?

- Świetnie. Prosiła, żeby cię pozdrowić. - Coś sobie
przypomniała. - Który z was, niegrzecznych MacKade'ów, zatkał
kartoflami rurę wydechową w wozie szeryfa?

- Hm, burę dostał Rafe. - Jared poniósł kieliszek do ust. - Ale
winowajcą byłem ja. Ustaliliśmy, że za wszystko odpowiadamy
wspólnie, raz ten, raz tamten, bez względu na to, który zawinił.

- Bardzo demokratycznie. - Wstała od stołu i włożyła naczynia
do zlewu. - Przydałoby mi się paru braci i kilka siostr. Jako
jedynaczka nie miałam na kogo zwalić winy.

- Ojciec źle cię traktował...?

- Nawet nie. On... - zawahała się, nie wiedząc, jak najlepiej
opisać Jima Morningstara. - To był twardziel. Kochał rącze konie i
tanią whisky. Z koniem znakomicie sobie radził, z whisky dużo

gorzej. Nie potrafił zajmować się dzieckiem, ale się starał. Robił, co mógł. Niestety kiepsko mu to wychodziło.

Oparła się o Jareda, gdy podszedł do niej i objął ją w pasie.

- Umiesz jeździć konno?

- Pewnie. Umiem też rzucać lassem i wiązać cielaka. Mam na swoim koncie kilka nagród. - Obróciła się do niego. W jej oczach połyskiwały wesołe iskierki.

- Kiedy ty bajerowałeś w samochodzie panienki czy wtykałeś kartofle do rur wydechowych, ja robiłam całkiem inne rzeczy. Nie mniej pasjonujące.

- Tak? - Uniósł palcem jej brodę.

- Brałam konia, który wyglądał jak ostatnie nieszczęście, i oporządzałam go tak, że sierść mu lśniła. Najbardziej lubiłam te z ognistym temperamentem...

- Wolno przesuwiała dłońmi po biodrach Jareda. - Dzikie, krnąbrne ogiery. Wołałam takiego do siebie. Opierał się, ale w końcu posłusznie przychodził. Wtedy dosiadałam zbója. I gnałam, gnałam, gnałam...

- Próbujesz mnie uwieść? - spytał ochryple.

- A jak myślisz? - Przywarła ustami do jego ust. Zaciśniętą rękę na brzegach zlewu, przyparł ciało do jej ciała. Nie przerywając pocałunku, Savannah zaczęła się poruszać, ocierać, kołysać.

- Dotknij mnie. - Przyłożyła jego rękę do swojej piersi. Serce łomotało jej jak oszalałe. - Dotknij. Błagam, dotknij - powtarzała raz

po raz, mimo że nie potrzebował zachęty: jego dłonie błądziły po jej krągłościach.

Była jak marzenie, które się spełnia. Jak najwspanialszy sen, który dzieje się na jawie. Przytknął usta do jej szyi. Musi ją mieć, musi się z nią kochać. Dziś, teraz. Inaczej zwariuje.

Kiedy złakniony i skołowany odsunął się na moment, zaprotestowała cicho:

- Co robisz? Wracaj!

Z trudem łapał powietrze. Ona też oddychała szybko. Chociaż ręce miał zwieszane wzdłuż ciała, na opuszkach palców wciąż czuł jej dotyk.

- Zaraz...

- Już!

- Bryan nocuje u Connora? - upewnił się.

- Tak. - Zniecierpliwionym gestem chwyciła jego ręce. - Chodź na górę.

- Nie.

Nie sprzeciwiła się. Objęła go za szyję. Mogli się kochać wszędzie, również w kuchni, nie robiło jej różnicy.

- Nie, Savannah.

- Jared, bo cię ugryzę - zagroziła.

Roześmiał się.

- Gryź, ale za chwilę. Najpierw przynieś koc.

- Po co?

- Pójdziemy do lasu. - Przysunął jej nadgarstek do ust. - Chcę się z tobą kochać w lesie.

- Koc. Lecę po koc - szepnęła i ile sił w nogach wybiegła z kuchni.

Kiedy szli przez las, mając nad głową sklepienie ze świeżych wiosennych liści, księżyc w kwadrze oraz iskrzące się na niebie gwiazdy, powoli się opanowała. Dzisiejszego wieczoru uwiedzie Jareda. Zaskoczy go.

Doszedłszy do niedużej polany porośniętej miękką trawą, rozłożył na ziemi koc. Savannah zadrżała.

- Hej, mecenasie...

Stała wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, z rękami na biodrach, silna, promieniująca zmysłowością. Dzieliła ich tylko szerokość koca.

- Słucham?

- Mam nadzieję, że nie zalegasz ze składką na ubezpieczenie zdrowotne?

Błysnął w uśmiechu zębami.

- O moje siły żywotne się nie martw.

- Skarbie, ledwo będziesz dyszał, kiedy z tobą skończę.

Skoczyła, zwinna jak małpka, oplatając nogi wokół jego bioder. Jared wykonał pół obrotu, by wylądowała na nim, kiedy opadną razem na ziemię. Przez moment poczuł się lekko ogłuszony, co dało jej zdecydowaną przewagę.

Ręce Savannah były wszędzie: rozpięły jego koszulę, gładziły po brzuchu, po włosach, walczyły z zapięciem u dżinsów. Usta też nie pozostawały bezczynne.

- Poczekaj. - Przeturlał się na nią. - Zwolnij, bo inaczej to potrwa pół minuty. - Przytrzymał ją, usiłując zapanować nad własnym pożądaniem. - Za długo na ciebie czekałem...

Próbowała coś powiedzieć, ale zamknął jej usta namiętym pocałunkiem. Powoli przesuwając dłonie wzdłuż jej jędrnego, gładkiego ciała wijącego się zmysłowo. Ruchom ciała towarzyszyły ciche pomruki. Czasem paznokcie wbijały się w plecy, zachęcając, popędzając, prosząc. Mocniej, bardziej, głębiej! - zdawały się mówić. W uszach Jareda rozbrzmiewały jęki rozkoszy, sapanie, mruczenie. Wiedział, że te dźwięki będzie słyszał nawet we śnie.

Kiedy na moment się uniósł, Savannah błyskawicznie ściągnęła bluzkę. Zobaczyła błysk podniecenia w oczach kochanka. Dawniej uważała swoje ciało za przekleństwo; niektórzy wręcz twierdzili, że doprowadzi ją do zguby. Ale teraz, widząc, jak ukochany mężczyzna pożera ją wzrokiem, była zadowolona, że natura tak hojnie ją obdarzyła.

- Patrzenie na ciebie... to powinno być zabronione - powiedział ochryple.

Nic nie robił, tylko patrzył zafascynowany. Po chwili, która zdawała się wiecznością, ściągnął z niej dżinsy. Zaklął cicho i zaczął przesuwając ręce po jej nogach, od kostek do kolan, do ud i bioder. Mięśnie jej brzucha zadrżały.

- Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej istoty. Uśmiechając się ponętnie, usiadła, objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Zamknęła oczy. Rozkoszowała się pocałunkiem, pieszczotami, wiatrem, który łaskotał ją po skórze, dotykiem miękkiego koca na plecach. Na drzewach pohukiwały sowy, w powietrzu krążyły duchy.

Nie przypuszczała, że seks może być przeżyciem tak magicznym. Czuła dziwną niemoc, a także pokorę i wdzięczność. Oraz pragnienie, by dać Jaredowi wszystko. Wszystko, o co poprosi, wszystko, czego sobie zażyczy.

Określił jej włosy wokół swojego nadgarstka. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Odciągnął lekko jej głowę i przywarł ustami do jej ramienia.

Wstrząsnął nią dreszcz.

- Podoba ci się? - spytał zadowolony i spojrzał jej głęboko w oczy. - Masz piękne ramiona. - Pieścił je wargami, językiem, jedno, potem drugie, a ona oddychała coraz szybciej. - Piękne i czułe na dotyk. Gładkie jak z marmuru i niebywale miękkie.

Zostawiwszy ramiona, przeszedł do obojczyka. Savannah westchnęła błogo i ponownie zadrżała. Zachwycony odkryciem, zaczął szukać innych wrażliwych miejsc. Rewanżowała się tym samym. Niepomni reszty świata, zagubieni w świecie zmysłów, poznawali się nawzajem. Szept partnera, zdyszane oddechy, smak potu na skórze, zapach - wszystko to działało podniecająco.

I wreszcie...

Wreszcie ona, która płakała jedynie w samotności, gdy nikt tego nie widział i nie słyszał, pozwoliła, by łzy swobodnie popłynęły jej po twarzy. Byli idealnie zgrani; serca były jednym rytmem, palce zaciskały się na skórze. Promienie księżyca przedzierały się przez młode liście, gwiazdy migotały...

Jej uroda go oślebiała, a pasja i namiętność zniewalały. Poczłł, jak coś w nim mięknie, jak opór kruszeje, jak serce wzbiera miłością. Nagłe Savannah na moment znieruchomiała, a potem wzniosła się w przestworza, zabierając go z sobą w niezapomniana podróź.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Przeciągając się leniwie, zasłoniła oczy przed blaskiem porannego słońca. Ciało miała zeszywniałe, jakby całą noc gnała na dzikim mustangu po twardym, skalistym zboczu.

I nagle sobie przypomniała, że rzeczywiście...

Uśmiechnęła się tęsknie, odtwarzając w myślach wczorajszy wieczór i noc. Sądziła, że wie, czym jest głód i pragnienie; zawsze chciała mieć dom, kochającego partnera, udane życie. Zdarzało jej się przeżywać silne emocje: strach, radość, podniecenie. Ale nic nie równało się z tym, co czuła do Jareda.

Miała w życiu paru mężczyzn; takich, którzy odcisnęli na niej piętno, i takich, którzy niewiele dla niej znaczyli. Rozstawała się z nimi bez żalu. Żadnego nie potrzebowała. A Jareda tak. Był jej potrzebny jak powietrze. Nie wyobrażała sobie życia bez niego.

On jako pierwszy, jedyny i ostatni zdobył jej serce.

Gdy ciało i umysł się obudziły, zaczęły docierać do niej dźwięki: śpiew ptaków, szczekanie psów Shane'a. Promienie słońca przedzierające się przez liście grzały coraz mocniej, lekki wiaterek przyjemnie chłodził skórę. Przeciągnęła się ponownie niczym kot, który czeka, by go pogłaskano.

- Masz tatuaż.

Zamruczała cichutko, przesunęła rękę nad głowę i wreszcie otworzyła oczy.

Siedział obok, z potarganymi włosami, z namysłem wpatrując się w jej prawe udo. Obudzić się i ujrzeć koło siebie takiego mężczyznę... Pomyślała sobie, że chyba na całym świecie nie ma drugiej takiej szczęściary.

- Dobrze rano wyglądasz. - Poglądziła go. - Nagi i rozwichrzony...

Nie był pewien, jak długo wpatrywał się w śpiącą Savannah. Ale kiedy ściągnął z niej koc, żeby nacieszyć wzrok, ku swej radości odkrył na jej ciele małego kolorowego ptaszka.

- Masz tatuaż - powtórzył.

- Owszem. - Oparła się na łokciach. - To feniks - wyjaśniła rozbawiona niezwykłym skupieniem malującym się na twarzy mężczyzny. - Wiesz, ten, co ciągle powstawał z popiołów. Zrobiłam go sobie w Nowym Orleanie, kiedy mój los się odmienił i zrozumiałam, że nie będę klepać biedy do końca życia.

- Tatuaż...

- Niektórym mężczyznom podobają się takie ozdoby na kobiecym ciele. - Oczywiście zrobiła to dla siebie, nie dla mężczyzny. By pamiętać, że jest jak ten legendarny ptak, którego nic nie pokona. - A tobie?

- Mnie też.

Nie wiedział, dlaczego ten mały ptaszek tak bardzo go fascynuje. Jakie jeszcze Savannah ma tajemnice? Jakie jeszcze nosi ślady z przeszłości? Oderwał wzrok od jej gładkiego uda i przeniósł na twarz. Znow przeszył go dreszcz.

- Jak się czujesz?

- Jakbym spędziła całą noc na uprawianiu dzikiego seksu w lesie. - Śmiejąc się wesoło, objęła go za szyję.

- Innymi słowy, bosko. - Jej ciepłe wargi na moment zastygły na jego ustach. - A ty?

- Tak samo. Fantastycznie.

Przytulił ją z całej siły i trzymał w ramionach jak jeszcze nikt dotąd. Jakby naprawdę mu na niej zależało.

- Pewnie nie możemy zostać tu do końca życia?

- Nie, ale możemy wrócić - odparł. Musiał zebrać się w sobie, przemyśleć kilka rzeczy, a nie mógł, kiedy ją obejmował. Poza tym potrzebny był na farmie; zaniedbywał obowiązki. - Powinienem iść - szepnął. Ale zamiast wstać, przycisnął twarz do jej włosów.

- Na farmie niedziela nie jest dniem wolnym od pracy.

- A ja powinnam wkrótce odebrać Bryana. - Oparła głowę na ramieniu mężczyzny.

- Może byście wpadli do nas później?

- Dobrze.

- Savannah?

- Hm?

Zmiażdżył jej usta w pocałunku.

- Jeszcze raz... - szepnął, kładąc ją na kocu.

Wracał na farmę skołowany, zamroczony. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która aż tak go odurzyła. Nogi miał jak z waty. Niemal potknął się o wylegującą się na słońcu kotkę. Kiedy mijał

chlew, świnie natychmiast wychwyciły jego zapach i zaczęły pochrząkiwać, licząc na śniadanie. W kurniku gdakały kury.

Pocierając brodę, skierował się do kuchni. Smakowite zapachy unoszące się w powietrzu uświadomiły mu, jak potwornie jest głodny. Mógłby zjeść nie tylko kielbaski, które Devin podsmażał na patelni, ale i patelnię.

- Kawy... - jęknął, wyciągając ręce do dzbanka z kawą.

Devin zerknął na niego, a potem na Shane'a siedzącego przy stole i popijającego kawę. Bracia wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

- Masz koszulę na lewą stronę - zauważył Devin. Jared oparzył się w język, zaklął i opadł na krzesło.

Uśmiechając się od ucha do ucha, Shane mrugnął do Devina.

- Nasz starszy braciszek wygląda na bardzo utrudzonego. Jakby całą noc czołgał się po lesie.

- Powinienem był wysłać za nim ekipę poszukiwawczą. - Devin wybił jajka na patelnię. - To musi być okropne. Spędzić samotnie noc w lesie, w którym straszy.

- Masz rację, ja bym chyba tego nie wytrzymał. Napij się kawy, Jared; to ci dobrze zrobi. - Z zatroskaną miną Shane postawił na stole dzbanek. - Napij się, a potem o wszystkim nam opowiesz. Niczego nie pomijając. Wiesz, że w każdej sytuacji możesz na nas liczyć.

Jared nalał sobie drugi kubek i znowu oparzył się w język.

- Zakochałem się w ekstancerce egzotycznej z tatuażem na ciele - oznajmił.

Devin wprawnym ruchem obrócił jajka na drugą stronę.

- To ona była striptizerką?

- I gdzie ma tatuaż? - spytał Shane, którego ciekawość została ukarana kuksańcem w zębra. - No dobra, nie musisz szczegółowo opowiadać, ale mógłbyś mniej więcej wskazać miejsce.

- Zakochałem się - powtórzył z namysłem Jared, jakby sam ledwo w to wierzył.

- Wielkie mi rzeczy! Przecież nie po raz pierwszy w życiu. - Shane wyjął bułeczki z piekarnika. - Przynajmniej tym razem wykazałeś się dobrym gustem.

- Zamknij się, mały - mruknął Devin. Zsunąwszy jedzenie na półmisek, podszedł do stołu. Usiadł i przez chwilę z uwagą wpatrywał się w twarz Jareda, po czym wolno pokiwał głową. - Na zabój? - spytał, mrużąc oczy.

Jared przyłożył dłoń do serca, które - miał wrażenie - dwukrotnie zwiększyło swoją objętość.

- Tak mi się wydaje.

Potrząsając głową, Shane przerzucił ciepłe bułeczki do koszyka na pieczywo.

- Chryste, padamy jak muchy. Najpierw Rafe, teraz ty. - Przeniósł koszyk na stół, usiadł, podparł ręką brodę. - Zaczynam się bać.

- Powiedziałaś jej? - spytał Devin.

- Jeszcze nie. Muszę sobie wszystko przemyśleć.

- Kurczę, zaraz znów będziemy się stroić w garnitury i składać przysięgi. - Niezbyt uradowany tą perspektywą, Shane zaczął nakładać sobie porcję.

- Przecież słowem nie wspomniałem o małżeństwie - obruszył się Jared. Na samą myśl o tym zrobiło mu się słabo. - Już raz byłem żonaty.

- Żonaty tak, ale szczęśliwy nie. - Rozpogodziwszy się, Shane przystąpił do jedzenia. Porządne śniadanie zawsze poprawiało mu humor. - Równie dobrze mogłeś zasypiać przytulony do kłody drewna.

- Tak? A skąd ty to wiesz? Shane popił jajka kawą.

- A stąd, że nigdy wcześniej nie widziałem cię w takim stanie jak dziś.

Devin pokiwał głową; zgadzał się z Shane'em.

- W czym problem, Jare? Chodzi ci o jej syna? Boisz się...

- Nie, nie. Bryan to świetny dzieciak.

Jared nałożył sobie resztki z półmiska. Polubił chłopca; lubił się z nim bawić, rozmawiać z nim. Dzieci to był jeden z powodów rozstania z Barbarą; on marzył o nich, ona była przeciwna.

Nie chodziło o Bryana. Raczej o faceta, który go spłodził. A także o innych facetów w życiu Savannah.

Wiedział, że to przeszłość, jednak nie potrafił pogodzić się z faktem, że kiedyś istnieli. I dlatego był zły na siebie.

Napotkał porozumiewawcze spojrzenie Devina.

- Po prostu muszę się przyzwyczaić do nowej sytuacji.

- Na tym polega kłopot z prawnikami, Jare. Chcą wszystko wiedzieć, znać każdy szczegół, a potem wszystko dokładnie przeanalizować i przedstawić argumenty za i przeciw. Zawsze byłeś w tym dobry; umiałeś wskazać dobre strony czegoś, a po chwili sprawić, że się o nich zapominało i widziało same wady. Może tym razem powinieneś dać sobie spokój i zaakceptować sytuację taką, jaka jest?

Jared westchnął cicho. Chciałby. I miał nadzieję, że mu się uda.

Nie wprowadził się do domku Savannah. Ale spędzał tam większość nocy, część jego ubrań wisiała u niej w szafie, a książki znalazły miejsce na jej półkach.

Wracając z pracy, zazwyczaj odbierał Bryana z treningu. Czasem od razu jechali do domu, częściej jednak zostawali chwilę na boisku, ćwicząc rzuty i łapanie piłki.

Jeżeli coś go zatrzymywało w biurze, dzwonił do Savannah, by ją uprzedzić. Niekiedy dzwonił tylko po to, aby usłyszeć jej głos.

Dość regularnie kupował jej kwiaty, a Bryanowi karty do kolekcji albo inne drobiazgi. Wszędzie jeździli we troje; w miasteczku huczało od plotek, którymi się nie przejmowali.

Bryan akceptował go bez zastrzeżeń, co cieszyło Jareda, a jednocześnie stresowało. Chciał wierzyć, że akceptacja chłopca wynika z sympatii, że Bryan uważa go za członka rodziny. Choć czasem miewał wątpliwości: może mały był przyzwyczajony, że wokół jego mamy kręcą się mężczyźni?

Ilekcroć nachodziły go takie myśli, natychmiast starał się je przepędzić. W końcu przeszłość nie ma znaczenia, liczy się dzień

dzisiejszy. To, jak Savannah na niego patrzy; jak się śmieje, kiedy wygłupiają się z Bryanem na trawie przed domem; jak kopie w ogródku, a potem trzyma się za obolałe plecy; jak marszczy czoło, kiedy siedzi skupiona przy pracy.

Liczyło się to, jak cudownie pachnie, kiedy wyłania się z gorącej kąpieli; jak preży się w łóżku i jak reaguje na jego pieszczoty; jak sięga po jego rękę, kiedy wieczorami siadają na ganku i bujają się na huśtawce.

Cały dzień spędził w sądzie, potem długo nie potrafił uwolnić się od napięcia. Wychodząc z kancelarii, zabrał kilka dokumentów, by popracować nad nimi w domu. Wiedział jednak, że ból głowy, nim minie, da mu się we znaki.

Po drodze zatrzymał się w miasteczku, żeby kupić aspirynę. Wstąpił do drogerii i zaczął chodzić między półkami w poszukiwaniu jakiegoś genialnego środka, który mu pomoże.

- No proszę! Kogo ja widzę? - Przejście zagroziła mu pani Metz, miejscowa królowa plotek.

- Dzień dobry, pani Metz. - Mógł ją wyminąć i pójść dalej, ale tak się w małych miasteczkach nie robiło, a poza tym lubił staruszkę. Do dziś pamiętał, jak częstowała go ciastkami własnej roboty. I jak przeganiała go miotłą. - Co u pani słyhać? Wszystko w porządku?

- Średnio na jeża. Czekam na deszcz. Zbyt sucha była wiosna w tym roku.

- Wiem, Shane też narzeka.

- Ale zanosi się na burzę. Wieczorem lunie jak nic... Podobno mały Morningstar świetnie się spisał w sobotnim meczu?

- Tak! Zdobył mnóstwo punktów dla drużyny. Pani Metz roześmiała się wesoło, wprawiając w ruch swoje liczne podbródki.

- Mówisz jak dumny tatuś - rzekła i dodała szybko, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć: - Czasem was widuję, ciebie, chłopca i jego mamę. Piękna z niej kobieta.

- Bardzo piękna - przyznał Jared, sięgając po pierwsze lepsze tabletki przeciwbólowe.

- Na pewno nie było jej łatwo. - Staruszka przesunęła się na środek przejścia, blokując Jaredowi drogę. - Znaczy się, wychowywać samej chłopca. Oczywiście w dzisiejszym świecie wiele kobiet się z tym boryka. Przyjechała z synem z Zachodu, prawda? Pewnie ojciec chłopca nadal tam mieszka...

- Nie wiem, nie orientuję się - odparł Jared, czując, jak ból rozsadza mu czaszkę.

- Ojciec powinien czasem zobaczyć się z synem, no nie? Mieszkają tu już ponad cztery miesiące, a facet ani razu jej nie odwiedził. Wydawałoby się, że powinien zatęsknić za synem...

- Powinien.

- Rzecz jasna, niektórych facetów guzik obchodzi własne potomstwo. Choćby Joego Dolina. - Skrzywiła się, wymawiając imię męża Cassie. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że pomagasz bidulce w sprawie rozwodowej. Zwykle rozwody są paskudne, ludzie się kłóca, wyzywają od najgorszych. Kiedy starszy syn mojej siostry się

rozwoził, dosłownie leciały pióra. Założę się, że podczas sprawy rozwodowej Savannah Morningstar też tak było.

Sprytna, pomyślał z uznaniem Jared. Nie zamierzał jednak dostarczać miejscowym plotkarkom informacji o Savannah.

- Nie pytałem jej o to.

- Kiedyś zadawałeś więcej pytań - stwierdziła staruszka i zanim odburknął, uśmiechnęła się promiennie. - A teraz proszę, pan mecenas z teczką. Kilka razy przyjeżdżałam do sądu, żeby obejrzeć cię w akcji.

Złość z niego wyparowała.

- Tak, wiem. - Ilekroć widywał ją na ławie pod oknem, ubraną w kwiecistą sukienkę i porządne skórzane pantofle, czuł się tak, jakby miał własną wierną publiczność.

- To lepsze niż oglądanie w telewizji serialu o Per-rym Masonie. Tak powiedziałam mężowi. Powiedziałam: ten nasz Jared jest o wiele lepszy od Perry'ego Masona. Twój rodzice byliby z ciebie dumni, chłopcze. To niesamowite, nikt w miasteczku nie wierzył, że synowie MacKade'ów wyrosną na praworządnych obywateli. - Tak ją ta myśl rozbawiła, że zatrzęsała się ze śmiechu. - O Chryste, jaki był z ciebie łobuziak!

Sądziś, że nie wiem, kto podbił mojemu Pete'owi oko po wiosennym balu w szkole?

Tak, to było przyjemne wspomnienie.

- Zalecał się do mojej dziewczyny.

- Sharilyn miała w tamtych czasach duże powodzenie. To z nią wtedy chodziłeś, prawda?

- Krótko.

- Koło was, MacKade'ów, zawsze kręciło się mnóstwo dziewczyn. Savannah Morningstar pewnie cieszy się, że owinęła sobie wokół palca takiego przystojniaka, nie? - trajkotała staruszka. - Muszę przyznać, że ładnie razem wyglądacie. I wiesz co? Myślę, że Savannah spodobałaby się twojej mamie.

Zastanawiał się nad tym, wracając samochodem do domu. Spodobałaby się? Chyba tak. Ciekawe, jak by ją matce przedstawił? Jako kobietę samotnie wychowującą dziecko? Tancerkę egzotyczną? Pracownicę wesołego miasteczka? Kowbojkę chwytającą na łące cielaki? Artystkę sprzedającą swoje rysunki na ulicy?

Korciło go, aby wstąpić do Rafe'a lub pojechać prosto na farmę. Tylko po to, aby udowodnić wszystkim, że nikt go sobie nie owinął wokół palca. Ale, tak jak zawsze, skręcił do domu Savannah. Gdyby postąpił inaczej, zachowałby się jak tchórz.

A MacKade'owie nie są tchórzami.

Przez otwarte okno dochodziła głośniejsza muzyka. Zwykle śmieszyło go, że Savannah nastawia radio na pełny regulator. Ale dziś nic go nie śmieszyło. Siedział w samochodzie, pocierając bolącą głowę.

Wreszcie wysiadł i z teczką, która zdawała się ważyć tonę, wszedł na ganek. Przez siatkę w drzwiach dojrzał zwróconą tyłem kobietą sylwetkę: Savannah stała przy zlewie, myjąc naczynia, i niskim, zmysłowym głosem wtórowała piosenkarce, kołysząc biodrami do rytmu.

O Chryste, ruszać to się ona potrafi! - pomyślał, czując, jak jego serce przeszywa paląca zazdrość; w tym samym momencie niebo przeszła błyskawica.

Zanim zdołał się powstrzymać, trzasnął drzwiami. Huk wstrząsnął powietrzem niczym wystrzał z pistoletu. Savannah podskoczyła wystraszona i obejrzała się za siebie.

- Możesz to ściszyć? - krzyknął.

- Jasne. - Podeszła do szafki i wyłączyła sprzęt.

- Nie słyszałam twojego samochodu.

- Nie usłyszałaabyś pociągu towarowego, nawet gdyby podjechał pod sam dom.

Zdziwiona jego rozdrażnionym tonem, uniosła pytająco brwi.

- Ciężki dzień? - Wytarła mokre ręce o dzinsy. Podeszedł do stołu, na którym stały wazonie urokliwe stokrotki, i cisnął teczkę na blat.

- W ten sposób tańczyłaś dla zarobku?

Cios był tak nagły i niespodziewany, że dosłownie zaparło jej dech. Zadrzała. Dopiero po chwili wzięła się w garść.

- Nie - odparła spokojnie. - Za taki taniec wiele by mi nie zapłacono. - Wyjęła z lodówki piwo, na które wcale nie miała ochoty. Ale musiała na czymś zacisnąć ręce, żeby się nie trzęsły. - Napijesz się?

- Nie, dziękuję. Nie przeszkadzało ci, że faceci się na ciebie gapią? Że się ślinią?

- Nieszczerólnie. - Podniosła butelkę do ust i pociągnęła łyk złocistego płynu.

- Innymi słowy, sprawiało ci to przyjemność?

- Zadawał pytania takim samym tonem, jakim przepytывałby zaprzysiężonego świadka. - To, że się ślinią?

- Tańcem zarabiałam na życie. Opłacałam czynsz. Mężczyźni zawsze się za mną oglądali. Uznałam, że równie dobrze mogą płacić za patrzenie.

- A skoro płacili za patrzenie, to mogli także płacić za... - urwał przerażony tym, czego o mało nie powiedział. Nawet nie sądził, że jest zdolny do takich podejrzeń.

Tym razem nie zapało jej tchu; skoro nastąpił jeden cios, liczyła się z tym, że mogą nastąpić kolejne. Wzruszyła ramionami.

- Owszem, taki pomysł przyszedł mi do głowy. Nie miałam nic, tylko własne ciało. I pomyślałam sobie: czemu nie wystawić go na sprzedaż?

Zamierzał ją przeprosić, ale słowa utknęły mu w gardle.

- I wystawiłaś?

Zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Idę powiedzieć dobranoc Bryanowi. - Chłodne spojrzenie stało się wrogie, kiedy Jared chwycił ją za łokieć. - Nie zatruwaj mi życia, MacKade. Zostań, odejdz, rób, co chcesz. Ale nie zatruwaj mi życia.

Oswobodziła się mocnym szarpnięciem i poszła na górę.

Miał ochotę coś zepsuć, porwać, stłuc. Najlepiej coś takiego, żeby później wbić sobie ostry koniec w rękę albo brzuch. Zamiast

tego wyjął z kieszeni tabletki przeciwbólowe, rozerwał opakowanie i łyknął trzy. Popił je piwem.

Savannah przykryła syna kocem i pocałowała na dobranoc. Potem zamknęła się w łazience, gdzie lodowatą wodą kilka razy opłukała rozgrzaną twarz.

Jaka była głupia! Jaka ślepa, że nie widziała tego, co Jared ukrywa. Jaka ufna i naiwna, że nie zabezpieczyła się emocjonalnie, że nie wzniosła wokół siebie muru.

Teraz to zrobi. Jeszcze nie jest za późno. Nie pozwoli, aby ranił ją pytaniami, tymi wypowiedzianymi na głos i tymi niewypowiedzianymi, które widziała w jego oczach. Nie pozwoli, aby ją poniżał czy obrażał. Nie zrobiła nic, czego musiałaby się wstydzić. Zasługiwała na szacunek.

Starła się odzyskać spokój, znaleźć jakiś cichy kąciek, w którym mogłaby się schować i przeczekać burzę.

Ale nie potrafiła; miała wrażenie, że Jared ją wszędzie odnajdzie.

Osuszyła ręcznikiem twarz, splukała umywalkę. Nasłuchiwała, czy Jared odjechał, czy jeszcze nie. Słyszała grzmoty, skrzypienie, ale nie słyszała warkotu silnika.

Kiedy zeszła na dół, Jared siedział nad papierami przy kuchennym stole. Na jej widok zsunął okulary. Odwróciła się i wyszła na zewnątrz. Postanowiła na ganku poczekać na burzę.

Burza nadciągała z zachodu. Wiatr powoli przybierał na sile, coraz gwałtowniej gwałcił drzewa. Wreszcie lunęło jak z cebra. Potężne błyskawice rozdzierały niebo.

Powietrze wypełniał orzeźwiający zapach ozonu. Savannah odrzuciła w tył głowę i wzięła głęboki oddech. Wiatr targał jej włosy, deszcz moczył twarz. Nieopodal rozbłysła błyskawica i oświetliła cały las.

Po paru minutach, zrezygnowawszy z pracy, Jared również wyszedł na ganek. Savannah była przemoczona do suchej nitki, włosy opadały jej w strąkach, ubranie lepiło się do ciała. Mimo że zrobiło się chłodno, nie dygotała z zimna. Słyszając kroki, odwróciła się, oparła o balustradę i skrzyżowała bosc nogi.

- Coś jeszcze chciałbyś powiedzieć?

Mimo że zdjął krawat i podwinął rękawy, czuł się jak prawnik.

- Ostatnie pytanie sformułowałem w sposób niezręczny - rzekł, nienawidząc tonu, jakim mówił. -I za to cię przepraszam. Ale nie za to, że chciałem uzyskać odpowiedź. Nadal chcę. Pytanie brzmi: czy się prostytuowałaś?

- Pytanie zręczniejsze sformułowane, tak, panie mecenasie?

- Mam prawo wiedzieć.

- Niby dlaczego?

- Cholera jasna! Sypiam z tobą! Prawie tu mieszkam.

Zaciskając zęby, przechyliła w bok głowę.

- Czy kiedykolwiek żądałam od ciebie zapłaty? -Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, gdy usiłował się zbliżyć. - Nie dotykaj mnie.

Masz tupet, MacKade. Zachowujesz się, jakbym była twoją własnością, czynisz mi zarzuty z mojej przeszłości. Lepiej wbij sobie do głowy, że nie należę do ciebie, a moja przeszłość nie ma z tobą nic wspólnego.

Postąpił krok w jej stronę, drugi. Wokół szalała wichura. W jego sercu również.

- Tak czy nie?

Savannah usiłowała go odepchnąć. Przywarł do niej, ujął w palce jej brodę.

- Myślisz, że kieruje mną ciekawość? Nie, ja to muszę wiedzieć. I zaakceptuję odpowiedź bez względu na to, jaka będzie. Zzaakceptuję, bo cię kocham. - Zacisnął mocniej palce na jej brodzie. - Kocham cię, Savannah.

Łzy napłynęły jej do oczu. Unosząc dumnie głowę, z całej siły pchnęła go.

- Tak wyznajesz mi miłość? - krzyknęła. - Savannah, czy byłaś dziwką? Powiedz, bo cię kocham? I zaakceptuję każdą odpowiedź? A idź do diabła! Nie chcę tego. Nie chcę czuć się jak ulicznica.

- Nie, błagam! - Kiedy otworzyła siatkowe drzwi, miał ochotę rzucić się za nią. Wiedział jednak, że nie powinien, że za bardzo ją skrzywdził. - Nie odchodź. Proszę cię. Przepraszam. Masz absolutną rację.

Zatrzymała się. Całe życie marzyła o własnym domu i wreszcie go ma. Zamknęła oczy i zadumała się nad Jaredem; nigdy nie

przypuszczała, że kiedykolwiek u jej boku może pojawić się taki mężczyzna, a jednak się pojawił.

Poczuła się zmęczona, jakby stoczyła ciężki bój.

- Nie sprzedawałam się - rzekła cicho, głosem pozbawionym emocji. - Nawet wtedy, gdy byłam bardzo głodna. Mogłam; miałam mnóstwo okazji. Pewnie wiele osób myślało, że w taki sposób zarabiam na życie. Ale się mylili. Nie robiłam tego głównie ze względu na Bryana. Nie zasługiwał na to, żeby mieć matkę, która za usługi seksualne kupuje jedzenie i płaci czynsz. - Biorąc głęboki oddech, odwróciła się przodem. - Czy ta odpowiedź cię satysfakcjonuje?

Najchętniej cofnąłby czas o godzinę. Z drugiej strony miał świadomość, że gdyby nie zapytał, ciągle by się zadreślał przeszłością Savannah. Ale wiedział też, że to nie koniec. Że są inne sprawy, które muszą omówić.

Lecz nie dzisiaj. Dzisiaj padło zbyt wiele bolesnych słów.

- To straszne - szepnął. - Skóra mi cierpnie na myśl, że stanęłaś przed takim wyborem. Że byłaś zdana tylko na siebie.

- Przeszłości nie da się zmienić. Zresztą niczego bym zmieniać nie chciała.

Ostrożnie, niepewny jej reakcji, podszedł krok bliżej.

- Savannah, kocham cię. Uwierz, proszę. Nigdy w życiu nikogo tak bardzo nie kochałem. I pragnę cię do szaleństwa. - Uniósłszy rękę, dotknął jej mokrych włosów. - Pozwól się objąć. Błagam, tylko objąć.

Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Kiedy po chwili wahania opasała mu rękami szyję, poczuł nie-wysłowioną ulgę.

- Zraniłem cię. Przepraszam, maleńka. Nawet nie przypuszczałem, że jestem do tego zdolny. - Zawstydzony, przytknął usta do jej czoła. - Ja...

- Cii - szepnęła. - To już nieważne. To nie ma znaczenia.

Ponownie ujął ją za brodę i popatrzył w ciemne, lśniące od łez oczy.

- Kocham cię na śmierć i życie. Kocham bez pamięci. Kocham do szaleństwa. Za każdym razem, gdy cię widzę, czuję się pijany ze szczęścia.

Nie była w stanie dobrać słowa. Od dawna marzyła, żeby spojrzeć na nią z miłością w oczach. O tym, żeby tak żarliwie wyznawał jej uczucie, nawet nie śmiała marzyć. Z całej siły objęła go za szyję.

- Drżysz... Zmarzłaś.

- Nie. Jared, ja też cię kocham. Nie wiem, jak inaczej to powiedzieć.

- Nie musisz. - Wziął ją na ręce. - Burza odchodzi. Chcę się z tobą kochać i słuchać szumu ciepłego deszczu.

Całując Savannah po policzku, po szyi, zaniósł ją do sypialni. Położył ją na łóżku.

Nie zapalił światła; wystarczył im blask księżyca i migoczący płomyk świecy.

Ściągając z niej mokre ubranie, delikatnie gładził jej ciało. Naga, lekko stremowana, uklękła na brzegu łóżka i zaczęła rozpinać koszulę Jareda. Palce jej drżały. Podniósł je do ust.

Materac się ugiął. Czują w powietrzu zapach deszczu i mokrej ziemi. A potem świat znikł. Rozpłynął się. Był tylko on i ona.

Oszołomieni miłością, obserwowali uważnie swoje reakcje, słuchali bicia serca. Unosili się razem, niczym fala. Płynnie. Jakby stanowili jeden organizm.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bryan uwielbiał farmę. Fascynowała go przestrzeń, zwierzęta, kowboje. Wciąż pamiętał zgiełk i ciasnotę panujące w miastach. Zawsze mieszkali z mamą w małych pokoikach, okna zwykle wychodziły na sąsiedni budynek, a ściany były tak cienkie, że słyszało się głosy sąsiadów, ich śmiech i krzyki.

Nie to, żeby nie lubił miast. W mieście zawsze znajdował coś ciekawego do roboty, jakieś fajne miejsce, które można było obejrzeć. A mama, kiedy tylko miała czas, zabierała go do parku albo na plac zabaw.

Pamiętał też, że często pracowała do późna w nocy. A także, że często bywała zmęczona i smutna. Nigdy nie rozumiał dlaczego.

Pamiętał Nowy Orlean, miasto barwne, pełne pulsującej muzyki i ludzi, którzy mówili dziwnie wolno. Pamiętał donicę z czerwonymi kwiatami, która stała w domu na parapecie.

Lubił siadywać u stóp matki, bawić się samochodzikami albo oglądać książki, podczas gdy ona malowała. Zdarzało się, że przychodził ktoś pozować do portretu: siadał na składanym krzeselku, a mama węglem lub kolorową kredą rysowała jego twarz na wielkim arkuszu papieru.

Mniej więcej w tym czasie nastąpiła zmiana w ich życiu, zmiana na lepsze. Mama przestała pracować nocami i jej oczy już nie były takie zmęczone i smutne.

Ale nigdzie nie było tak dobrze, jak tutaj. Mama od dawna obiecywała, że kiedyś zamieszkają we własnym domu. I dotrzymała słowa. Teraz miał ogródek, w którym mógł szaleć, i przyjaciół, z którymi nie musiał się rozstawać. Takich jak Connor. Connor był fajny, chociaż chłopaki w szkole żartowali z niego i opowiadali okropne rzeczy o jego ojcu.

Może dlatego opowiadali, przyszło mu nagle do głowy, że nie wiedzieli, jak to jest dorastać bez ojca? On wiedział.

Choć z mamą nie miał złego życia. Mama ze wszystkim dawała sobie radę, a w ważnych sprawach zawsze pytała go o zdanie. Mama trafiła mu się świetna.

Podobało mu się, że spytała, czy chce zamieszkać w domku na skraju lasu. A przecież mogła, jak wielu rodziców, po prostu oznajmić, że się tam wprowadzą. Potem, kiedy już kupiła dom, pozwoliła mu wybrać meble do pokoju: piętrowe łóżko, plakaty na ścianę, wielką drewnianą skrzynię na zabawki.

W dodatku teraz mógł wpadać na farmę, kiedy tylko chciał. No, prawie.

Shane był super. Niczego mu nie zabraniał, cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania. Devin też był fajny, mimo że nosił odznakę szeryfa. Rafe'a również lubił; uwielbiał patrzeć, jak tarza się po ziemi, walcząc z psami.

A Jared... Bryan często się zastanawiał, jak by to było, gdyby Jared zamieszkał z nimi na stałe. Jak prawdziwy ojciec, z którym

można pograć w piłkę i pogadać o wszystkim; jak ojciec, który codziennie wraca po pracy do domu i na powitanie całuje swoją żonę.

Tak, Jareda ubóstwiał. Leżąc wieczorem w łóżku, marzył o tym, żeby najstarszy z MacKade'ów został jego ojcem. Większość rzeczy, o których marzył, zasypiając, się spełniała, więc może to marzenie też się spełni?

Słońce świeciło, osuszając mokrą po deszczu ziemię. Poranna mgła znikła, pozostawiając czyste, rześkie powietrze. Bryan z Connorem siedzieli z psami na trawie, nieopodal słychać było głosy dorosłych szykujących niedzielny obiad.

- Myślisz, że Fred i Ethel będą mieć szczeniaki? Gładząc złocistą psią sierść, Connor zadumał się nad odpowiedzią.

- Hm, ludziom, którzy są małżeństwem, rodzą się dzieci. Więc pewnie z psami jest tak samo.

Bryan prychnął pogardliwie i dźgnął Connora w bok.

- Ludzie wcale nie muszą być małżeństwem, żeby mieć dzieci. Wystarczy, jak się w sobie bujają.

Gdyby ktokolwiek inny wyraził taką opinię, Connor przypuszczalnie spiekłby raka. Ale Bryan nie wprawiał go w zakłopotanie, toteż z powagą pokiwał głową.

- No to Fred z Ethel doczekają się małych, bo się w sobie bujają.

Bryan spojrzał w stronę domu. Przez otwarte okno w kuchni dolatywał śmiech.

- Jared chyba buja się w mojej mamie. Connor wytrzeszczył oczy.

- I będą mieli dziecko?

- Nie. - Bryan objął Ethel za szyję. - Chociaż byłoby fajnie. Ty masz Emmę...

- Fakt.

- Wolałbym brata, ale siostra też mogłaby być. I wiesz, gdyby tak się stało, to znaczy, gdyby się urodziło dziecko, to Jared pewnie zamieszkałby z nami na zawsze.

- To różnie bywa - powiedział cicho Connor.

- Czasem kiedy w domu mieszka mężczyzna, to jest bardzo źle. Bo on krzyczy, bije żonę i się upija, no i w ogóle.

Bryan zmarszczył czoło: to mu do głowy nie przyszło.

- Ale chyba nie wszyscy?

- Chyba nie - odparł z wahaniem Connor. - Ale ja bym nie chciał, żeby jakiś mężczyzna znów u nas zamieszkał.

Bryan puścił Ethel, a zamiast tego objął za szyję przyjaciela.

- Jeśli po wyjściu z więzienia twój ojciec spróbuje do was wrócić, będzie miał z tobą do czynienia. Z nami - poprawił się. - Będzie miał z nami do czynienia.

- No właśnie - przytaknął Connor. - Będzie miał z nami do czynienia.

- Prowadzą jakąś poważną rozmowę - rzekła Savannah, wyglądając przez kuchenne okno.

- Connor nigdy dotąd nie miał przyjaciela - powiedziała Cassie. Nie mógł mieć, pomyślała, bo Joe każdego, kto przychodził do domu, wyzywał od najgorszych.

- Bry też nie. - Savannah uśmiechnęła się, patrząc na ich zapasy na trawie. Psy też się przyłączyły do zabawy. Na obiad cała czwórka pojawi się umorusana.

- Coś mi to przypomina. - Wsunąwszy ręce do kieszeni, Devin podszedł do okna. Savannah odruchowo zeszywniała. - W niedzielne popołudnia myśmy ciągle toczyli boje.

- Nie tylko w niedzielne - wtrącił Rafe. - Mam wrażenie, że we wszystkie.

- Pamiętacie, jak któregoś dnia mama poląła nas szlauchem? - Shane wrzucił do ust rzodkiewkę.

- Wściekła się na nas. Babcia z dziadkiem mieli przyjść na obiad, a myśmy się napażali w odświętnych strojach.

- Ty zacząłeś - przypomniał sobie Jared. - Ukradłeś moją piłkę i zgubiłeś ją na polu.

- Nie ukradłem, tylko pożyczyłem. I nie ja zgubiłem, tylko Devin.

- Nie Devin, a Rafe - sprostował Devin. - Miał ją złapać.

- Złapać? Po twoim rzucie? Nigdy nie potrafiłeś trafić do celu.

- Ja? Ja nie potrafiłem?

- Kochani! - zawołała Regan, zapobiegając kłótni.

- W tej atmosferze braterskiej miłości i solidarności chcielibyśmy z Rafe'em coś ogłosić. - Uśmiechnęła się do męża. - Prawda?

- Prawda. - Rafe podniósł jej dłoń do ust. - Będziemy mieli dziecko.

Po krótkiej ciszy nastąpił ogólny wybuch radości. Shane porwał Regan w ramiona, wycałował ją, a Rafe'owi dał kuksańca.

- Nie boksuj, tylko oddaj mi żonę.

- Zaraz. - Shane ponownie ją wycałował. Zamierzał przekazać roześmianą Regan jej prawowitemu małżonkowi, kiedy przechwyił ją Jared, a potem Devin.

- Do jasnej ciasnej, oddajcie mi kobietę!

Obserwując czterech poszturchujących się MacKade'ów, którzy na wyścigi obcałowywali szczęśliwą przyszłą matkę, Savannah popatrzyła na Cassie.

- Następne pokolenie MacKade'ów... przerażająca myśl.

- Regan da sobie radę. - Cassie przełknęła łzy. - Ona ze wszystkim sobie poradzi. - Gospodarze byli zajęci, więc podeszła do kuchenki sprawdzić pieczeń.

Savannah pocałowała Jareda w policzek.

- Gratuluje, wujciu.

- Rafe będzie tatusiem! - Uśmiech nie zniknął Jaredowi z twarzy.

Savannah obejrzała się przez ramię. Pozostali bracia wciąż przekazywali sobie Regan z rąk do rąk.

- W ten sposób MacKade'owie świętują ciążę? Rzucając kobietą?

- Nie wiem, jeszcze się nie wyrobił żaden zwyczaj. To nasze pierwsze dziecko.

Uzmysłowiła sobie, że powiedział prawdę. Że dziecko Regan i Rafe'a będzie dzieckiem wszystkich MacKade'ów. Wiele o tym

myślała podczas obiadu, w trakcie którego z ożywieniem dyskutowano o opiece nad dzieckiem, o najładniejszych imionach dla chłopców i dziewczynek, o obowiązkach, jakie czekają przyszłego ojca. To dziwne, że dopiero teraz, kiedy zakończyli tułaczy tryb życia i na stałe osiedli w Antietam, zrozumiała, iż ani ona, ani jej syn nie znają pojęcia pełnej rodziny.

Mieli siebie nawzajem i to się liczyło. Bryan był mądrym, wesołym, dobrze wychowanym dzieckiem. Przyjrzała mu się, gdy nabierając jedzenie na widelec, rechotał z pomysłu Shane'a, aby dziewczynkę nazwać Lulubelle MacKade. Tak, udał się jej syn.

Niestety pozbawiony był radości i problemów związanych z posiadaniem wujów, ciotek, dziadków, rodzeństwa. Mogła mu dać wszystko, lecz nie to. Oby nigdy nie odczuł ich braku.

- A tak w ogóle, Regan, to jak znosisz ciążę? - spytała Cassie ponad głosami mężczyzn.

- Świetnie. Żadnych porannych mdłości, o których tyle piszą w poradnikach, żadnego zmęczenia. Po prostu świetnie.

- Ja miałam wszystkie możliwe objawy. - Cassie pogładziła córkę po lokach. - Na szczęście nie były strasznie dokuczliwe, a przy drugiej ciąży już wiedziałam, czego się spodziewać. A ty, Savannah?

- Przez trzy miesiące czułam się jak zbity pies. Codziennie wymiotowałam. - Podała synowi miskę z pieczonymi ziemniakami. - Ale warto było pocierpieć. - Mrugnęła do Bryana.

- Codziennie przez trzy miesiące? - Regan wzdrygnęła się.

- Codziennie. Bry, jeśli otworzysz buzię odrobinę szerzej, zmieścisz trzy ziemniaki naraz.

- Są pyszne - powiedział z pełnymi ustami chłopiec.

- Identyczne robiła nasza mama. - Devin dołożył Bryanowi kolejną porcję. - Urządzaliśmy zawody, kto najwięcej zje. Najczęściej wygrywał Jared.

- To prawda. - Jared odłożył widelec i dziwnym wzrokiem wpatrywał się w Savannah.

- Mały pobije twój rekord - stwierdził Shane i rzucił bułką, którą Jared przechwycił w locie.

Bryan powtórzył manewr i rzucił bułką do Connora. Ten złapał ją, zanim wylądowała na podłodze.

- Doskonały refleks - pochwalił chłopca Rafe.

- Hej, Con, zapiszesz się w przyszłym roku do drużyny?

- Nie wiem. - Odłamując kawałek bułki, Connor zerknął spod oka na swoją mamę.

- Connor jest najlepszym miotaczem, jakiego znam - oznajmił Bryan, smarując bułkę masłem.

- Nikt tak dobrze nie rzuca, jak on.

- Connor, nic nie mówiłeś, że chcesz grać w bejsbola - powiedziała Cassie. I nagle urwała. Oczywiście, że nie mówił. Ojciec w nic z nim nie grał, a z doskonałych wyników, jakie syn osiągał w szkole, wyśmiewał się; twierdził, że kujon nigdy nie wyrośnie na prawdziwego faceta.

- Ale słabo odbijam. - Connor zaczerwienił się.

- Rzucania piłką nauczył mnie Bryan.
- Popracujemy nad odbiciami - oznajmił Devin.
- Możemy zacząć zaraz po obiedzie. Co ty na to?

Connor uśmiechnął się szeroko. To wystarczyło za odpowiedź.

Wkrótce z podwórza doleciały śmiechy i krzyki. Cassie wyjrzała przez okno i ujrzała Devina pochylonego za Connorem; razem trzymali kij i odbijali piłki rzucone przez Jareda.

- To miło, że się bawią z chłopcami.
- I że nam zostawili talerze do umycia - rzekła Savannah.
- Ten, kto gotuje, nie zmywa. - Regan napełniła zlew ciepłą wodą. - To jedna z zasad MacKade'ów.

- Sensowna - przyznała Savannah. Ale kiedy popatrzyła na stosy brudnych garnków i talerzy, nie była pewna, kto lepiej na tym wyszedł: kucharze czy pomywaczki.

- Słuchajcie, chciałam spytać... - zaczęła Regan, po czym roześmiała się nerwowo. - Boże, to głupie.

- Śmiało - zachęciła ją Savannah, sięgając po ścierkę.

Regan zanurzyła talerz w wodzie.

- Tak się zastanawiam.... skoro obie przez to przeszłyście... zastanawiam się, jak to jest. No, wiecie...

- Poród? Jak przeprawa przez Dolinę Śmierci.

- Savannah, nie strasz jej. - Cassie poklepała Regan po ramieniu.
- To naprawdę nie jest takie straszne.

- Chcesz powiedzieć, że to jak spacer po plaży? - spytała Savannah. - Nie wierz jej, Regan.

- Ani przeprawa, ani spacer. Poród to naturalna część życia.

Która boli jak diabli - dodała ze śmiechem Cassie.

- Kurczę, i po co pytałam? - Regan pokręciła głową, nie potrafiła jednak poskromić ciekawości.

- Jak długo trwały wasze porody?

- Connora rodziłam trochę ponad dwanaście godzin, Emmę niecałe dziesięć.

- Innymi słowy, wieczność - wtrąciła ze śmiechem Savannah.

- Nie strasz mnie, błagam. Lepiej powiedz, ile trwał twój.

Kwadrans, prawda?

Savannah zaczęła wycierać umyty półmisek.

- Troszkę dłużej. Trzydzieści dwie radosne godziny.

- Trzydzieści dwie...? - Regan zbladła i niemal wypuściła talerz z rąk. - To nieludzkie.

- Tak bywa. W dodatku szpital, w którym rodziłam, nie należał do luksusowych. Ale to by niczego nie zmieniło. - Savannah wzruszyła ramionami. - Naprawdę nie masz się czym przejmować, Regan. Rafe cały czas będzie przy tobie. I jak znam życie, reszta MacKade'ów też, chyba że twój lekarz poleci sanitariuszom i strażnikom, aby zagrodzili im drogę.

- A ty rodziłaś sama? Nikt ci nie towarzyszył?

- Nikt. - Nagle za siatkowymi drzwiami spostrzegła Jareda. - Gra skończona?

- Nie. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Część zawodników zażyczyła sobie piwa. I wypadło na mnie, że bym po nie poszedł.

Cassie otworzyła lodówkę.

- A dzieciaki coś chcą?

- Jasne. Też się zgrzały. - Wziął sześciopak piwa, dwa kartony soków i bez słowa wrócił na podwórko.

- Znacie najskuteczniejszą metodę pozbycia się faceta? - spytała lekkim tonem Savannah. - Zacząć przy nim rozmowę o porodzie. - Czowała jednak dziwny niepokój. Jared coś przed nią ukrywał.

- Kiedy pierwszy raz wspomniałam Rafe'owi o szkole rodzenia, zbladł jak ściana. - Regan postawiła kolejny talerz na ociekaczu. - Ale szybko wziął się w garść.

- Możesz na nim polegać. - Savannah zerknęła na boisko. - On cię kocha do szaleństwa. A to najważniejsze.

- Tak. - Z błogim uśmiechem Regan zanurzyła w wodzie kolejne naczynie. - To najważniejsze.

W drodze do domu zobaczyła pierwszego w tym roku robaczka świętojańskiego. Lato się zbliża, pomyślała, patrząc, jak Bryan, który biegł przodem, atakuje niewidzialnych wrogów wyłaniających się z drzew. Chciała, żeby nadeszło. Marzyła o upale, o długich dniach i ciepłych, bezwietrznych nocach.

Właściwie to marzyła o ciągłości. O tym, aby przeżyć wszystkie cztery pory roku tu, w tym domu na skraju lasu. Z mężczyzną, który idzie u jej boku.

- Coś cię trapi? - spytała cicho. - Jesteś taki zamyślony...

Zwolnił kroku. Chętnie pozostałby w lesie, wśród duchów ludzi, którzy zmarli, zanim jeszcze oni przyszli na świat.

- Zamyślony? Może. Mam parę trudnych spraw w sądzie. Poza tym malarze zawładnęli kancelarią. Finalizuję rozwód Cassie. No i wkrótce zostanę wujkiem.

- Mówisz jak rasowy prawnik. Wypowiadasz słowa, a nie udzielasz odpowiedzi.

- Jestem prawnikiem.

- Dobra, poczekaj chwilę... Bryan! - zawołała do syna. - Marsz do wanny, a potem prosto do łóżka!

- Ojej, mamoo...

- Bez dyskusji. Zaraz przyjdę sprawdzić, czy umyłeś nogi.

Chłopiec pognął do domu. Ze swojego miejsca na skraju lasu Savannah patrzyła, jak kolejno zapalają się światła, znacząc trasę syna do łazienki na piętrze. Po chwili przez otwarte okno doleciał śpiew; dzieciak potwornie fałszował, ale zawsze śpiewał, kiedy wchodził do wanny.

- Dlaczego jesteś prawnikiem?

Pytanie zdumiało Jareda, głównie dlatego, że myślał o czymś całkiem innym.

- Dlaczego jestem prawnikiem?

- Spróbuj udzielić krótkiej, rzeczowej odpowiedzi.

- Po pierwsze, lubię ten zawód - odparł. - Lubię wynajdywać różne kruczki i argumenty, rozważać wszystkie za i przeciw, wygrywać. Po drugie, uważam, że sprawiedliwość jest ważna. System prawny, choć ma wiele wad, jest nam potrzebny.

- Czyli wierzysz w sprawiedliwość, lubisz się spierać w sądzie i wygrywać. Wystarczy jedno zdanie. Widzisz, jakie to proste?

- O co ci chodzi?

- O to, że lubisz również wszystko niepotrzebnie komplikować. - Poglądziła go po policzku. - Co teraz komplikujesz?

- Nic. - Ujął ją za przegub i przycisnął jej dłoń do ust. - Niczego nie komplikuję. Czerpię przyjemność z waszych odwiedzin na farmie, z siedzenia przy stole w gronie bliskich mi ludzi, z tego, że wszyscy gadają na raz...

- I rzucają w siebie bułkami.

- Tak, i rzucają bułkami. Podoba mi się, że ty z Regan i Cassie krzacie się po kuchni, kiedy my gramy z chłopcami...

- Typowe. - Uśmiechnęła się. - Mężczyźni odpoczywają po obiedzie, kobiety zmywają naczynia.

Zgarnął ją w ramiona. I nagle poczuł tchnienie przeszłości: głosy żołnierzy, jęki, brzęk bagnetów, huk wystrzałów.

- Czujesz? - szepnął.

- Tak. - Zamknęła oczy. Wyczuwała strach, desperację, nadzieję.

- Zastanawiałeś się, dlaczego oni wciąż tu są? Co ich tu trzyma?

- Walka. Która nigdy się nie kończy.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie walka. Potrzeba. Potrzeba dotarcia z powrotem do domu. Potrzeba znalezienia spokoju. Ja go tu odnalazłam.

Przytrzymał ją, gdy chciała się uwolnić.

- Stałem za drzwiami, kiedy rozmawialiście w kuchni. To strasznie, że rodzac Bryana, byłaś zdana wyłącznie na siebie. I że przez tyle miesięcy codziennie wymiotowałaś.

- Ciężarne kobiety często miewają poranne mdłości.

- Może. Ale szesnastolatki w ciąży mające mdłości i zdane wyłącznie na siebie to raczej rzadkość.

- Nie lituj się nade mną. To było dawno temu.

- Odsunąwszy się, popatrzyła mu w oczy. - Ale tobie chodzi o co innego, prawda?

- Mam mętlik w głowie. - Przeszkadzało mu, że nie potrafi zajrzeć w głąb siebie, uporządkować chaos, dojrzyć to, co ważne. - O wiele rzeczy chcę cię spytać, lecz nie wiem jak. - Na moment zamilkł.

- Mówisz, żeby się nad tobą nie litować. Ale tak nie powinno być. Żadne dziecko nie powinno być pozostawione samo sobie, żadne nie powinno w samotności podejmować tak ważkich życiowych decyzji.

- Nie byłem dzieckiem - sprzeciwiła się. - Skoro byłem na tyle dorosła, żeby zająć w ciąży, to mogłam ponosić konsekwencje swojego zachowania. To był mój wybór. Urodzenie Bryana to jedna z najmądrzejszych decyzji, jakie podjęłam.

- Nie miałem na myśli Bryana - zaproponował gwałtownie Jared. - Raczej to, gdzie mieszkać, z czego się utrzymywać, jak żyć. Oburzasz się, że nie byłem dzieckiem. Rany boskie, miałaś szesnaście lat. Zasługiwałaś na lepszy los.

- Bryan jest moją nagrodą. Najlepszą. Wiedział, że jej nie przekona. Po raz pierwszy w życiu brakowało mu argumentów.

- Zastanawiałaś się, jak by to było począć dziecko z miłości?

Uśmiechnęła się.

- Byłoby cudnie. Idziesz ze mną do domu? Wziął ją za rękę.

- Tak, idę z tobą do domu.

Spała, a on leżał obok, rozmyślając o niej, o jej życiu i o miłości. Nigdy świadomie nie szukałby takiej kobiety jak Savannah. Czuł się niezręcznie, przyznając się do tego.

Nie była osobą wykształconą, obytą w świecie. A on takich szukał, czytanych, eleganckich, wytwornych.

Szukał i znalazł przed laty. A znalazłszy, ożenił się. I popełnił błąd. Ale przecież każdy pragnie i potrzebuje partnera, którego rozumie, którego świat nie jest mu obcy. Zaś w życiu Savannah istniały rzeczy, których nie potrafił pojąć. Rzeczy, które ich dzieliły. O których nie wiedział, bo je ukrywała.

Młoda dziewczyna w ciąży, zdana tylko na siebie. Współczuł jej, lecz - co uświadomił sobie z przerażeniem - nie do końca jej ufał.

Kim była, co robiła, czego pragnęła? Duma nie pozwalała mu o to pytać. Zaszła w ciążę, urodziła dziecko innego mężczyzny, wielu mężczyzn o niej fantazjowało.

Nie potrafił się z tym pogodzić, przejść nad tym do porządku dziennego.

Savannah przekreśliła się na drugi bok. Ilu mężczyzn kochała? Ilu ją całowało i pieściło? Ilu marzyło o tym, żeby być tym jednym jedynym?

Przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu. Była miękka, uległa, rozgrzana. Potarł nosem jej ramię, rozkoszując się zapachem jej skóry, świeżym, zmysłowym zapachem, który rozsiewała wokół.

Znał jej poranne zwyczaje. Budziła się o świcie, ale nie wyskakiwała z łóżka. Przeciagała się leniwie, jakby sen był stanem, z którego należy wyłaniać się powoli, bez pośpiechu. Otwierała oczy, delikatnie gładziła go po ramionach i torsie. Akurat gdy ogarniało go podniecenie, spuszczała nogi i siadała na brzegu łóżka. Długie czarne włosy opadały jej na plecy. Wkładała niebieski bawełniany szlafrok i szła obudzić Bryana do szkoły.

Czasem Jared też wstawał. Ale często leżał w łóżku, słuchając jej kroków, a potem dochodzących z sypialni chłopca głosów. Leżał i marzył o tym, żeby do niego wróciła.

Niekiedy miał wrażenie, że Savannah rzuciła na niego czary. Znała go lepiej niż on ją. Znała duchy, które zamieszkiwały jego świat. Była pierwszą kobietą, która przechadzając się po jego lesie - bo uważał ten las za swój - wyczuwała obecność zmarłych.

To ich łączyło; tworzyło między nimi więź silniejszą niż więź fizyczna czy nawet psychiczna. To była więź duchowa, której nie sposób się było oprzeć lub przeciwstawić. Nie mieli wyboru; po prostu podążali w tym samym kierunku, ku jednemu celowi.

Tak rozmyślając, zacisnął rękę wokół talii Savannah i ponownie zapadł w sen.

Siła wybuchu cisnęła go w powietrze. Przeleciał metr nad ziemią i opadł, uszkadzając sobie biodro. Ból rozsadzał mu głowę, oczy łzawiły od dymu. Tak trudno było się skupić! Tak trudno zmusić do wysiłku!

Nie pamiętał, kiedy wszedł do lasu. Czy czołgał się po ziemi, czy biegł, chcąc się skryć za drzewami? Nie wiedział, w którą stronę iść. Był zdezorientowany i przerażony. Tyle osób nie żyło. Chłopak z Connecticut, z którym wczoraj podzielił się kolacją i z którym rozmawiał długo po zapadnięciu nocy, leżał podziurawiony w płytkim rowie.

Był sam, całkiem sam w ciemnym lesie. Wiedział, że musi znaleźć bezpieczne miejsce, żeby trochę odpocząć i nabrać sił. Do domu nie miał daleko; musiał tylko dostać się na północ do Pensylwanii. Las w Marylandzie niewiele różnił się od lasu w pobliżu jego farmy.

Tak, musi odpocząć, poczekać, aż skończy się ta wojna, która miała być wspaniałą przygodą, a okazała się koszmarem z najgorszego snu.

Zaledwie miesiąc temu obchodził siedemnaste urodziny. Nie zdążył jeszcze poznać smaku kobiecych ust.

Zmęczony, oparł się o drzewo. Jak to możliwe, że las jest tak piękny, bajecznie kolorowy, przepełniony zapachem jesieni? I dlaczego nieopodal ziemia drży od wybuchów? Dlaczego hałas nie

milkanie? Dlaczego wciąż rozlegają się strzały i jęki rannych? Kiedy będzie mógł wrócić do domu? Wzdychając ciężko, odepchnął się od drzewa, obszedł głaz i ucieszył się na widok ścieżki. W tym samym momencie zobaczył szary mundur żołnierza Konfederacji.

Zawahał się, ale tylko chwilę. Przecież to był wróg; przeszkoda na drodze ku temu, czego pragnął.

Zsunął z ramienia broń. Stojący naprzeciw niego młodzieniec wykonał identyczny manewr. Obaj kiepsko strzelali. Usłyszał przy uchu świst naboju. Serce mu zamarło. Potem obaj, z okrzykiem na ustach, rzucili się do ataku. Rozległ się szcęk bagnetów.

Wróg miał oczy niebieskie jak niebo w bezchmurny dzień. Pomyślał to i w tym samym momencie poczuł, jak ostrze wbija mu się w ciało. Niebieskie, młode, przerażone oczy.

Walczyli jak wściekłe psy, ale niewiele z tej walki zapamiętał. Pamiętał zapach własnej krwi. Pamiętał, jak wędruje samotnie między drzewami, których liście mieniają się kolorem jesieni- Pamiętał, jak potyka się i upada. Jak czołga się, a łzy ciekną mu po twarzy.

Przez tych kilka godzin, jakie zostały mu do śmierci, pamiętał stojący za polaną kamienny dom o spadzistym dachu, pamiętał rośliny, zapach zwierząt.

Z tęsknoty za własnym domem rozplakał się.

Ktoś do niego podszedł: starszy mężczyzna o pomarszczonej twarzy przysłoniętej rondem kapelusza. Pomyślał wtedy o swoim ojcu i nawet próbował coś powiedzieć, ale kiedy mężczyzna wziął go na rękę, jedynie zasyczał z bólu.

Potem pojawiły się kobiety. Pamiętał krzyki i szepty; miękkie dłonie i ogień w palenisku; wilgotne kompresy i straszliwy ból.

Z każdym słowem, jakie wypowiadał, czuł pieczenie w gardle. Ale miał wiele do powiedzenia. I miał słuchacza. Kobietę pachnącą liliami, która trzymała go za rękę.

Chciał jej powiedzieć, swojemu aniołowi, że z dumą i godnością służył ojczyźnie. Że teraz z dumą i godnością umrze, chociaż bardzo tęskni za rodziną i domem.

Umarł.

Jared obudził się z walącym sercem. Obok Savannah poruszyła się we śnie i obróciwszy do niego twarzą, objęła go mocno w pasie.

To mu wystarczyło.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ściskając pod pachą trzy owinięte papierem obrazy, Savannah pchnęła drzwi kancelarii. Z daszka bejsbolówki, którą pożyczyła od Bryana przed wyruszeniem do Hagerstown, kapały jej na nos krople deszczu.

Na dźwięk otwieranych drzwi Sissy podniosła wzrok, po czym wybiegła z za biurka.

- Pomogę ci.

- Dzięki. - Savannah przekazała sekretarce obrazy. - Mam więcej w samochodzie.

- Zejdę z tobą na dół.

- Nie ma sensu, żebyśmy obie mokły. - Savannah popatrzyła na świeżo pomalowane zielone ściany, fioletową kanapę, skórzane fotele.

- Remont się posuwa.

- Na szczęście. - Sissy oparła obrazy o stół. - Przynajmniej dam ci parasol...

- Zabraknie mi ręki. Zresztą i tak jestem mokra. Przebiegła kilkadziesiąt metrów do samochodu.

Lało jak z cebra, ale deszcz był ciepły. Przynajmniej już nikt nie obawiał się suszy, jak ją poinformowała pani Metz, kiedy wpadły na siebie rano na poczcie.

Akurat w tym momencie Savannah wolałaby suszę, ale parę deszczowych dni sprawiło, że kwiaty, które zasadziła przed domem, pięknie zakwitły.

Kiedy wróciła z resztą obrazów, była przemoczona do suchej nitki. Woda chlupała jej w butach.

- Szefer u siebie? - Zdjąwszy czapkę, przeczesła palcami wilgotne strąki. - Lepiej, by rzucił okiem na te dzieła sztuki, zanim je powieszę.

- Ma klienta - odparła z uśmiechem Sissy. - Ale ja umieram z ciekawości. - Chwyciła z biurka nożyczki. - Mogę rozpakować?

- Jasne. Też będziesz z nimi codziennie obcować.

- Zdziwiał mnie tempo zmian. - Sissy rozcięła sznurek i zaczęła odwijać pierwszy obraz. - Szefer, jak sobie coś postanowi, to natychmiast przystępuje do działania. Nie waha się, nie marudzi... O Jezu! Jaki piękny!

Obraz przedstawiał barwną scenę uliczną: domy z balkonami, z których zwisały ukwiecone pnącza, i ludzi. Sissy najbardziej podobał się przytupujący nogą skrzypek, tęga czarna kobieta w szerokiej czerwonej sukni i trzech chłopcy goniący psa o żółtej sierści. Patrząc na obraz, niemal słyszało się śmiech i muzykę.

- Jest wspaniały. Naprawdę wspaniały. Mam nadzieję, że zawiśnie tutaj? Na dole?

Savannah, uradowana reakcją Sissy, skinęła głową.

- To Nowy Orlean. Słynna Dzielnica Francuska. Pomyślałam, że ożywi atmosferę w części recepcyjnej.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo znudziły mi się bladuróżowe kwiatki w szarym wazonie. Marzyłam, żeby zwiędły. A na to miasto mogę patrzeć bez końca. Studiowałaś malarstwo?

Niewinne pytanie sprawiło, że uśmiech na twarzy Savannah zastygł.

- Nie. Nie byłam w college'u.

- Ja przez semestr chodziłam na zajęcia ze sztuki - ciągnęła Sissy, trzymając przed sobą obraz. - Powiedziano mi, że nie mam za grosz talentu. Ledwo dostałam zaliczenie.

Na dźwięk telefonu skrzywiła się, oparła obraz o ścianę i podniosła słuchawkę.

Savannah zgała się w duchu. Nie powinna mieć kompleksu niższości tylko dlatego, że nie ukończyła żadnych studiów. Co z tego, że nie ma dyplomu, skoro potrafi malować?

Przez lata wmawiała sobie, że sztukę może traktować wyłącznie jako hobby. I tak ją traktowała. Jako hobby, kaprys, zachciankę. Często musiała wybierać między zjedzeniem lunchu a kupnem farb. Zwykle farby wygrywały.

Na szczęście tamte czasy dawno minęły. Los się do niej uśmiechnął, kiedy dostała zamówienie na ilustracje do książki dla dzieci. Nadal się z tego utrzymywała. Lubiła tę pracę. Jednak ilustracje wykonywała na zamówienie, a obrazy malowała dla siebie.

Do kancelarii Jareda przyjechała dobrze przygotowana. Podczas jednej z poprzednich wizyt dokładnie wymierzyła ściany, więc teraz spoconą ze zdenerwowania dłonią wygrzebała z torby młotek i miarkę, zaznaczyła ołówkiem punkt na środku ściany i odwróciła się, czekając, aż Sissy zakończy rozmowę.

Sprawnie wbiła hak i zawiesiła na nim obraz w prostej ramie z wiśniowego drewna. Ramę wybrała Regan; Savannah musiała przyznać, że projektantka dokonała świetnego wyboru.

- Odrobinę krzywo. Lewy róg przesunąć ciut wyżej. O, tak! - Sissy skinęła głową. - Znakomicie. Najwyższy czas, żeby to miejsce bardziej kojarzyło się z Jaredem, a mniej z jego...

- Eks-żoną? - spytała Savannah, zerkając za siebie. Sissy skrzywiła się.

- To była jedna z tych kobiet, które zawsze są idealnie uczesane, nigdy nie podnoszą głosu i którym nigdy nie odpryskuje lakier z paznokcia.

- Musiała mieć w sobie coś, co Jaredowi się podobało.

Sissy zerknęła na schody prowadzące do gabinetu szefa.

- Była piękna, ale zimna. Z wyglądu trochę przypominała Grace Kelly, ale nie miała jej ciepła ani poczucia humoru. Wszystko robiła doskonale, zarówno w pracy, jak i w życiu. Mówiła po francusku jak rodowita paryżanka, ładnie grała na pianinie. Czytała Kafkę.

Savannah przybrała neutralny wyraz twarzy. Nie wiedziała, kim jest Kafka, ale z całą pewnością jego lub jej nie czytała.

- Na swój sposób wzbudzała podziw. Tyle że była nudna jak flaki z olejem. - Sissy uśmiechnęła się szeroko. - Czego o tobie zdecydowanie nie można powiedzieć - dodała, ponownie sięgając po telefon.

To prawda, pomyślała Savannah; nie jestem nudna jak flaki z olejem. Ale nie jestem również doskonała, nie wyglądam jak Grace

Kelly, nie gram na pianinie i nazwisko „Kafka” nic mi nie mówi. Porozumiewała się trochę po francusku.

Starając się nie myśleć o kobiecie, którą Jared wybrał sobie kiedyś na żonę, odpakowała następny obraz. Na ścianie w holu zawiesiła trzy martwe natury. Zapełnianie pustych płaszczyzn, a tym samym ożywianie przestrzeni, sprawiało jej przyjemność. Na zewnątrz deszcz bębnił o szyby, Sissy stukała w klawiaturę, a Savannah nuciała cichutko pod nosem.

Dotarła na piętro. Nie chciała jednak walić młotkiem, kiedy Jared rozmawiał w gabinecie z klientem, więc przeszła na drugi koniec korytarza do pokoju byłej pani MacKade.

Nie, nie pani MacKade. Savannah przypomniała sobie, że żona Jareda zachowała własne nazwisko.

W tym pokoju Regan kazała pomalować ściany na kolor wiśniowy. Wstawiła biurko, wygodne fotele, stoliki, regał z książkami. A także szafkę, na której stał ekspres do kawy i filiżanki.

Tu Jared mógł rozmawiać z gośćmi w mniej oficjalnej atmosferze. Albo odpoczywać. A może zamierzał przyjąć wspólnika?

Przyszło jej do głowy, że niewiele wie na temat pracy Jareda, jego planów, rozkładu dnia. Po części była to jej wina; nigdy go o nic nie pytała. Ale czy chciałby dyskutować z nią o sprawach, którymi się zajmuje? Nie miała przecież zielonego pojęcia o sądach, paragrafach, winach i karach.

Z żoną przypuszczalnie rozmawiał o swojej pracy. Przypuszczalnie... Przestań, skarciła się w duchu; z żoną się rozwiódł.

Wyszła do holu, kiedy drzwi gabinetu Jareda się otworzyły.

- Za kilka dni wyślę ci projekt umowy... - Jared urwał. - Dzień dobry, Savannah.

- Dzień dobry. Przyjechałam porozwieszać obrazy...

- Przedstawisz mnie tej pięknej istocie, czy mam sam...

- Już, już, spokojnie. Savannah Morningstar, Howard Beels.

- Savannah... pasuje do pani to imię. - Potężnie zbudowany mężczyzna, na oko pięćdziesięcioletni, wyciągnął na powitanie rękę wielkości bochna chleba. Jego niebieskie oczy ukryte między fałdami skóry błyszcząły wesoło. - Pani pracuje u tego ladaco?

- W pewnym sensie. - Savannah setki razy widziała takie pełne zachwyty spojrzenia, uznała jednak, że facet jest niegroźny. - A pana ten ladaco reprezentuje?

Mężczyzna ryknął donośnym śmiechem.

- W tym brudnym, skorumpowanym świecie człowiekowi przydaje się bystry prawnik. Ten tu doradza mi od... ile to już minęło? Pięć lat?

- Mniej więcej. - Jareda zaskoczyła łatwość, z jaką Savannah rozmawia z jednym z jego najbogatszych i najważniejszych klientów.

- Czym się pan zajmuje? - zwróciła się do Howarda.

- Trochę tym, trochę tamtym. - Wciąż ścisnął jej dłoń. - Jestem, że tak powiem, artystą. A pani?

- Ja również.

- Tyle że w przeciwieństwie do ciebie, Savannah tworzy dzieła sztuki - wtrącił Jared. - Kiedy odwiedzisz mnie następnym razem, zobaczysz na ścianach jej obrazy.

Howard skierował wzrok na płótna stojące na podłodze.

- Pani je namalowała?

- Tak.

Puścił jej rękę i kucnął, żeby im się przyjrzeć.

- Ładne - stwierdził. W jego głosie brzmiał autentyczny zachwyt.

- Ile pani żąda za coś takiego?

- Hm. Tyle, ile sadzę, że klient gotów jest zapłacić. Pokręciwszy ze śmiechem głową, mężczyzna wyprostował się.

- Podoba mi się ta dziewczyna, Jared. Kochanie, dam ci moją wizytówkę. - Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął biały kartonik.

- Zadzwoń do mnie. Mówię serio. Chętnie kupiłbym ze dwa obrazy.

- W porządku, Howardzie. - Savannah zerknęła dyskretnie na wizytówkę, ale nie było tam nic, co by zdradziło, czym się trudni Howard Beels. - Na pewno zadzwonię.

- Tylko nie czekaj do następnej wiosny, słyszysz?

- Pogroził jej palcem, spojrzał na Jareda. - A ja czekam na umowę.

Savannah odprowadziła go wzrokiem.

- Zabawny człowiek.

- Dobrze sobie z nim poradziłaś.

- Och, jestem przyzwyczajona do różnych typów.

- Schowała wizytówkę do kieszeni. - Na dole już skończyłam. Gdyby ci nie przeszkadzało, chętnie powiesiłabym obrazy w holu.

- Wieszaj. - Wparty o framugę, obserwował ją przy pracy. - Trochę bardziej na prawo - podpowiedział. - Howard to pies na kobiety.

- Zauważyłam. - Odstawiła obraz i sięgnęła po młotek. - Z jednej strony pies na kobiety, a z drugiej wierny mąż od... bo ja wiem... dwudziestu pięciu lat. Zgadza się?

- Dwadzieścia sześć stuknęło w maju. Ma troje dzieci, czworo wnucząt, uwielbia kobiety i jest jednym z najbardziej inteligentnych biznesmenów, jakich znam. Zajmuje się głównie nieruchomościami. Kupuje, sprzedaje, buduje. Ma kilka małych hoteli oraz większość udziałów w pięciogwiazdkowej restauracji.

- Naprawdę?

- Zasiada też w radzie artystycznej muzeum Western Maryland. Omal nie zmiażdżyła sobie młotkiem kciuka.

- To ciekawe. - Odłożyła młotek na podłogę. - Zdaje się, że znalazłam się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

- Z grzeczności nie prosiłby, żebyś do niego zadzwoniła.

Howard nie rzuca słów na wiatr. Nie wiem jedynie, czy artyście nie przeszkadza, kiedy jego prace wiszą w hotelach, restauracjach i kancelariach prawnych.

Savannah zamknęła oczy.

- Mnie na pewno nie. - Powiesiwszy obraz, cofnęła się krok.

- Nie marzysz o wystawach?

- Ściana w hotelu czy w kancelarii w zupełności mi wystarczy.
- Zastanawiam się, dlaczego nie mierzysz wyżej?
- Bo zadowala mnie to, co mam. Uśmiechając się, pogładził ją po twarzy.

- Jesteś skomplikowaną osobą, wiesz? Skomplikowaną, a zarazem zdumiewająco bezproblemową. To fascynująca mieszanka. Może pójdziemy na lunch?

- Miła propozycja, ale wolałabym skończyć pracę... Idź sam, a ja powieszę obrazy w twoim gabinecie.

- Mam lepszy pomysł. Zamówimy coś przez telefon, a czekając na jedzenie, popatrzę, jak pracujesz.

- Dobrze. - Nerwowym ruchem wsunęła ręce do kieszeni. - Jared, chcę ci coś pokazać. Nie widziałeś tego obrazu, ale pomyślałam sobie, że może ci się spodoba. I może zechcesz go mieć w gabinecie.

- Pokaż - poprosił zaintrygowany.

Ruszyła na koniec holu po zawinięte w papier płótno.

- Ale jeśli się nie spodoba, to nie ma sprawy. Nie musi tu wisieć.
- Wniosła pakunek do gabinetu, położyła na biurku i cofnęła się parę kroków. - Tak czy inaczej, to prezent.

- Prezent? - Jared podszedł do biurka, wyjął nożyczki, przeciął sznurek i zaczął odwijać papier. Był wyraźnie przejęty.

Przyglądała mu się z napięciem. Nagle zauważyła, jak uśmiech znika z jego warg. Zrobiło się jej smutno.

Obraz przedstawiał gęsty, tajemniczy las skąpany w srebrzystym świetle księżyca. Z czarnych, poskręcanych pni wyrastały gałęzie

pełne świeżych wiosennych pąków. Gdzieś widać było plamy koloru: krzewy azalii, derenia. Kamienistą ziemię pokrywał dywan liści, które spadły ubiegłej jesieni.

Na twarzy Jareda malowało się skupienie. W prawym dolnym rogu widział trzy głązy, na których często odpoczywał, nieco dalej leżący wzdłuż ścieżki pień, na którym kiedyś siedzieli razem. A w oddali, tam, gdzie znajdowała się farma, przez gąszcz gałęzi przebijały małe światełka.

Przez moment nie potrafił dobyć głosu.

- Kiedy to namalowałaś?

- Skończyłam kilka dni temu. - Och, ty sentymentalna idiotko, pomyślała; popełniłaś błąd. - Jeśli ci się nie podoba, to nie ma sprawy...

Zanim skończyła mówić, Jared podniósł wzrok. Był poruszony.

- Nie wyobrażam sobie, co by mi mogło sprawić większą przyjemność. Tak wyglądał las, kiedy pierwszy raz się tam kochaliśmy. Tak wygląda, kiedy przychodzę tam posiedzieć w samotności.

- Chciałam namalować pejzaż jesienny, jak podczas sławetnej bitwy. Ale potem zmieniłam zdanie... Nie byłam pewna, czy ci się spodoba.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Kocham cię, Savannah.

Uśmiechnęła się, delektując się dotykiem jego rąk, zamknęła oczy i nadstawiła usta do pocałunku. Włosy miała splecione, wciąż mokre od deszczu. Powoli wzbierało w niej pożądanie.

- Powieszę go...

Zamruczał cicho, ale czując leniwe ruchy jej ciała, wpadł na lepszy pomysł. Przytrzymując Savannah w pasie, przechylił się i sięgnął po telefon.

- Sissy? Może byś sobie zrobiła przerwę na lunch? Nie, nie musisz się śpieszyć z powrotem.

Odłożył słuchawkę. Przybierając niewinną minę, Savannah utkwiała spojrzenie w jego twarzy.

- Jeśli myślisz, że wyślesz sekretarkę na lunch, a ze mną będziesz się tarzał po nowym dywanie w swoim nowo urządzonej gabinecie...

Jared podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- To co? - spytał, unosząc brwi.

Odrzuciła w tył włosy i przysiadła na krawędzi biurka.

- To masz absolutną rację.

Powiesił marynarkę na mosiężnym wieszaku przy drzwiach, ściągnął krawat i nie spuszczać oczu z Savannah, wrócił do biurka i zaczął rozpinać jej bluzkę.

- Masz wilgotne ubranie.

- Bo pada.

Bluzka wylądowała na podłodze. Wciąż nie odrywając wzroku od twarzy kobiety, wsunął palec pod zapinany z przodu stanik. Savannah zadrżała, jej oddech przyśpieszył.

- Pragnę cię, kiedy cię widzę. Pragnę, gdy cię nie widzę. -
Jednym ruchem rozpiął stanik. - Pragnę minutę po tym, kiedy kończymy się kochać. - Opuszką palca pogładził jej pierś. - Jeszcze żadna kobieta tak na mnie nie działała.

Wyciągnęła do niego rękę, ale pokręcił głową.

- Nie, nic nie rób. Po prostu bądź. - Delikatnie pieścił jej piersi. -
Wariuję, kiedy cię dotykam. Tym razem chcę cię doprowadzić do szaleństwa.

Pieścił, ugniatał, gładził, raz lekko, za chwilę mocniej. Próbowała przyciągnąć go do siebie, wtedy jednak przerywał i cierpliwie odводził w bok jej rękę. W końcu poddała się.

Jeszcze żaden mężczyzna tak jej nie kochał. Jakby liczyła się tylko ona, jakby ona jedna zaspokajała wszystkie jego potrzeby, jakby najważniejszą rzeczą na świecie była jej przyjemność. Prężyła się, wyginała; wciąż była na granicy bólu i rozkoszy.

- Teraz... - jęknęła, obejmując Jareda za szyję. Przytrzymał jej rękę.

- Jeszcze nie. Chcę, żebyś przeżyła coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałaś.

Całował ją namiętnie, bez wytchnienia, po twarzy, ustach, szyi, ramionach. Doprowadzał ją do obłędu. Pragnął zabrać ją w podróż, w jaką jej nie zabrał - i nigdy nie zabierze - żaden inny mężczyzna.

Savannah uległa. Zamknęła oczy i przeniosła się w inny świat. Zsunął jej buty, ściągnął dzinsy. Leżała na biurku, naga, bezwolna, szczęśliwa, czerpiąc rozkosz z jego pieśczoł, z jego siły, żaru i podniecenia.

Jared płonął; pragnął ją pieścić, całować, samemu nie biorąc niczego w zamian. Wystarczała mu świadomość, że Savannah płonie i krzyczy, jęczy z rozkoszy, wariuje.

Uda jej drżały. Przesuwał po nich językiem, muskał wargami piersi, szyję. Nie przerywając pieśczoł, zdjął koszulę, zrzucił buty, spodnie i pociągnął Savannah na podłogę.

Dłużej nie potrafił się hamować. Jęknął ochryple, gdy Savannah, powtarzając szeptem jego imię, wbiła mu w plecy paznokcie.

Zatracili się w uniesieniu, w odwiecznym tańcu miłości. Brakowało tchu, a rozpalona krew dudniła im w skroniach i w sercach.

Pomyślała, że jeśli bardzo się postara, to może zdoła się doczołgać do rzuconych na stos ubrań. Tak, postara się; podejmie wysiłek. Ale jeszcze nie teraz; za minutę lub dwie.

Na razie było jej za dobrze. Leżała na pięknym dywanie w eleganckim gabinecie Jareda, przygnieciona bezwładnym ciałem kochanka.

Po raz pierwszy w życiu nie musiała, ba, nie mogła nic robić. Seks z Jaredem zawsze był niesłychanie podniecającym przeżyciem, ale dziś doznania były zdwojone. On dawał, ona brała. Miała nadzieję, że kiedyś to jeszcze powtórzą.

- Muszę wstać - szepnęła.
- Po co?
- Upewnić się, czy nie jestem sparaliżowana.
- Sprawiałem ci ból? - zaniepokoił się.

Nie otwierając oczu, uśmiechnęła się i pogładziła go po włosach.

- Jeszcze kilka minut, a umarłabym z rozkoszy. Dziękuję.
- Cała przyjemność po mojej stronie. - Westchnąwszy głęboko, pocałował ją w obojczyk. - Nie wiem, jak po dzisiejszym dniu zdołam się skupić w tym gabinecie. - Przetoczył się na podłogę. - Będę rozmawiał z klientem albo czytał akta i nagle stanie mi przed oczami obraz ciebie, leżącej nago na moim biurku.

Parsknęła śmiechem.

- Uważaj, bo klient nabierze podejrzeń, widząc tę błogość na twojej twarzy.

Jared sięgnął po koszulę. Przez chwilę dumał, zastanawiając się, co z nią zrobić.

- Podoba mi się taki sposób świętowania nowego koloru na ścianach.
- A poprzedniego nie świętowałeś?
- Z Barbarą? - prychnął. - Ona w pracy nawet nie rozpięła guzika w żakiecie.

Włożywszy bieliznę, Savannah przyjrzała mu się spod oka.

- Ożeniłeś się z nią...
- Nawet dostałem akt małżeństwa.
- Dlaczego?

- Takie jest prawo. Każdy...

- Nie. Pytam, dlaczego się z nią ożeniłeś?

- Mieliśmy wiele wspólnego, przynajmniej tak mi się wydawało.

- Wzruszył ramionami. - Chcieliśmy osiągnąć sukces w swoim zawodzie, znaleźliśmy tych samych ludzi, bywaliśmy na tych samych przyjęciach... - Zamilkł, świadom, jak błaho to wszystko brzmi. - Barbara była elegancką, rozsądną kobietą. Kogoś takiego potrzebowałem. Osoby będącej przeciwieństwem mnie, narwanego rozrabiaki.

Siedząc na podłodze, Savannah zapięła bluzkę.

- Powaga, godność... tego szukałeś.

- Chyba tak. Te rzeczy wydawały mi się bardzo ważne.

- Są ważne. - Zaczęła wciągać dzinsy. - Mnie też na tym zależy. Ale godność wyrażana strojem mnie nie interesuje. Bardziej to, jak ludzie cię postrzegają i traktują. Dlatego chciałam tu zamieszkać, w małym miasteczku, w domku pod lasem. I zacząć wszystko od nowa.

- A przeszłość? - Podszedł do wieszaka, na którym zostawił krawat. - Nie sposób od niej uciec.

- Nie patrzę za siebie - oznajmiła stanowczo, wkładając drugi but. - Już nie.

- Za nikim nie tęsknisz? - spytał, zawiązując krawat. - Spośród wszystkich ludzi, jakich spotkałaś na swej drodze, naprawdę nie ma nikogo, o kim myślisz z czułością?

Otworzyła usta, kiedy nagle coś ją tknęło. Jaredowi wcale nie chodziło o ludzi. Chodziło o mężczyzn. Przypomniała sobie, co

powiedział, kiedy kochali się na biurku: chcę, żebyś przeżyła coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałaś. Zrobiło się jej przykro. Dlaczego nie był z nią szczery?

- Chodzi ci o kochanków?

- O ludzi.

- Owszem, użyłeś słowa „ludzie”, ale... - urwała. - Nie, Jared, w mojej przeszłości nie ma nikogo ważnego.

A ojciec Bryana? W ostatniej chwili ugryzł się w język. Duma nie pozwoliła mu zadać tego pytania.

- Jesteś zła - rzekł, dostrzegając błysk gniewu w jej oczach.

- Bo nagle przyszło mi do głowy, że kochając się dziś ze mną, postanowiłeś mi coś udowodnić. Że jesteś najlepszy, taki samiec alfa.

Teraz i w niego wstąpiła złość.

- To głupia uwaga.

- Nie mów do mnie tak! - warknęła. Z trudem nad sobą zapanowała. - Przepraszam, masz rację. Udowodniłeś, co chciałeś. Jesteś fantastycznym kochankiem.

Najlepszym, jakiego miałam. - Podeszła i pogładziła go po policzku. - Ogromnie mi się wszystko podobało, ale teraz muszę już lecieć. Mam parę spraw do załatwienia, więc niestety nie zdążę powiesić obrazów.

Przytrzymał ją za łokieć. Wiedział, że pozornie beztroskim tonem próbuje ukryć gniew.

- Savannah, chyba musimy porozmawiać.

- Nie teraz. - Przekręciła klucz w zamku. - Przerwa obiadowa się skończyła. Sissy lada moment wróci.

- Wspiąwszy się na palce, cmoknęła go w usta.

- Musimy porozmawiać - powtórzył.

- Dobrze, oczywiście. Porozmawiamy wieczorem

- obiecała, posyłając mu bezczelny uśmiech. - Dzięki za pokaz, MacKade. Na pewno wryje mi się głęboko w pamięć.

Przypuszczalnie nie zdołałaby się tak łatwo wymknąć, gdyby na dole nie pojawiła się Sissy.

- Hej, Savannah! - zawołała wesoło. - Ulice zaraz przemienia się w rzeki. Radzę ci zamienić samochód na arkę.

- W takim razie ruszam, zanim nastąpi powódź.

- Nie patrząc za siebie, zbiegła po schodach.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kupił kwiaty. Nie był pewien, czy w ramach przeprosin, czy z przyzwyczajenia. Przywykł do kupowania bukietu raz lub dwa razy w tygodniu, bo na widok barwnych kwiatów Savannah zawsze cieszyła się jak dziecko.

Wolał nie myśleć o tym, że daje bukiet na przeprosiny. Nie do końca czuł się winny. Przecież nie zadał pytania o kochanków. A że ona tak odczytała jego słowa... Zresztą dlaczego miałyby to być temat tabu?

Chciał wiedzieć wszystko o jej przeszłości. Nie tylko te strzępy informacji, które od czasu do czasu ujawniała, ale wszystko.

Zgoda, może wybrał nie najlepszy moment. Może nie najzręczniejszym sformułował pytanie. W dodatku zdenerwował się, że Savannah przejrzała go na wylot. Nie zmienia to jednak faktu, że miał prawo domagać się odpowiedzi. Ale zaraz usiądą i na spokojnie wszystko sobie wyjaśnią.

Pewnie dlatego, że był tak nastawiony na rozmowę, zirytowało go, kiedy dotarł na miejsce i zobaczył, że na podjeździe nie ma samochodu.

Gdzie, do diabła, się podziewała? Było po szóstej. Wysiadł i rozejrzał się wkoło. Deszcz przygiął kwiaty do ziemi, zwłaszcza te nad brzegiem strumyka. Azalie straciły barwne pąki, za to liście nabrały koloru soczystej zieleni.

Savannah. Tu, pod Antietam, odnalazła swoje miejsce na ziemi. Tu sadziła rośliny, kosiła trawę, pielęgnowała kwiaty. Tu zapuściła korzenie. Tu, siedząc na ganku przed domem, wpatrywała się w las, który im obojgu dawał dziwne ukojenie.

Rozglądając się, zauważył oparty o ścianę dziecięcy rower, pomarańczowe frisbee na trawniku, stojącą przy ganku taczkę z kompostem. Drobnymi detalami świadczące, że mieszkają tu dorośli i dzieci.

Nagle zapragnął, aby to miejsce było również jego domem. Nie chce wpadać tu tylko w odwiedziny, czasem nocować, trzymać kilka koszul na zmianę. Chce tu mieszkać. Na stałe. Z Savannah i jej synem.

Savannah... Pragnął, aby była kimś więcej niż kobietą, z którą sypia. Jego pierwsze małżeństwo zakończyło się rozwodem. Nie wierzył, że drugi raz się zakocha. I nie chciał znów ponieść porażki. Wielokrotnie wmawiał sobie, że wystarczy mu niezobowiązujący romans.

Ale prawie od samego początku się oszukiwał. Bo nie wystarczał mu romans. Pragnął stałości. Dlatego ciągle wypytywał Savannah o jej przeszłość. Chciał ją lepiej poznać, dowiedzieć się, kim jest, kim była i kim chce być. I za każdym razem, kiedy go zbywała lub odmawiała odpowiedzi, czuł dojmujący ból.

Marzył, by mu zaufała; żeby zwierzyła się ze swoich sekretów, podzieliła swoimi myślami i pragnieniami. Żeby zwracała się do niego, kiedy ma problemy, kiedy jej smutno i kiedy jest szczęśliwa.

Chciał... wziął oddech, żeby się uspokoić... chciał ją poślubić, mieć z nią dzieci, razem się zestarzeć.

Ruszył do drzwi, po drodze przystając, by pogłodzić rower Bryana. Uzmysłował sobie, że chce być ojcem tego chłopca: wychowywać go, pomagać mu w lekcjach, chodzić na jego mecze i kibicować mu z trybun. Gdyby tego miało zabraknąć, gdyby miał nie widzieć szelmowskiego uśmiechu, nie słyszeć wesołego powitania... nie, nie potrafiłby bez tego żyć.

Kochał Savannah i kochał jej syna. To miłość cementuje rodzinę. Miłość, a także małżeństwo. Nie papierek mówiący, że dwoje ludzi jest mężem i żoną, lecz przysięga, jaką sobie składają.

On z Barbarą złamali przysięgę, dlatego postanowili się rozwieść. Grzecznie, w sposób cywilizowany. Rozstali się jak dwoje obcych ludzi, których nigdy nic nie łączyło. Kiedy zaś myślał o Savannah, targały nim dziesiątki emocji.

Zadowolony, że zdołał uporządkować chaos w głowie, wszedł po schodkach na ganek.

Tu i ówdzie walały się tenisówki i sandały, książki, okulary i zabawki leżały nie na swoim miejscu. Na stole w kuchni połyskiwały kolczyki, a podłogę znaczyły ślady niestarannie wytartych butów.

Dom. Normalny dom.

Ale gdzie, u licha, podziewali się domownicy?

Jared przystanął. Zawsze ktoś tu był. Bryan bawił się w ogrodzie albo siedział w swoim pokoju nad kolekcją kart. Grało nastawione

zbyt głośno radio lub telewizor. Savannah krzątała się po kuchni albo pracowała w studiu; czasem uciniała sobie drzemkę na kanapie.

Wszedł do kuchni, położył bukiet na stole. Żadnej pośpiesznie nabazgranej kartki przypiętej magnesem do lodówki. Zmarszczywszy czoło, postawił teczkę obok kwiatów. Psiakrew, mogła mu chociaż zostawić wiadomość.

Przecież się umówili na wieczór. Na rozmowę. Miał jej tak wiele do powiedzenia. Przeszedł do pracowni. Na biurku stała niedopita szklanka lemoniady, obok leżał zabawny rysunek skrzydlatej żaby.

Kiedy indziej uśmiechnąby się. Ale teraz z minuty na minutę coraz bardziej tracił humor.

Ruszył na górę. Luzując krawat, wszedł do sypialni. Wkrótce to będzie nasza sypialnia, pomyślał. Rzucił na łóżko krawat, potem marynarkę. Jeszcze dziś odbędziemy długą, poważną rozmowę.

Burcząc coś pod nosem, przebrał się w dżinsy, a garnitur powiesił w szafie obok sukienek. Zacisnął zęby. Jedną z pierwszych rzeczy będzie kupno dodatkowej szafy. Mężczyzna powinien mieć własną.

Właściwie to dobudują jeszcze jedną sypialnię, w której oboje będą mogli swobodnie się pomieścić. A przy okazji dodatkową łazienkę. Bo przecież powiększą rodzinę.

I gabinet. Żeby każde miało własne miejsce do pracy.

A potem zbuduje Bryanowi domek na drzewie. Dzieciak na pewno się ucieszy.

Przyda się też szopa na narzędzia. No i warto wysypać żwirem ścieżkę prowadzącą od podjazdu do domu. Zajmie się tym.

Usiadł na łóżku. Boże, pomyślał, zaczynam wariować.

Jeszcze się nie oświadczył, a już wprowadzał zmiany.

Dlaczego był taki spięty? Dlaczego się złościł na nią, na siebie? Czyżby się bał, że kiedy wspomni o małżeństwie, Savannah go wyśmieje? Powie, że taki układ jej nie interesuje?

Przeczesał ręką włosy, wstał. Nie podda się. Przekona ją.

Powoli się uspokajał. A może zejść na dół i zacząć szykować kolację? Skierował się ku drzwiom, kiedy nagle spostrzegł pudełko na toaletce.

W środku lśniły kłamry. Wielkie, ozdobne kłamry. Takie, jakie zdobywa się na rodeo. Wyjął jedną, przyjrzał się wygrawerowanej sylwetce jeźdźca na koniu. Należały do ojca Savannah. Dostała je i nawet słowem o nich nie wspomniała!

Dużo tych rzeczy nie było. Kilka nagród, jakie Jim Morningstar zdobył w różnych konkurencjach, parę osobistych drobiazgów. Obok toaletki stało nieco większe pudło. Jared zerknął do środka. Zobaczył stare, skórzane kowbojki, sfatygowany kapelusz, kilka koszul, wciąż złożonych.

Na wierzchu leżał list od prawnika z Oklahomy. Typowy list ze spisem zawartości paczki oraz zapewnieniem, że w razie jakichkolwiek pytań czy problemów służy pomocą.

Jared odsunął list na bok. I pod nim znalazł fotografie.

Większość była pomięta, jakby podczas przeprowadzek nikt się nimi nie przejmował. Ujrzał Jima Morningstara siedzącego na koniu, mężczyznę o twardych, surowych rysach i zmrużonych oczach. Savannah odziedziczyła po nim ciemne włosy, ciemną cerę, wysokie kości policzkowe. Ale niewiele więcej. No, może jeszcze dumnie uniesioną brodę i zacięte spojrzenie.

Drugie zdjęcie, oprawione w tanią ramkę, przedstawiało tego samego mężczyznę stojącego obok nastoletniej córki. Jared uśmiechnął się. Pewnie liczyła tu ze trzynaście, czternaście lat. Wysoka, ubrana w dżinsy i kraciatą koszulę, w kapeluszu na głowie, spoglądała prosto w obiektyw aparatu. Obejmowała ojca, który stał obok z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nie dotykał córki, nie patrzył na nią.

Kolejne zdjęcie przedstawiało jeszcze młodszą Savannah na koniu. Klasyczna poza: koń stoi dęba, jeździec siedzi, a w wysoko uniesionej ręce trzyma kapelusz.

Wyglądała tak, jakby nie znała uczucia strachu.

Było kilka zdjęć Morningstara w towarzystwie innych mężczyzn, uśmiechniętych, o czerstwych twarzach, ubranych w dżinsy, kapelusze, skórzane buty. W tle widać było zagrody, stajnie, konie. Zawsze konie.

Jared zamyślił się. Savannah kochała te zwierzęta. Mogliby kupić jedną czy dwie klacze, zrobić na farmie padok, Shane na pewno nie miałby nic przeciwko temu, w stodole zbudować boksy...

Nagle, na widok ostatniego zdjęcia, znieruchomiał.

Na oko miała szesnaście lat, ciało kobiety, lecz twarz dziecka. No, może nie dziecka, ale młodej niewinnej dziewczyny. Kamera uchwyciła ją śmiejącą się wesoło. Jared niemal słyszał jej śmiech.

Tuliła się do mężczyzny, który stał obok w kapeluszu zsuniętym z czoła; spod runda wystawały blond loki. Roześmiani i objęci, patrzyli w obiektyw. Mężczyzna był szczupły, wysoki, opalony; oczy miał niebieskie lub zielone - trudno było poznać. Ale na pewno jasne.

Te oczy i ten uśmiech odziedziczył Bryan.

Mężczyzna na zdjęciu był jego ojcem.

W Jareda wstąpiła wściekłość. To był dorosły facet, nie jakiś pętaś. Owszem, przystojny, ale z całą pewnością dużo starszy od Savannah. Drań uwiódł szesnastoletnią dziewczynę i porzucił ją, kiedy zaszła w ciążę. I nikt w tej sprawie nie kiwnął palcem.

Savannah obserwowała go z progu. Cały dzień przeżywała huśtawkę emocjonalną. I zdaje się, czekał ją kolejny dołek.

Chciała zapomnieć o złości i zniecierpliwieniu, jakie czuła po wyjściu z kancelarii. Miała nadzieję, że kiedy wróci od Howarda Beelsa, któremu sprzedała trzy obrazy, zastanie Jareda w domu i razem obleją jej sukces.

Sukces tym większy, że Howard nie zamierzał poprzestać na trzech płótnach.

W drodze do domu opowiadała Bryanowi o spotkaniu z Howardem. O tym, jak podała mu cenę, dość wysoką - nawet bała się, czy nie zbyt wysoką - a on chodził po pokoju, drapał się po brodzie,

dumał, po czym sam zaproponował znacznie większą od zaproponowanej przez nią.

Przejeżdżając koło sklepu, wstąpiła po butelkę szampana, żeby wspólnie z Jaredem uczcić tak ważne wydarzenie. W skrytości ducha od dawna marzyła, aby sprzedając obrazów zarabiać na życie.

Ale widząc jego zaciętą twarz, domyśliła się, że dziś nie będzie radosnego świętowania. Nie miała pojęcia, skąd brała się jego złość, ale pewnie wkrótce się dowie.

Do diabła z tym, uznała, wchodząc do pokoju. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

- Oglądasz mój spadek? - Odczekała, aż podniesie głowę i skieruje na nią wzrok. Przeraziła ją furia w jego oczach. - Przypuszczam, że większość twoich klientów dziedziczy nieco większy majątek.

- Kiedy nadeszła przesyłka? - spytał, siłąc się na spokój.

- Tydzień lub dwa temu. - Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. - Bry jest w ogródku. Promienieje ze szczęścia, bo odebraliśmy dziś kociaki.

Jared nie pozwolił jej zmienić tematu.

- Tydzień lub dwa temu. Nic mi nie mówiłaś.

- A o czym miałam mówić? Wyjęłam z koperty czek i zaniiosłam do maklera, którego mi poleciłeś. Resztą nie miałam ochoty się zajmować. Dopiero dziś rano otworzyłam to pudło. Klamry zachowam dla Bryana, może mu się na coś kiedyś przydadzą. A ubrania oddam biednym.

- Dlaczego mi nawet słowem nie wspomniałaś?

- Bo nie było o czym. - Odwróciła się z zaciekawiona, ale i zirytowana. - Proszę cię, Jared, nie przesadzaj. W końcu nie ma tu żadnych losów z wygraną na loterii ani sakiewki pełnej złota. Tylko stare ciuchy, zniszczone buty i papiery.

- Oraz zdjęcia.

- Kilka. Jim Morningstar nie należał do sentymentalnych. Jedno zdjęcie mi się podoba: ojca na koniu, czekającego na swój występ. Pomyślałam, że może Bryan zechce je zachować na pamiątkę.

- A to? - Jared podniósł zdjęcie przedstawiające Savannah tulącą się do bezczelnie szczerzącego zęby kowboja.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, jakim cudem zmieściłam się w tak ciasne dzinsy...
Słuchaj, idę przygotować kolację.

Zastąpił jej drogę. Zdziwiona, utkwiała w nim wzrok. Czekwała.

- Pokazałaś to zdjęcie Bryanowi? - spytał.

- Nie.

- A zamierzasz?

- Nie sądzę, żeby go ciekawiło, jak jego matka wyglądała w wieku szesnastu lat.

- Ale może byłby ciekaw, jak wygląda jego ojciec? Miała wrażenie, że serce przestaje jej bić.

- Bryan nie ma ojca.

- Psiakrew, Savannah, chcesz mi powiedzieć, że ten facet nie jest ojcem Bryana?

- Ojcem? Nie żartuj.

- Savannah...

- Posłuchaj, MacKade. Sperma nie czyni faceta ojcem. Skoro wzięłaś mnie w krzyżowy ogień pytań, to wyjaśnię ci najlepiej, jak potrafię. Tak, spałam z facetem na zdjęciu. I zaszłam w ciążę. Koniec opowieści.

- Koniec? - Nie posiadając się z wściekłości, rzucił zdjęcie na toaletkę. - Twój ojciec wiedział. Inaczej nie trzymałby tego zdjęcia.

- Może wiedział. Też mi to przyszło do głowy. I co z tego?

- Dlaczego nic nie zrobił? Dlaczego nie zawiadomił policji?

Facet na zdjęciu nie wygląda na żółtodzioba. Musiał być pełnoletni.

- Chyba miał dwadzieścia cztery lata. Może dwadzieścia pięć.

Nie pamiętam.

- Byłaś nieletnia. Za seks z nieletnią powinien trafić do więzienia. A wcześniej twój ojciec powinien był mu porachować kości.

Wzięła głęboki oddech.

- Ojciec dobrze mnie znał. Wiedział, że jeśli z kimś spałam, to z własnego wyboru. Może byłam niepełnoletnia, ale nie byłam ślepa ani naiwna. Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Więc nie szukaj winnych.

- Ale są winni! - zdenerwował się Jared. - Ten drań nie miał prawa cię uwieść, a potem wyjechać, nie ponosząc konsekwencji za swój czyn! Oczy zapłonęły jej gniewem.

- Bryan nie jest żadną „konsekwencją”!

- Dobrze wiesz, że tego nie powiedziałem! - Przeczesując ręką włosy, zaczął krążyć po sypialni. - Za późno teraz, aby cokolwiek w tej sprawie przedsięwziąć. Ale chciałbym poznać twoje dalsze plany.

- Dalsze plany? Zamierzam usmażyć hamburgery. Możesz zostać z nami na kolacji lub nie, jak wolisz.

- Savannah...

- Boże, Jared! - Westchnęła ciężko. - Odpuść sobie. Dziesięć lat temu przespałam się w facetem. Wymazałam go z pamięci. On wymazał mnie ze swojej. - Jakby chcąc udowodnić swoją tezę, wzięła z toaletki zdjęcie i wrzuciła je do kosza na śmieci. - To wszystko.

- To wszystko? - Nagle uświadomił sobie, co mu przeszkadza. - Czyli on nic dla ciebie nie znaczył?

- Nic.

- Zaszłaś z nim w ciążę. Razem poczęliście to dziecko, które bawi się w ogrodzie z kotami. Jak możesz mieć tak obojętny stosunek do tego, co się stało?

Wstąpiła w nią furia.

- Wolałbyś usłyszeć inną historię, prawda? Taką, którą łatwiej byłoby ci zaakceptować? O biednej, niewinnej, złakniętej uczuć dziewczynie, która rozpaczliwie szuka miłości, i o podłym, bezwzględnym łobuzie, który ją wykorzystuje i porzuca.

- A nie tak było?

- Nic o mnie nie wiesz, Jared, ani jaka byłam, ani czego pragnęłam. I tak jest lepiej. Bo prawda może ci stanąć kością w gardle. Zacziesz się zastanawiać: z iloma facetami spała? Czy mogę

jej ufać, kiedy twierdzi, że się nie sprzedawała? Nawet jej własny ojciec się od niej odsunął. Chyba o czymś to świadczy? Prawie od samego początku była gotowa iść ze mną do łóżka. Z kim ja się zadaje? Z jaką kobietą? Przyznaj się, Jared. Czy nie tak myślisz?

- Myślę, że wiele rzeczy przede mną ukrywasz. Nie rozumiem, dlaczego wzruszeniem ramion zbywasz dziesięć lat swojego życia. To prawda, zastanawiam się, kim jesteś, jaką kobietą?

Uniosła głowę.

- Może kiedyś odkryjesz. - Energicznym krokiem ruszyła do drzwi, lecz ponownie zastąpił jej drogę. - Chciałabym przejść.

- A ja chciałbym, żeby nie było między nami tajemnic.

Twierdzisz, że mnie kochasz, ale ilekroć poruszam pewne sprawy, ilekroć trafiam w jakiś czuły punkt, zawsze mnie odpychasz. A mnie naprawdę interesuje, co cię ukształtowało...

- Sama się ukształtowałam. Nie musisz szczegółowo znać całej mojej przeszłości.

- Nie można budować przyszłości bez oglądania się na przeszłość.

- Można. Ja tak robię. Jeśli ty nie potrafisz, to twój problem. - Na moment zamilkła. - Jared, o co ci chodzi? Przyczepiłeś się do twarzy na fotografii. Czujesz się zagrożony, cierpi twoja duma...

- Nie żartuj.

- Tobie wolno było mieć żonę i spotykać się z różnymi kobietami. Wolno ci było mieć burzliwą młodość, przyjeżdżać z braćmi do miasteczka, wdawać się w bójki, rozrabiać. Prawda? Bo to

przystoi chłopcom. Ale nie dziewczynkom, tak? Cały kłopot polega na tym, że związałeś się ze mną, nie do końca przemyślawszy, czy ci odpowiadam. Teraz chcesz poprzestawiać pewne elementy jak w układance, bym bardziej pasowała do obrazu, jaki sobie wymarzyłeś.

- Mylisz się.

- Nie, nie mylę. Ale wiesz co, MacKade? Mam to wszystko w nosie. Nie jestem ofiarą, nie jestem porcelanową laleczką ani elegantką, z którą można pokazać się na balu dobroczynnym. Źle trafiłeś, kochany. Nigdy nie czytałam Kafki.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Mówię o tym, co się dzieje tu i teraz. Mówię o tym, że nie potrzebuję kazań, litości...

Zmrużył oczy.

- A ja potrzebuję odpowiedzi. I wydaje mi się naturalne, że chcę wiedzieć, dlaczego wyrzuciłaś zdjęcie ojca Bryana do śmieci; dlaczego nie powiedziałaś, że dostałaś rzeczy po ojcu; czego oczekujesz od życia, od siebie, ode mnie. Sam chętnie ci powiem, czego ja chcę. Otóż chcę mieć wszystko albo nic.

- Stawiasz mi ultimatum?

- Na to wygląda. Przemyśl to sobie - rzekł i opuścił pokój.

Stała bez ruchu, kipiąc z oburzenia. Z dołu doleciał ją trzask zamykanych drzwi. Siłą woli powstrzymała się, żeby nie podbiec do okna. Korciło ją, żeby zawołać Jareda. Parę minut później usłyszała, jak odjeżdża.

Czyli to tak, pomyślała. Wszystko albo nic. Co za tupet! Żądał, by się całkiem odsłoniła, by dała mu wszystko, niczego nie zostawiając dla siebie. A przecież przeszłość była jej zabezpieczeniem, czymś, co każe pamiętać o błędach i bolesnych upadkach.

Przytrzymując się poręczy, zeszła na dół. Nie interesował jej bukiet kwiatów na stole i szampan chłodzący się w lodówce. Wyjęła mięso na hamburgery. Może później wypije kieliszek. Kieliszek? Może opróżni całą cholerną butelkę i się ubzdryngoli. Lepszy szum w głowie niż ból w sercu. Lepszy szum niż gniew, który wciąż w niej kipiał.

Słyszając otwierane drzwi, obejrzała się przez ramię. Na widok syna poczuła rozczarowanie. Jednocześnie ogarnęła ją wściekłość na samą siebie.

- Mamusiu, czy Jared jest na ciebie zły?

- Dlaczego pytasz, misiaczku?

- Bo... - Bryan usiadł, oparł łokcie na stole. - Bo wychodząc, przystanął na moment, żeby obejrzeć kociaki, ale nie słuchał, co mówię. Poza tym powiedział, że nie może zostać na kolacji.

- To chyba jest na mnie zły.

- A ty na niego?

- Tak, ja na niego też. - Zaczęła formować hamburgery; był to świetny sposób na pozbycie się napięcia.

- To znaczy, że już się w nim nie bujasz? Zerknęła na syna. Na tyle zdołała się uspokoić, że ujrzała zatroskanie w oczach Bryana.

- O co ci chodzi, kochanie? Wzruszył ramionami.

- Nigdy dotąd się w nikim nie bujałaś. A Jared większość czasu spędzał z nami, przynosił ci kwiaty, a za mną się bawił. No i całowaliście się...

- Więc?

- Więc Con i ja uznaliśmy, że może się pobierzecie.

- Aha. - Przeszył ją ostry ból.

- I się ucieszyłem, bo Jared jest fajny. Odłożyła na bok kotlety. Chcąc zyskać na czasie, podeszła do zlewu, odkręciła wodę i umyła ręce. Co ja najlepszego zrobiłam, zastanawiała się nerwowo. Co mam mu powiedzieć?

- Bry, jesteś dużym, mądrym chłopcem i wiesz, że dorośli ludzie się całują, często mieszkają razem, ale niekoniecznie zamierzają się pobrać.

- Wiem, ale jeśli się w sobie bujają, to na ogół się żenią, prawda?

- Na ogół. - Położyła rękę na ramieniu syna. - Ale czasem miłość nie wystarcza.

- Dlaczego?

- Dlatego... - urwała, próbując wymyślić sensowną odpowiedź. - Dlatego, że ludzie to skomplikowane istoty. Pamiętaj o jednym: Jared jest zły na mnie, a nie na ciebie. Ty i on nadal możecie się kumpłować.

- Niby tak.

- Lepiej idź sprawdzić, czy kociakom nie dzieje się krzywda, a ja rozpalę grilla.

- Dobrze. - Powłócząc nogami, chłopiec ruszył do drzwi. - Bo wiesz, mamusiu, pomyślałem sobie, że gdybyście się pobrali, wtedy Jared zostałby...

- Czym?

- Moim przyszywanym tatą. - Bryan wzruszył ramionami w identyczny sposób jak ona, kiedy udawała, że nie czuje żalu lub bólu. Przeszył ją dreszcz. - Fajnie by było.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez cały wieczór dźwięczały jej w głowie słowa Bryana. Żeby choć trochę wynagrodzić chłopcu zawód, jaki mu sprawiła, przygotowała dla niego małą ucztę, z dużą ilością coli i domowych frytek. Podczas kolacji snuli szalone plany, na co wydadzą fortunę, jaką zarobi na sprzedaży obrazów.

Wycieczka do Disney World? Nie, zostaną właścicielami Disney World! Najlepsze miejsca na mecze bejsbola? E tam! Kupią drużynę Baltimore Orioles i Bryan będzie grał na pozycji łącznika.

Savannah kontynuowała tę zabawę tak długo, aż oboje zapomnieli o marzeniu Bryana: aby Jared został jego ojcem.

Później przez pół nocy leżała w łóżku, wpatrując się w sufit i obmyślając, jak zemścić się na Jaredzie za to, że zdobył i zranił serce jej syna.

Jej serce też zranił, ale ona nie była tak ważna. Zresztą wiedziała, jak sobie poradzić z bólem. Czas, praca, opieka nad dzieckiem, troska o dom - to najlepsze lekarstwo. Nigdy nie potrzebowała mężczyzny, aby czuć się spełnioną kobietą. Postara się, żeby jej syn nigdy nie cierpiał z powodu braku ojca. Ale

Jaredowi odpłaci za to, że dał Bryanowi nadzieję, a potem ją brutalnie odebrał.

Drań z nimi zamieszkał, był niemal członkiem rodziny. Psiakrew! Przynosił jej kwiaty, budził ją rano pocałunkami, odbijał z Bryanem piłkę w ogrodzie, zabierał chłopca na farmę.

I nagle z normalnego, sympatycznego człowieka przeobraził się w zadufanego prawnika. Zaczął kwestionować jej postępowanie, moralność, pobudki. Sprawił, że ogarnęły ją wątpliwości, że straciła pewność siebie i grunt pod nogami.

Nie puści mu tego płazem. Instyktownie przesunęła się na środek łóżka, żeby nie wydawało się tak koszmarne puste. Jared nie miał prawa wkraść się w ich łaski i serca, a potem stawiać warunki i żądania. Kim była, czego chciała, co robiła? Cholera jasna, nie musiała udzielać mu żadnych odpowiedzi!

Skrzywiła się. Wkradł się w ich serca, jej i Bryana. A potem odszedł, bo nie pasowała do jego wyobrażeń o żonie.

Nienawidziła go za to. Za to, że rozbudził w niej nadzieję. Coraz częściej snuła w myślach wizję szczęśliwej rodziny, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Dopiero Bryan, mówiąc o ojcu, uświadomił jej, że podobnie jak bohaterki bajek, które ilustrowała, ona też marzy o cudownym księciu.

Chryste! To żenujące. Była silną kobietą, która potrafiła obronić siebie i dziecko przed ciosami, jakie zadawało jej życie. I nie pozwoli, żeby ktokolwiek ją upokarzał.

Nie bała się samotności. Przez wiele lat była zdana wyłącznie na siebie. Ojciec wyrzucił ją z domu, kiedy najbardziej potrzebowała wsparcia. Cierpiała głód i biedę, harowała jak wół, żeby zarobić na życie, podejmowała się prac, które nie napawały jej dumą. Ale nigdy wcześniej nie czuła się tak podle jak teraz. I nigdy wcześniej Bryan nie miał złamanego serca.

Odetchnęła głęboko, raz, drugi i trzeci. W porządku, skoro Jared tak uporczywie domaga się odpowiedzi na pytania, kim ona jest i czego chce, to mu pokaże. Pokaże mu, że jest kobietą wolną, silną, niezależną, która obejdzie się bez niego.

Jared, który od rana pomagał Shane'owi w pracy, stwierdził, że siedzenie na ganku w piękny, słoneczny dzień, z butelką piwa w ręce, to całkiem przyjemny sposób na spędzenie sobotniego popołudnia. Tym przyjemniejszy, że obok siedzieli jego bracia.

Tak, miło odpoczywać w towarzystwie braci, obserwować niebo, patrzeć, jak rośnie trawa, rzucać psom patyki.

Może później, za godzinę lub dwie, odwiedzi Savannah. Dał jej dość czasu, by ochłonęła i zaczęła logicznie myśleć.

Sobie też dał dość czasu. Prawie był gotów przyznać, że może postąpił zbyt obcesowo. Że może powinien był wykazać odrobinę więcej zrozumienia.

Co nie zmienia faktu, że Savannah nie ma racji. To śmieszne oskarżać go o zazdrość. Wcale nie jest zazdrosny o faceta na zdjęciu. I wcale nie chce, by miała inny charakter. A już zupełnie mu nie przeszkadza, że nie czytała powieści Kafki.

Zresztą skąd taki pomysł w ogóle przyszedł jej do głowy?

Nie jest żadnym samolubem ani seksistą. Po prostu w pewnych sprawach się różnią, to wszystko.

- Gada sam z sobą - zauważył Devin, strugając kawałek drewna.

- I to od wczoraj. - Shane ziewnął i odchylił się w krześle. -

Moim zdaniem, Savannah go wyrzuciła.

Rafe prychnął pod nosem.

Głosy braci wyrwały Jareda z zadumy.

- Nie wyrzuciła. Sam oszedłem, bo chcę, żeby przejrzała na oczy.

- Tak? - Rafe mrugnął do Devina. Jared pociągnął łyk piwa.

- Tak. Żeby przejrzała na oczy i przestała się oszukiwać. Żeby zobaczyła świat taki, jaki on jest.

Bracia parsknęli śmiechem.

- Czyli taki, jakim ty go widzisz - stwierdził Rafe. - Zawsze uważasz, że wszystko musi być po twojemu.

- Przestań. - Jared skrzyżował nogi w kostkach. - Nie po mojemu. Po prostu jedno działania są słuszne i uzasadnione, a inne błędne i bezcelowe.

Devin, który siedział na górnym stopniu, oparł się plecami o słupek.

- I cóż błędnego robi Savannah? - spytał.

- Zataja przed mną fakty. Dziś rano zadzwonił do mnie Howard Beels, dziękując, że mu ją przedstawiłem. Okazuje się, że była u niego wczoraj i sprzedała mu trzy obrazy. - Na samą myśl o tym ogarnęła go złość. - Czy mi o tym powiedziała? Nie. Po co te tajemnice? O wszystko muszę pytać, a i wtedy często zbywa pytania milczeniem.

Shane przeciągnął się rozbawiony.

- Znamy cię, Jare. Ty nigdy nie odpuszczasz. Dlaczego? Co się stało? Jak do tego doszło? Kiedy? O której? Gdzie pan był tej nocy? I tak dalej, i tak dalej.

Cios Jareda bardziej by go zabolął, gdyby siedział bliżej.

- Bez przesady. Przecież jej nie przesłuchuję. Tylko pytam.

Chyba nie ma nic złego w tym, że mężczyzna chce dobrze poznać kobietę, z którą zamierza się ożenić?

- Ożenić? - Z wrażenia Rafe aż zakrztusił się piwem.

- Kurczę, wiedziałem! - Wzdychając ciężko, Shane otworzył przenośną lodówkę i wyjął zimne piwo.

- Wiedziałem!

- Oświadczyłeś się? - spytał z niewinną miną Devin.

- Nie. Jeszcze nie miałem okazji powiedzieć jej...

- Powiedzieć jej. - Devin wybuchnął śmiechem.

- Typowe.

- Spróbuj spojrzeć na sytuację z mojego punktu widzenia.

Zrozumiałem, czego chcę. Zamierzałem z nią porozmawiać i nagle zobaczyłem w sypialni pudło z rzeczami jej ojca. Słowem mi o tym nie wspomniała. Były tam zdjęcia, między innymi jej zdjęcie z facetem, który spłodził Bryana.

- Hm - mruknął w imieniu pozostałych braci Rafe.

- Kiedy ją o nie spytałem, zezłościła się. Po czym cisnęła je do kosza, jakby nie miało żadnej wartości.

- Bo może nie miało - wtrącił Devin.

- Drań z nią spał. Kiedy zaszła w ciążę, zniknął z jej życia.

Ojciec wyrzucił ją z domu. Miała szesnaście lat, do cholery. I co? I nic. W ogóle nie chce poruszać tego tematu. W dodatku rzuca mi w twarz jakieś kretyńskie oskarżenia. I na końcu mówi, że ja mogłem

rozrabiać, pakować się w kłopoty, ale po kobiecie oczekuję innego zachowania: że będzie dziewicą lub ofiarą. Coś w tym stylu. Przecież to...

- To prawda - rzekł Rafe, wpatrując się w butelkę piwa.

- Nie gadaj!

- Przykro mi, braciszku. Kończysz prawo, zdajesz egzamin, kupujesz kilka garniturów...

- Chcesz, żebym ci znów złamał nos?

- Za chwilę. Potem uznajesz, że czas założyć rodzinę, więc znajdujesz sobie kobietę zimną jak lód, kobietę bez przeszłości, bez sekretów i bez widocznych na pierwszy rzut oka wad. Wiesz dlaczego?

- Umieram z ciekawości - burknął, siląc się na spokój.

- Bo lubisz ład i porządek. Ponieważ jednak jesteś inteligentnym facetem, szybko orientujesz się, że popełniłeś błąd. Savannah to przeciwieństwo Barbary; ma dziecko, ma kilka tajemnic i parę wad. To ci się kłóci z obrazem idealnej żony.

Jared otworzył usta. Chciał zaprotestować, obalić tezę, jaką brat przedstawił, ale ku swemu zdumieniu odkrył, że nie potrafi. Więc zamiast tego zaklął. I nagle doznał olśnienia.

- Kafka... Barbara czytała Kafkę.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził ze śmiechem Rafe.

- Hm... - Jared wyjął z kieszeni cygaretkę. - Ale i tak uważam, że jeśli dwoje ludzi myśli o wspólnej przyszłości, to nie powinni mieć

przed sobą sekretów... Kocham tego dzieciaka - dodał cicho, wydmuchując dym.

- I pozwolisz, żeby jakieś głupie zdjęcie stało na waszej drodze do szczęścia?

- Na pewno nie pozwolę.

- Będzie dwóch żonatych MacKade'ów - mruknął Shane. - Niedobrze, psiakość. Inne zaczną naciskać tych nieżonatych, aby brali przykład z braci.

Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu wszyscy czterej poderwali głowy.

Ochłonęła i poszła po rozum do głowy, pomyślał Jared. Zrobiło się jej głupio, że wczoraj tak dziecinnie się zachowała. Teraz przyjechała, żeby na spokojnie o wszystkim porozmawiać.

Wstał i oparł się o słupek koło Devina. Tak, on również ją przeprosi. Postara się wyjaśnić, o co mu chodzi. Za kilka lat będą ze śmiechem wspominać o tym, jak ich poniosły nerwy.

Samochód zahamował, wzbijając tumany kurzu. Jared czekał uśmiechnięty, by powitać ukochaną.

Kobieta, która wyłoniła się zza kierownicy, nie wyglądała jak ktoś, kto chce się pogodzić. Z rozwianymi włosami i dzikim błyskiem w oczach wyglądała jak rozsierzona kocica.

- Oho! - Shane z Rafe'em wymienili rozbawione spojrzenie.

Nie odezwała się. Stała z rękami na biodrach, mierząc braci zuchwałym wzrokiem. Widzowie? Tym lepiej!

Obróciwszy się na pięcie, podeszła do bagażnika i wyjęła pudło. Psy biegały dookoła, szczekały wesoło. Uśmiechając się szeroko, Savannah przekreśliła pudło do góry dnem. Ze środka wypadły ubrania: garnitury, marynarki, krawaty, koszule, skarpety. Uśmiechnięta, kopnęła stos, rozrzucając rzeczy po ziemi. Krawat, który przyczepił się jej do buta, wgniotła obcasem w trawę.

Psy były zachwycone. Ujadały i węszyły. Rozpoznawszy zapach Jareda, Fred podniósł łapę i obsiusiał stos ciuchów.

Mężczyźni na ganku przyglądali się wszystkiemu bez słowa. Różne targały nimi emocje. Rafe szczyrzył zęby. Shane ryczał ze śmiechu. Devin patrzył z podziwem w oczach.

Tylko Jared stał jak słup soli.

To jeszcze nie był koniec przedstawienia. Savannah cofnęła się do bagażnika i wyjęła oprawny w skórę notes, który znalazła na szafce nocnej. Z uśmiechem na twarzy otworzyła go, żeby nie było wątpliwości, co trzyma w ręce, po czym zaczęła wydzierać kartki i rzucać je na obsikane przez psy ubrania.

Następne były buty. Najpierw eleganckie pantofle z włoskiej skóry. Psy nie posiadały się ze szczęścia. Potem tenisówki, dwie pary, z których jedną Jared kupił niecałe trzy tygodnie temu.

Miała nadzieję, że psy rozszarpią je na strzępy.

No i przybory do golenia. Pędzel poleciał w prawo, maszynka w lewo, opakowanie nożyków na ukos. Nie spieszyła się. Shane nie wytrzymał; tak mocno rechotał, że spadł z krzesła.

Najlepsze zostawiła na koniec.

Otworzyła trzy butelki doskonałego drogiego, francuskiego wina. Z dumnie uniesioną brodą i wyzwaniem w oczach podeszła do żałośnie wyglądającego stosu ubrań. Wprawną ręką kelnerki wylała całą zawartość butelek na elegancki ciemny garnitur.

Rzuciła puste butelki na ziemię. Bez słowa wróciła do samochodu i zajęła miejsce za kierownicą. Posyłając braciom uśmiech na pożegnanie, wykręciła na podjeździe i odjechała.

Shane rechotał jak wariat, reszta milczała. Wreszcie Devin chrząknął, nawet poklepał po łbie Freda, gdy ten przyniósł mu jeden z pogryzionych butów.

- Ale ci wygarnęła...

- Dziwna z niej babka - oznajmił Shane, przecierając mokre oczy. - Ale chyba się w niej dziś zakochałem.

- Masz dwie możliwości, Jare - rzekł Rafe; tylko on wiedział, co to znaczy być zdanym na łaskę swego serca.

- Czyli? - Jared ledwo panował nad wściekłością.

- Bierz nogi za pas i zwiewaj. Albo idź do niej. Dla mnie wybór jest prosty.

Przez kilka godzin nic nie robił. Wiedział, że musi odczekać, pozwolić opaść napięciu. Chociaż to nieprawda, że nic nie robił. Pracował w stodole, aż był cały mokry od potu.

W końcu wziął prysznic i ruszył w stronę ścieżki. Wciąż był zły, ale przynajmniej panował nad gniewem. Wyrzucając jego rzeczy, Savannah sądziła, że pozbywa się go ze swojego życia.

Mylili się.

- Hej, Jare! - zawołał Shane, który usiłował odebrać psu tenisówkę. - Powiedz Savannah, że podobało nam się przedstawienie, jakie urządziła. Dobra?

- A ty przypomnij, żebym ci później złożył skórę. Dobra?

Upokorzyła go. W dodatku przed braćmi. Wetknąwszy ręce w kieszenie, skręcił do lasu. Nie tylko upokorzyła, ale zniszczyła garnitur, kilka porządnych marynarek i koszul.

Pewnie myśli, że jest taka sprytna i mądra. Pewnie siedziała pół nocy, planując zemstę. Cholera jasna, gdyby kto inny był celem ataku, przypuszczalnie pogratulowałby jej finezji i pomysłowości.

Ale zemsta była skierowana w niego.

Idąc przez las, nie czuł tego spokoju, co zwykle. Myślał o Savannah. O zemście. Ciekawe, jak jej się spodoba, kiedy to on zacznie buszować po szafie, wyciągać bluzki...

Wziął głęboki oddech. Chryste, do czego go ta kobieta doprowadziła! Jak bardzo trzeba być zdesperowanym, żeby podniecać się jakąś idiotyczną zemstą.

Nie. Nie będzie niszczył jej ubrań. Odpłaci się inaczej: pokaże Savannah, że nie da się sprowokować. Że jest rozsądnym człowiekiem. Aby upewnić się, czy podoła temu zadaniu, na wszelki wypadek skręcił ze ścieżki i usiadł na głazach.

Nie wyczuwał ich - duchów, które swoim smutkiem, nadzieją i bólem wypełniały las. Może dlatego, że po raz pierwszy od dawna jego własne smutki, nadzieje i ból okazały się silniejsze.

Ból - czuł potworny ból po stracie rodziców. Musiał się z nim pogodzić, zaakceptować go. Na szczęście miał mnóstwo cudownych wspomnień, do których mógł wracać i z których mógł czerpać pocieszenie. I miał braci.

Smutek - największy czuł, gdy uświadomił sobie, że jego małżeństwo z Barbarą jest pomyłką. Nie katastrofą, lecz zwykłą pomyłką, którą da się naprawić.

I wreszcie nadzieja. Ta mu ciągle towarzyszyła.

Znał te uczucia, radził sobie z nimi. Ale dopiero gdy związał się z Savannah, emocje zaczęły nim targać z przerażającą, niespotykaną dotąd siłą.

Wiatr zmienił kierunek, poruszał liśćmi, poświstywał w gałęziach.

Jared zamyślił się. Tu przyszli, tu się spotkali. Dwaj młodzieńcy, jeden w szarym, drugi w niebieskim mundurze. Obaj marzyli tylko o jednym: żeby wrócić do domu, uciec od rozgrywającego się wkoło szaleństwa, odnaleźć spokój. Pragnęli dotrzeć do swoich bliskich, do ludzi, którzy ich znali i kochali.

Poderwane przez wiatr suche liście zawirowały w powietrzu. Jared zacisnął powieki. Boże, jaki ze mnie idiota! Ci dwaj biedni chłopcy nie mieli szansy, ale on ją ma. Los postawił na jego drodze dwie fantastyczne istoty, Savannah i Bryana.

Zamiast zaakceptować los, zadawał pytania. Zamiast się cieszyć, powątpiewał.

To dlatego, że przerażała go siła własnych uczuć. Chciał chronić Savannah, osłaniać ją, nosić na rękach. Ale nie mógł chronić jej przed ciosami, jakie już dostała od życia.

Czuł się bezradny. Ponieważ nie mógł jej pomóc, cierpiała jego duma.

Chryste, jak można być takim idiotą? Powziął decyzję: nie podda się, tak łatwo się go Savannah nie pozbędzie!

Usłyszawszy szelest, otworzył oczy. Nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył naprzeciw siebie żołnierza armii konfederackiej z wycelowanym bagnetem. Ale zobaczył Bryana z nisko zwieszoną głową, który rozgarniał nogą liście. Zdumiała go własna bujna wyobraźnia. Pewnie by się roześmiał w głos, gdyby nie wyraz przygnębienia malujący się na dziecięcej buzi.

- Cześć, druhu. Co słychać?

Chłopiec podniósł wzrok. Speszony, uśmiechnął się.

- Nic. Wyszedłem na spacer. Mamusia nie ma najlepszego humoru.

- Wiem. - Jared poklepał miejsce koło siebie, zapraszając chłopca, by się przysiadł. - Jest na mnie zła.

- Powiedziała mi, że ty na nią też.

- To prawda, byłem. - Odruchowo otoczył Bryana ramieniem. - Ale już mi minęło. No, prawie minęło.

- Jej nie. - Czując instynktowną więź z przedstawicielem własnej płci, chłopiec wznosił oczy do nieba. - Wyrzuciła ranie z domu.

- Serio? Mnie też.

Na samą myśl o tym Bryan zaczął chichotać. Jakoś nie umiał sobie wyobrazić matki, która wyrzuca Jareda do ogródka, żeby pobawił się piłką.

- Możemy zamieszkać na farmie, dopóki nie ochłonie.

- Możemy. Albo mógłbym pójść do niej i spróbować wszystko naprawić. - Spojrzawszy na chłopca, Jared zobaczył niepewność w jego oczach. - Ona się nie gniewa na ciebie, Bry, tylko na mnie.

- Wiem. Ale umiesz zrobić, żeby się nie gniewała?

- Mam nadzieję. Jak narozrabiasz, to mama długo chodzi naburmuszona?

- Och, nie. Ona... - Nie potrafił tego wytłumaczyć. - Ale nigdy wcześniej nie zapraszała do domu mężczyzny. Więc nie wiem, jak z tobą będzie.

- Nigdy... - Jared urwał. Nie powinien pytać dziecka o takie rzeczy. - Hm, może powinienś udzielić mi paru rad. Żebym wiedział, jak się zachować.

- Dobra. - Chłopiec przygryzł wargę. - No więc mama lubi kwiaty, które dostaje od ciebie. Wcześniej nikt jej nie przynosił kwiatów. Chociaż nie, raz ja jej dałem kilka na urodziny. Aż się popłakała.

- Nie dostawała wcześniej... - szepnął Jared, kręcąc głową. Boże, ty idioto!

- Nikt nas nigdy nie zabierał na mecze ani nie zapraszał na pizzę. To też jej się podoba.

- Naprawdę? Nie chodziliście na mecze ani na pizzę?

- Chodziliśmy, ale tylko we dwoje. - Chłopiec zamilkł; po chwili coś sobie przypomniał. - Aha, jeszcze coś. Kiedy się gdzieś razem wybieracie, na jakąś randkę, to mama śpiewa pod prysznicem.

Przedtem była na paru randkach, ale nigdy nie śpiewała, szykując się do wyjścia. Może więc powinieneś ją znów gdzieś zaprosić?

- To świetna rada. - Jared postanowił, że odtąd w życiu Savannah i jej syna będzie mnóstwo randek, kwiatów, pizz i meczy.

- Znasz jakieś miłosne słowa? - spytał nagle chłopiec.

- Słucham?

- Na filmach dziewczyny zawsze patrzą rozmarzonym wzrokiem, kiedy chłopak szepcze im do ucha miłosne słowa. Ale chłopak też musi mieć rozmarzony wzrok, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. To by mogło się mamie spodobać.

- Aha.

- Chociaż... - Bryan westchnął. - Chociaż to pewnie krępujące.

- Niekoniecznie. Posłuchaj, Bry. - Jared obrócił się do chłopca. - Muszę z tobą poważnie porozmawiać, w końcu długo byłeś jedynym mężczyzną w życiu swojej mamy. Otóż... ja ją kocham.

Bryan spuścił wzrok.

- Nawet się domyśliłem, że czujesz do niej miętę.

- Nie miętę. Kocham ją. I chcę się jej oświadczyć. Chłopiec wbił oczy w twarz mężczyzny.

- Serio?

- Serio. Co ty na to?

- To znaczy, że zamieszkałbyś z nami na stałe?

- Tak. Ale jest jeden warunek.

Bryan wstrzymał oddech.

- Jaki? - spytał drżącym głosem.

- Chciałbym, żebyś przyjął moje nazwisko. I żebyś traktował mnie jak swojego ojca. Bo widzisz, ja kocham nie tylko twoją mamę, ale i ciebie. Dlatego oboje musicie mnie zaakceptować.

Chłopiec poczuł straszliwy ucisk w piersi, zupełnie jakby ktoś na nim usiadł.

- Chcesz być moim tatą?

- Bardzo. Wiem, że świetnie sobie radziliście we dwoje, ale bardzo bym tego chciał.

- Nazywałbym się Bryan MacKade?

- Tak.

Nastąpiła cisza. Jared czekał w napięciu. Jeśli chłopiec go odtrąci...

Bryan nie wiedział, jak mężczyźni reagują, kiedy się cieszą. Mamie po prostu rzucał się na szyję. I teraz też tak postąpił.

Obejmując mocno chłopca, Jared wypuścił z płuc powietrze. Masz syna, pomyślał uradowany. Masz syna.

- Ale fajnie - szepnął Bryan. - Bałem się, że nie zechcesz cudzego dziecka.

Jared delikatnie ujął w palce brodę chłopca i popatrzył mu w oczy.

- Nie będziesz cudzym dzieckiem. Będziesz moim synem.
Zalegalizujemy wszystko, ale papierki nie są ważne. Ważne jest to, co czujemy.

- Bryan MacKade... Jared, namówisz mamę? Przekonasz ją, żeby została twoją żoną?

- Na sto procent.

Wściekła na siebie, że ofuknęła Bryana, zepsuła dwa rysunki, zanim w końcu odeszła od biurka. A taka była zadowolona, opuszczając farmę MacKade'ów! Tak się cieszyła, że dopiekła Jaredowi.

Teraz czuła się koszmarne. Była zła, sfrustrowana, nieszczęśliwa. Korciło ją, żeby coś kopnąć. Nie, nie ganiające po kuchni kociaki. Albo zniszczyć. Przeszła do salonu, jednak nie znalazła tam nic wystarczająco cennego. Najchętniej krzykiem wylądowałaby furię. Ale nie miała na kogo krzyczeć.

Dopóki w drzwiach nie pojawił się Jared.

- Nic tu twojego nie zostało. Wszystko przewiozłam na farmę.

- Urządziłaś niezły popis.

- Sprawił mi przyjemność. - Skrzyżowała ręce na piersi.

- Może usiądziemy?

- Może byś poszedł do diabła?

- Usiądź, Savannah.

- Nie mów mi, co mam robić we własnym domu! Lepiej w ogóle się do mnie nie odzywaj! Przez ciebie czuję się jak durna pała! W porządku, nie skończyłam szkoły średniej, ale nie jestem głupia.

Doskonale sobie ze wszystkim radziłam, dopóki cię nie poznałam. I dalej będę sobie doskonale radzić.

- Wiem. - Skinął lekko głową. - I tego się właśnie boję... Poza tym wcale nie uważam cię za głupią. Chyba nigdy nie spotkałem mądrzejszej kobiety.

- Akurat!

- Usiądź, proszę. I posłuchaj...

- Nie, ty posłuchaj! - warknęła. - Chciałeś poznać moją przeszłość, to w prezencie pożegnalnym opowiem ci o sobie. Siadaj. - Wskazała palcem na fotel.

- Dobrze. Ale nie po to przyszedłem. Nie musisz...

- Sam się prosiłeś - przerwała mu ostro. - Więc słuchaj. Moja mama zmarła młodo, ale wcześniej zostawiła mnie i ojca. Związała się z innym kowbojem. Ojciec nigdy tego nie przebolewał i nigdy jej nie wybaczył. Zamknął się w sobie. Nie okazywał uczuć. Nie potrafił kochać mnie tak, jak pragnęłam. Nawet nie próbował. Nie byłam miłą, grzeczną dziewczynką. Przeciwnie, byłam bezczelna, pyskata...

- Savannah, naprawdę nie musisz...

- Nawet jeszcze nie zaczęłam, więc zamknij się i słuchaj. Nie mieliśmy dużo pieniędzy, ale wiele osób nie ma i jakoś sobie radzi. My też sobie radziliśmy. Ojciec lubił podejmować ryzyko, ciągle miał połamane kości. Z czasem zaczęły rosnać mi piersi. Faceci gapili się na nie, niektórzy próbowali je macać. Większość z nich знаła mnie od urodzenia; tak naprawdę to nic mi z ich strony nie groziło. Zresztą

wiedziała, kiedy się uśmiechać, a kiedy dać łokciem kuksańca. Nie byłam potulnym, niewinnym dziewczątkiem.

Jared nie przerywał. Słuchał w napięciu.

- Miałam szesnaście lat, kiedy straciłam dziewictwo.

Wiedziała, że seks bez zabezpieczenia może skończyć się ciążą, ale nie myślałam o tym, bo... Po prostu facet zawrócił mi w głowie. Był przystojny, czarujący, zapewniał, że wszystko będzie dobrze. A ja byłam młoda i głupia. Uwierzyłam mu. No i stało się. Zaszłam w ciążę. On nie chciał ani dziecka, ani mnie. Mój ojciec też nie.

Oznajmił, że jestem tak samo puszczalska, jak moja matka. Kazał mi się wynieść z domu. Łatwo wpadał w złość. Ale mylił się: nie byłam puszczalska. I chciałam mieć to dziecko. Nie dałam go sobie odebrać. A próbowali: ludzie z opieki społecznej, gliniarze. Tłumaczyli, że tak będzie lepiej. Ale nie byłoby, na pewno nie dla Bryana.

- Opieka społeczna jest przeciążona. Ci ludzie jedynie starali się ci pomóc - wtrącił Jared.

- Nie potrzebowałam ich pomocy! Znalazłam pracę, harowałam od rana do wieczora. Byłam kelnerką, barmanką, sprzątaczką. Mój syn nigdy nie chodził głodny i zawsze miał dach nad głową. Wiedział, że go kocham i że jest dla mnie najważniejszy. Jared pokiwał w milczeniu głową.

- Postanowiłam zapewnić mu dostatnie życie. Jeśli to oznaczało, że mam się rozebrać i tańczyć dla bandy wyjących kretynów, w porządku, mogłam tańczyć. Nie miałam matury ani żadnych

przydatnych umiejętności. Gdybym dostała się do szkoły plastycznej... - urwała.

- Marzyłaś o tym, prawda? - spytał neutralnym tonem, jakim zwykle przesłuchiwał w sądzie zdenerwowanych świadków. - O szkole plastycznej...?

- To nie ma znaczenia.

- Ma.

- Chciałam dobrze wychować syna. To było najważniejsze, a reszta... - Wzruszyła ramionami. - Pytałeś o mężczyzn. Było kilku. Dużo mniej, niż ci się wydaje. Od żadnego nie dostałam pieniędzy, ale kilka razy dostałam jedzenie. Nie wstydzę się tego. Pewnie kradłabym, gdyby nie strach, że jeśli zostanę złapana, to odbiorą mi dziecko. O tym, że mogę zarabiać na życie, rysując, dowiedziałam się przypadkiem, kiedy jedna z dziewczyn w klubie poprosiła, abym wykonała jej portret, i zapłaciła mi za niego dwadzieścia dolarów. Wtedy postanowiłam wyjechać z Bryanem do Nowego Orleanu.

Mówiła szybko, jakby chciała wszystko z siebie wyrzucić. Teraz przystanęła i wzięła głęboki oddech.

- To już. Ma pan jakieś pytania, panie mecenasie?

- Owszem. Czego pragniesz, Savannah? O czym marzysz?

- To nie ma znaczenia.

- Ma. - Jared wstał, ale nie podszedł do niej. - Dla mnie ma ogromne.

- Chcę mieć dom. Miejsce, gdzie będę czuła się bezpieczna; gdzie ludzie nie będą mnie wytykać.

- Masz taki dom. Tutaj.
- I zamierzam go zatrzymać.
- A mnie? Czy chcesz mnie? Zaskoczona milczała.
- Może inaczej to ujmę. - Wyjął z kieszeni małe pudełko, otworzył wieczko. - Przyszedłem, żeby ci to ofiarować.

W środku znajdował się tradycyjny pierścionek z brylantem w staromodnej oprawie. Savannah wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana, po czym wolno cofnęła się krok.

- Należał do mojej matki - oznajmił Jared głosem, który nie zdradzał emocji, jakie się w nim kłębiły.

- Proszę cię o rękę, Savannah. Wyjdź za mnie.

Przez chwilę nie była w stanie dobyć głosu.

- Chyba nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłam - rzekła w końcu.

- Słyszałem wszystko. Kocham cię taką, jaką jesteś, jaką byłaś i jaką będziesz. Nie tylko kocham, ale i szczerze podziwiam.

Cofnęła się kolejny krok, zupełnie jakby mierzył do niej z pistoletu.

- Nie rozumiem cię, Jared. Czy w ten okrutny sposób mścisz się za to, że zniszczyłam ci ubranie?

- Savannah. Spójrz na mnie. Spojrzała. I łzy napłynęły jej do oczu.

- O Boże. Mówisz serio.

- Zaraz się rozpłaczesz... - Odetchnął z ulgą.

- A już się bałem, że znów mnie wyrzucisz.

- Myślałam... myślałam, że mnie nie chcesz. Że nie jestem dla ciebie dostatecznie dobra.

- Że nie jesteś...?-Pokręcił smutno głową. – Bałem się, Savannah. Nawet nie wiesz, jak trudno mi się do tego przyznać. Jestem MacKade'em, a MacKade'owie nie powinni się niczego bać. Zwłaszcza ja, jako najstarszy, powinienem umieć ze wszystkim sobie radzić. Ale uczucie do ciebie mnie przerażało. Do ciebie i Bryana. Wiesz, czego najbardziej się bałem? Że pozbędziesz się mnie z taką samą łatwością, z jaką pozbyłaś się tego zdjęcia...

- Do mnie i Bryana...? - powtórzyła cicho. Ucisk, jaki czuła w piersi, malał z każdą sekundą. Zniecierpliwionym gestem wytarła łzy.

- A ja... a ja się bałam...

- Że nie pokocham go, bo spłodził go inny mężczyzna? - Przyjrzał się jej uważnie. - Duma i strach. To one są wszystkiemu winne. - Zamilkł. - Przeszkadzało mi, że nie mogłem wam pomóc, kiedy potrzebowaliście pomocy. Przeszkadzało, że tak dobrze sama sobie radzisz. Chciałem się wami opiekować, wziąć was pod swoje skrzydła, ale widziałem, że doskonale dajesz sobie radę beze mnie.

- Z tobą będzie nam o wiele przyjemniej. Opuściło go napięcie. Wyciągnąwszy rękę, pogładził kobietę po mokrym od łez policzku.

- To druga najlepsza rzecz, jaką dziś usłyszałem.

- Druga? - spytała z uśmiechem.

- Spotkałem w lesie Bryana. Dał mi kilka rad, jak cię udobruchać. Mam ci kupić kwiaty i zaprosić na randkę, bo wtedy śpiewasz pod prysznicem.

Roześmiała się speszona.

- Ależ to dziecko ma długi język.

- No i powinienem ci szeptać do ucha miłosne słowa. Tak jak to robią na filmach. Podobno dziewczyny to lubią.

- Cieszę się, że z nim rozmawiałeś.

- Nie to jest najlepsze. Kiedy powiedziałem mu, że chcę się z tobą ożenić i być jego ojcem, rzucił mi się na szyję. Wierzy, że zdołam namówić cię do małżeństwa. Nie chciałbym go zawieść.

Przytuliwszy się do Jareda, oparła głowę na jego ramieniu.

- Muszę cię ostrzec. Nie uznaję cichych, cywilizowanych rozwodów. Jeśli spróbujesz odejść, chyba cię zabiję.

- Zgoda. Ale to działa w obie strony. - Potarł nosem jej włosy. - Mam nadzieję, że poprzedni trzydziestodwugodzinny poród nie zniechęcił cię do kolejnych?

Przytuliła się jeszcze mocniej. Chciał mieć z nią dzieci!

- Nie bądź śmieszny, MacKade. Jestem twardzielką. Zresztą tym razem nie byłabym sama. Miałabym na kogo wrzeszczeć.

- Już nigdy nie będziesz sama.

- Wiem.

- Savannah, przyjmiesz moje nazwisko?

- Hm, Savannah MacKade. - Zamknęła oczy. - Brzmi całkiem fajnie.